

TOM CCLXXXII.

ROK 71.

ZESZYT 846.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

C Z E R W I E C.

1911.

TOM II.—ZESZYT 3.

54

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1911.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> . . . . .	417
2. DROGI TWÓRCZOŚCI ELIZY ORZESZKOWEJ, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	432
3. POSTĘPY IDEI MONARCHICZNEJ WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i> . . . . .	471
4. GRZEGORZ XVI A POLSKA PO POWSTANIU LISTOPADOWEM, przez <i>Bronisława Pawłowskiego</i> . . . . .	498
5. MUZEUM W RAPPERSWILU,—przez <i>Michała Sokolnickiego</i> . . . . .	514
6. PRZED PÓŁ WIEKIEM,—przez <i>d-ra Benedykta Dybowskiego</i> . . . . .	531
7. PROKONSULAT STACKELBERGA,—przez <i>K. M. Morawskiego</i> . . . . .	560
8. GALICYA WIOSNĄ ROKU 1812,—przez <i>Wacława Mejbauma</i> . . . . .	569
9. OSTATNI POWRÓT KOMETY HALLEY'A,—przez <i>M. Ernsta</i> . . . . .	581
10. PIŚMIENICTWO:	
POLONUS: „Psychologia obecnego Sejnu galicyjskiego,“ — przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	600
D-R ERNEST TILL: „Nauki ogólne austriackiego prawa prywatnego,“ przez <i>W. D.</i> . . . . .	603
EDW. GRABOWSKI: „Wolności obywatelskie w państwie rosyjskiem,“ przez <i>W. D.</i> . . . . .	603
11. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Refleksye na czasie. — Próby bilansu naukowego i moralnego szkół polskich.—Wychowanie fizyczne.—Sporty, jako czynnik wybitnie umoralniający. — Księgi pamiątkowe szkół.—Niebezpieczeństwa ambicij literackich.—Kronika poznańska. — Jubileusz komisji kolonizacyjnej.—Jej działalność.—Rozprawy o wywłaszczeniu w Sejmie. — Wystawa poznańska. — Zawody hakatystów. — Półwiecze Banku Przemysłowców.—W bolesną rocznicę.—Porażka rządu w Dumie . . . . .	605
12. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Leopold Stanisław Brzozowski, ś. p. Adam Darowski i ś. p. Jan Popiel,—przez <i>L. W.</i> . . . . .	618
13. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	621



De I.

# OPOKA.

## XXXII.

Śniałowski został sam w ciemnym pokoju, usiadł na łóżku, patrzył w okno. Snuły się po głowie niewyraźne i obojętne myśli, odczuwał smutek niby przed rozstaniem z czemś drogiem, jak przed daleką a niemłą podróżą. Nie chciało mu się iść. Odebrał był z rana wezwanie od towarzyszków na ważną naradę i rozumiał, że należało wyprowadzić byłych towarzyszków z błędu i lojalnie wystąpić z partyi, rozumiał także, że niewłaściwem było, skoro zawiódł oczekiwanie księdza i hrabiego Tobiasza, korzystać z ich gościnności i opieki, i postanowił udać się na posiedzenie oraz pożegnać dziś jeszcze swego gospodarza, ale ociągał się. Żałował samotnej celi swojej, której cisza była mu przez kilka tygodni ukojeniem, zastraszał go zgiełk ludzki, niepokoiła pomimo tupetu, z którym wygłaszał swoją teorię bierności, przyszłość. Po wyjściu hrabiego Tobiasza zadał sobie pytanie, jaką obierze drogę, czem zajmie się naprzykład jutro, co uczyni z życiem swoim, a odpowiedź wypadła zniechęcająco. „Błąkać się w mroku i pustce... Żyć i cieszyć się z istnienia... Płynąć radośnie...” — przypomniały mu się słowa, któremi pożegnał niedawno gościa. Ale frazes, efektowny w sporze, obecnie, gdy minął zapach krasomówczy, wydawał się czczym... Radość nie przyszła na zawołanie, obudziły się natomiast wątpienia, trwoga, cierpienie. I życie staowało przed nim, jak wierzyciel, którego żądań nie potrafił zaspokoić... Trzeba było iść stąd, szukać mieszkania, szukać celu i zajęcia, zatrzymać się na jakimś projekcie, znaleźć grunt pod nogami, stworzyć sobie jakiś tytuł do życia, albo udawać, że się go ma... Oprócz imienia i nazwiska każdy posiada przecież na świecie ta-



ką albo inną legitymację... Odsuwał od siebie tę troskę, pogrążał się w leniwym optymizmie, z którego wynika lekkomyślna nadzieja, że jakoś to będzie, a przede wszystkim nie przypuszczał i nie wierzył, żeby wogóle coś mogło być jeszcze dla niego, żeby przyszłość, która chwilami trwożyła go, istniała naprawdę. Tkwiło gdzieś w głębi przecucie. I wydawało mu się, że to już koniec, wydawał się sam sobie martwym i niepotrzebnym, jak broń, z której wystrzelono ostatni i jedyny ładunek.

Spoglądając obojętnymi oczami w zmierzch zimowego dnia, wspominał coś: urywki rozmowy z hrabią Tobiaszem i jego czoło, obce i niedostępne, jego zachowanie się zimne i wyniosłe, swój przyjazd tutaj, spowiedź i krótką epokę złudzenia, pełną grozy noc, spędzoną przy zwłokach ordynata Obrońskiego... Dźwignął się wreszcie, przewyciężywszy ociężałość, ubrał się i udał do proboszcza. Zastał księdza przy herbacie. Dwie świece oświetlały długi, zasłany ceratą stół i skromną na nim zastawę. Obszer-na, prawie pusta, o nagich ścianach, półciemna jadalnia gnębiła swoim surowym i posepnym smutkiem, którą to ponurość potęgował mrok sąsiednich pokojów. Przywitani się w milczeniu. Śniałowski usiadł. Była cisza. Ksiądz nie zaczynał nigdy pierwszy rozmowy. Nalał gościowi herbaty, podsunął mu szklankę i talerz z chlebem i utkwiał wzrok w rozwartą książkę, którą czytał przed chwilą.

— Przyszedłem pożegnać księdza — odezwał się Śniałowski.

— Pan wyjeżdża?

— Tak. Dziś jeszcze...

Łagodnie, zamyślane, wiecznie jak gdyby wpatrzone w głęb własnej duszy oczy księdza przez mgnienie przyglądały się młodemu człowiekowi.

— A ksiądz zostanie tu do końca... w tym spokoju, w pracy... z wiarą w siebie i w cel—cicho, głosem, w którym, zdawało się, brzmiała nuta żalu, powiedział Śniałowski.

— Mógłby i pan... przecież z własnej ochoty...

— Z wielkiej i własnej ochoty...

— Sądziłem, że pan już do końca... Ale widocznie jeszcze nie czas—powoli, spokojnie mówił ksiądz—widocznie tak trzeba... Dokona pan próby... Praca rozpoczęła się w panu i nie ustanie...

Śniałowski uśmiechnął się.

— Czas próby i pracy... Ksiądz wszystko wytłumaczy po swojemu... Rzeczywiście, odrodziłem się, stałem się czysty i doskonały.

— Takim nikt nie jest. Ale umarł już w panu dawny człowiek... Inna teraz droga... Może i najlepiej w świecie wśród



dawnych warunków przekonać się, osądzić przeszłość i rozpocząć przebudowę...

— Książd pewny jest, że odrodził się.

— Tak.

Śniałowski patrzył przyjaźnie w zadumane oczy księdza i uśmiechał się.

— Gdybyż wszystko było tak łatwym, jak to się wam wydaje... Nagrzeszyc, odbyć spowiedz — i w jednej godzinie przychodzi poprawa... Ludzie byliby aniołami...

— Łaska i trud wewnętrzny. Prawda, którą się raz poznało, nie opuszcza człowieka. Prawda wyswobadza, oczyszcza...

— Gdybyż tak było! — powtórzył Śniałowski.

— Szamoce się niespokojnie, cierpi i wątpi ten, który nie przejrzał jasno... Jest w was lekceważenie i pogarda a zarazem pycha i żądza szczęścia, pycha człowiecza i żądza zmysłowa... Odrzucono istotę rzeczy...

— Tak, tak, księżę — niedbale przerwał Śniałowski, pragnąc uniknąć długiej rozprawy.

Ale ksiądz niezrażony lekceważącym tonem gościa mówił dalej cierpliwie, patrząc wciąż w książkę, jak gdyby czytał z niej zdania, które wygłaszał.

— Żywot jest w duchu, a duch jest wieczny i żywot jest wieczny... Żadne czyny, największe i najgłośniejsze, dokonane na ziemi, nie zaspokoją duszy spragnionej... Przemija wszystko... I małe posiada znaczenie to, co przemija. Wy zaś nazwaliście życiem istnienie cielesne, przypadkowy zbieg zewnętrznych okoliczności, zlepek faktów i wrażeń, pewną sumę lat ziemskich... Trzeba zmienić punkt widzenia... Każdemu daną jest możność poznania Boga...

— Tak, tak, księżę...

Książd spojrział uważnie w twarz młodzieńca i zamilkł. A wówczas Śniałowskiemu uczyniło się żal tego przyjaznego człowieka, którego uraził zapewne, który przecież troszczył się o jego przyszłość, który nauczał w naiwnym złudzeniu.

— Wdzięczny jestem za dobre chęci — rzekł serdecznie. — Książd nie zna życia i ludzi. Tu, w tych cichych ścianach łatwym i blizkiem wydaje się Królestwo Boże. Ale tam, na świecie...

Wstał i wyciągnął rękę, żeby się pożegnać.

Ale ksiądz pochylił się nad stołem, zwiesił głowę i nie zauważył tego ruchu.

— Księża nie są tak głupi, jak przypuszczacie — odparł po chwili. — Znam trochę ludzi, znam i pana... — urwał. — Jakie są za-

miary i poglądy pana dziś, nie wiem i nie chcę nawet wiedzieć. Ale niech pan pamięta: Zabijać nie wolno! Zabijać nie wolno! Słyszysz pan! — skończył szorstko głosem surowym, rozkazującym, niby zwierzchnik wobec podwładnego, który zawinił.

Śniałowskiemu przyszło na myśl, że tamto filozoficzno-moralne kazanie wypłynęło nie z naiwnej wiary w poprawę, ale jedynie z poczucia kapłańskiego obowiązku, że ksiądz przeniknął go może swymi mistycznymi oczami i świątobliwą duszą przeczuł jego złą przyszłość, ostrzega przed nieszczęściem i zgubą, usiłuje zatrzymać i ratować, że trzeba zostać tu, bo za progiem tego spokojnego przybytku czeka go zatracenie... Śniałowski doznał naraz trwogi.

— Kto zabrania zabijać?—spytał cicho.

— Bóg.

— A jeśli Boga niema...

— Bóg jest — tak samo surowo i stanowczo odpowiadał ksiądz.

Wzruszenie ogarnęło Śniałowskiego. Jak owej nocy po zrabowaniu pociągu, jak wówczas w mroku pół jesiennych zdało mu się, że pochyła się nad nim jakoweś niezmierne, pełne grozy, blasku i mocy oblicze. Spozstrzegał oczami, że nie było go tu—onego błyskawicowego oblicza, że w pustym, posępnym pokoju pałą się na zasłanym ceratą stole dwie świece, a jednak widział, odczuwał, doznawał.

— Boga niema! — szepnął nie przez przekorną chęć zaprzeczenia księdzu, ale z tajemnym pragnieniem, żeby objawiła mu się w potędze i skruszyła go i ukarała jego zuchwałość owa obecna moc.

— Boga niema!—powtórzył i czekał.

Była cisza. Ksiądz stał z pochyloną głową, ze splecionymi, jak do modlitwy, rękami i milczał. Obraz rzeczywistości był pospolity, codzienny i posępny. Nie stało się nic. Dogasający samowar syczał, jego mosiężna powierzchnia odbijała blask świec, z poza drzwi patrzyła mroczna głęb pustych pokojów. Widzenie znikło.

— Gdzie jest Bóg? Ksiądz twierdzi, ja zaprzeczam, gdzie jest Bóg? Na ziemi — tylko ludzie, mali i marni, i lichy życie ludzkie—ze smutkiem odezwał się Śniałowski.

Poszukał oczu księdza, które nie chciały go widzieć, które kryły się pod powiekami, zagniewane czy rozżalone, może niespokojne. Nie podniosła się spuszczone głowa, którą przytłoczyła zaduma.



Śniałowski wyszedł. Przykrem echem rozległ się w cichem mieszkaniu hałas jego szybkich kroków. Stuknęły drzwi. Na podwórzu obejrzał się i popatrzał jeszcze w oświetlone okna. Ksiądz stał ciągle na tem samem miejscu, pogrążony w zadumie, potem wolno postąpił ku stołowi, usiadł i pochylił się nad książką. Śniałowski znowu doświadczył lęku i nie mógł oprzeć się myśli, iż w tej chwili zapadł gdzieś nad nim wyrok, że los jego już rozstrzygnięty i nastał w życiu moment stanowczy... Zawałał się... Szumiały dokoła chłodnym złowrogim szumem grudniowym, który jest jak dreszcz przerażenia, drzewa cmentarza, przez szyby absydy kościelnej bił chwiejny blask lampy, płonącej przed ołtarzem i, zdawało się, szeptał ostrzegawczo... A tam, w plebanii pogodnie jaśniały wśród mroku okna, i za niemi—postać czytającego księdza, rzekłbyś, symbol wiedzy, spokoju i zadowolenia... Jakiś głos podpowiadał Śniałowskiemu, żeby nie odchodził dziś, bo czeka go zguba, żeby wrócił i został.

— Wrócić i zostać?—zastanawiał się chwilę. Zabrać się do grubych tomów, które podsuwa mu ksiądz, pożyczyć trochę cudzych ideałów, zwodzić siebie i innych... Grube tomy mistycznych pisarzy nie wywołały oddźwięku w duszy, która okazała się martwą czy niema, czy nieczułą... W apologiach wszystko było doskonale logicznem, jasnem i łatwem do pojęcia, prócz głównego założenia, z którego wynikało wszystko... Gdy zamieszkał tu, spodziewał się, że olśni go światło prawdy, że wskażą mu wielkie i święte męczeństwa, czyny bohaterskie, któremiby zmasał i spełnił — na innych drogach — marzenie młodości... Tymczasem ci ludzie zacni i podniosli—hrabia Tobiasz i ksiądz—nie dali mu nic, prócz katechizmu i wizyi życia, bogobojnego, złoczonego z małych usłowań, użytecznych postępków, cnotliwych praktyk... I nie zapłonął w nim tu ogień, nie wytrysły wskrzeszające zdroje... Zostać oznaczało kłamać sobie, wyzyskiwać czyjaś życzliwość, żyć ideałami, zapożyczonymi dla wygody...

Dumał, przetrząsając szereg rozumowań, któremi ostatniemi czasy uzasadnił potrzebę odrzucenia opieki księdza, niemożność korzystania nadal z pomocy. I jeszcze raz nasunął się wniosek, że czas próby minął, że pora jest zamknąć tu rozdział i szukać gdzieindziej rozwiązania... Ale tkwił w sercu karmiony przecuciem smutek, którego niezmogły rozumowania, który potęgowały widok posepnej nocy zimowej i złowrogi szum drzew. I jakiś wewnętrzny głos doradzał wciąż, żeby wrócić do cichej, samotnej, bezpiecznej celi i nie iść w mrok, gdzie czyha nieszczęście, między zgiełk ludzki...



Śniałowski ruszył dalej. Drzewa otoczyły go poraz ostatni mową przerażenia, potem za ogrodzeniem cmentarnem był pusty i głuchy zaułek.

Wrażenia wędrówki po mieście zatarły rychełto w Śniałowski ów dziwny lęk, który o mało nie wpłynął na zmianę postępowania. Pomimo wszystko, bojowiec rad był po tylu tygodniach prawie więziennego odosobnienia znaleźć się na jasno oświetlonej ulicy, w tłumie przechodniów, przed oknami wystaw sklepowych. Była w atmosferze wielkomięjskiego wieczornego ruchu jakaś rozweselająca podnieta. Jak wspomnienie zmory nocnej na poranku, rozwiewały się stopniowo surowe i groźne myśli... Widok zdążających kędyś nieskończonymi szeregami ludzi dodawał otuchy i ochoty do życia. Wydawało się, że jest gdzieś jakiś ogólny cel radosny i wszystkim wiadomy, do którego śpieszą z zadowoleniem gwarne rzesze uliczne, wydawało się, jak zwykle na pierwszy rzut oka w mieście, że przyjemnem jest życie, że dobrze jest wszystkim razem i każdemu z osobna. Śniałowski szedł, unoszony przez ciżbę, z zajęciem oglądał zmienny, zgiełkliwy obraz miejskiego życia. Sprawdziła się narazie jego teoria, że wystarcza płynąć radośnie na fali. Minęła pełna uciechy godzina... Szedł ciągle rozweselony złudzeniem, że dąży razem z gromadą do onego radosnego, wiadomego wszystkim celu. Uśmiechała mu się jakaś nadzieja. Pragnął w tej chwili zabawy, która by porwała go i uderzyła, chciałby znaleźć się w sali, którejby zwierciadlane ściany odbijały blask elektrycznych świeczników, w gronie miłych i szczęśliwych ludzi, na uczenie. Gdy patrzył w okna, marzyło mu się, że w każdym z tych mieszkań zebrali się biesiadnicy, że pachną tam kwiaty, krążą gęsto kielichy, brzmią śpiewy... Ten był może cel tłumnej wędrówki... A wówczas nasunęła mu się gorzka uwaga, że on jest jednak niezmiernie samotny w tej ciżbie, że na niego nikt nigdzie nie czeka, że niema przed nim żadnej drogi. I ogarnęła go znowu posępna zaduma. Znużony nagle ruchem i wrzawą ludnej ulicy, skręcił w zaułek, zabrnął do ubogiej dzielnicy. Zdało się Śniałowskiemu, gdy otoczyły go mrok, zaduch smrodliwy i nęcza, że patrzy w oblicze dobrze i oddawna mu znane i prawie drogie. Z głębi cuchnących podwórzcy, przez szyby brudnych okien, mrugających mdłym światłem, z poza drzwi szynków wydobywał się jęk, rwało się wołanie wiekuistej krzywdy. Wśród niedoli, starej jak świat, Śniałowski czynił pospolite zestawienia, wysnuwał stare, jak świat, wnioski. Od myśli tych, które odczuwał głęboko, jak gdyby poznał je poraz pierwszy, krwawiło się serce działacza — a on pro-

stował się w sobie niemal z dumą. Jakikolwiek skutki wynikały z działalności, praca jego była słuszną a prawda nieomylną... Nie powiodło mu się, zbłądził może, zwyciężą kiedyś inni. Ponad wszelkie ideały wyrasta ideał sprawiedliwości i jeden jest trud—zburzenie potwornego ustroju... Doskonaleniem duszy, łamaniem prętów klatki, w której zamknięto białego orła, niech zajmują się syci, zadowoleni, gnuśni. Z nizin odzywa się inny głos. Nie o kwiat wonny proszą rzesze głodnych niewolników... Usłyszał wołanie uciśnionych i chciał zdobyć dla nich... Droga okazała się błędną, środki—złymi... Nie dokona zapewne człowiek samotny dziś... Jakaż tedy droga i jaki oręż?

Śniałowski wziął zwykły swój lot i marzył, oglądając znowu płomienną wizję młodości swojej. Ale rychło opadły zniechęcone skrzydła... Nie wierzył już, żeby można było zbawić czynem poświęcenia i odwagi, żeby stał się cud, żeby on władzą swoją miał stworzyć... A gorąca dusza odwracała się ze wstrętem od programu, który zalecał cierpliwą pracę, codzienne utarczki, drobne zwycięstwa, zdobywanie stopniowe placówek... „Był człowiek, posłany od Boga, któremu było na imię Jan“—okrutnem szyderstwem zabrzmiały drogie, cudne słowa, ukryte kędyś w najgłębszym zakątku, zrodzone z wiary w powołanie... Przyszła w życiu chwila, w której wypadło porzucić namiot hetmański, zdjąć płaszcz prorocki i zmieszać się z szarym tłumem, przywyknąć do roli zwykłego przechodnia... I ukazała się wówczas pustka...

Śniałowski przebiegał myślą lata istnienia, ale nie z owem dawnem przekonaniem o wyższości własnej. Przejmował go żal... Porównyując siebie do innych ludzi, stwierdzał różnice i zapisywał je na niekorzyść swoją... Przez krótkie mgnienie oglądał dobre, jasne i proste szczęście dzieciństwa, tak nieskończenie dalekie i różne, odcięte i oderwane od późniejszego życia, i wspominał dalej. Cała prawie młodość jego zbiegła na obczyźnie. Wydalony z V klasy, udał się w głąb państwa dla ukończenia gimnazjum i studiów uniwersyteckich. Wschodnie powiewy obwiały mu duszę, wysuszyły serce... W epoce najważniejszej, w okresie kształtowania się pojęć i poglądów i budzenia się ducha uległ wpływowi kolegów, u których mistyczne marzenie o szczęściu ludu łączyło się z cynicznym przeczeniem, z pogardą życia, a fanatyzm przekonań z apatią rozleniwienia i nudy... Dziś wydawało się Śniałowskiemu z odległości, że dziwnym tym ludziom, dyszącym zemstą i nienawiścią, płonącym żądzą przebudowania świata, brakowało wiary, ale wówczas szedł z nimi. Wyrastał w atmosferze szlachetnej i czystej, ale sztucznej, a jednocześnie



zatrutej mikrobami rozkładu, które wyzały w nim miłość ojczyzny, uczucia rodzinne, religię, zamiłowania naukowe i estetyczne. I wrócił z obczyzny do kraju obcym. Zerwał z rodziną, której dobrobyt opierał się na wyzysku, z narodową przeszłością, której szlacheckość budziła w nim odrazę, ze społeczeństwem niedość demokratycznym, które pętały przestarzałe przesady. Poświęcił się całej idei, służył owemu mistycznemu ideałowi, który unosił się w mgłach młodzieńczych marzeń. Był sam. Nie znalazł ani przyjaciół ani sprzymierzeńców... Kwiat miłości, który zresztą wyrósł nie z serca, ale z wyobraźni, radował go niedługo. Idea, a jak zdawało mu się, wstrętne przesady klasowe stały się między nim a „siostrą duszy.“ Szukał pociechy w pracy. Wierzył w powołanie swoje, w sprawę i zwycięstwo. A gdy spotkała go klęska, gdy zgasła bitwa i wypadło zejść z pola walki, nie wiedział dokąd się zwrócić. Spostrzegł dokoła siebie i w sobie pustkę i chłód... Zrozumiał, że nie było w nim materiału na człowieka przeciętnego, przeciętnie użytecznego albo szczęśliwego. Pogarda do rzeczywistości i do życia, którą przejął się od otoczenia na dalekim Wschodzie, utrudniała sklecenie jakichś takich chociażby warunków istnienia. Nie przyświecała mu żadna z radości, które rozweselają zwykle dolę ludzką. Zabrakło celu. Postawił był na kartę wszystkie zasoby bogatej a nie zrównoważonej natury, przegrał — a dorabiać się nanowo nie mógł. Zbyt wielki i zbyt bolesny był przeskok od marzeń o odkupieniu świata i stworzeniu Królestwa Niebieskiego do powszedniego warsztatu pospolitych zajęć. Postępy nauki, zdobycze partyjne, drobek sztuki, robota patryotyczna wywoływały uśmiech politowania, jak trud dziecka, które na brzegu morskim usypuje z piasku wały albo czerpie kubkiem wodę z oceanu. Wszelka praca człowieka w warunkach obecnego ustroju była marną, niedorzeczną, albo podłą i życie mogło być tylko lichem lub nikczemnym... Należało tedy umrzeć albo upić się szczęściem aż do zapamiętania się... Ale tego szczęścia nie umiał sobie stworzyć...

Przechadzając się po ciemnych zaułkach przedmieścia, Śniadowski wspominał przeszłość i dumał. Myśli, które obracały się wciąż w tem samym błędnym kole, zużyły go rychło, wrócił więc na ludne ulice i szedł już prosto na posiedzenie. Zamiast zgromadzonych na naradę towarzyszków zastał w mieszkaniu tylko towarzyszkę Izę. Ta przywitała go z oznakami radości, którą stłumiła natychmiast, ale zarazem jakby ze strachem, tak, jak się wita kogoś, który wstał dopiero z ciężkiej i zakaźnej choroby. Była mniej mowną niż zwykle. Opowiadała mu coś niedbale



i zimno o rzeczach potocznych, nie dotykając wcale spraw partyi, o które zresztą Śniałowski nie pytał. Chwilami zapadało milczenie, a wówczas przyglądała mu się przenikliwie, natrętnie, dwuznacznie... W pięknych jej oczach zapalały się błyski niespokojne, które zadawały kłam lodowatej obojętności słów... Kusila go przypomnieniem krótkiej chwili kochania, a jednocześnie sama zwalczała pokusę.

— Ponieśliśmy ciężkie straty w organizacji — rzekła naraz.

— Tak...

Wyliczała nazwiska schwytych towarzyszków, a przytem badawczo patrzyła Śniałowskiemu w twarz. On zaś słuchał leniwie, ze znudzeniem, jak o rzeczach, które oddawna przestały go zajmować.

— Toście wy o tem nie słyszeli? — spytała.

— Ja? A skądżebym mógł wiedzieć?...

— Więc dopiero dziś, tu, ode mnie?...

— Dopiero tu, dziś od was — powtórzył, uśmiechając się.

Usiadła bliżej, wzięła go za rękę, pieściła tę rękę...

— Tymczasem mówiono tu o was... — urwała.

Pilnie badała jego wzrok.

— Słuchajcie — zaczęła po chwili — grozi wam niebezpieczeństwo... rozeszły się pogłoski... że z waszej przyczyny... Uchodźcie... Grozi wam niebezpieczeństwo...

— Grozi mnie niebezpieczeństwo? — zdziwił się — nie wiem nic...

— Ale ja wiem napewno... Uchodźcie... Uchodźmy... bo i ja po tem, com powiedziała... Jedźmy gdzieś teraz, zaraz... Skryć się trzeba...

Nasłuchiwała.

— Trzeba uciekać natychmiast... może być zapóźno... śledzą... — szeptała gorączkowo, z trwogą.

Ale on zachował swój obojętny spokój.

— Uciekać? od kogo? dokąd?... Chyba od siebie samego, od was, od waszych oczu, które palą...

Uśmiechał się sennie.

— Oczy wasze palą... Piękne są oczy wasze...

Pochyliła się ku niemu, objęła go. Pieściła, tuliła się, drząc, okrywała mu twarz pocałunkami...

— Znikliście z oczu... czekałam, tęskniłam... nie było was... Przynajmniej dziś... miły mój... — dziś nasze jest, a jutro... Cześćcie tak późno...

Bawił się włosami jej i myślał ze smutkiem, że i ta rozkosz nie upoi go, że niema szczęścia, któremby można było upić się aż do zapamiętania się.

— Wrogów macie... Rzucono klątwę... podejrzewają was... Po co wam było do „czarnej sotni...“ może i niema waszej winy, może jest, nie wiem... Kocham, chcę, żebyś kochał... ty dziś mój... całuj mnie, miły mój... — prosiła zdyszczanym głosem, który zamierał...

Śniałowski gładził jej głowę powolnym ruchem, z roztrągnięciem, dla przyjemności dotykania miękkich, jedwabnych, przepysznych włosów. Myśl i spojrzenie błąkały się kędyś, w jakiejś dali, do której ona niecierpliwem pragnieniem nie mogła dotrzeć, z której słowami kochania nie umiała go przywołać...

— Zbladłeś i zmizerniałeś — mówiła pieszczotliwie — ale ci z tem do twarzy... Smutny jesteś... Rozweselę cię... Czemu skryłeś się?... Było przyjść do mnie... czekałam... Poszlibyśmy we dwoje... Zapomnianoby o nas... a mijalyby dla nas dnie szczęścia... Gdzie byłeś, miły mój?... Czemuś nie przyszedł?...

Uklękła przed nim, kładła mu głowę na kolanach, całowała kolana i ręce...

— Czemu smutny jesteś, i zimny taki i obojętny? Może kto inny stanął przy tobie, może już nie chcesz mnie... Miły mój... Wezmę cię teraz i nie oddam nikomu... mój jesteś... mój na zawsze...

W bezładnych słowach drżała żądza. Kochanie zmąciło w niej świadomość — i zapomniała o niebezpieczeństwie.

Nagle rozległo się ciche za drzwiami gwiznięcie... Zerwała się szybko z klęczek, przerażonemi oczami to patrzyła na Śniałowskiego, to rozglądała się po pokoju, szukając, gdzieby mogła go ukryć, potem jeszcze raz rzuciła mu się na szyję, z jękiem przyłgnęła do niego w bezpamiętnym pocałunku — i wybiegła otworzyć. Po chwili wróciła z towarzyszem Piotrem, którego nazywano pustelnikiem albo anachoretą. Towarzysz spojrział na Śniałowskiego z ukosa, nieufnie, nie witając się z nim usiadł i milczał. Iza stanęła pod oknem, odwróciła się do nich plecami, zasłoniła twarz rękami... Zdawało się Śniałowskiemu, że ona tłumi płacz... Ale żaden cień jakowegoś niedobrego przeczucia nie ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Był spokojny, obojętny, trochę znudzony oczekiwaniem. Przypuszczał, iż towarzysze zbiorą się tu za chwilę, i że rozpocznie się długa, jałowa, niezajmująca narada. Wolałby nie spotykać dziś byłych kolegów, nie zabierać głosu, nie urządzać tej sceny uroczystego rozstania z partją, z dawnymi ideałami...



Trwała wciąż cisza.

— Posiedzenie odbędzie się gdzieindziej — suchym tonem odezwał się wreszcie Piotr pustelnik — trzeba już iść.

— Czy też koniecznie? — leniwie spytał Śniałowski — możeby innym razem...

— Trzeba! — była stanowcza odpowiedź.

Towarzysz wstał.

— A wy zostańcie! — zwrócił się do Izy, która szlochąca pod oknem.

Wyszli. Śniałowski nie pytał, gdzie, na jakiej ulicy, u kogo ma odbyć się zgromadzenie. Posłusznie podążył za przewodnikiem, który szedł szybkim krokiem. Nie mówili do siebie. Gdy znaleźli się w ogrodzie, prawie zupełnie pustym, pod drzewami, któremi miotąca zimna wichura, i rozległy się wokoło złowrogie szумы, niespokojne rozhowory, trwożne szelesty konarów, Śniałowski, przejęty nagle lękiem, przerwał milczenie, które zaczęła mu ciążyć, tłumił rozmową przykre uczucie.

— Idę z wami — rzekł — ale naprawdę nie mam tam nic do roboty... Obcy wam jestem oddawna...

— Wiemy to...

— Kiedyś może i na was przyjdzie kolej... I zrozumiecie, że nie mogłem inaczej, nie będziecie potępiali... Wierzycież wy w zwycięstwo?...

— Nie od razu zwycięstwo...

— Tak, nie od razu... Kiedyś, po latach wielu, po wiekach wielu... I jeśli nadejdzie ów dzień, to nie z powodu naszych tutaj prac, wysiłków, utarczek... Na marne poszły dążenia nasze... Nie my rządymy światem... Toczy się rzeka życia... I niema dla nas roboty... Cóż znaczy tedy ów program, i jaki wynik narad, zgromadzeń, gawęd?

Piotr pustelnik, zwykle mało mówny, milczał. Nie odpowiadał na zarzuty. Ale nie zniechęciło to Śniałowskiego, który wolał słuchać słów własnych, niż trwożnej mowy drzew.

— Prowadziłem was — ciągnął dalej — do zwycięstwa... Naraziłem siebie i was... Nikt nie oskarżył mnie o podły strach... Zdawało mi się, że sprawa już wygrana... A przekonałem się potem, iż nie zwycięży dziś nikt... ot toczy się rzeka życia... Nie stworzyłem nic... Trwa niedola, trwa krzywda... Niezmierną jest nędza istnienia... I nędza i złe... Umocniła się na ziemi przez stulecia potęga zła... Któż obali to panowanie? I ja, i wy, i my wszyscy pod tą władzą... Nie zbudowały nic ręce nasze, a przelewaliśmy obficie krew...



— Słuchajcie! — zwrócił się do Piotra pustelnika—nie przyszło też wam nigdy na myśl, że może gra nie warta jest świec... Tyle zła, tyle ofiar na drodze naszej, a jakiż wynik? Zdobyliśmy pieniądze... Gdzież one? Widziałem, gdym chodził jeszcze na wasze zebrania, że drżały nie jednemu ręce, chciwe złota. I mniej nas dziś jest, niż było przedtem. Gdzież ci towarzysze? Porzucili sztandar, żeby skapać się w uciechach... Czyście nie myśleli nad tem?

Towarzysz milczał.

— I w was, i we mnie, i w nas wszystkich kryje się zło, z którym walczymy — mówił z przejęciem, wzruszonym głosem, cicho, bez patetycznej swady, którą grzeszył zwykle — wszyscyśmy pod panowaniem zła. Alboż możemy budować?... Orszaki anielskie przekształcą może kiedyś ten świat mocą ducha czystego... My przelewaliśmy krew, to jednośmy potrafili... A żal jest tych istnień! Pamiętam, w wagonie... Młody był... Czarnemi oczami z namiętą nienawiścią patrzył...

— Naszych niemało też padło... Nie zliczyć! Iluż jeszcze będzie! — ponuro zauważył Piotr pustelnik.

— Wiem, że nie przekona was nikt... Może i dobrze jest mieć taką murowaną wiarę... Taki tylko przechowa złudzenia do końca, a bez złudzeń trudnem staje się życie... Wam program wydaje się świętym i każda uchwała -- świętą. Postanowiono — trzeba niezwłocznie wykonać. Gdyby kazano wam zamordować mnie, nie wahalibyście się... Znam wasz charakter — zażartował Śniałowski i poszukał oczu towarzysza.

A ten pochylił głowę i wbił wzrok w ziemię.

— Zastępy anielskie przekształcą może ten świat, ale nie my dzisiaj... Znajdzie się kiedyś hufiec ludzi, podobnych aniołom... Nas za pomocą zła, które w nas jest, zwyciężyła potęga zła... Znajdzie się może kiedyś hufiec ludzi, podobnych aniołom — w zamyśleniu powtarzał Śniałowski.

— Dziwi to was — zwrócił się do Piotra — gotowicie posądzić mnie o zdradę albo o... — dotknął palcem swego czoła—Marte litery programu zastąpiły wam życie, formuła partyjna zabiła myśli... Niegdyś i ja... Stałem przecie na czele... Dziś odbiegłem daleko...

— Wiemy to! — mruknął Piotr pustelnik i zaśmiał się zjadliwie.

Szli potem w milczeniu. Minęli kilka ludnych ulic, plac z wysoką kolumną, na której szczycie wśród zgiełku teraźniejszości smutna postać króla dumiała nad bolesnem zagadnieniem

dziejów... Panowała tu wrzawa. Przebiegały z ciężkim stukotem tramwaje, sunęły nieprzerwanym szeregiem dorożki i powozy, na chodnikach był ścisk. Śniałowskiego zaniepokoiła znowu myśl, że oto tłumy śpieszą niecierpliwie do jakiegoś radosnego, wiadomego wszystkim celu, który on sam jeden tylko, zabłąkany przechodzień, przybysz z daleka nie umiał znaleźć... Znękanem spojrzeniem zapytywał ludzi, którzy nie mieli czasu czy nie chcieli mu odpowiedzieć...

— Prowadzicie mnie jakoś niezwykle. Byliśmy już tu i jeszcze raz wróciliśmy — rzekł do towarzysza.

— Chciałem znylić ślad...

Zaległo milczenie. Wkrótce znaleźli się nad rzeką. Wspomnienia otoczyły Śniałowskiego. Ujrzał widzenie młodości swojej, wzruszyły mu serce echa dawnych uczuć. Jak gdyby stanął przy nim ktoś blizki i miły, rozpoczęła się w duszy tęskna rozmowa o dniach, które minęły, o rzeczach, które umarły, zaszemrały smętne zwierzenia. Było to miejsce uświęcone szczęściem i cierpieniem przeszłości. Między Śniałowskim a rzeką istniało tajemne, przyjazne przymierze, oparte na poufnem obcowaniu. Przez długie lata z okna poddasza swego spoglądał w oblicze tych wód pracowitych, pośpiesznym wartem płynących w dal i pokochał ich cichą, wolną moc, potężne tchnienie, szczęśliwą beztróskę. Rzeka znała historię jego dni, on znał dzieje rzeki. Widział krwawe o zachodzie nurty, gniewne podczas burzy błyski spienionych fal, opary, wstające o świcie, złote drżące gościńce miesięczne, lazurowe niebiosa i lazur wód w letnie południa i cudne w oddaleniu migotanie słonecznego żaru na pomarszczonej powierzchni, widział chybotliwe odbicie gwiazd w ciemnej toni... Groźną albo łaskawą, ponurą albo radosną bywała rzeka... Czasami witała się jasnym szlakiem szczęścia, błękitnem pasmem marzenia, wzbierały w niej niekiedy złe moce... Patrzył ku niej w dobrych i smętnych dniach swojej młodości... Pracowite, wartkie fale biegły do morza... I biegły godziny życia jego... Marzył tu nieraz do rana i śnił sny swoje zawodne, tu opłakiwał krótkie złudzenie miłości, tęsknił, rozpamiętywał gorzkie trudy walki, gotował się do czynu... Pozdrowił teraz przyjaznem spojrzeniem pochmurne wody, które chłostał wicher i pozdrowił przeszłość.

— Nie śpieszmy tak! — szepnął — nie spóźnimy się przecież.

I zwolnił kroku. Wdychał z rozkoszą rzeźwe powietrze, zapach rzeki, utopił wzrok w nurtach. Z ciemnej głębiny wychylił się naraz obraz miły i drogi... Oto poranek sierpniowy, skoszona łąka, której trawa kłuje bosc jego stopy, urwisko nad



strumieniem, gniazda świegotliwych jaskółek, uschłe drzewo... Skąd i dlaczego w tej właśnie chwili przyszło to wspomnienie? Widział dokładnie każdy szczegół, każdą gałązkę suchej olchy, kształt obłoków, które wykwitwały wówczas wśród błękitu, czuł aromat łąki, wilgotny zapach strumienia, widział radość onej dziecięcej godziny — i ogarnęła go tęsknota... Marzyło mu się coś... Spoglądał w mroczną toń, jak gdyby szukał w niej odbicia owych dni, woniejących szczęściem... Rozwiał się miły i drogi obraz — i toń była ponura jak niedola, czarna jak grób... Odeszły, zczeszły na zawsze tamte czasy, tamte radości... Została niedola... Tęsknił za czemś... A woda czarna jak grób, pełna grozy i tajemnicy ciągnęła go ku sobie, nęciła... I zbiegł tą samą co niedłysz, gdy mieszkał tu, ścieżką do rzeki. Fale, których głosu nie słyszał tam, na górze, zagadały do niego monotonym pluskiem... Zatrzymał się i słuchał... Gwarzyły pluszczące fale, obiecywały coś... Słuchając, marzył, żeby zabrały go te szybkie nurty, wykołysały, wypieściły, uniosły kędyś i złożyły łagodnie na dalekim, nieznanym brzegu... Szemrały fale... I zdało się Śniałowskiemu, że minęło czasu wiele, że biegły lata a jemu śniły się sny straszne, że zbudził się nareszcie, zbudził się już na onym innym nieznanym brzegu, że snem bolesnym i niedorzecznym było tainto wszystko: zbrodnie, walki, cierpienie... Tak, okropne trapiły go ziny... ocknął się... wartkie nurty unosiły go daleko, ku nowym, nieznanym brzegom... gdzie nowe życie, młodość, nowe radości...

Uśmiechnął się, a był w tym uśmiechu smutek przeświadczenia, że i to jest złudzeniem... Wiedział przecież, pamiętał... Zniechęcone oczy patrzyły smutnie w posępne oblicze wody... Nie wróci młodość, na marne poszło życie, nie odrobić przeszłości, minęły niepowrotne dni i niema owego szczęśliwego brzegu...

Odezwały się bolesne myśli i zagłuszały kojącą mowę fal. A fale obiecywały mu coś tajemniczym pluskiem, opowiadały o wielkim, dalekim, wiecznym morzu, do którego biegły, o morzu, w którego głębiach jest spokój, zapomnienie, koniec wszystkiego, wołały go za sobą w dal... Rozumiał ich głos... I począł iść za nimi, gonił umykające wody, szedł coraz prędzej, uciekał od ludzi, od złego życia swego, od siebie samego... Zapomniał o posiedzeniu, na które prowadził go był Piotr pustelnik, o towarzyszu, który nie odstępował od niego, zapomniał, że zapadła noc, a on nie ma nawet mieszkania i dążył wciąż naprzód. Był znużony całodzienną niemal włóczęgą po mieście, ale podniecały go powiewy wiatru, który huczał w drzewach zarzecznych, który



chłodził mu twarz, przynosił zapach wody, woń dawnych czasów, wieści z dalekich pól... I dodawała mu sił dziwaczna, półświadoma nadzieja, że tam w mroku kryje się jakiś tajemniczy cel, że los jego rozstrzygnie się niebawem, że on nie wróci już nigdy... Szedł ciągle... Skończyły się zabudowania miejskie, znikły ostatnie latarnie, było pusto i cicho dokoła. Śniałowski odwrócił się naraz i, jakby teraz dopiero zauważywszy, że idzie za nim towarzysz, rzekł wesołym głosem:

— Dobrze jest tu chodzić.

— Dobrze...

Zatrzymał się i, wskazując palcem, dodał:

— Miasto daleko.

Zaśmiał się krótko z zadowoleniem, i ruszył dalej... Ale co jakiś czas odwracał się, jak gdyby pilnował, czy nie został w tyle tamten. W pewnej chwili rozległy się raz po razie dwa wystrzały. Śniałowski runął, celnie trafiony, padł twarzą do ziemi, nie zdążywszy wymówić słowa zgrozy, które wybiegło mu na usta... Zadrgało w przedzgonnych konwulsjach ciało, ręce szukały czegoś w piasku—i ucichły na zawsze. A w krótkim, przedśmiertnem mgwieniu myśl przebyła niezmiernie przestrzenie, ujrzała zakryte przedtem dale, nieznane szlaki, przekonała się, że snem znikomym było ziemskie życie. I zastygł na twarzy zmarłego wyraz nieopisanego zdumienia...

Piotr pustelnik oddalił się szybko.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

# DROGI TWÓRCZOŚCI

## Elizy Orzeszkowej.

### I.

„Opowiadać będę o tych dziejach dawnych, widzianych, słyszanych, odczutyh, przeżytyh, na dnie pamięci i na dnie serca wiecznie żyjących. Strumień czasu po nich płynął i pod wartkimi jego falami bladły niekiedy ich obrazy, lecz nie znikwały nigdy; dziś powstają, tętniące pulsem chwili, która je zrodziła, rozlegające się krzykami tragedyi, pomalowane barwami poezyi tak głębokiej, jak głęboką była ta otchłań ofiar i mąk...

„Niech serca, ostygające dla ojczyzny, przybliżą się do tego żuźla, który niegdyś spadł był na jej drogę—niech odetchną wonią jego piekącą i gorzką.

„To woń samego miąższa drzewa, spalonego na ofiarnym stole. Kto ją w płuca swe wciąga, tego oczy napełnią się łzami i serce uderzy mocno, a w tych łzach i w tem uderzeniu wskrześnie Miłość.

„Nie dla potęgi żelaza i złota Miłość, ani dla rozkoszy psychy, ani dla tryumfalnego wołania na świat cały: Ja! Ja! Ja! gdy drudzy grzęzną w pogardzie i nieszczęściu.

„Inna Miłość.

„Ta, której zakochane oczy obejmują ziemię ojezystą, jak nad wszystko w świecie rodzeńsze, miłsze oblicze matki;

„której przywiązane oczy wpatrują się w naród ojezysty, w nad wszystkie inne bliższe, miłsze grono rodzonych braci;

„której wierne oczy towarzyszą braciom na drogach cnót, nad którymi rozpalają pochodnie radości;



„której uwielbiające oczy wznoszą się ku dwom wielkim gwiazdom, noszącym imiona Sprawiedliwość i Wolność;

„której mądre oczy dostrzegają, że bez światła tych dwóch gwiazd ciemna musi być ziemia i nieszczęśliwymi muszą być jej narody...“

Zaiste, silne i podniosłe musiały być wrażenia niezapomnianych przeżyć, jeśli po latach 40-tu bez mała mogły w duszy autorki „Nad Niemnem“ wskrzesnąć z taką niepospolitą, młodzieńczą świeżością uczuć i obrazów, jakby dramat ten wczoraj dopiero rozegrał się na scenie życia.

Dwa tylko znamy takie wypadki w dziejach twórczości naszych poetów: Mickiewicz, którego oczy pacholeące w r. 1812 piły chciwie odblaski wielkiej zorzy napoleońskiej, dał, w wiele lat potem, promienny, artystycznie skończony obraz tego światłodajnego „roku wojny“ w ostatniem swem dziele, w „Panu Tadeuszu“; Orzeszkowa, której 20-letnia pierś odetchnęła odurzającą wonią „samego miązsa drzewa, spalonego na ofiarnym stosie,“ w pół wieku później wyśpiewała łabędzią pieśń pracowitego żywota, „Gloria victis,“ w której grają echa bohaterskich wspomnień z jej czasów.

I poznała Miłość. Miłość, „której uwielbiające oczy wznoszą się ku dwom wielkim gwiazdom, noszącym imiona Sprawiedliwość i Wolność.“

I starczyło jej tego wszechogarniającego uczucia na całe życie, na całą półwiekową niemal twórczość.

Rzecz można, czego dotąd z dostateczną stanowczością nie zaznaczono, że twórczość ta, u której kolebki czuwały trzy dobre wróżki: Miłość, Sprawiedliwość i Wolność, słowem, te dążności szczytne, które dały współczesnemu autorce „Nad Niemnem“ pokoleniu chwile niezapomnianej górności ducha, że twórczość ta jest owej epoki aż do chwil ostatnich najwierniejszym, a zarazem najrozleglejszym obrazem.

I oto, na owe gody przybyła czwarta jeszcze, nie proszona, złośliwa wróżka, Niedola — i zmieniła kraj cały w zaczarowane królestwo smutku. To też nalana smutkiem po skraje jest cała twórczość Orzeszkowej, jak przepelniona krwią Zbawiciela kruża św. Graala...

Nie tak zapowiadało się życie przyszłej autorki „Chama.“ Urodzona w zamożnym domu obywatelskim, wychowana w tradycjach narodowych, ale ze wszelkiem uwzględnieniem potrzeb życia salonowego, wytwornie od dzieciństwa władająca językami obcymi (zwłaszcza francuskim, czego liczne dowody znajdu-

ją się w dyalogach jej powieści), kształcona w pensjonacie klasztornym pp. Sakramentek w Warszawie, wydana w szesnastym roku życia za mąż za człowieka nieomal obcego, ku któremu żadnych uczuć żywić nie mogła, otoczona, jeszcze przed ślubem, atmosferą zabaw i zbytku, pustoty salonowej i konwensu, panna Eliza Pawłowska, od początku 1858 roku żona majątnego obywatela z Wołynia, Piotra Orzeszki, zdawała się być przeznaczoną do życia motyla, który na padole ziemskim zna tylko kwiaty i słodycze upojne, i wonie czarowne, i barwy mamiące.

Oto, co ona sama mówi o tej epoce swej młodości:

„Dziwnem się to teraz wydaje i obszernych objaśnień wymaga, ale faktem jest, przez wielu jeszcze pamiętnym, że w przededniu najmniej pewno zabawnej epoki naszych dziejów dla całej licznej i możnej grupy ludzi jedynem prawie hasłem i najwyraźniejszym celem życia była zabawa! Bawiono się wszędzie, zawsze, w sposoby najrozmaitsze i dla wszelkich możliwych pretekstów. Wizyty, obiady, wieczory, tańce, polowania, karty, kuligi wrzały po wsiach i miastach. Dnie ciszy, skupienia i jakiegokolwiek pracy zdarzały się czasem, tygodnie bardzo rzadko, miesiące nigdy. Wiele rodzin, żyjących stale na wsi, przepędzało w mieście kilka zimowych miesięcy; że zaś, przy nieistnieniu kolei żelaznych, odległe podróże przedstawiały wiele trudności, miasta prowincjonalne napełniały się każdej zimy znaczną ilością tych przybyszów, salony i saloniki przedstawiały codziennie widok strojnych, gwarnych, grających, śpiewających i tańczących zebrań, ulice roiły się powozami i końmi, wewnątrz kościołów płonęły często rzęsimiem światłem, wśród którego tysiączne tłumy chciwie spoglądały na widowiska wspaniałych uroczystości ślubnych...“

„Ani promyka wiedzy nie było w nas — mówi dalej — co ci wszyscy ludzie robią na świecie, jak żyją, myślą, czują i cierpią, i ani iskry chęci dowiedzenia się o tem.“

I tak też było w ciągu dwu pierwszych lat po ślubie; była wtedy, jak się wyraża Chmielowski, „młoda pani Ludwinowa prostopu samym śmiechem, samą pustotą, samą próżnością, bo cieszyło ją, bawiło, nawet miłość własną przyjemnie głaskało wszystko: ślicznie urządzonej dom, stroje, służba, niezliczone wizyty bliższe i dalsze, całe grona przyjaciółek, rówieśnic, sąsiadek i sąsiadów.“

Ale niebawem wszystko się zmienia. Pod wpływem prądów liberalnych, jakie wionęły po całym Imperyum i zjednoczonych z niem krajach, niebawem po ukończeniu kampanii krymskiej i wstąpieniu na tron Aleksandra II, poważniej umysły. Zbierają



się ziemianie już nietylko dla zabawy, ale i dla rozważania palących spraw społecznych, z pośród których najważniejszą była sprawa włościańska. I wtedy to właśnie nastąpił przełom w duszy młodej dziedziczki Ludwinowa, przełom, który Chmielowski charakteryzuje temi słowy:

„Ujrzała się wtedy Orzeszkowa cząstką owego wielkiego świata i zapragnęła być świadomą tego, co tym światem włada, jakie są jego wielkie idee i interesa... Powstawało w młodej, żywej, gorącej, namiętnej duszy wiele pociągów i wstrętów, wiele pragnień i zamiarów, poglądów i uczuć, których nikt przedtem, ani ona sama nawet w sobie nie przewidywała. Powstawał i coraz wyraźniej zarysowywał się, coraz potężniej ją nęcił ideał życia, z którym rzeczywistość, będąca jej udziałem, znajdowała się w sprzeczności rażącej i stanowczej. Ideał ten już wtedy określiła dwoma słowami: miłość i praca.“

Dwa są szczególne znamienne w tej nowej, a tak brzemiennej w następstwa fazie jej życia: przedewszystkiem wzmozona lektura, i to nie, jak niegdyś, w domu rodzicielskim i na pensyi, romansów francuskich (Dumasa, Sue'go, Sanda, Sandeau) i powieści polskich (Bernatowicza, Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Jeża, Chodźki), ale przedewszystkiem dzieł poważnych, naukowych (jak np. „Historja cywilizacyi w Anglii“), któremi, wedle własnego wyrażenia, „zaczytała się na całe życie,“ pochłaniając całe biblioteki; a potem gorliwa praca nad uświadamianiem ludu (założenie, wraz z młodszym bratem męża, Florentym, szkoły ludowej w Ludwinowie, mimo oporu „wśród najbliższych“).

Minęło jeszcze trzy lata, 1861—1863, wśród doniosłych wypadków narodowych i przykrości osobistych (rozstanie z mężem), i umysł Orzeszkowej dojrzał w zupełności, przygotowała się rola pod zasiew talentu. A tymczasem nad Litwą zacieżyła żelazna ręka Murawiewa: wprowadzenie w życie ukazu o uwłaszczeniu chłopów, zmieniający do gruntu sposób gospodarstwa rolnego, konfiskaty, kontrybucye, procesy, zakaz sprzedawania majątków osobom pochodzenia polskiego, ograniczenie liczby Polaków na urządach, wszystkie te środki, skierowane ku zrujnowaniu pod każdym względem żywiołu polskiego na Litwie, bolesnem echem uderzały o pierś autorki „Eli Makowera.“

Nie będziemy też dalecy od prawdy, jeśli nazwiemy całą twórczość Orzeszkowej epopeją bytowania Polski na Litwie. A bytowanie to, jego treść wewnętrzna, da się zamknąć w jednym krótkim określeniu: bronić się od zagłady. Wśród najtrudniejszych warunków ekonomicznych, bądź trzymając się ze wszystkich

sił ojczyzstego zagonu, bądź już wyrzuceni, czy przemocą, czy też z własnej lekkomyślności, na bruk miasteczek i miast, Ongrodu (Grodna), Onwilu (Wilna) i in., po cichych dworkach wiejskich i po rojnych kamienicach grodów litewskich, żyją, w powieściach i nowelach Orzeszkowej, Polacy w ciągłym borykaniu się i codziennych utarczkach z losem, w gorzkości serca, ale i z otuchą w sercu, a jeżeli rozminą się z obowiązkami i sprzedadzą obcym ojcowiznę, jak Brochwicze („Rodzina Brochwiczów“), jak Orchowscy i Łozowicze („Eli Makower“), a jeżeli i odbijają się od gronady, by szukać po szerokim świecie „złotego runa“ i „pasztetu“, jak Australczycy i Argonauci, to zawsze ku ciężkim zgryzotom serca i straszliwшему jeszcze rozczarowaniu.

„Być albo nie być,“ ten smutny dylemat stawia Orzeszkowa przed oczy swym rodakom na Litwie, by go sami, własnym trudem serdecznym i krwawym, rozwiązali.

A przedewszystkiem—taki lub inny wynik tych trudów zależy od tego, w jaki sposób ziemiaństwo polskie na Litwie unormuje swój stosunek do miejscowego ludu (najlepiej znała autorka „Nizin“ lud białoruski na Polesiu wołyńskim).

I oto w r. 1866 powstaje pierwszy jej utwór: zamieszczony na łamach „Tygodnika Ilustrowanego“ (pod redakcją Ludwika Jenikego) „Obrazek z lat głodnych.“ Przeniesioną w lata 1854—1856, a więc w czasy jeszcze pańszczyźniane, melodramatyczną, jaskrawą w przeciwstawieniu ginących z głodu i z nędzy wieśniaków i doskonale obojętnych na niedolę ludu panów opowieść rozpoczyna autorka od takiej znamiennej apostrofy, wiernego echa gorących rozpraw z lat 1860—1863:

„Z błyszczących wyżyn waszych czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nisko, w głąb owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna odarte pracują ciężko? Czyście widzieli, jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają łono tej smętnej dla was fali ludzi?..

„Wyście myśleli zawsze, o piękni i piękne, że w tej grubej, szorstkiej warstwie sam kał tylko i bezrozum; po cóż w nią zaglądać? Tak zapewne; jeżeli nie chcecie zasępić rozpogodzonego zabawą lica, nie zbliżajcie się do ludu, pójdźcie raczej bawić się i płaszać przy blasku światła jarzących, wśród woni salonów. Ale jeżeli między wami są serca, miłujące nie lśniący pozór, lecz grunt człowieczy; jeżeli są i umysły ciekawe zbadania bied społeczności: niech zajrzą w istnienie milionów, w istnienie mozolne, bezbarwne, rzadko pojęte dobrze przez szczęśliwszych, często spotwarzane, oplwane. Tam serca znajdują dramat żywy i cel ukochu-



nia, a umysły naukę i zachętę do dążenia ku postępowi, ku postępowi takiemu, który zbliży szczęście nie jednostkom, nie kastom, lecz wielkiemu ogółowi.“

A teraz przenieśmy się myślą na drugi kraniec twórczości Orzeszkowej i powołajmy jeszcze jedną cytata, wołającą głosem potężnym, a zbolalym:

„I tylko, niestety — mówi Orzeszkowa w „Gloria victis“ — wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi.

„Chaty te były przed nami zamknięte—niestety!

„Zanykały je przed nami różnica wiary i mowy, błędy przodków naszych—niestety! niestety!

„I była to skała, o którą rozbiła się nawa nasza, na straszliwe morze wypuszczona—niestety!

„Na której piękny żagiel nasz rozdarł się—niestety!

„Z której po krótkim dniu słonecznym spłynęła na nas noc ciemna, duszna, zimna, nieprzebyta—niestety!

„Zamknięta przed nami chata chłopska była to skała — niestety! niestety! niestety!“

Żywe współczucie dla niedoli ludu przerodziło się w wielką tragedję narodową; ludowość i patryotyzm, zespolone, stopione w spiż najdoskonalszy, były początkiem i końcem zawodu pisarskiego Orzeszkowej, objęły całą jej półwiekową niemal pracę dla dobra narodu miłującym opłotem ramion „uprzejmych,“ jak mówi poeta. A wpośrodku tego szczerozłotego pierścienia, w 22 lata po „Obrazku“ i na 22 lata przed „Gloria victis,“ błyszczą krwawnikiem herbowym rodu Bohatyrowiczów epopea zaścianka litewskiego, „Nad Niemnem,“ okolona rozetą brylantów najczystszej wody, jak: „Niziny,“ „Dziurdziowie“ i „Cham,“ cykle nowel: „W zimowy wieczór,“ „Panna Antonina.“

W żadnej bowiem z powieści Orzeszkowej w epoce rozkwitu jej talentu echa 1863 r., w miarę możności, przez owoczesną cenzurę zakreślonej, nie przemawiają tak silnie, jak w „Nad Niemnem“; i nigdy, tak jak około owej pamiętnej daty 1888 r., demokratyzm autorki „Nizin“ i „Dziurdziów“ nie wydał tak obfitych plonów.

I wtedy to właśnie wyrzekła ona te słowa znamienne:

„Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać całe, od początku do końca, historie wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych, pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego: nie jest ono wcale bezinteresownem. Zna-

jomość bowiem wielu, wielu historyj podobnych stanowi dla człowieka bogactwo serca, dla pisarza—żywy źródło mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyj takich nie ciekaw jest i nieświadom: uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palcu.

I taka też była najgłówniejsza, najbardziej żywotna treść jej dobytku literackiego: niedola warstw upośledzonych i niedola upośledzonego narodu. Wszystko inne to sprawy poboczne, drugorzędne, wszystko inne chwilowo tylko zajmuje jej umysł i serce.

Od „Obrazka z lat głodnych“ do „Nad Niemnem“ i powieści ludowych, a od nich do „Gloria victis,“ tak się nam przedstawia linia graficzna rozwoju jej twórczości.

A w zakończeniu okrzyk bolesny, głos „bijący do Boga“: „Jezu, słońce sprawiedliwości, Ojciec przyszłego wieku, kiedyż wiek Twój i sprawiedliwość nad światem wzejdą?“

A w odpowiedzi inne wołanie otuchy pełne i wiary:

„Gloria victis!“

To było ostatnie jej słowo na ziemi.

## II.

Po pierwszej próbie podjęcia sprawy społeczno-narodowej w „Obrazku z lat głodnych“ przez długi szereg lat Orzeszkowa z innej dziedziny życia czerpała przedmioty do swoich utworów. Pierwsze lat kilka, do roku 1873, to okres przygotowawczy: autorka „Obrazka“ przedewszystkiem jęła się pracy — nauczycielskiej; dydaktyzm góruje w jej utworach z tego czasu, ton kaznodziej-ski jest zasadniczą cechą stylu, dialogi przybierają postać poważnych rozpraw i dysput, powodując zbytnią rozwlekłość niektórych powieści. Natomiast strona artystyczna twórczości jeszcze chłama: budowa utworów pozostawia wiele do życzenia, zbyt wiele daje się miejsca przypadkowi, np. podsłuchiwanie jest zbyt często niewybrednym środkiem popychania naprzód leniwo wlokącej się akcji, postacie dodatnie są najczęściej sztywne i papierowe, ujemne—wpadają w karykaturę, przełomy w duszach bohaterów dokonywają się nadto łatwo i szablonowo i t. d.

Ale już w tych pierwszych krokach początkującej autorki można odnaleźć zarody talentu, które w późniejszych latach miały rozwinąć się tak wspaniale.



Tymczasem jednak teza zwycięża sztukę. Tezą zaś, która była kamieniem węgielnym u fundamentów najwcześniejszych utworów, jest sprawa stosunku obojga płci. Miłość mężczyzny i kobiety i jej rozliczne objawy, oraz stosunek tego uczucia do innych stron życia osobniczego i narodowego — oto co zajmuje Orzeszkową w pierwsze lata jej twórczości.

„Wierzę, iż miłość mężczyzny dla kobiety nie powinna być alfą i omegą ludzkiego istnienia, że ugiąć się, złamać się pod nią może tylko człowiek słaby, albo taki, któremu ona zastąpić musiała wszystko: czyn, ideę, sławę. W klatce niema wyboru pożywienia; zgłodniały bierze taki pokarm, jaki znajduje, a jeśli pokarm ten jest trucizną, żyje nią czas jakiś, a potem... umiera, i tem się kończy jedna z tragikomedyj ludzkiego istnienia na świecie.“

Te słowa, wypisane na czele jednej z najbardziej typowych powieści z tego czasu, „W klatce,“ streszczają w sobie poglądy autorki w tym przedmiocie: miłość płciowa, nie opromieniona żadnym blaskiem uczuć wyższej kategorii, złym jest przewodnikiem życia, zatruwa życie, często doprowadza do ruiny moralnej, powoduje też czasem straszliwe katastrofy. A jeżeli nie sprowadza tragicznego rozwiązania, to związuje z sobą na całe życie osobniki najmniej dobrane, szarpiące się w ciężkiem jarzmie pożywania wspólnego aż do śmierci—nadaremnie.

Oto kilka przykładów takich „dobranych par“:

Kojarzą się dwa małżeństwa: zacny obywatel, „chłopoman,“ słowem „człowiek,“ co się zowie, z próżną i głupią „lalką,“ i zrujnowany lekkoduch, „łapiposag,“ z dobrą i łagodną dziewczyną, wychowanką Wizytek, zgoła nieświadomą życia. To „Początek powieści“; jakie jej będą dalsze rozdziały, odgadnąć łatwo.

Lowelas warszawski, przesycony rozkoszami życia, szukający sposobów zabicia nudy i zapełnienia pustki serca, nie pozbawiony jednak szlachetnych instynktów, odrzuca rękę posażnej panny z towarzystwa i żeni się z ubogą sierotą. Mamy tu więc odwrotną stronę medalu („Rozstajne drogi“).

Gdzieindziej znowu praca uczciwa i wiedza, słowem, zasługi osobiste, otwierają przed młodym prawnikiem, synem rzemieślnika, podwoje wielkopańskie, dając mu za żonę piękną i bogatą dziedziczkę („Syn stolarza“).

O stosunku wzajemnym płci wiele się mówi w „Ostatniej miłości.“ Pierwszy to większy utwór naszej autorki, wydany w roku 1867; pierwsza nieśmiała jeszcze, ale już rokująca wiele nadziei na przyszłość próba przedstawienia charakterów ludzkich;

pierwszy to także utwór, w którym wyraziły się poglądy autorki na sprawę kobiecą.

„Kobieta-matka—mówi tu zacny doktor-rezoner—to w społeczeństwie kapłanka najwyższa: z piersi jej płynie w pierś dziecka pierwszy źródło dobrych lub złych skłonności, dobrych lub złych zarodków; z myśli jej w głowę dziecięcą przechodzi pierwszy promień światła i wiedzy; z jej serca w serce, nie znające jeszcze siebie, tryska źródło słodyczy i przyszłej zacości. Słowa matki brzmią w głębi duszy człowieka przez całe, choćby najdłuższe i najburzliwsze, życie; głos jej to nigdy nie zapomniana harmonia. Sam, panie, miałem matkę dobrą i rozumną i wiem, czym jest wspomnienie takie i taki głos, dochodzący nas zdala, jak wieczna przestroga i rada. Ale, ażeby kobieta godnie spełniła to kapłaństwo swoje, ażeby dzieci, odrywające się od jej łona, wychodziły na świat istotnymi ludźmi, trzeba, aby ona sama była człowiekiem, aby sama wysoko stanęła w hierarchii cnotliwych i świętych. A dopóki kobiety nie wzniosą się myślą ponad błyskotki i próżność, póki będą stały w społeczności, jak lalki, dzieci, bóstwa albo kwiatki, a nie jak ludzie: póty w życiu społecznym brakować będzie pierwszej podstawy dobrego, póty po świecie błądzić będą Fryzje Wiewiórscy i im podobni.“

Tak mądrze i wzniosłe przemawia do sióstr swoich 25-letnia autorka. Nie poszła tą szczytną drogą zepsuta dobrobytem, płocha i żadna hołdów Klotylda Warska, bohaterka wyżej wymienionej powieści „W klatce“ i złamała życie pożytecznemu pracownikowi, który, lekarzem będąc w jakimś głuchym zakątku, wiele dobrego bliźnim wyświadczał, przypawiła o utratę zmysłów jego matkę-staruszkę. Poznawszy zaś, po niewczasie, swój błąd, szuka dłań zadośćuczynienia w pracy kulturalnej, zakłada w swoim majątku szpitala, ochronki i t. p. I wina, i pokuta dla określenia charakteru twórczości oraz ideałów społeczno-etycznych Orzeszkowej niezmiernie typowe. Postacie epizodyczne słabo zarysowane, częściej brane z literatury, niż z życia („Kollokacya“ Korzeniowskiego); występujące tu trzy kumoszki wprowadziła autorka do późniejszych jeszcze powieści („Cnotliwi“, „Pani Luiza“, „Jędza“).

Snuje się długim szeregiem poczet powieści, rozwijających myśli pokrewne. Tezą „Wesołej teorii i smutnej praktyki“, nie pozbawionej rezonerstwa *ad lectorem*, jest myśl następująca: „Samotności, której najchętniej oddają się ludzie uczeni, świat zawdzięcza najmědsze odkrycia i najgłupsze małżeństwa, jakie bywały kiedy pod słońcem.“ Bohater tej powieści, poważny pracownik



gabinetowy, pełny uczuć humanitarnych, ma „wesołą teorię“: chce się ożenić z panną piękną, umiejącą śpiewać i grać na fortepianie, słowem, chce mieć żonę-cacko. „Smutna praktyka“ zaś łączy go z pustą i złą kokietką, która mu zmienia dom w jarmark, rujnuje go na zabawy i stroje, a w końcu zdradza z kuzynkiem, muzykiem, wagnerzystą, megalomanem i snobem (ten typ znajdzie doskonalsze wcielenie w „Rodzinie Brochwiczów“).

Charakterystyka postaci jest tu dość pobieżna, podobnież jest i w pokrewnej ideowo powieści, p. t. „Na prowincyi“, w której cicha, łagodna, dobra dziewczyna, idąc tylko za głosem nie-doświadczonego serca, zrywa małżeństwo ze szlachetnym, rozumnym, pracowitym właścicielem sąsiedniego folwarczku, wzorowym gospodarzem i dobrym patryotą, by poślubić nicponia, hulakę, próżniaka, lwa prowincjonalnego, który ją wnet po ślubie haniebnie zaniedbuje i do grobu wpędza. Charaktery, zarówno dodatnie, jak i ujemne, zgruba jeszcze nakreślone; wyróżnia się małomiejski karczmarz Szłoma, u którego „na sali“ młodzi utracjusze zgrywają się w bilard, pierwszy Żyd w twórczości Orzeszkowej, nie bez dobrych przytem popędów.

Inaczej nieco rzecz się ma w powieści „Z życia realisty“: autorka nie kojarzy tu węzłem dozgonnym realisty-technika z piękną robotnicą fabryczną, Ulaną, w tem przeświadczeniu, że pociągająca ich nawzajem ku sobie miłość zmysłowa, choćby najgorętsza, nie zdoła wyrównać różnic kultury umysłu i serca, wynikających z odmiennego sposobu wychowania i tradycyj stanowych.

W jednej ze słabszych powieści naszej autorki z tego okresu, „Cnotliwych“, oprócz założenia czysto etycznego: platonicznej, bezgrzesznej miłości dwojga ludzi, którzy połączyć się nie mogą, jest właśnie obraz cichego dramatu rodzinnego, pożycia nieszczęśliwej pary małżeńskiej, którą niegdyś skojarzyła przelotna miłość, teraz zaś rozdziela wszystko, prócz—poczucia obowiązku

Przeciwstawienie zaś dwóch grup osób: pozornie winnych, ale w gruncie rzeczy czystych, i obłudnie „cnotliwych“ pobożniaków, a skrycie występnych, jest tu, że tak powiemy, katechizmowe, mechaniczne.

Wyższy już artystycznie rodzaj twórczości znajdujemy w dwu powieściach z okresu lat 1869—1870: „Pan Graba“ i „Pamiętnik Wacławy“. Stoją one już na pograniczu drugiego okresu, znamionując niewprawne jeszcze pióro zarówno w kreśleniu charakterów (Kalikst Graba, hulaka i karciarz, a przytem szuler, *chevalier d'industrie*, jak go nazywają, ma zbyt wiele cech melodramatycznego łotra, by mógł być postacią żywą), jak i w sposobie prze-

prowadzania akcji (podśluchiwania!), ale wskazują już znaczny postęp w rozwoju talentu autorki.

W „Panu Grabie“ sprawą zasadniczą jest wykazanie smutnych wyników, do jakich doprowadza złe wychowanie młodzieży obojga płci: ujawnia się to zarówno w Grabie, jak i (o wiele lepiej!) w postaci epizodycznej Tozia Słabeckiego, który, przehlawszy majątek, zdrowie i życie, umiera w kwiecie wieku, z tragicznym okrzykiem na ustach: „Dlaczego umieram tak młodo... czemu nikogo nie kochałem... nic nie uczyniłem dobrego na ziemi?... O Boże! ulituj się nade mną! ukarż za mnie ojca mego i matkę moją...“

Nie kończy się na tem treść ideowa „Pana Graba.“ Po raz pierwszy wystąpiła tu Orzeszkowa w obronie praw kobiety: związana węzłem dozgonnym z nikczemnym Grabą szlachetna Kamilla daremnie pragnie rozerwać oplątujące ją misterne sieci, ni w prawie ludzkim bowiem (w osobie prawnika, do którego udaje się o poradę), ni w Boskiem (którego przedstawicielem jest świętobliwy przeor, przestrzegający pilnie litery prawa kanonicznego), litości ni ratunku nie znajdzie. A dalej—występuje w „Panu Grabie“ pierwsza w powieści Orzeszkowej emancypantka w najlepszem rozumieniu tego wyrazu, panna Ryta Słabecka, która nie tylko czyta, i nie romanse, jak jej rówieśnice z tejże sfery, ale książki poważne i pożyteczne, nie tylko góruje nad zniedołężniałym w rozpuście bratem, ale i umie sobie radzić w potrzebie i po ruinie majątkowej, spowodowanej rozrzutnością Tozia, bierze się do dawania lekcyj, a swe kuzynki, Adelę i Laurę Jedlińskie, zachęca do zajęcia się, dla zapracowania na kawałek chleba, pożytecznym rzemiosłem, np. rękawicznictwem. Są to wskazania niezmiernie ważkie, zastosowane do tego przewrotu, jaki przeżywała szlachta polska na Litwie po roku 1863, a przytem będące w zupełnej zgodności z hasłami „pracy organicznej,“ których Orzeszkowa była wówczas szczerą wielbicielką.

Stary lichwiarz Wigder, drugi z kolei Żyd w twórczości Orzeszkowej, gromadzący w swym ubogim domku niezmierne bogactwa, by je po śmierci ofiarować na świątynie i szkoły dla swych współwyznawców, jest postacią czysto teatralną. Godzina „Elego Makowera“ i „Meira Ezołowicza“ jeszcze nie wybiła.

W czterotomowej powieści p. t. „Pamiętnik Wacławy“ wprowadziła autorka na scenę liczne grono postaci, uosabiających poglądy jej na sprawę kobiecą głównie, obok innych jeszcze zadań i zagadnień życiowych. „Każdy człowiek — mówi tu jeden z rezonerów — powinien posiadać wyłączną jakąś umiejętność



i szczególnie do czegoś zamiłowanie, jeśli chce przyszłość swą zabezpieczyć i od materyalnych i od moralnych niedostatków. Kto mówi *człowiek*, ten pod tym wyrazem rozumie tak kobietę, jak mężczyznę... Bardzo szczęśliwie jest, jeśli kobieta wyjdzie za mąż, bo w rodzinnem życiu najprędzej znaleźć zdoła szczęście i sposobność stania się miłą i pożyteczną drugim: ale, że przecie łatwo znaleźć się może, iż za mąż nie pójdzie, albo zobaczy się w potrzebie utrzymania własną pracą ubogiej rodziny, wtedy, jeżeli nie posiada stosownych do pracowania uzdolnień, musi koniecznie być bardzo nieszczęśliwą.“

Te i inne podobne nauki i przestrogi słyszała Wacława od swego ojca, uczonego przyrodnika i zacnego obywatela, i one uchroniły ją od zagubienia duszy i serca w „świecie matki,“ płochy i lekkomyślnej strojnisi i rozrzutnicy, marnotrawiącej majątek na zabawy i błyskotki. Ujrzawszy się na progu ruiny, Wacława nie ugania się za „dobrą partya,“ gardzi łaskawym chlebem rezydentki u bogatych krewnych, ale zakasuje rękawy, jak Ryta Słabecka, bierze się do twardej pracy nauczycielskiej, aż wreszcie znajduje nagrodę za cnotę w postaci małżeństwa z uwielbionym hrabią Witoldem, dzielnym pracownikiem na niwie kultury narodowej.

Podobne myśli społeczne wypowiada autorka i w innych postaciach powieści: kuzynka Franusia, mającego się, dla zdobycia samodzielnosci, stolarki, Emilki, zarabiającej na utrzymanie introligatorstwem, nie mówiąc już o innych figurach, w ujemnym sensie stwierdzających zasadę ideową powieści (np. sentymentalna Zenona, wydana za mąż wbrew sercu za nikczemnika Zosia i t. d.).

Jest jeszcze w „Pamiętniku Wacławy“ myśl poboczna: jeśli „Pan Graba“ był protestem przeciw tyranii męża nad żoną, to „Pamiętnik“ jest głosem *veto* przeciw bezwzględności patriarchy rodinnego, rozporządzającego się losem i sercem młodych członków rodu z okrutnym absolutyzmem. „Pamiętnik Wacławy“ jest do pewnego stopnia wylamywaniem się mniej lub więcej buntowniczych indywiduów z pod tej władzy, zazdrosnej o swe przywileje.

Wydana w latach 1871—1872 powieść p. t. „Na dnie sumienia,“ jedna z nielicznych u Orzeszkowej prób utworu sensacyjnego, nie znamionuje postępu w rozwoju jej uzdolnień pisarskich; i tu jednak odnajdziemy kilka typów ciekawych i plastycznych, jak np. „obarczony rodziną“ Edward Suszyc, którego nadmiar obowiązków życiowych sprowadza na kręte ścieżki występku, ubogi kancelista p. Walery, który wmówił w siebie, że jest „ku-

zynem Habsburga," pochodząc z możnego rodu „von Rorenstauenów“ i t. d.

Tak przedstawia się plon twórczości Orzeszkowej w tym pierwszym okresie jej działalności pisarskiej. Widzimy, że dotąd niemal wyłącznie zajmują autorkę „Pana Graby“ sprawy, dotyczące małżeństwa i rodziny. Wypowiadając się z całą stanowczością przeciw miłości ślepej, o charakterze zmysłowym, która nie jest niczem innym, jak egoizmem we dwoje, Orzeszkowa głosi zasadę, że miłość wtedy tylko może dać szczęście, jeżeli będzie miała podkład społeczno-narodowy, jeżeli stwarza rodzinę, która jest jedną z komórek ciała społecznego, najmniejszym warsztatem pracy narodowej. Potępiając we wszelkich postaciach niewolnictwo w rodzinie, Orzeszkowa pragnie, by każdy jej członek zdobył tyle samodzielności, iżby mógł pracować dla dobra społecznego, a harmonię zasadza na wzajemnym szacunku i pomocy w niesieniu obowiązków, do jakich każdy obywatel poczuwać się winien.

### III.

Rok 1873, chwila przełomu w twórczości Orzeszkowej i przejścia od powieści i noweli dydaktycznej do utworów wyższej miary arcyzmu, upamiętnił się dwiema pracami: powieścią p. t. „Marta“ i rozprawką: „Kilka słów o kobietach.“

W „Marcie“ zbiegły się raz jeszcze, jak w soczewce, wyrażone w poprzednich utworach, zwłaszcza w „Panu Grabie“ i w „Pamiętniku Wacławy,“ zapatrywania autorki na sprawę kobiecą. Orzeszkowa walczy tu z całym zapałem o prawa do pracy dla kobiety samotnej, opuszczonej, którą śmierć męża-żywiciela pograża w otchłań nędzy i beznadziejności. A nie może znaleźć zajęcia z dwu powodów: przedewszystkiem nie przygotowano jej w dzieciństwie do żadnej pracy zarobkowej i walki o byt, a ta odrobina wiedzy i ogłady salonowej nie starczy na kawałek czerstwego chleba; a potem nieszczęsna kobieta walczyć musi z zastawionymi uprzedzeniami, które zamykają, a raczej wówczas jeszcze zamykały przed kobietą liczne warsztaty pracy. Dziś wiele się pod tym względem zmieniło, ale przed czterdziestu laty „Marta,“ napisana w dobie budzenia się u nas ruchu kobiecego, stała się hasłem bojowym emancypantek, i to nietylko u nas, gdyż doczekała się tłumaczenia na kilka języków europejskich.

Rozprawa „Kilka słów o kobietach,“ drukowana zrazu w „Tygodniku mól,“ a potem w osobnej książce, jest rozwinięciem



i uzasadnieniem myśli i spostrzeżeń, zawartych w powieściach. Nie jest tu Orzeszkowa krańcową nowatorką, od czego zawsze ją strzegł szczęśliwie praktyczny, gardzący wszelką doktryneryą zmysł narodowy, ale, jak na owe czasy, wypowiedziała tutaj śmiało i otwarcie wiele myśli nowych, wiele wytknęła złego w wychowaniu i stanowisku społecznem kobiet, wiele wreszcie wskazała nowych dróg i celów do zdobycia.

„Trzeba—pisała tu Orzeszkowa—aby uszlachetnione i uświęcone prawdziwą oświatą i pracą, tak rodzina, jak salon, inną, niż dotąd, napełniły się treścią; trzeba, aby mężczyzna czerpał z miłości, przyjaźni, towarzystwa kobiety nie znużenie, rozczarowanie albo niezdrowe rozmarzenie, ale aby, dzieląc z nią ciężar myśli i prac społecznych, wspomagał ją tak, jak był przez nią wspomaganym, w uczuciach jej widział nie przyjemny sposób przepędzenia czasu, ale źródło najczystszej szczęścia, włączeniu się z nią nie interes pieniężny albo zadośćuczynienie chwilowej zachciance, ale wielką spójnię serc i spółkę umysłów.

„Kiedy kobiety bogate podniosą o wiele skalę swych umysłów i poczną cenić nad wszystko osobistą wartość mężczyzny, polegającą na uczciwości, rozumie i pracy: posagi ich przestaną być punktem dążeń i robienia karyery dla młodych ludzi, którzy, tracąc występnie własne mienie, widzą się zawsze w możności uzyskania go przez bogate małżeństwo.

„Kiedy kobiety uboższe, z pomocą oświaty i pracy, staną na wysokości zacnych pracownic i obywaterek kraju, mężczyźni, wchodzący dopiero na drogi życia, uszanują je, umiłowują nie dla zabawy i rozrywki, ale serdecznie i szczerze, a szacunek ten, ta miłość, powzięta dla pracownicy-obywatelki, stanie się dla wielu gwiazdą przewodnią, ku obywatelskiej wiodącą pracy.

„A może życie kobiet, które zechcą zwrócić się na drogę pracy, nie będzie bynajmniej ani cięższem, ani smętniejszem od tego, jakie dziś wiodą.

„Czyliż raz na kwiaty balowego wieńca, zdjęte ze strojnej głowy, spadają gorące krople łez, wytoczonych z pod serca zawodem i zmęczeniem! Czyliż raz, po długich godzinach gwaru, kobieta, ujrzawszy się samotną, widzi oczyma ducha ulatującą od niej młodość wdzięków i serca, a natomiast zbliżającą się ciemną, odartą, bladą marę swej przyszłości i drżąca z obawy woła do Boga: ratunku!

„A przecież lepiej jest, uczciwiej i rozumniej podjąć z odwagą ciężar trosk i trudów, przywiązanych do pracowitego istnienia, a czuć się samodzielnią, spokojną o zapracowany byt co-

dzienny, spełniająca człowiecze i obywatelskie zadania, niż spędzić część życia w zabawach i łatwych dostatkach, a na całą przyszłość zyskać ubóstwo i nieszczęście, gorzki chleb jałmużny i lzy próżnych żałości...“

Z temi pełnemi ducha obywatelskiego słowy zwracała się Orzeszkowa do swych rodaczek, wytykając drogi nowoczesnemu ruchowi kobiecemu w Polsce, a tem samem stawiała się tego ruchu jedną z pierwszych, gorliwych propagatorek.

Lata 1873 — 1875 zaznaczyły się trzema powieściami, które wspólnie rozpatrzyć należy, jako złączone jedną myślą etyczno-narodową. Mówimy tu o „Rodzinie Brochwiczów,“ „Elim Makowerze“ i „Pompalińskich.“ Możliwość je nazwać epopeą rozbitków, ci bowiem główną tu grają rolę, którzy po r. 1863, utraciwszy bądź przez własną lekkomyślność, bądź też drogą konfiskaty majątki, znaleźli się na bruku miejskim często bez wszelkich środków do życia, nieraz też do zapracowania na czerstwy kawałek chleba powszedniego niezdolni.

Takimi rozbitkami w „Rodzinie Brochwiczów,“ pierwszej powieści Orzeszkowej, w której charaktery wyraźnie się zarysowały, są członkowie rodziny Siecińskich. Z rozległych majątności pozostał im po przejściu burzy dziejowej maleńki folwarczek, na którym liczne rodzeństwo żadną miarą utrzymać się nie zdoła. Przenoszą się więc do miasta, gdzie jedna z sióstr zarabia lekcyami i przepisywaniem nut, druga prowadzi wspólne gospodarstwo, a potem zakłada szwalnię, brat zaś zostaje kupcem i waży pieprz i rodzynki z takim zamiłowaniem, jakby się do czego innego nie rodził, on, potomek tych, którzy, pod grozą utraty indygenatu, nie parali się „łokciem i miarką.“

A kiedy przyjdą bolesne zawody miłosne, ci ludzie, zahartowani w znoszeniu przeciwności życia, będą umieli postawić im dumnie czoło i pójść dalej drogą obroną. Twarde bo ich były zasady, wiedzieli, że w tych smutnych czasach grzechem byłoby zamykać sobie świat w ciasnym zakresie: „Ja i ona.“

— *Ja i ona, i... nikt więcej!* — mówi ów Sieciński-kupiec. — Sielanka, smująca się na łonie natury... Na świecie burze huczą, wspaniałe gmachy w gruzy padają, pod ruinami giną ciała i dusze tysiące, jęki napełniają przestrzeń, nad którą niedola rozpościera czarną chorągiew zniszczenia i żałoby, światu gmachów nowych, myśli, rąk działających trzeba — cóż stąd?... *ja i ona* mieszkamy w chatce leśnej... cicho nam, ciepło, wygodnie i rozkosznie, a choć czasem i nudno trochę, to jednak pięknie bardzo, enotliwie i bło-



go, gdy „pod gęstym krzaczkiem w miłej siedząc parze, czuły pastuszek nuci na fujarze!“

Inne wytknęła sobie drogi życia rodzina Brochwiczów. Nie wysadzeni wprawdzie z siodła, jak Siecińscy, ale wyprowadzeni z równowagi finansowej dokonany niedawno przewrotem społecznym (pan Jan Brochwicz ani rusz nie umie dać sobie rady z „parobczanem gospodarstwem“!), przenoszą się również do miasta, nie żeby pracować, lecz aby się bawić, by wreszcie bogatymi ożenkami dzieci: syna najstarszego Marysia i jedynaczki Zancii, zapewnić całej rodzinie sposób dalszego istnienia na tejże stopie... rozrzutności.

Wszystkie te wyrachowania „rozsądnych“ rodziców zawodzą najzupełniej: wprawdzie Maryś żeni się z bogatą i piękną dziewczką, Toską Natalską, ale ponieważ, zawierając związek małżeński, zadawał gwałt swemu sercu, nie czuje się szczęśliwym, zapomnienia szuka w hulance i rozpuście, a raz wszedłszy na złą drogę, zatrzymuje się na niej aż u kresu, którym jest—sprzedaż w obce ręce ojczystego Brochowa.

Tu po raz pierwszy wygłasza Orzeszkowa hasło, do Polaków na Litwie zwrócone, a w późniejszych powieściach polskich tak popularne: trzymać się ziemi, boć to „trzymanie się“ jest jednocześnie służbą narodową.

I w tem jest właśnie tragedia „Rodziny Brochwiczów“: ileż bowiem goryczy w sercu, nieznośnego ciężaru sumienia czuć musiał stary Brochwicz, kiedy o tym postępku ukochanego syna córce swej opowiadał temi słowy: „Znać, moje dziecko, żeś nigdy nie zastanowiła się nad pewnemi rzeczami. Alboż nie wiesz o tem, że najmniejszej piędzi ziemi, raz utraconej, *nikt z nas odzyskać już nie może!*“

Podkreślenie autorki wskazuje, jak wielką przywiązywała wagę do tej wymownej przestrogi.

Ta córka, Zancia, to druga tragedia „Rodziny Brochwiczów“: romansowa, egzaltowana panna daje się wykraść z domu rodzicielskiego Romanowi Gotardowi, który, jako artysta-skrzypek, niezbyt wielki posiadał talent, pisał listy nieortograficzne, ale za to miał wysokie mniemanie o sobie, a z Zancii uczynił sobie służebnicę i podnózek do swojej urojonej wielkości.

„Rodzina Brochwiczów,“ zarówno dzięki bogactwu nawskroś nowoczesnej treści ideowej, jak i różnorodności i plastyce figur, góruje nad wszystkim, co dotąd napisała Orzeszkowa, i jest zapowiedzią nowego, artystycznego kierunku twórczości.

## IV.

W znaczniejszym jeszcze stopniu można to powiedzieć o „Elim Makowerze.“ Tu po raz pierwszy poruszyła autorka sprawę, która jej taki rozgłos zyskała: sprawę żydowską, i rozwiązała ją w duchu liberalizmu nowoczesnego, na podłożu gorącej miłości dla wspólnej ojczyzny.

Chociaż Eli dźwiga na sobie ciężar tendencji autorskiej, jest on postacią żywą, nie symbolem, zwłaszcza w pierwszym tomie powieści: syna nędznego krawca małomiejskiego, później dzierżawcę dóbr orchowskich, rozpiera buta dorobkiewicza i żąda z bogacania się, bodaj krzywdą innych, zwłaszcza Polaków, z którymi nie poczuwa się do żadnej solidarności. To też nieoczekiwane nieco jest jego przeobrażenie się w uczciwego obywatela i dobrego syna swej ziemi. Autorka przypisuje tę zmianę w Elim rozmowie z ojcem, który, na uwagę syna, że gojów można oszukiwać, odpowiedział temi słowy, w których zawiera się i myśl przewodnia utworu: „Eli! co ty powiedział? To nie twoje serce tak gadało, ale tylko twoja głowa, która nie miała nigdy czasu o takich rzeczach myśleć. Niektóre z naszych rabinów i wszystkie nasze chasydy gadają, że niby to w talmudzie napisano jest, że Żydom wolno oszukiwać goimów i gubić ich i nękać. Ja w talmudzie nie bardzo uczony, i tego nigdy nie czytał, i nie wiem, czy to prawda, ale ja to wiem, że, jeżeli te słowa tam są napisane, to one złe są i niegodne, i żebym ja mógł, tobym ja tę kartę, na której te słowa stoją, wygryzł z książki własnymi zębami, i poszarpał palcami, i spalił ogniem, aby już jej więcej nie czytał Izraelita żaden.“

Nowym typem, a zarazem objawem nowego prądu w społeczeństwie naszym jest pan Ildefons Porycki, przedstawiciel najwcześniejszy w twórczości Orzeszkowej zgubnego powiewu kosmopolityzmu. Zimny deklamator, uwodzący kobiety pustym frazesem zdawkowego socjalizmu, agent główny Domu pośrednictwa w sprzedaży majątków, łudzącymi słowy uwodzi, lub zręcznymi intrygami zmusza obywatele polskich do pozbywania się ojcowizny, w gruncie rzeczy jest nędznym groszorem, karyerowiczem, nie przebierającym w środkach korsarzem na oceanie życia. A syn Elego, Abramko, który okrada ojca i ucieka, trawiony gorączką złota, do Kalifornii, jest również nowym objawem życia, bystro podpatrzonym przez badającą pilnie puls narodowy autorkę.



Poza tem mamy tu całą galeryę rozbitków: i lekkoduch Kamil Orchowski, który sprzedaje Domowi pośrednictwa przypadłań z ojcowizny Rydlówkę, i Fabian Łozowicz, którego ślamazarstwo, gryzmolenie wierszy i pejzaży podczas najpilniejszych prac gospodarskich, a wreszcie i zbyt wielkie, lekkomyślnie brane na siebie obowiązki domowe wypędziły z Łozowej na bruk miejski, i cała falanga rezydentów łozowskich, objadających niemiłosiernie swego patrona, i cała rodzina Ręczyców, żyjąca nad stan, aż przyszło uciec się do pośrednictwa Ildefonsa, i siostra Kamila, Lili, która, podobnie jak Żancia Brochwiczówna, daje się uwieźć takiemu nikczemnikowi, jak Porycki, by na progu jego mieszkania przekonać się, że jest on oddawna żonaty, a nawet stary Orchowski, który porzucił dawną narzeczoną, ubogą dziewczynę, Franję, by ożenić się „wedle swego stanu“ z kobietą, z którą ani jednej chwili nie czuł się szczęśliwym.

Jeden tylko Mieczysław Orchowski, brat starszy Kamila, ocalał z rozbicia, utrzymał pewną ręką ojcowiznę, nie bez pomocy odrodzonego duchowo Makowera.

Wiele z wymienionych powyżej postaci miało swe odpowiedniki w dawniejszych powieściach, w „Panu Grabie,“ w „Pamiętniku Wacławy,“ w „Rodzinie Brochwiczów,“ pod względem artystycznym wszakże bohaterowie „Elego“ — a jest ich bardzo wielu — przewyższają znacznie swych poprzedników żywością, plastyką i prawdą psychologiczną.

Wydani w r. 1875 „Pompalińscy“ niewiele dodają rysów do tego obrazu zniszczenia i rozgromu, jaki widzieliśmy w dwu ostatnich powieściach (nieszczęśliwa rodzina zamożnego jeszcze niedawno obywatela, p. Wandalina, zmuszona jest na bruku miejskim spełniać najcięższe posługi, jak rąbanie drzewa, szycie koszul dla robotników, by zarobić na nędzną strawę i dach nad głową).

Ważni są natomiast z dwu różnych względów: przede wszystkim są doskonałą satyrą na arystokrację, która wogóle dość rzadko występuje w powieściach Orzeszkowej, a potem — i tu również mamy zobrazowane w postaciach i ich czynach idee wjeku.

Idee te, inaczej zgoła niż w „Elim“ (Porycki, Abramko), pojęte, głoszą równość wszystkich ludzi wobec społeczeństwa, odrzucają wszelkie zasługi dobrego urodzenia, przyznając jedną tylko: pracy pożytecznej dla ogółu.

— A! — mówi Pawełek Pompaliński, z tych mniejszych Pompalińskich, a więc hołdujących hasłom demokratycznym — różne

rzeczy dzieją się teraz na Bożym świecie, różne po nim krążą baśnie, czy może prawdy... Tak, naprzykład, słyszałem niedawno, czy tam czytałem gdzieś, że Pompalińscy naprzykład równi są zupełnie nie tylko już Kniksom lub Kobyłkowskim, ale nawet rozmaitym Wasylom, Maćkom, Iwanom, Bartkom, co mówię! Lejzorkom i Ickom, że następnie Bartek lub Icek, uczciwie na swój chleb pracujący, przysparzający jakiegokolwiek dobra ogółowi i wyżywiający pracą swą kółko swe rodzinne, daleko więcej posiada istotnej wartości od takiego, naprzykład, jak ja, Pompalińskiego, który od kolebki prawie do lat blisko trzydziestu jadł cudzy chleb i odziewał się w nieswoje pióra...

Podobne zasady wygłasza zwerbowany świeżo pod chorągiew demokracji, postępu i pracy społecznej hrabia Cezary Pompaliński, który zgromadzonej dostojnej rodzinie takie rzuca wyrazy prawdy w oczy: „Nie, moja matko! Jeżeli gardzenie i pomiatanie tysiącami, milionami ludzi, obojętność zupełna na potrzeby ludzkie, zamknięcie się w pozłoconych ścianach kilku salonów i współubieganie się o to, kto w salonach tych bogatszym jest, piękniejszym i wyżej urodzonym, nazywa się rozsądkiem i stanowi wszystkie już uczucia, wszystkie pojęcia, jakie znaleźć mogą w gronie swej rodziny: nie wrócę z pewnością nigdy ani do rozsądku takiego, ani — do was!...”

Postacie drugoplanowe, reprezentujące w powieści „wielki świat“ dobrze urodzonych, mimo pewnej groteskowości, mają swój wyraz i świadczą o coraz pewniejszej dłoni autorki, o coraz wznoszącym się poziomie artyzmu; ton kaznodziejski znika coraz bardziej w jej powieściach.

„Marya“ w szeregu jej utworów z tego okresu (do 1880 r.) drugorzędne zajmuje stanowisko: te dzieje dwojga serc, którym zapomnieć o sobie nawzajem nakazuje twarde poczucie wziętego na się obowiązku, nowych założeń etycznych nie zawiera, a w kreśleniu postaci oraz tła (życie przemysłowe, rzadko występujące w powieściach Orzeszkowej, tutaj ogólnikowo scharakteryzowane) nie stoi na wyżynach artyzmu.

Za to wydany w roku 1877 „Meir Ezofowicz“ należy do najpopularniejszych dzieł Orzeszkowej.

Kilka na tę poczytność złożyło się powodów. Przedewszystkiem poruszyła tu autorka, podobnie jak i w „Elim Makowerze“, palącą sprawę żydowską (której w kilka lat potem poświęciła piękną rozprawę: „O Żydach i kwestyi żydowskiej“, 1882). A jak ją rozwiązała, o tem niech świadczy bolesny okrzyk, którym kończy wspinała scenę między młodym dziedzicem, Kamiońskim,



a starym rabinem, Todrosem, którzy zrozumieć się nawzajem nie mogli, a rozeszli się ze wzgardą i nienawiścią w sercu, z szyderstwem i przekleństwem na ustach: „Biedni mędrcy Izraelscy i czciciele ich, którzy ścigali Edomitę nienawistnymi spojrzzeniami! Biedny Edomita, śmiejący się z izraelskich mędrców i ich czcicieli! Lecz najbiedniejsza, o! najbiedniejsza ziemia, której synowie po wspólnej wiekowej podróży nie rozumieją wzajem mowy ani ust, ani serc swoich!“

Niech świadczy o podniosłych dążeniach autorki zakończenie powieści, taka apostrofa do czytelnika: „Zbyt niedawna to historia, aby koniec swój mieć już mogła. Lecz dlatego właśnie, że historia ta i liczne, liczne historie podobne dalekimi są końca swego — czytelniku! — jakiegokolwiek plemienia krew płynie w żyłach twoich i na jakimkolwiek miejscu tej ziemi cześć oddajesz Bogu, jeżeli kiedy wśród drogi swej spotkasz Meira Ezołowicza, podaj mu szczerze, prędko braterską dłoń przyjaźni i pomocy.“

A potem „Meir“ budził żywe zaciekawienie z jednego jeszcze względu. Wraz bowiem z „Pompalińskimi“ rozpoczyna on szereg powieści, które skłonni bylibyśmy nazwać rodzajowemi, odtwarzają bowiem w typach i sytuacjach różne środowiska społeczne (arystokrację, lud żydowski, proletaryat miejski, chłopów, zaścianek szlachecki). Ten znakomicie wystudyowany obraz *ghetta* małomiejskiego na Litwie, te egzotyczne niemal postacie grzęznących w ciemności i przesądach, mimo czasem pewnych pozorów kultury, wielbicieli talmudu i kabały, nie dziw, że ściągnęły na siebie uwagę inteligentnego ogółu polskiego, który odtąd przywykł widzieć w Orzeszkowej natchnioną głosicielkę najszczytniejszych haseł postępu ludzkości.

I nie bez powodu. „Meir“ bowiem jest nietylko powieścią „żydowską.“ Śmiało bowiem można nazwać tę powieść wielką monomachią światła z ciemnością, postępu z zacofaniem, miłości z nienawiścią, swobody z niewolą ducha. Dwa nienawidzące się nawzajem rody: Ezołowiczów i Todrosów, toczą pomiędzy sobą ten bój zażarty jeszcze od czasu legendowych już niemal swych protoplastów: Michała Ezołowicza Seniora i rabina Nehemiasza Todrosa, którzy żyli i działali w słoneczny wiek jagielloński; a kiedy i jak zakończy się ta walka, przyszłość rozstrzygnie.

Tyle doniosłości ideowej i artystycznej zawiera ten utwór, który autorka opatrzyła takim godłem i przypisaniem: „Wszystkim ziomkom moim, z dobrą wiarą i wolą pragnącym światła

i pokoju, bez względu na to, gdzie i jak oddają oni cześć Bogu—powieść tę poświęcam.“

W tymże okresie powstają pierwsze artystyczne nowele, prawdziwe perełki natchnienia i cyzelatorskiej roboty, do dawnych tendencyjnych obrazków niepodobne zgoła. Obrawszy sobie jakąś osobę lub pewną sferę za punkt ogniskowy, skupia na nim autorka całe światło swego wielkiego talentu.

Taka np. „Pani Luiza“ przewyższa o wiele pokrewne typy sentymentalnych pań i pań w dawniejszych utworach Orzeszkowej (Zenona w „Pamiętniku Waclawy“, Żancia w „Rodzinie Brochwiczów“, Lili w „Elim Makowerze“). Otoczona subtelnym komfortem, marząca o bratniej duszy, któraby ją zrozumieć mogła, słuchać nie chce o interesach, nie zna nawet liczby swych dóbr, a mimowoli, z rozbijającą naiwnością krzywdzi człowieka uczciwego i pracowitego, rugując go bezprawnie z dzierzawy majątku.

Różne strony obyczajowości społeczeństwa żydowskiego odzwierciedlają nowele: „Daj kwiatek,“ jeszcze jedno szlachetne, choć nieco sentymentalne w wyrazie swoim usiłowanie przerzucenia złotego mostu zgody nad otchłanią nienawiści, i „Silny Samson,“ rzucający ognisty snop piękna i poezji w zatęchły zakamarek nędznego żywota i codziennej rozpaczliwej dreptaniny za marnym zarobkiem na chleb powszedni.

Nowe przedmioty podejmuje Orzeszkowa w nowelach: „Sielanka nie-różowa“ i „Julianka.“ Po raz pierwszy w utworach Orzeszkowej występuje na scenę proletaryat miejski, wypełniający rozgwarem i wyziewami gromadnych zbiorowisk ludzkich ciasne podwórka wielkich kamienic. I nie tylko rzemieślnicy, drobni kupcy, oraz rozbitki z wyższych sfer społecznych są tu bohaterami, ale i wyrzutki i szumowiny wielkomiejskie: żebracy, włóczęgi, ludzie nieokreślonej kondycyi i złodzieje, co wszystko razem, odkrywając bolesną, gnijącą ranę życia narodowego, jest zapowiedzią powieści społecznych z „Sylwkiem Cementarnikiem“ i „Widmami“ na czele.

Zbliża się do dwu poprzednich utworów ideowo, znacznie niższy pod względem artyzmu „Dziwak,“ wizerunek ubożego kancelisty, który, ślęcząc po nocach nad aktami, zbiera kilka tysięcy rubli i przeznaczają je na stypendya dla młodzieży, by choć kilka osobników wyrwać z otchłani nędzy i upadku.

„Czternasta część“ maluje nam jedną z tych zmiętych losami postaci, w które obfituje twórczość Orzeszkowej, pokrzywdzonej i poniewieranej przez wszystkich starej panny, wyzutej



przez rodzonego brata z całej niemal ojcowizny; „Zefirek,“ prócz wybornej postaci tytułowej, delikatnej, a dumnej wdowy po urzędniku, przedstawia z niepospolitą plastyką kilka figur drugorzędnych; „Milord“ wreszcie, najwyższy z nich pod względem artystycznym; w wybornem przeciwstawieniu ślepo, bałwochwalczo rozkochanej w swym jedynaku matki, wdowy po zamożnym rzemieślniku, o potrzebach nad wyraz skromnych, w swem samożarciu dochodzącej do ascezy, i syna, świetnego światowca, wyłudniającego od matki wszystkie ojcowskie oszczędności aż do ostatniego szeląga—wiele jest smętnego liryzmu i gorzkiej prawdy życiowej.

Uzupełniają poczet obrazków „z różnych sfer“ z tego okresu: „Stracony,“ smutny obraz tragicznych skutków złego wychowania młodzieży, „Szara dola,“ przepojony dziwnym smutkiem żywot z dziwną zaciekłością krzywdzonego stale przez ślepy los cichego pracownika, oraz „Złota nitka,“ jakby jeden rozdział z „Elego Makowera“ lub „Rodziny Brochwiczów,“ odtwarzający pełny rezydentów dom przeniesionej ze wsi na bruk miejski rodziny obywatelskiej, a na tem tle subtelny profil kobiety o wyższych aspiracjach, duszącej się w tej atmosferze „zacności,“ w gruncie rzeczy egoizmu roślinnego.

## V.

Szybkim krokiem zbliżamy się ku najwynioślejszym wyżynom twórczości autorki „Elego Makowera.“ Wyzbywając się niemal zupełnie przymieszki dydaktyzmu, wstępuje ona w czarodziejską krainę sztuki, nie zapominając wszakże nigdy czującym sercem i prawem sunieniem Polki o służbie narodowej. Tylko że tę służbę umie ona teraz zespolić w wymogami artystycznymi w jedną, nierozzerwalną całość.

Podniesienie się skali artyzmu zaznacza się w realistycznym traktowaniu ludzi, którzy już teraz nie są papierowymi doskonałościami, ni wcieleniami wszelkich przywar ułomnego rodzaju ludzkiego, lecz ludźmi z krwi i kości, oraz środowisk, które tchną życiem i prawdą.

Jednocześnie bohaterowie powieści Orzeszkowej w tym okresie nabierają coraz więcej polskiego charakteru, czego nie można powiedzieć o takich utworach, jak: „Wesoła teoria i smutna praktyka,“ „W klatce,“ „Ostatnia miłość,“ nawet „Pan Graba“ i „Pamiętnik Wacławy.“

W pierwszych latach działalności piśmienniczej, jak widzieliśmy, zajmowała przeważnie Orzeszkową sprawa stosunku wzajemnego obojga płci, a więc kwestya ogólnie etycznego charakteru. W drugim okresie zjawiają się już przedmioty narodowe, w znacznej mierze wszakże w zakres życia ekonomicznego wchodzące (stanowisko polskiej własności rolnej wobec nowego po roku 1863 porządku rzeczy). Ale patryotyzm ideowy znalazł sobie wyraz artystyczny dopiero po roku 1880.

W tej drugiej, przełomowej chwili swego zawodu pisarskiego wydaje Orzeszkowa dwie prace: rozprawę („Patryotyzm i kosmopolityzm“) i powieść („Widma“), jak w dobie pierwszego przełomu, w r. 1873—„Kilka słów o kobietach“ i „Martę,“ w których sprawa kobieca najzupełniejsze znajduje rozwiązanie.

Pierwsze z tych dzieł, jak najostrożniejsze, bo pod cenzurą drukowane, a jednak pełne szczytnego ognia i namaszczonej powagi, nazwać możemy drogowskazem na rozstaju twórczości autorki „Rodziny Brochwiczów,“ a zarazem śpichlerzem, z którego czerpać będzie na przyszłą drogę żywota pełne ziarna myśli i uczuć narodowych.

Już nie chodzi tu tylko o obronę ziemi, dóbr materyalnych, ale o zachowanie na dnie duszy najświętszych, duchowych dóbr narodu. „W patryotyzmie społeczeństw, zostających w okolicznościach, wyjątkowo nieprzyjaznych — pisze tu Orzeszkowa — pojęcie interesu istnieć nie przestaje, tylko nie należy ograniczyć się na dostrzeganiu go w bezpośredniej jakiejś korzyści lub doraźnym użyciu, w kawałku chleba, zarówno jak w czarze, kipiącej drogocennym napojem. Interes ten spoczywa tu głębiej we właściwościach natury ludzkiej, dalej i wyżej w łańcuchu ludzkich zdobyczy; spoczywa on tu w normalnym rozwoju i harmonii nie pogwałconych uczuć przyrodzonych, w zadość czynieniu sprawiedliwości i obowiązkom, a przez to w przechowaniu u jednostek i ogółu czci i godności człowieczej; spoczywa on jeszcze w usunięciu pokoleń przyszłych z pod klątwy owej, nie będącej niczem innym, jak niezłomnem działaniem przyczynowości, która, ze złamania praw i zapoznania prawd moralnych wysnuwając nędze, nie tylko moralne, ale i fizyczne, na odległe, długie czasy zarzuca krwawy płaszcz dziejowej pomsty.“

A w zakończeniu tego „studjum społecznego,“ wyszczególniając rozliczne przyczyny i objawy „antypatryotyzmu,“ tak rzecz swoją autorka kończy: „Do rzędu najważniejszych przyczyn, sprowadzających antypatryotyzm, zaliczyć też wypada: oddalenie członków społeczeństwa od pełnienia funkcji i zadań publicznych,



czyli pozostawienie w uśpieniu tych strun istoty ludzkiej i w zanedbaniu tych stron ludzkiego życia, mocą których najdzielniej rozwija się pierwiastek współczucia i najwspanialszą, a zarazem najtrwalszą przyobleka postać pojęcie obowiązku.“

I oto mamy tu w zarodku założenie ideowe nietylko „Widm“ i „Bańki mydlanej“, ale i „Australczyka“, „Melancholików“, „Argonautów“, a nawet poniekąd i „Gloria victis.“

Artystyczną ilustracją zasad, wyłożonych w powyższej rozprawie, są „Widma.“ I tu również, jak w powieściach z okresu „Rodziny Brochwiczów“, punktem wyjścia jest rok 1863, ale z tej przesłanki jakże odmienne wysnuwa się wnioski! Pod okiem rozbitków sprawy narodowej, którzy niejedną fizyczną i duchową przecierpeli ranę, wzrasta młode pokolenie, ale wzrasta w innych zgoła, niestety! zasadach. Nie pomogą wspomnienia domu rodzicielskiego, złota książeczka „Śpiewów historycznych“, przyjdzie czas, i Julek Ryżyński, po roku pobytu w Petersburgu, powróci do miasta rodzinnego socjalistą i kosmopolitą, zapuści długie włosy, będzie nosił brudną, czerwoną koszulę i drwił ze wspomnień przeszłości; a rówieśniczka jego i towarzyszka z lat dziecińczych, Lusia, nasłuchawszy się jego szumnych frazesów, nietylko zacznie palić papierosy, ale wreszcie i ucieknie od dziadka—we światy, bo nie może już żyć pod niebem, które zdaje się jej „ołowianem wiekiem trumny“, i wśród społeczeństwa smutnego, jak „orszak istot sennych i splananych.“

Doskonała kompozycja, zwięzłość, plastyka i żywość figur, które nie mają w sobie nic z chodzących i mówiących symbolów, wysoki kamerton uczuć narodowych, wreszcie — silne napięcie dramatyczne, stawiają „Widma“ w szeregu arcydzieł w twórczości Orzeszkowej.

W „Bańce mydlanej“ przedstawicielką prądu kosmopolityzmu jest Paula Mirewiczówna, „precyoza“ nowoczesna, elegancka i uczona dama, zwolenniczka, w teorii i w praktyce, wolnej miłości, jest bowiem matką nieślubnego dziecka, która nie umie wszakże ani niczem zająć się poważnie, ani do niczego przywiązać się szczerze. Tej „bańce mydlanej“ przeciwstawia autorka kobiety, które garnąc się do pracy i wiedzy, i marząc o uniwersytecie, nie po to, by błysnąć erudycją, lecz ażeby być pożytecznymi—nie zrywają wszakże z hasłami przeszłości.

Odgrodziwszy się raz na zawsze od krańcowych dążeń rewolucyjno-kosmopolitycznych, wzięła wszakże gorąco do serca sprawę ludu roboczego. Proletaryat miejski po raz trzeci już wystąpił w jej dorobku piśmienniczym w „Sylwku Cmentarniku“

(poprzednio w „Juliance“ i „Sielance nie-różowej“). Ona wie, że ludowi temu dzieje się krzywda, boć nędza jego jest nieskończona, a jego winy, nawet zbrodnie, są smutnym wynikiem okropnych warunków życia, boć gdzieindziej należy szukać winowajców, tych, co zwodzą dziewczyny wiejskie, co swe dzieci naturalne rozsiewają po świecie na poniewierkę i niedolę.

W „Zygmuncie Ławiczu i jego kolegach“ raz jeszcze (jak w „Na dnie sumienia,“ w „Dziwaku“ i w „Widnach“) przedstawiła Orzeszkowa — i pełniej znacznie, niż w tamtych utworach — świat urzędniczy, tych „wolnonajmitów“ zapyłonych, wiecznie drżących (z powodu swego pochodzenia i wiary) o nędzny kawałek chleba, który byle kaprys zwierzchnika może im z rąk wytrącić. Pod względem ideowym i literackim niżej stojąc od dwu poprzednich utworów, „Zygmunt Ławicz“ nie jest wszakże bez znaczenia, jeśli chodzi o wszechstronne zobrazowanie bytu „rozbitków“ 1863 r., inaczej mówiąc, żywiołu polskiego na Litwie.

Dodajmy jeszcze pod wpływem „Uardy“ Ebersa pisane klasyczne „Stare obrazki,“ dodajmy „Mirtalę,“ powieść rzymską z czasów Wespazjana, przedstawiającą położenie Żydów w „wiecznym grodzie,“ nie bez aluzji do spraw polskich, dodajmy wreszcie rozprawę „O Żydach i kwestyi żydowskiej,“ rozwiązującą ostatecznie leżącą autorce na sercu sprawę, której poświęciła już „Elego Makowera,“ „Meira Ezołowicza,“ prócz kilku drobniejszych utworów, a będziemy mieli całokształt twórczości w tym okresie, t. j. przed rokiem 1888.

Ta bowiem data, jak poprzednio rok 1873 i rok 1880, będzie nowym punktem zwrotnym w rozwoju jej talentu.

Jest to chwila powstania jej arcydzieła, „Nad Niemnem.“

## VI.

Lata 1888 — 1892 to szczyt twórczości artystycznej Orzeszkowej. Następuje doba zupełnego opanowania środków techniki pisarskiej, po raz pierwszy zjawiają się utwory, pozbawione wszelkiej, najłżejszej bodaj naleciałości tendencji, kaznodziejstwa, dążności moralizatorskich. Pewna dowolność w przedstawianiu przejść duchowych ustępuje miejsca subtelnemu odczuwaniu stanów i procesów psychologicznych.

Pierwiastek społeczno-narodowy nie znika z jej utworów, lecz zespała się ze stroną artystyczną w całość tak niezmiernie



artystyczną, że zdaje się czemś, bezpośrednio wynikającym z treści, czemś koniecznem i naturalnem, nie zaś dodatkowem i zewnętrznem.

Tę treść zaś można określić, jako realistyczne obrazy środowisk ludzkich. Już i dawniej próbowała Orzeszkowa charakteryzować różne kręgi i uwarstwienia narodu („Pompalińscy“, „Meir Ezołowicz“), nie dała wszakże nigdy dotąd obrazów tak pełnych, realistycznie wiernych, nieskażonych nawet najdrobniejszą rysą podmiotowości stronnicej, jakie widzimy w jej powieściach ludowych („Niziny“, „Dziurdziowie“, „Cham“), drobnoszlacheckich („Nad Niemnem“, „Bene nati“), w „Jędrzy“ wreszcie, gdzie w szerszym już zakresie, z mniejszym talentem maluje życie drobnoszlacheckie.

Powieści ludowe Orzeszkowej dalekie są od chłopomanii i idealizacji „kochanego kmiotka“; niema w nich żadnych usiłowań stworzenia jakiegoś symbolu z chłopą, którego obyczajów, życia i duszy nie zna się zgoła; niema pośpiesznego syntetyzowania żywiołowych mocy ludowych, w myśl znanego określenia w „Weselu“ Wyspiańskiego: „chłop potęga jest—i basta“; niema wreszcie tkliwego rozczulania się nad niedolą ludu, nad jego nędzą i ciemnotą. Realizm zapanował w zupełności.

I dlatego też mylnieby sądził, kto by mniemał, iż w „Nizinach“ główną rzeczą jest nawoływanie do zajmowania się ludem, aby ekonomowie nie uwodzili dziewcząt wiejskich, aby małomiasteczkowi pokątni doradcy nie mogli bezczelnie i bezkarnie wyzyskiwać ciemnoty i niedoświadczenia chłopów, którzy, nawet zrozumiałwszy, że są oszukani, nie mogą nigdzie znaleźć przeciwkroczycielowi obrony.

Ale główną rzeczą jest obraz samego środowiska: wsi białoruskiej, tego wielkiego stawu, w którym tacy „chłopsy adwokaci“, jak Kaprowscy (ciekawa postać wydrwigrosza, cynika, zgoła szubrawca, który w domu ekonomskim imponuje Darwinem i walką o byt), zapuszczają sieci. A poza tem i charakterystyka tego domu ekonomskiego ze sprzętami w stylu „rakaka“ (iście po starościańsku przecudaczone „rokoko“) ma wiele rysów niezmiernie ciekawych i wybornie podchwyconych.

Jak w „Nizinach“ ustrzegła się autorka wszelkiego, od siebie czy przez usta osób działających, nawoływania: „zorganizujemy pomoc prawną dla włościan“, bo myśl ta jawnie wynikała z odtworzonych w powieści tej wypadków, podobnież i w „Dziurdziach“ zwycięsko pokonała pokusę, i to pokusę serca, krzyknienia wielkim głosem: „światła, światła dla ludu! ochronek, szkółek!“

A uniknęła tego nietylko w toku opowiadania, ale i we wstępie i w zakończeniu, gdzie przedstawiła czterech Dziurdziów na ławie sądowej, oskarżonych o zamordowanie mniemanej czarownicy, Piotrusi, wnuczki znachorki Akseny, żony kowala, Michała, kobiety najlepszej w świecie, ale żywego temperamentu i ekscentrycznej nieco, co podawało ją w podejrzenie u sąsiadów.

Ale za to duszę ludu, charaktery wprowadzonych w tę grę interesów, namiętności, ciemnoty i zabobonu postaci odczuła Orzeszkowa z niezmierną przenikliwością i odtworzyła zarówno pod względem malarskim, jak i psychologicznym, znakomicie.

Jeszcze bardziej można to powiedzieć o trzeciej z cyklu powieści ludowych, o „Chanie.“ Jest to jeden z nielicznych utworów Orzeszkowej, mających charakter ściśle psychologiczny, bez wszelkich, nawet najbardziej ukrytych aluzji i refleksyj społeczno-narodowych. Stąd bowiem, że uczciwy i pobożny rybak nadniemeński, Paweł Kobycycki, ożeniwszy się z dziewczyną płochą i zepsutą, służącą miejską, Franią, przebaczył jej po chrześcijańsku w miłości bezgranicznej nietylko wszystkie dawne winy, ale i późniejsze, choć zdradziła go, uciekła od niego, by wrócić z dzieckiem nieprawem, choć wreszcie usiłowała go otruć, z tych przesłanek, powtarzamy, żadnych wniosków społecznych ani moralnych wysnuć nie można.

Z całym natomiast zajęciem i współczuciem psychologicznym śledzimy subtelną grę nastrojów psychologicznych i wzajemnych stosunków tej jeszcze jednej u Orzeszkowej „niedobrej pary,“ w inną tylko przeniesioną sferę, a o ileż wyższą przez bijącą w oczy prawdę i delikatność konturów i światłocieniów od tych, które widzieliśmy w „Ostatniej miłości,“ w „Wesołej teorii i smutnej praktyce“ i innych.

Pod jednym jeszcze względem powieści wiejskie znamionują wielki postęp w rozwoju talentu Orzeszkowej: w prawdziwie artystycznym kreśleniu krajobrazów, przepysznych zwłaszcza w „Chanie“ (brzegi Niemna); dotąd bowiem pejzaże jej, dość ogólnikowe i w dalekim tle trzymane, miały charakter konwencyonalny.

Krajobraz jest też niepośledniej wagi częścią składową powieści drobnoszlacheckich: „Nad Niemnem“ i „Bene nati.“

Nazywając „Nad Niemnem“ powieścią drobnoszlachecką, mamy na myśli przepyszny, pełen plastycznej rodzajowości, jak najwierniejszy, do najdrobniejszych szczegółów opracowany, a nie zbaczający ani na błotniste ścieżki naturalizmu, ani też na podniebne, dalekie od niskiej i ciemnej ziemi szlaki idealizacji, obraz „okolicy“ szlacheckiej Bohatyrowiczów. Jeden rys fałszywy, je-



dno pociągnięcie niepewne, a potężne wrażenie prawdy, jakie sprawia ten utwór, znikłoby bezpowrotnie.

Jakże dyskretnie np. przedstawiła Orzeszkowa stosunek Justyny Orzelskiej i Jana Bohatyrowicza. Panna z obywatelskiego domu, oddająca rękę szaraczkowi z zaścianka, nie z dziwactwa, nie z chłopomaństwa, ale z głębokiej i prawdziwej miłości, jakież to przedmiot niebezpieczny i ślizki dla powieściopisarza-realisty! A jednak czytelnik wraz z autorką wierzy, że Justyna nie mogła i nie powinna była inaczej uczynić, jeśli nie chciała, jak ciotka Marta, popełnić gwałtu i zbrodni na własnym i cudzym sercu.

Krajobraz nadniemeński i zaścianek szlachecki nie wyczerpują treści „Nad Niemnem.“ W tej powieści bowiem, jak w ognisku twórczości Orzeszkowej, zbiegają się wszystkie promienie jej ducha, biegnące dwoma przeważnie strumieniami: patryotyzmu i demokratyzmu.

W żadnym chyba utworze Orzeszkowej (poza „Gloria victis“ i wspomnieniami „Z pożogi“) rok 1863, ów punkt wyjścia jej drogi twórczości, jak to zaznaczyliśmy na czele niniejszego rozważania, nie gra tak przeważnej roli. Owi dawno zmarli, śpiący w lesie pod wspólną „Mogiłą“ Andrzej Korczyński i Jerzy Bohatyrowicz mają tu o wiele więcej do powiedzenia od niejednego z żyjących. Dokoła tej Mogiły osnuwa się nietylko barwna nić akcyi utworu z całym tłumem osób działających, z dworu i z chaty, ale i złote przedziwo myśli narodowej.

I znowu, podobnie jak w „Widmach,“ możemy tu zauważyć odchylenie się od haseł pozytywistycznych w stronę romantyzmu demokratyczno-patryotycznego, widzimy stanowczy rozbrat z zasadami „pracy organicznej.“

„Cóż było robić? co było robić? Mówiono, wołano, zaklinało: „Ziemia! ziemia!“ Trzymałem ziemię...“ — tak tłumaczy się przed synem, młodym entuzyastą, Benedykt Korczyński, brat nieboszczyka Andrzeja, ze swego ślimaczego żywota.

„Co sprawiło, że pełni jesteśmy bezbrzeżnej litości nad małuczkiemi mrówkami i kretami ziemi, że w zimne i ciasne ich podziemia iść pragniemy i idziemy, choćby wśród nich oczekiwało nas całopalenie własnego ciała i serca? Co sprawiło, że nie możemy, choćby w pokładzie złota, tkwić z nieruchomością grzybów, ale pragniemy biedz, ratować, pocieszać, uczyć, budzić, wskrzeszać? Co to sprawiło? pochod wieku, którego jesteśmy dziećmi? czy wezbrane morze myśli ludzkich, którego sami jesteśmy żeglarzami? Czy to inne morze cierpień, które, zalewając nam serca i gardła, budzi w nas jasną i wczesną świadomość powszechnę-

go bólu świata, z bezbrzeżnem dla niego współczuciem? Ale to współczucie, te święte dla nas idee razem z krwią krążą nam w żyłach, z mózgiem myślą, z sercem tętnią... One są epopeą naszą, z nich powstają nasze tradycye... One też są naszą jedy-ną nadzieją! Jaką nadzieją? O! jej imienia ty, ojcze, wspominać zabraniasz... tu nie wolno żadnego świętego imienia wspominać, bo ciągnie ono za sobą bladą marę strachu! Ten strach wieczny... ta ostrożność niewolników, których drzeniem przejmuje sam brzęk ich obroży... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu... ta obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi...“

Tak, ze świętym ogniem zapału i ofarności, przemawia Witold Korczyński do ojca, tak woła młode pokolenie z czasów „oświaty ludowej“ i budzenia się u nas ruchu demokratycznego w jego najnowszem wcieleniu do rozbitków 1863 roku, oto jest „powracająca fala“ romantyzmu politycznego.

Patryotyzm i demokratyzm autorki nigdy dotąd nie uderzył tak czystym i donośnym akordem.

A że „Nad Niemnem“ jest punktem środkowym biegu działalności pisarskiej Orzeszkowej, w powieści tej zbiegają się wszystkie drogi jej uczuć i myśli, przeszłe i przyszłe, więc znajdziemy tu i nieszczęśliwe, niedobrane małżeństwo (Benedykt Korczyński, zahartowany w trudach, surowy dla siebie i dla innych pracownik na ukochanej ziemi, i żona jego, Emilia, wążka, schorowana istota, kłębek rozigranych nerwów), a także spotykamy tu pierwsze, jakby próbne okazy typów, którymi zaludnić miała Orzeszkowa późniejszą swą twórczość.

A więc będzie tu i typ „Australczyka“ czy „Argonauty,“ Dominika Korczyńskiego, który gdzieś zdala od kraju rodzinnego, nad Newą, Wołgą czy na Uralu, dorabia się fortuny i wzywa do siebie brata Benedykta; nie braknie tu też i „melancholika“ w osobie Zygmunta, syna Andrzeja Korczyńskiego, dyletanta-artysty, przeżytego, mimo lat młodych, schyłkowca, bez woli i bez miłości, który ojca swego nazywa szaleńcem, a do zrozpaczonej matki tak powiada:

„Bardzo dobrze rozumiem, o co kochanej mamie najwięcej idzie. I jakże nie rozumieć? Soki ziemi, chleb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud... Tylko szaleńcy i krańcowi idealisci bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzeć umiem i żadnych pod tym względem iluzyj sobie nie robię... a nie mając żadnych iluzyj, nie mam też ochoty uczynić z siebie całopalenia na ołtarzu widma...“



My, którzy za cudze iluzje pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja. Ja przynajmniej uważam się za syna tej cywilizacji, jej sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego zagranicą żyłem się: nic więc dziwnego, że bez niej już żyć nie mogę i że tutejsze soki tuczą mi wprawdzie ciało w sposób... w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogą.

Oto patryotyzm i kosmopolityzm z „Nad Niemnem,” oto dwie potęgi ducha, między którymi rozegra się, wedle Orzeszkowej, dramat narodu polskiego.

Między „Bene nati” a „Nad Niemnem” taki zachodzi stosunek, jak między „Chamem” z jednej a „Nizinami” i „Dziurdziami” z drugiej. „Bene nati” bowiem jest bezpodmiotowym, realistycznym obrazem życia i ludzi w zaścianku szlacheckim na Litwie, bez żadnych amplifikacji ideowych.

Przeciwnie nawet, „Bene nati” są jakby przeciwstawieniem powieści „Nad Niemnem”: charakteryzuje w nich autorka ujemne strony drobnej szlachty polskiej na Litwie: pychę rodową, przesady kastowe, upór, zawziętość, pogardę dla niższych urodzeniem i majątkiem, chciwość, kłótniowość i t. p. A przecież „okolica” Osipowiczów musi leżeć gdzieś niedaleko siedzib Bohatyrowiczów, boć ten sam swat-bywalec, Kazimierz Jaśmont, w obu występuje powieściach.

Plamy świetlne w tym nieco przyćmionym obrazie stanowią: melancholik-marzyciel „głupi Gabryś,” a więcej jeszcze pocziwy z kośćcami, rubaszny, krotochwilny, trochę prędki dzierzawca, Floryan Kulesza, który też wywodzi się z zaścianka, ale, przetarłszy się po świecie, zapomniał o przesądach i nie waha się wydać córki za chłopskiego syna, leśniczego Jerzego Chutkę, który, mimo pewnych doskonałych momentów, jest postacią do pewnego stopnia wyidealizowaną.

„Jędza” jest najślabszą w tym okresie powieścią. To samo tu gwarne podwórze wielkowiejskie, jak w „Juliance,” ten sam proletaryat, w pocie czoła pracujący na suchy kawałek chleba, jak w „Sielance nie-różowej” i „Sylwku Cimentarniku,” te same trzy wiedźmy kumoszki, jak w „Cnotliwych,” „W klatce,” „Pani Luizie,” te same postacie wynaradawiających się na obcej ziemi „Australczyków.” Nową i ciekawą natomiast figurą jest stara, wyzuta przez życie ze wszystkich uczuć subtelniejszych matka, która utrzymującej ją z pracy rąk swoich córce, szwaczce, chwili

nie daje spokoju, obrzucając ją stekiem pretensyj, wymysłów i obelg nie ze złości wszakże, lecz ze zgorzkniałego, choć kochającego serca.

W tym samym wreszcie okresie, prócz powieści antycznej „Czciciel potęgi,“ osnutej na zapisanym u Herodota epizodzie pochodu Kserksesa na Grecyę, oraz obrazka dramatycznego z dziejów Rzymu p. t. „Westalka,“ powstały jeszcze dwa tomy nowel: „Panna Antonina“ i „W zimowy wieczór.“

W zbiorkach tych znajdujemy kilka arcydzieł naszej literatury nowelistycznej. „Panna Antonina“ np. jest wizerunkiem nauczycielki domowej, która do niczego w życiu stale przywiązać się nie mogła, bo los ją wciąż unosił to tu, to tam, pozostawiając na starość w nędzy i opuszczeniu. Pokrewna treścią nowelka „A... B... C...“ przedstawia ubogą panienkę, która uczy dzieci uboższe jeszcze od siebie, mimo grozy surowej kary sądowej (rzecz dzieje się niby to w Poznańskim, w rzeczywistości w jednym z miast litewskich).

Prawdziwą perełką twórczości Orzeszkowej jest „Dobra pani,“ kobieta kapryśna i zmienna (przypomina nieco „Panią Luizę“), która, pragnąc robić dobrze, czyni nieszczęśliwemi istoty niewinne i słabe.

Jeszcze inną sylwetkę kobiecą daje autorka w „Romanowej,“ kobiecie dobrej, którą los ściga zawzięcie, pozbawiając naprzód w tragiczny sposób ukochanego męża, później zaś—niemniej umiłowanego syna-jedynaka.

Obrazem o wielkiem skupieniu i sile dramatycznej jest nowela p. t. „W zimowy wieczór,“ gdzie autorka znowu na tle bytu ludowego wzbudza litość ku odrażonemu przez wszystkich, nawet najbliższych, zbrodniarzowi. „Gedali,“ pełen serdecznego ciepła i miłej rodzajowości obrazek, jest jeszcze jednym pięknym przyczynkiem do rozwiązania sprawy żydowskiej. Wreszcie szkice artystyczne: „Tadeusz“ i „Przy dochodzeniu śledczem“ dopełniają całości.

W nowelach powyższych bardziej jeszcze, aniżeli w obrazkach „Z różnych sfer,“ złożyła Orzeszkowa liczne dowody wielkiego talentu, dla którego wszystkie podwoje wielkiego gmachu sztuki stoją otworem. Głęboki liryzm zjednoczył się w nich z pewną siebie umiejętnością pędzla, a równowaga umysłowa idzie w zawody z zupełnem opanowaniem środków technicznych kunsztu pisarskiego.



## VII.

Niejednokrotnie już spotykaliśmy w dotychczasowej twórczości Orzeszkowej typy ludzi, którzy, osłoniwszy się szczerze nieprzeniknionym obłokiem samolubstwa, by nie patrzeć na nędze ludzkie, usuwają się sami dobrowolnie od „pełnienia funkcji i zadań publicznych,” jak mówi autorka w rozprawie „O kosmopolityzmie i patryotyzmie.”

Tacy, mimo wszelkich łudzących pozorów, nie mogą być szczęśliwi, bo pełnem życiem nie żyją, bo nie doznają wzruszeń najszlachetniejszych, jakie przypadły w udziale jednostce ludzkiej, która wtedy tylko zapomnieć może o znikomości rzeczy ziemskich, jeśli poczuje się członkiem wielkiej gromady, narodu lub ludzkości, boć wreszcie, prędzej czy później, po wychyleniu czary rozkoszy życiowych, osadzi się na dnie duszy mąg goryczy, pesymizmu, melancholii...

I tylko czasem przychodzą takie chwile, krótkie, jak błyskawice, kiedy melancholik-pesymista, dzięki szlachetnemu wzruszeniu współczucia lub jawiącemu się nagle poczuciu obowiązku, czuje się częścią większej całości. I takie chwile, a nie uniesienia szału bezmyślnego, dają rozkosz niewymowną, niezapomnianą.

Oto założenie dwutomowego zbioru nowel „Melancholicy;” wyszedł on wprawdzie dopiero w r. 1896, ale poszczególne utwory sięgają jeszcze roku 1888, daty „Chama,” „Nad Niemnem,” „Panny Antoniny,” „Zimowego wieczoru.”

Oto np. człowiek w rozkwicie wieku, który w ciągu dziesięciu lat samodzielnego życia roztrwonił milionowy majątek i—zdrowie, a teraz umierać musi, przypomina sobie z dziwną jasnością i błogiem uczuciem te kilka epizodów swego krótkiego żywota, kiedy wyświadczył komuś bodaj drobną usługę lub doznał podniosłego wzruszenia („Jedna setna“).

Oto znudzona życiem bezmyślnem salonów kobieta, piękna, bogata, czuje się odrodzoną na duchu, zajmwszy się serdecznie losem opuszczonego starca („Światło w ruinach“). Oto możny hrabia i ubogi Żyd-zegarmistrz, sięgnąwszy myślą w odległe czasy dzieciństwa, odnajdują dziwną zbieżność swych losów, mimo olbrzymiej różnicy majątkowej i społecznej („Ogniwa“). A dalej surowa dla siebie i innych zakonnica odnajduje w sobie człowieka, pielęgnując chore na tyfus dziecko niegdyś ukochanego człowieka i rywalki („Ascetka“). Umierającemu artyście-skrzypkowi w ostatniej chwili życia przychodzi na myśl bałwochwalcze spoj-

wienie widzianej niegdyś przelotnie, ubożuchnej wielbicielki. A oto inny artysta zapomina o sztuce i osiedla się na wsi, by ratować ojcowiznę, gdy tymczasem brat jego goni miliony po szerokim świecie („Bracia“).

Takie są typy i sytuacje w tym przepięknym zbiorze, który delikatnością rysunku i doskonałym zharmonizowaniem barw łagodnych przewyższa wszystko, co dotąd w zakresie nowelistycznym napisała Orzeszkowa.

I w innych nowelach odnajdziemy pokrewne postacie. Melancholikiem jest np. bohater jednego z najpiękniejszych brylantów twórczości Orzeszkowej, „Pieśni przerwanej,“ młody książę Oskar, który, rozkochawszy się po sielsku, platonicznie w ubogiem dziewczęciu, wybucha śmiechem, kiedy mu przyjaciel i powiernik podsuwa myśl zawarcia małżeństwa z wybraną serca.

A ileż klejnotów najczystszej wody rozsypała przed nami Orzeszkowa w „Iskrach.“ A czy będą to ludzie, oderwani od ojczyzstego drzewa wichrem losu, jednak zawsze myślą wracający w strony rodzinne („Daleko,“ „Liść uschły,“ „Czy pamiętasz?“, „Ani kawałeczka!“, „Siteczko,“ „Krzak bzu“), czy też zlekka naszkicowane portrety starych, skrzywdzonych przez życie kobiet („Panna Róża,“ „Babunia“), czy wreszcie tak cudowna elegia prozą, jak „Śmierć domu,“ ostatni, minorowy akord „literatury rozbitków“ z przed lat — zawsze robota literacka będzie równie doskonała.

Już w bieżącym stuleciu powstały dwa cykle nowel: „Chwile“ (1901) i „Przędze“ (1903). W tych przemijających, a jednak jakże wymownych „chwilach“ życia, w tej „przędzy“ pajęczej, subtelnej, eterycznej, w której odbija się słońce wielkiego serca i szlachetnej duszy, najpiękniejsze są sylwetki kobiece („Porcelanka,“ „Kiedy u nas o zmroku...“ „Sam na sam,“ „Dwie“), jak również i te obrazki, w których pierwiastek moralno-społeczny główną odgrywa rolę („Dymy,“ „Z różnych dróg,“ cykl „Z pyłów przydrożnych“ i in.). Nowele „Wśród kwiatów“ i „Wesele wiesiołka“ są artystycznie wykonanymi obrazami natury, jakich nie spotykaliśmy w dotychczasowej twórczości Orzeszkowej.

Ale najdoskonalszy, najpełniejszy typ „melancholika“ nakreśliła Orzeszkowa w jednej ze swych programowych z tego okresu powieści. Mówimy tu o „Dwu biegunach“ (1893).

Zdzisław Gronowski nie jest człowiekiem złym, ani głupim. Przeciwnie, umie ocenić prawdziwe zasługi, ukorzyć się przed niemi, umie stanąć w obronie słabszych, jest dalej człowiekiem o wysokiej, europejskiej kulturze umysłowej, o duszy wytwornej



i bogatej, o upodobaniach literackich (tłumaczy „Kaina“ Byrona). Ale to wszystko ani jemu szczęścia nie stworzy, ani nikomu na nic się nie przyda. Jest on bowiem, jak wszyscy „melancholicy“, poza życiem.

Na „drugim biegunie“ umieściła autorka Sewerynę Zdrojowską. Odziedziczywszy po bracie, poległym w powstaniu, wielki majątek ziemski, uważa go nie za swą własność, ale—za depozyt i poświęca się, gdzieś w głuchej „puszczy“, deskami od świata zabitej, pracy nad ludem. „Dziką“ nazywają Sewerynę w eleganckich salonach Warszawy, dokąd przyjeżdżała nie na zabawy, ale dla odświeżenia umysłu w ognisku życia umysłowego i pracy kulturalnej.

Ci dwoje ludzi, choć kochają się nawzajem szczerze i gorąco, nie połączą się nigdy: on nie zakopie się dla niej w „puszczy“, ona bez swoich Krasowców, gdzie tyle dobrego zdążyła już, mimo lat młodych, uczynić, „nie mogłaby żyć.“

Dwa przeciwne bieguny!

Oprócz tych dwu, bynajmniej nie kartonowych, subtelnie narysowanych postaci naczelnych, powieść obfituje w liczne figury epizodyczne (przepyszna para dziadków Seweryny!) i sceny żywe i plastyczne.

Tak przedstawiają się „melancholicy“ w tej ostatniej fazie rozwoju talentu Orzeszkowej. Drugą grupę stanowią „Australczycy“, t. j. ludzie, którzy, porzuciwszy zagon ojczysty, jadą w świat szukać szczęścia i fortuny, a w pogoni za złotem runem tracą dobra o wiele cenniejsze, bo duchowe: łączność uczuciową z krajem ojczystym i z rodakami, krótko mówiąc, wynaradawiają się. Poważne to, zagrażające żywiołowi polskiemu na Litwie niebezpieczeństwo wcześniej spostrzegła Orzeszkowa, oceniła jego doniosłość i dała jej wyraz artystyczny w całym szeregu utworów, jak: „Eli Makower“, „Widma“, „Bańka mydlana“, „Nad Niemnem“, „Jędza“, „Bracia“, liczne nowele z cyklu „Iskry“ i in.

Co w taintych utworach było często epizodem, w „Australczyku“ (1896), w „Argonautach“ (1900), w powieści „I pieśń niech zapłacze“ (1905) jest osią krystalizacji.

Najwcześniejszy z tych utworów, „Australczyk“, przedstawia człowieka, mieszkającego od lat wielu w jednym z wielkich miast rosyjskich, na drodze do wielkiego majątku. Pewnego razu odwiedza on wioskę rodzinną, na której pracuje do znoju jego stryj poczciwy—i tu zaczyna się walka dwu prądów myśli. Dla niego wszystkie te kazania o obowiązkach, o ziemi i t. p. to „archaizmy“ i „parawaniki chińskie;“ dla nich, ludzi od pługa i kosy,

jego ideały życiowe to „pasztet,“ a on sam—„Argonauta,“ „Ahaswerus, wiecznie błądzący,“ „Australczyk,“ dla którego wszystko w ojczyźnie jest obce, jakby przybył z krain egzotycznych.

Jego życie to była taka „deklinacja:“ „ja, moje, mnie, dla mnie, o mnie, przy mnie, we mnie;“ dla niego chłopci to, jak ze smętkiem mówi stryjaszek, „antropomorfy,“ a oni za godło swych czynów wzięli maksymę: „za was, dla was,“ a życie swoje skroili wedle szczytnej miary: „mieć dla kraju miłość i czuć się człowiekiem.“

Powieść kończy się bankructwem aspiracji „Australczyków“: jeden z nich, wyżej wspomniany Roman Darnowski, osiedla się wśród swoich, porzucając w pół drogi złotą marę kariery, drugi zaś, Kazimierz Domunt, „zamiast runa złotego, przyniósł do domu—hańbę, chorobę i nędzę.“

Stosunek autorki do obu scharakteryzowanych w „Australczyku“ nurtów życia polskiego aż nadto jawny.

Nieinaczej rzecz się ma z „Argonautami,“ gdzie autorka raz jeszcze, i to w kształtach literackich, sięgających najwynioslejszych wyżyn artyzmu, rzuciła swym ziomkom wymowne ostrzeżenie przed tem, co za złudną chimere, nie zaś za istotę szczęścia uważała.

A nietylko czciciel złotego cielca, Aloizy Darwid, zimny, panujący nad sobą i nad sytuacją materyalista, głoszący takie hasła, że los, który „sprzyja sile, a gnębi niedołęstwo,“ jest „w działaniu swem dobroczynnym, bo utrwała to, co życia jest godnem, a niszczy, co niepotrzebne,“ sceptyk, drwiący ze wszystkiego, co nazywa pogardliwie „egzaltacją,“ milioner, który u szczytu swych marzeń ambitnych widzi się samotnym i ogołoconym ze wszystkich ułud i ponęt życia, aż wreszcie, bankrut i rozbitek, szuka zapomnienia—w lufie rewolwerowej, jest tu jedynym szczęgółem godnym uwagi w tem arcydziele twórczości beletrystycznej naszej autorki.

Albowiem obok Darwida-Argonauty, najwspanialszego wcielenia jednej z zasad społeczno-moralnych Orzeszkowej, znajdziemy tu i „melancholików,“ najwyższych artyzmem i najbardziej nowoczesnych. Ale już nie cichy smutek i łagodny pesymizm goszczą w ich duszach. Dwoje dzieci Aloizego Darwida, Maryś, garściami rozrzucający złoto, i Irena, „orchidea, której jedna łodyga ma kwiat kształtem motyla, a druga trupiej główki,“ baron Emil, „wibryon, pomieszany z małpą,“ Artur Kranicki, zblazowany degenerant, „dzieci starego wieku, schyłkowy,“ cynicy, podnoszący do wyżyny sztuki drwiny ze wszystkiego, co święte by-



ło dla ich ojców i dziadów, a co oni nazywają „malowane garnki pradziadowskie“, „pastuszki“, „reumatyzm myśli“, „zupa, gotowana z kości prababek“, „szkarpetki cerowane“, bezdogmatowcy, czyniący dogmat z samego rozczarowania, przerafinowani esteci, szukający „nowych dreszczy“ zarówno w kontemplacji rzadkich dzieł sztuki i „nastrojowem“ urządzeniu mieszkania, jak i w „krwawej plwocinie“ i „srogich smrodliwościach“ modnego sonetu Rimbauda, hyleby czemś zapęlić puste, czcze życie, nie rozświetlone żadnym promykiem ideału, te wszystkie postacie jaskrawe, a przecie prawdziwe, to jeszcze jeden dowód, jak czuła była Orzeszkowa na wszystkie objawy życia polskiego po r. 1863, od pierwszych podmuchów realizmu i „pracy organicznej“ do najpóźniejszych owoców minionego stulecia: „fin-de-sièclizmu“ i „bezdogmatowości.“

Ostatnim wreszcie „Australczykiem“ w dorobku literackim Orzeszkowej jest bohater powieści, a raczej dłuższej noweli p. t. „I pieśń niech zapłacze.“ Tylko że utwór ten, którego tło stanowi przepiękna natura leśna, olśniewa wszystkimi czarami przepięknej sielanki, o krwawem rozwiązaniu: i jego bowiem bohater, jak Darwid, znajduje rozwiązanie tragicznie splątanych nici życia—w kuli rewolweru...

Taki był ostatni głos autorki „Nad Niemnem“ do polskich Jazonów nowoczesnych.

Tymczasem raz jeszcze, ostatni, powraca ona nad Niemen, w okolicę szlachecką, w „Anastazyi“ (1903), charakteryzując poszczególnych przedstawicieli rozgałęzionego rodu Tuczynów, którzy, jak Dobrzyńscy, rozróżniali się przydomkami („Mruk“, „Piszczalka“, „Nawróciciel“, „Człowieczek“ i inni), a na tem tle bohaterkę tytułową, samotną i smutną sierotę, której ojcowizna jest przedmiotem głodnej pożądlivosti ze strony krewnych; uwolniwszy się od wielkich pokus samolubnej doczesności, Anastazyja poświęca się „służbie Bożej:“ będzie jeździła od wsi do wsi, od zaścianka do zaścianka, rozwożąc obrazki święte, modlitewniki, szkaplerze, elementarze, książeczki.

Narzeczoną Anastazyi, Apoliuary Tuczyzna, porzucający ją dla złotego widma szczęścia za górami, ostatnie to, przycichające echo dawnego kierunku twórczości i myśli.

Jak „Argonauci“ są najdoskonalszem wcieleniem tego kierunku myśli narodowej Orzeszkowej, który ujawnił się w potępieniu emigracyi wybitniejszych jednostek z pośród społeczeństwa polskiego na obczyznę, tak „Ad astra“ (1904), „dwugłos“, napisany przez Elizę Orzeszkową i Juliusza Romskiego, to idea „Dwu

biegunów," podniesiona do najszczytniejszych wyżyn arcyzmu. Ta sama nawet występuje tu Seweryna Zdrojowska, która dla pracy kulturalnej w swych Krasowcach, „w puszczy," wyrzekła się szczęścia osobistego i miłości.

Drugą osobą w tym „dwugłosie" jest przebywający wśród wodospadów i lodowców Szwajcaryi uczony przyrodnik, Tadeusz Rodowski. Na całość utworu składa się wiązanka listów tych dwojga istot, stojących na przeciwnych biegunach pojęć, myśli, dążeń i wskazań życiowych. „Tak, dwa przeciwne bieguny! — pisze on.—Bo my dwoje uosabiamy je daleko wszechstronniej, niż świat krasowiecki i świat Granowskich, świat zachowawczej symbiozy z ludem na gruzach ojcowizny i błyskotliwy świat użycia, który nie wiem dlaczego—czynisz światem moim.“

W tej walce, a raczej szlachetnem współubieganiu się, rozłączeniem w głębokich refleksjach i cudownych krajobrazach, zwycięstwo, oczywiście, pozostaje po stronie Seweryny. Do niej też należy tu ostatnie słowo, podniosły hymn uwielbienia na cześć ideałów narodowych:

„... Kocham cię nad życie... Kocham cię w woniach twej ziemi i w śpiewach twych ptaków, w szeleście kłosów, w szumach lasów, w dzwonienu wód, w mgłach nad łąkami.

„Kocham cię w kwiatach twych polnych, ziołach dzikich, kamieniach i krzyżach przydrożnych, w białych całunach śniegu, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych, zmierzchach smutnych i w gwiazdzistych nocach; kocham cię w chmurnych sklepieniach, które stoją nad gorejącym szkarłatem twych jesieni, w gniazdach i falach, we wrzosach i różach, w tajemniczem piśmie, którem wiatry okrywają rozłogi twych białych piasków, i czarnych brózdach, któremi pługi oraczy wyrzeźbiają oblicze twej roli...

„Kocham cię w ludzkich łzach, myślach, czynach, nadziejach, snach złotych i kamiennych dolach, nawet w budzących litość i trwogę błędach, w rozpromienieniach się i przygasaniach twej chwały, w twych śpiewnych i bohaterskich duchach...

„I nadewszystko, najmocniej, najrzewniej, najwierniej, najdumniej kocham cię w twem nieszczęściu!..."

A potem — jeszcze jeden najdonioślejszy hymn, głoszący „chwałę zwyciężonym," a ujęty w ramy tragicznych, rzadziej pogodnych obrazków z 1863 p. t. „Gloria victis" (1910).

Wielka rzeka twórczości Elizy Orzeszkowej, opasawszy srebrzystym pierścieniem całą ziemię polską, powróciła do swego źródła. Ostatni akord tej harmonijnej pieśni, gdzie autorka „Widm"



wyspiewała wszystkie, najtajniejsze głosy, które zrywały się z dna duszy polskiej w ciągu ostatniego półwiecza, powtarza motyw pierwszego taktu, podniesiony do potęgi niezwyklej, nie zrównanej.

A pomimo trawiącej organizm zabójczej choroby, jakże daleko temu talentowi do wygaśnięcia. Przeciwnie, coraz jaśniejszym gorzał płomieniem. Orzeszkowa jeszcze na kilka miesięcy przed zgonem tworzyła plany rozległe nowych utworów, którym nie dano było ujrzeć światła dziennego.

Kiedy niżej podpisany zapytywał czcigodną autorkę, na rok mniej więcej przed jej zgonem, o zamiary literackie, udzieliła mu z całą uprzejmością, jej właściwą, szczegółowej odpowiedzi, w której znalazły się następujące obietnice, nie mające się już ziścić:

„Od lat kilku, dla przyczyn rozmaitych, piszę nie wiele; wiadomości więc o moich czynnościach i zamiarach autorskich szczupłe być muszą. Na pierwszym planie znajduje się wydanie w książce czterech opowiadań moich z dziejów r. 1863, z których ostatnie, p. t. „Hekuba,“ drukuje się w „Bluszczu,“ „Kuryerze Litewskim“ i krakowskim „Przeglądzie Powszechnym.“

„Następnie mam zamiar tej zimy jeszcze rozpocząć cykl nowel, p. t. „Po burzy,“ których tło stanowić będzie epoka po-powstaniowa, pomiędzy r. 1863 a mniej więcej 1880 zawarta. Już nawet jedną z cyklu tego nowelę mam wydrukowaną przed paru laty we wspomnianym powyżej „Przeglądzie Powszechnym,“ p. t. „Dziwna historia.“

„Co do powieści większych rozmiarów, to w myśli dopiero opracowuję temat dość trudny i dlatego opóźniający się z wykonaniem, gdyż zjawiskiem we mnie zupełnie indywidualnym jest to, że do tematów trudnych, pomimo bardzo wieloletniego doświadczenia pisarskiego, zabieram się zawsze z niedającą przewyciężyć się nieśmiałością.

„Pragnę przedstawić w niej typ męski, zawierający w sobie trzy składniki, pod wpływem najświeższych prądów czasu powstałe: nietzscheanizm, prerafinowany estetyzm i moralny nihilizm—obok wielkiego ukształcenia umysłowego i osobistego wdzięku. Dramatyczna zaś kolizja wynikać ma ze starcia uczuć i losów dwóch naprzeciw tego typu męskiego umieszczonych, zupełnie z sobą różnych typów kobiecych: wysoce uduchowionej chrześcijanki i artystki z jednej strony, a z drugiej kobiety-zwierzęcia, seksualistki, z psychiką, która, pomimo zewnętrznej cywilizacji, cała osadzona jest w najniższej warstwie istoty człowieczej. Rzecz prosta, że *par le temps qui courre* rywalizacja dwóch *takich* kobiet, wobec *takiego* mężczyzny kończyć się musi pogromem pierwszej.

„Kiedy i czy nawet kiedykolwiek powieść tę napiszę, nie wiem. Już wieczór jest, a przy świetle zórz wieczornych prace ludzkie bywają zwykle niepewne, nawet trwożne. Przychodzą jednak czasem niespodzianie chwile powrotnych wyblysków słońca i w jednej z chwil takich mam nadzieję powieść tę napisać. O tytule jej nic jeszcze nie wiem.“

Niestety! nie zabłysła już ta chwila, a na te mądre i dobre oczy padła noc czarna, bez końca. W ostatnich już tygodniach życia rozpoczęła autorka „Eli Makowera,“ „Meira Ezofowicza,“ „Gedalego,“ „Ogniw“ nową powieść na tle dzisiejszego separatyzmu żydowskiego. To były ostatnie jej usiłowania, ostatni akord na czujnej lutni jej gorącego serca, poczem — zerwały się struny.

Na kilka zaś dni przed śmiercią na wachlarzu p. Lucyny Kotarbińskiej wypisała taki, ostatni aforyzm: „Człowiek jest nurkiem, szukającym pereł w gorzkim morzu życia, a gdy wody gorzkie pierś mu zalewają i na dnie ich rozlega się ciemność, jakże trudno mu prawdziwą od fałszywej, żywą od umarłej perłę odróżnić!“

Takie było ostatnie jej słowo na ziemi.

Dziś, w pierwszą rocznicę jej zgonu, po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, możemy rozejrzeć się w całokształcie jej spuścizny duchowej, w jej testamencie, przekazanym narodowi.

Dziś także ocenić możemy całą doniosłość tej wielkiej straty, składając do grobu doczesne szczątki tej dobrej i mądrej nauczycielki i natchnionej pisarki, autorki „Marty,“ „Elego Makowera,“ „Meira Ezofowicza,“ „Widm,“ „Chama,“ „Nad Niemnem,“ „Melancholików,“ „Argonautów,“ „Ad astra,“ „Gloria victis.“

HENRYK GALLE.



# POSTĘPY IDEI MONARCHICZNEJ

we Francyi.

Od czasu, gdy tak zwana Wielka Rewolucya położyła kres odwiecznej monarchii francuskiej, ucinając głowę Ludwikowi XVI, Francya została wytrącona ze swego naturalnego toru. Cała jej historia, od tej smutnej daty aż po dzień dzisiejszy, przedstawia obraz niesłychanego zamętu i braku równowagi. Naród, słynny dawniej ze zdrowego rozsądku i silnie rozwiniętego zmysłu praktycznego, zdaje się odtąd być dotknięty rodzajem szału, objawiającego się w peryodycznie powtarzających się konwulsjach rewolucyjnych, burzących wszystko i niedozwalających na ustalenie jakiegokolwiek trwalszego ładu. Doktryna rewolucyjna stała się dlań fermentem rozkładowym, zatruwającym jego ducha, czego fatalne wyniki aż nadto są dziś widoczne. Teror, cezaryzm wojowniczy, Restauracya, rewolucyjna monarchia lipcowa, cezaryzm parlamentarny, wreszcie obecna rzeczpospolita wolnomularska — oto, nie licząc krótkotrwałej drugiej republiki, formy polityczne, przez które przeszła Francya w ciągu niespełna lat stu dwudziestu. Już same te, tak szybko następujące po sobie zmiany dowodzą, że naród francuski, po zerwaniu ze swą kilkunastowiekową tradycją, nie ma stałego punktu oparcia i że szuka ciągle jeszcze swej drogi. Taki stan rzeczy musiał też doprowadzić, po zmarowaniu w błędnych kierunkach ogromnego zasobu sił materialnych i intelektualnych, do obecnego rozstroju, upadku moralnego, strat terytoryalnych, oraz zmniejszenia wpływu, znaczenia i stanowiska międzynarodowego państwa.

Lud, w którego imię dopełniono tylu przewrotów, zaczyna rozumieć, że go w błąd wprowadzono. Proletaryat powstaje co raz groźniej przeciw republikańskiemu państwu, szykując się do rewolucyi socyalnej, skierowanej przeciw niemu. Warstwy posia-

dające czują się zagrożone z dwóch stron naraz—od wzbierającej fali rewolucyjnej, od której nikt ich nie broni i od rządu, który je niszczy przy pomocy coraz bardziej rujnujących wymysłów fiskalnych i prawa spadkowego.

Rzeczpospolita pogwałciła wolność sumienia i wolność nauczania, ograniczyła prawa rodzicielskie, odbierając ojcom rodzin możność wychowania i kształcenia dzieci w zasadach odpowiadających ich ideałom; zniszczyła niezależność sądownictwa, zdeferowała i rozstroiła armię, przez zaprowadzenie systemu szpiegowskiego, poruszyła nawet przeciw sobie własną administrację przez nadmiar faworytyzmu. Jednocześnie polityka zewnętrzna rzeczypospolitej zatrwożyła patriotów swą nierównością, zmiennością, brakiem ciągłości, przeskokami od przesadnie lękliwej ustepliwości do awanturniczności wyzywającej, kończącej się, wobec braku oparcia w odpowiedniej sile zbrojnej, kapitulacją i upokorzeniem. Ludzie, którym byt, przyszłość i cześć ojczyzny leży na sercu, ujrzeli w tem zarazem ubliżenie godności narodowej i narażenie kraju na nowe klęski, stokroć cięższe w swych skutkach, niżeli te, przez które dotąd przeszedł.

W krótkich słowach, rządy republikańskie we Francyi dadzą się tak określić: wewnątrz słabość i tyrania — niemoc państwa, despotyzm partyj, niewola i samowola. Zewnątrz — abdykacja ze stanowiska mocarstwowego. Wszędzie—niekompetencja i nieodpowiedzialność.

To wszystko zamiast pobudzić energię narodu i zmusić go do obrony swych najżywoźniejszych interesów, zagrożonych przez taką gospodarkę, pograżyło go raczej w rodzaj fatalistycznej apatyj. Ludzie rozumni i uczciwi odwrócili się z pogardą od polityki i zwrócili swe usiłowania wyłącznie do spraw prywatnych, co spowodowało silny rozwój działalności w sferze ekonomicznej, ale uczyniło jednocześnie sprawy publiczne wyłącznym udziałem awanturników i karyerowiczów niesumiennych. Ci łupieżstwem, spożytkowywaniem środków państwa dla widoków osobistych, sekciarską nienawiścią, absolutną niezdolnością do pełnienia powierzonych sobie funkcji, arogancją i brakiem kultury skompromitowali do reszty już i tak niefortunny w osiągniętych rezultatach parlamentaryzm. To też niechęć do parlamentaryszów i parlamentaryzmu stale wzrastała. Publiczność francuska, skłonna do śmiechu choćby własnym kosztem, poczęła szydzić ze swych przedstawicieli i rządu. Zaczęto cisnąć się do Izby deputowanych, jak na widowisko, aby być świadkiem sensacyjnych bijańek. Ministrowie, deputowani dostarczają od dłuższego już cza-



su najwięcej materiału humorystyce, satyrze i karykaturze. W kuletkach kabaretowych, w wodewilach, ich to sprawy zabawiają salę. W komedii poważniejszej oni to również ukazują się w postaci cyników, oszustów, nieprzebierających w środkach karyerowiczów i nieuków. Dzisiaj ta niechęć doszła do wstrętu tak, iż bez przesady powiedzieć można, że zwolennikami parlamentaryzmu we Francyi są już tylko ci, którzy zeń ciągną korzyści osobiste. Ale tych jest liczba dość znaczna, bo parlamentarzyści, by sami mogli korzystać, muszą oddawać usługi liczным jednostkom i kategoriom, od których zależy ich wybór. Wszyscy oni, jak się domyśleć można, trzymają się za ręce.

Zawód doznany od rzeczypospolitej, od której spodziewano się, pod egidą hasel demokratycznych, powołujących do rządów państwa świeże siły, dźwignięcia się narodu po klęskach ostatniej wojny, odzyskania dawnego uroku i utraconych prowincyj, podzielał, jak wspomniano wyżej, zniechęcająco na ogół ludności, czyniąc go, po chybionym zapale pierwszych chwil, obojętnym na sprawy publiczne. Jeżeli taka obojętność charakteryzuje dotąd szersze masy, co zresztą jest objawem normalnym, to inaczej się rzecz ma wśród inteligencji, a przynajmniej w pewnych jej kołach. W tych sferach niezadowolenie z rządów republikańskich, wynikłe najpierw z obrazy uczuć i instynktów, znalazło uzasadnienie w krytyce rozumowej, która, logiczną konsekwencyą, z ludzi i ich działań, przeniosła się na instytucje i zasady.

Zwrot przeciwrepublikański w uczuciach i opinii objawił się najpierw w bulanżyzmie, podczas którego jeżeli rzeczpospolita nie uległa, to stało się to tylko dzięki temu, że generał Boulanger nie odpowiedział położonemu w nim na ślepo zaufaniu, ruchem pokierować nie umiał, lecz raczej dał mu się unieść i w chwili właściwej na decyzję się nie zdobył. Ale bulanżyzm był to właściwie ruch uczuciowy, instynktowy i jako taki, nietrwały i niejasny co do swych celów. Inaczej przedstawia się ruch opinii, wywołany słynną sprawą Dreyfusa. Ruch ten, mając za podstawę również uczucie — patryotyzm, jest już ściśle rozumowym. Nie wybucha on ogniem słomianym, lecz dąży zwolna, ale pewnie i systematycznie do celu ściśle określonego. Celem tym jest obalić rządy republikańskie. Tego zresztą chciał również bulanżyzm, ale nie wiedział, co na to miejsce postawić: dyktaturę, cesarstwo, czy królestwo? Dzisiejsi przeciwnicy rzeczypospolitej nie mają tej wątpliwości — chcą oni powrotu do monarchii tradycyjnej.

Ruch neo-monarchiczny różni się wszakże bardzo znacznie od monarchizmu starego autoramentu, nie wpływa bowiem, jak

tamtę, z uczucia, które można nazwać mistycznym, ślepego przywiązania do form minionych i wierności dla dynastji, lecz wynika z doświadczenia, porównania i wyprowadzonych stąd dedukcyj logicznych; posiada swą naukowo uzasadnioną doktrynę<sup>1)</sup>, jest przeto zarazem teoretycznym i praktycznym. Monarchizm dawny miał cechy raczej ruchu wstecznego, broniącego straconej placówki, form przeżytych i pogrzebanych i, jako taki, był niepopularnym, skazanym na przegraną i istotnie, coraz bardziej grunt tracił tak, iż zdawać się mogło, że zupełnie przestał istnieć, zwłaszcza od chwili odstępstwa znacznej liczby swych członków, którzy w praktyce pogodzili się z rządem republiki (Ralliés). Monarchizm nowy natomiast, czerpiąc swą moc w tradycji narodowej, występuje z całą pewnością siebie, jako ruchu młodego, niosącego odrodzenie narodowi zmęczonemu, rozczarowanemu i zagrożonemu, silnego niezachwianem przekonaniem, sprawdzonem i opartem na danych rzeczywistych, że jedynie droga, którą obrał, prowadzi do zbawienia.

Neo-monarchiści nie poprzestają, jak ich poprzednicy, na pobożnych życzeniach i oczekiwaniu cudu, lecz dążą do urzeczywistnienia swych planów w sposób czynny i energiczny. Ruch przez nich wywołany jest zatem żywy, ściśle realny i w całym tego słowa znaczeniu wojujący. Mając za sobą doświadczenie ostatniego okresu dziejów, ogólne niezadowolenie w kraju ze stanu rzeczy, wywołanego przez rządy parlamentarne, posiadają oni poważne widoki powodzenia. Adepti i kierownicy odnowionego w ten sposób monarchizmu są to w znacznej części polityczni neofici, nawróceni do idei tradycjonalistycznych pod wpływem wydarzeń, które otworzyły im oczy na rzeczywistość, poprzednio przed wzrokiem ich osłoniętą. Wielu z nich brało przedtem czynny udział w propagowaniu idei rewolucyjnych i urabianiu pojęć młodzieży, stosownie do deformacji umysłowej, jakiej w swoim czasie sami ulegli. Ale tem też cenniejszymi są obecnie sprzymierzeńcami monarchizmu i niebezpieczniejszymi wrogami doktryn rewolucyjnych, że te bliżej im są znane i przeto lepiej umieją trafić w ich najsłabsze strony.

<sup>1)</sup> Paweł Bourget, jedna z najbardziej znanych znakomitości dzisiejszego monarchizmu, uzasadnia teorię tegoż na podstawie ostatnich wyników nauk przyrodniczych (ob. list Pawła Bourgeta w „Enquête sur la monarchie“), zwłaszcza w biologii w zastosowaniu do socjologii. Ład, hierarchia, dziedziczność i t. p. w ustroju społecznym znajdują według tej teorii potwierdzenie w ścisłym zastosowaniu organów do ich funkcji, w selekcyi, w prawach istnienia i rozwoju gatunków i t. p. w przyrodzie.



Sprawa Dreyfusa, odkrywając zakulisowe potęgi, od których rzeczpospolita okazała się bezwzględnie zależną, którym musi być posłuszną wbrew interesowi narodowemu, stała się światłem przewodniem. Wtedy to powstał „nacyonalizm“ (około r. 1890), którego promotorem był *Maurycy Barrès*, deputowany z Nancy, jeden ze znakomitszych talentów pisarskich obecnej doby, powieściopisarz, filozof, estetyk i polityk w wysokim stylu.

Nacyonalizm objawił się we Francyi, jako ruch ideowy obrony tradycyi, kultury i interesów narodowych przeciw elementom wrogim wszystkiemu, co rodzime, które, pod osłoną rzeczypospolitej posługują się doktrynami rewolucyjnymi, jak taranem do rozbijania spójni tradycyjnych ideałów francuskich. Zasady nacyonalizmu głosił i uzasadniał M. Barrès w dziennikach „Le Figaro,“ „Le Journal,“ „La Cocarde,“ a szczególnie i najwymowniej — w powieściach „Les Déracinés“ i „L'Appel au soldat.“<sup>1)</sup> W utworach tych wykazuje on konieczność powrotu do polityki i form tradycyjnych dla obrony przymiotów i właściwości rasy i jej przewagi we własnym kraju, w którym to celu niezbędną jest decentralizacja dla przywrócenia życia prowincyi oraz wzmocnienie władzy państwowej.

Kierunek ten wzmógł się szybko wraz z rozmiarami, jakie przybrała sprawa Dreyfusa. Powstał związek „Ligue de la Patrie française“ z celem walki na gruncie politycznym przeciw przewadze partyi antynarodowej. Do tego związku weszli znowu, prócz M. Barrèsa, pierwszorzędni przedstawiciele francuskiego świata umysłowego z *Juliuszem Lemaître* i *Franciszkiem Coppée* na czele. Ale związek ten, stawiając sobie za zadanie zwalczać skutki złego, nie pomyślawszy o konieczności usunięcia jego przyczyn, musiał chybić celu. Jego usiłowania, pomimo najlepszych chęci, energii i poświęcenia członków, nie osiągnęły prawie żadnego rezultatu. Stawszy się partyą polityczną, uzależnioną od wyborów, stracił on wreszcie całkowicie swe znaczenie.

Idea ta wszakże znalazła oparcie bez porównania silniejsze w innym związku, który w części wyłonił się z poprzedniego pod nazwą „Ligue d'Action Française.“ Obrawszy zupełnie inną taktykę, ten ostatni związek dał też ruchowi nowy impuls i posunął go niebawem do jego rzeczywistych konsekwencyj logicznych. Zwrócił się mianowicie wprost i przedewszystkiem przeciw samej zasadzie, na której wspiera się cały system rządów republikańskich — przeciw parlamentaryzmowi.

<sup>1)</sup> Później w „Au Service de l'Allemagne“ i „Colette Baudoche.“

Wkrótce jednak teoretycy związku spostrzegli się, że występując do walki z parlamentaryzmem, występują zarazem przeciw republice. Stwierdziwszy to, nie zatrzymali się jednak w pół drogi, jak to byli uczynili patryoci z pierwszej ligi, lecz poszli bez wahania do końca swych przekonań. Wówczas to narodził się neo-monarchizm. Zauważmy dla ścisłości, że wyraz „neo-monarchizm“ nie jest określeniem przyjętem przez adeptów tej idei. Sami oni nazywają się poprostu monarchistami, lub ściślej — rojalistami. Pomimo to zmuszeni jesteiny posługiwać się tem wyrażeniem dla odróżnienia nowego kierunku od monarchizmu starej daty. Istotnie, neo-monarchiści nie przeciwstawiają się staremu monarchizmowi, owszem wywodzą się od niego i uważają się za jego kontynuatorów, komentatorów i propagatorów jego doktryny, wyjaśnionej, uzasadnionej i oczyszczonej z niezgodnych z nią naleciałości pochodzenia rewolucyjnego. Od dawnych monarchistów różnią się oni głównie taktyką, która ze wszech miar przypomina metody rewolucjonistów. Bo też neo-monarchiści są rzeczywiście rewolucjonistami i uważają się za takich, ale rewolucjonistami „dobrej sprawy,“ t. j. sprawy narodowej przeciw władzy „antynarodowej.“ Monarchiści dawnego kroju i wogóle zachowawcy — jest to ich cechą dość ogólną — nie potrafili sami przed sobą dostatecznie rozumowo uzasadnić swych przekonań. Mowa tu o ogóle, bo, jak zobaczymy w następstwie wśród nich to właśnie znalazły się zaraz z brzegu umysły, które położyły podwaliny ideowe dzisiejszego kontr-rewolucjonizmu. Niemniej o tym ogóle powiedzieć można, iż dotąd pozostał nieśmiałym wobec zasad rewolucyjnych, którym mimowolnie i wbrew własnym uczuciom i instynktowi zdaje się przypisywać wyższość; do tego stopnia tryumfujący rewolucjonizm potrafił wpłynąć nawet na swych najzagorzalszych przeciwników, wmawiając w nich, że ich (t. j. rewolucyjne) ideały przedstawiają postęp, wiedzę i przyszłość, a więc muszą zwyciężyć, gdy ideały tradycyjne składają się z przesądów, potępionych przez naukę i przez rozum wyzwolony ze średniowiecznego obskurantyzmu i należą do przeszłości, a zatem trzymać się ich uporeczywie jest niedorzecznością. Temu też przypisywać należy głównie porażki, jakich doznał mniej lub więcej wszędzie konserwatyzm w ciągu ostatniego stulecia. Z drugiej strony kultura obyczajowa nie pozwalała zachowawcom, należącym przeważnie do sfer wyższych, uciekać się do środków, jakimi posługiwali się ich przeciwnicy dla kaptowania sobie opinii mas. Stąd utrata ich wpływu na lud, idący zawsze za tymi, którzy głośniejsz krzyczą, choćby ich krzyku nie rozumiał.



Do tego stanu rzeczy przyczyniły się zresztą również w wielkim stopniu niezaprzeczone, głośne, działające na wyobraźnię tryumfy rewolucjonizmu w jego okresach bohaterskich, a także jego idee i hasła wolnościowe i równościowe, które w masach ludowych, pojmujących je tylko ze strony utylitarnej dla siebie, musiały budzić odpowiedni zapał. I w istocie, był czas, że przeciw tym ideom w opinii ludu, w który wmówiono, iż z niewolnika stał się panem, nie ostać się nie mogło. Ale czas ten minął. Dziś po stu dwudziestu latach doktryny rewolucyjnej, idee demokratyczne i system republikański dały się poznać w praktyce i skutkach. Jednakże, jeżeli powiedzieć można, iż wiara w ideały rewolucyjne powszechnie upadła, to niemniej pozostały jeszcze szeroko i głęboko zakorzenione wierzenia demokratyczne i republikańskie. Niema już zapału, ale jest upór, tem trudniejszy do przewyciężenia, iż jest bardzo silnie podtrzymywany przez interesowanych. Zaś interesowanym we Francyi jest partya uzurpujająca władzę pod nazwą rzeczypospolitej. To też nie zaniedbuje ona żadnych środków celem utrzymania w ludności tych wierzeń, które zapewniają jej istnienie. Jednym z takich środków, i niewątpliwie najskuteczniejszym, jest nauczanie, które rząd pochwycawszy w swe ręce, przywłaszczył dziś sobie w zupełności. W szkołach ludowych, w szkołach średnich i uniwersytetach panuje cały system urabiania umysłów na modłę, odpowiadającą interesom rządu. W tym celu układa się historję, przystosowuje filozofję, naciąga nauki społeczne i przyrodnicze, pokrywa się milczeniem autorów niewygodnych, lub myśli ich przekręca. Tem też tłómaczy się nieufność i niechęć republiki do wszystkiego, co jest w narodzie niezależnem, a więc przede wszystkim nienawiść do Kościoła, jako potęgi duchowej, której zadaniem jest kierownictwo moralne. W tym to również celu dołożono, jak widzieliśmy, wszelkich starań, aby to kierownictwo złamać i Kościół sam zniszczyć. Dla tychże powodów rozpędzono i złupiono klasztory, niszcząc tem samem w praktyce szkolnictwo niezależne, które było w ich rękach, zanim zostanie urzędownie skasowanem na mocy prawa monopolu. Niemniej, chociaż tu postępuje rząd ostrożniej i ucieka się do podstępów i hipokryzyi, by nie narazić sobie mas roboczych, republika niechętnem okiem patrzy na tak silnie rozwijającą się wśród tychże od lat kilkunastu dążność do łączenia się w związki zawodowe czyli syndykaty, zwłaszcza, gdy te, służąc z początku widokom rządu, zaczęły się umiezależniać i zwracać przeciw niemu. W tych wszystkich działaniach rząd, prócz u syndykalistów, którzy wszakże kierują się temż zasadami demokratycznymi i rewolucyjnymi,

nie znalazł w społeczeństwie rozbitem, rozczłonkowanym i rozproszonym żadnego poważniejszego oporu. Aż nareszcie doznał go ze strony, z której się go najmniej spodziewał, mianowicie od odrodzonego monarchizmu, który powstał jak feniks z popiołów, rozwinął szeroko sztandar tradycyi narodowej i pewien ostatecznego zwycięstwa, głośno, otwarcie, nie bacząc na nic i na nikogo, poszedł zwartą falangą do boju przeciw tak nazwanej przez Maurras'a koalicji czterech stanów, tworzących republikę—Żydom, wołnomularzom, metekom<sup>1)</sup> i protestantom.<sup>2)</sup> Śmiała, zdecydowana postawa neo-monarchistów zyskała im natychmiast sympatyę nawet wśród sfer o tendencye monarchiczne nie podejrzanych i zbliżyła do nich wszystkich patriotów różnych przekonań politycznych, którzy przekładali dobro Francyi nad formę rządu. Wielu z nich przystąpiło do ich związku i przyjęło całkowicie konkluzye monarchiczne. Wśród tych ostatnich znaleźli się prócz monarchistów z urodzenia i nacyonalistów republikańców, socjaliści, a nawet anarchiści. Ale największą zdobyczą dla neo-monarchizmu jest bezsprzecznie *Juliusz Lemaitre*, były prezes nacyonalistycznego związku „Ligue de la Patrie Française,” członek Akademii Francuskiej, jeden ze świetniejszych umysłów w dzisiejszej francuskiej literaturze.

Neo-monarchiści zgrupowali się tedy około dwutygodnika „L'Action Française,” którego kierownikiem był i jest dotąd *Henryk Vaugeois*, były profesor filozofii, który, przeszedłszy w czasie gorączki dreyfusowskiej do zasad nacyonalizmu, musiał opuścić karierę uniwersytecką. Współpracownikami Henryka Vaugeois w pierwszym okresie byli komendant *Captain* i pułkownik *de Villebois-Mareuil*. „L'Action Française” (założona w r. 1889), z początku nacyonalistyczna, ale jeszcze republikańska, uległa w ciągu lat dziesięciu ewolucyi kompletnej do monarchizmu, której ostatnim etapem była podróż Henryka Vaugeois do Karlsruhe i jego audyencya u przedstawiciela monarchii francuskiej, dziedzica tronu Kapetyngów, księcia Filipa Orleańskiego.

W r. 1901 pisze Vaugeois w „Action Française”:

„Nie chcemy słyszeć o wyborach, gdyż stwierdziwszy, iż pierwiastkiem (politycznym) jedynie prawdziwym jest monarchia, rzucamy się do walki przeciw nieświadomości i przesądom współczesnych, aby, chociaż w drobnej liczbie umysłów młodych, wznieść na nowo zasadę monarchiczną.“ Umysły młode nie kazały na siebie czekać. Kampania powiodła się nadszpedzanie, młode siły nad-

<sup>1)</sup> Métèque—cudzoziemiec naturalizowany—jego potomstwo.

<sup>2)</sup> Charles Maurras „Les Quatre Etats confédérés contre la France.“



ciągnęły z wojowniczym zapałem i utworzyły nieliczny jeszcze, ale potężny przekonaniem, karnością i dzielnością hufiec monarchizmu, którego duszą i wodzem stał się współpracownik starego organu monarchicznego „La Gazette de France,” wyznawca politycznego pozytywizmu Comte’a, filozof, krytyk literacki i pisarz polityczny *Karol Maurras*. Za jego przykładem i pod jego kierunkiem młodzi zabrali się do szerzenia słowem i piśmem pojęć odpowiednich dążeniom stronnictwa. Obok związku „Ligue d’Action Française” powstał „Institut d’Action Française” — rodzaj kursów i konferencji, gdzie prowadzą się wykłady historii Francyi, nauk politycznych, socyologii, filozofii pozytywnej i t. p. pod prezydencją honorową hrabiego *Eugeniusza de Lur-Saluces*, a kierunkiem głównym Karola Maurras i Henryka Vaugeois, oraz hrabiego Leona de Montesquieu i Ludwika Dimier.

Dla dania lepszego pojęcia o zasadach i dążeniach neo-monarchistów przytaczamy tu program-manifest, wydany przez „Action Française” w r. 1903:

„Akcyja Francuska („L’Action Française) zwraca się do patriotyzmu, o ile ten jest świadomy siebie i racjonalny. Założona w r. 1889 w pełni przesilenia politycznego, wojskowego i religijnego „Akcyja Francuska” natchnęła się uczuciem nacyonalistycznym: zadaniem jej właściwem było poddać to uczucie poważnej dyscyplinie. Jako zasadę postawiła, że prawdziwy nacyonalista stawia ojczyznę przedewszystkiem, a zatem pojmuje, traktuje i rozwiązuje każdą kwestyę polityczną bieżącą w jej związku z interesem narodowym — z interesem narodowym, a nie ze swemi przywidzeniami uczuciowemi; z interesem narodowym, a nie ze swemi predylekcjami, skłonnościami lub wstrętami; z interesem narodowym, a nie ze swem lenistwem ducha, lub prywatnem wyrachowaniem, albo interesem osobistym.

„Naginając się do tej reguły, „Akcyja Francuska” musiała uznać bezwzględną konieczność monarchii dla współczesnej Francyi. Jeśli się ma wolę zachowania Francyi i jeżeli tę wolę zbawczą stawia się ponad wszystko, w takim razie trzeba, jako wynik, przyjąć monarchię. Szczegółowe roztrząśnienie położenia wskazuje istotnie, że odrodzenie Francyi jest możliwem tylko pod tym warunkiem. Jeżeli odbudowanie monarchii we Francyi jest trudnem, to dowodzi to tylko jednego, mianowicie trudności odrodzenia francuskiego. Jeżeli się chce jednego, trzeba również chcieć drugiego. „Akcyja Francuska” chciała jednego i drugiego, została więc monarchiczną (royaliste). Każdy jej zeszyt, od osiemnastu miesięcy, starał się wytwarzać monarchistów. Monarchiści daw-

niejsi doznali zadowolenia, iż zostali utwierdzeni, przez wywody, często nowe, w swej tradycyi i wierze. Ale „Akcyja Francuska“ miała na widoku przedewszystkiem tych patriotów, którzy grzęzną jeszcze w starych przesądach demokratycznych, rewolucyjnych i republikańskich i dlatego rozprasza te przesady anarchistyczne i z patriotyzmu więcej uświadomionego dobywa i ukazuje zawarty w nim monarchizm. Wielu republikanów zostało w ten sposób nawróconych do monarchii. Wielu innych przyjdzie do niej, jeżeli „Akcyja Francuska“ będzie w stanie ich dosięgnąć i objaśnić. W imię otrzymanych rezultatów, w imię wyników możliwych „Akcyja Francuska“ prosi monarchistów dawniejszych i nowych o współdziałanie gorące, zupełne i nieustanne.“

Idąc ciągle w kierunku wyrażonych tu myśli, działalność „Akcyi Francuskiej“ rozwinęła się i rozwija nieustannie, wbrew przeszkodom, na jakie trafia ze strony przeciwników, którzy w braku innych argumentów chcą zwyciężyć przy pomocy policyi, wyroków sądowych, więzienia, szykan, prześladowań i innych środków, jakimi rozporządza rząd republiki; wbrew również, co gorsza, intrygom współzawodników z obozów monarchicznych, którym powodzenie „Akcyi Francuskiej“, wykazujące im ich własną nieudolność, było solą w oku. <sup>1)</sup>

Tymczasem „Akcyja Francuska“ zyskała wielu nowych adeptów z pośród wyboru inteligencji, młodzieży uniwersyteckiej, młodych ludzi z arystokracji i sięgając dalej, nawiązała stosunki z organizacyami robotniczymi. I okazała się rzecz, której republikanie najmniej się spodziewali i która silnie ich zaniepokoiła—oto pomiędzy zasadami monarchistów i dążeniami syndykatów rewolucyjnych znalazły się punkty styczne: poczucie potrzeby organizacyi w społeczeństwie zdeorganizowanym, wstręt do parlamentaryzmu. W istocie, ruch syndykalistyczny, pomimo, iż proletaryat, który go wytwarza, sam sobie z tego przeważnie sprawy nie zdaje, jest w gruncie objawem antydemokratycznym, dążeniem do odbudowy grup społecznych, mianowicie organizacyi zawodowych, dawnych korporacyi (cechów) w odnowionej formie, zniszczonych przez rewolucyę 1789 r., na których rozbiciu oparła swe panowanie rzeczpospolita. I w tym też kierunku usiłowania

<sup>1)</sup> Przez kilka miesięcy istniał rozłam pomiędzy biurem politycznem ks. Orleańskiego i „Akcyją Francuską“, która nie przestała mimo to pracować ciągle w tym samym duchu i z tym samym zapalem na korzyść monarchii i pretendenta. Obecnie ks. Orleański przywrócił „Akcyję Francuską“ do swej łaski piśmem odrębnem, z uznaniem dla jej zasług.



„Akcyi Francuskiej,“<sup>1)</sup> nie pozostały bezowocne pomimo trudności, jaką przedstawia przekonanie ludzi przeważnie mało oświeconych.

W łonie „Akcyi Francuskiej“ powstał nadto nowy związek pod nazwą „Association des Camelots du Roy,“ złożony z młodzieży ze wszystkich sfer i stanów — studentów, rzemieślników, dziennikarzy, literatów i t. p. Ci zajęli się rozprzedażą nowego organu neo-monarchistów, dziennika politycznego „L'Action Française,“ wychodzącego od r. 1908.<sup>2)</sup> Ale głównem zadaniem tego związku, który można nazwać bojowym, jest propagowanie idei monarchicznej wśród szerszych kół ludności, przy pomocy manifestacyj publicznych, śmiałych, czynnych wycieczek przeciw republice i jej przedstawicielom, czasem nawet dotkliwych dla tychże figlów, którymi zyskują sobie poklask tłumów, a tem samem sympatyę dla dążeń, którym służą. Na nich też rząd rzeczypospolitej, nie mogąc osiągnąć wprost i powstrzymać „Akcyi Francuskiej,“ mści się za jej działalność.

Neo-monarchiści, prócz wymienionych wyżej dwutygodnika „L'Action Française“ i codziennego organu pod tymże tytułem, wydają obecnie nowy dwutygodnik p. t. „La Revue Critique des Idées et des Livres,“ obok wydawnictw pomniejszych, tanich broszur dla propagandy idei i „prostowania pojęć ogółu, зараżonego przesądami demokratycznymi“ i t. p.

Jak widzimy z wyżej powiedzianego, zakres działalności „Akcyi Francuskiej“ jest nader obszerny i wielostronny. Teraz wypadnie nam zaznajomić się bliżej z doktryną neo-monarchistów. Doktryna ta nie jest ich wynalazkiem, nie jest czemś nowem i dotąd nieznanem, lecz polega na przystosowaniu form dawnych, właściwych duchowi i potrzebom narodu, do warunków dzisiejszych. Opiera się ona na tradycyi i empiryzmie, czyli doświadczeniu historycznem i wywodzi z myśli, wyrażonych przedewszystkiem w pismach i listach: *hrabiego Chamborda* (Henryka V), z pism *hrabiego Paryża* i enuncyacyj dzisiejszego pretendenta *księcia Orleańskiego* (Filipa VIII). Skądinąd dzisiejsza teoria monarchizmu znajduje potwierdzenie w pismach takich pisarzy i krytyków politycznych, jakimi byli świadkowie współcześni tragedyi rewolucyjnej — *Józef de Maistre*, *Bonald* i *Rivarol*, oraz w dziełach umysłów najwybitniejszych i najbardziej charakterystycznie francuskich w swej różnorodności, które w ciągu XIX wieku

<sup>1)</sup> Georges Valois: „La Monarchie et la classe ouvrière.“

<sup>2)</sup> Pod kierunkiem Henryka Vaugeois i Leona Daudet.

przodowały w różnych kierunkach myśli, nawet przeciwnych konkluzjom monarchicznym, mianowicie u Balzac'a, Couriera, Sainte-Beuve'a, Taine'a, Renana, Fustel de Coulanges, Le Play, Proudhona, Goncourtów i Veüllota. Autorów tych ze względu na ich krytykę doktryn rewolucyjnych, oraz na nauki i wskazówki, zawarte w wypowiedzianych przez nich myślach, nazwano „mistrzami kontr-rewolucyi,“ <sup>1)</sup> do których liczby dodać trzeba twórcę pozytywizmu *Augusta Comte'a*.

Dzisiejszymi zaś koordynatorami i komentatorami doktryny politycznej i społecznej monarchizmu są *Margrabia de La Tour du Pin La Charce* <sup>2)</sup> i *Karol Maurras*. Oni to podają jej całkowitą i skończoną syntezę. W dziele ostatniego „Enquête sur la Monarchie“ <sup>3)</sup> najłatwiej, najdokładniej i najwszechstronniej zapoznać się możemy tak z samą doktryną, t. j. z zasadami, na jakich powstać ma odnowiona monarchia narodowa, jak i ze stanem obecnym kwestyi, oraz opinią tyącą się tejże i jej ewolucyą w ciągu ostatnich lat dziesięciu, wśród wyboru inteligencji francuskiej.

Doktryna społeczno-polityczna neo-monarchizmu przedstawia się bardzo jasno i zwięźle. Jest ona przeciwieństwem na każdym punkcie doktryny rewolucyjnej. Streścimy ją tu naprzód, w krótkich słowach, podług Karola Maurras:

Przeciw rewolucyjnemu indywidualizmowi: wzmocnienie rodziny za pomocą reformy prawa spadkowego — wolna rozporządzalność majątkowa rodziców.

Przeciw centralizacyi municypalnej: wolność lokalna — wznowienie samorządu gminy.

Wolność prowincjonalna — wznowienie prowincyj autonomicznych.

Przeciw liberalizmowi ekonomicznemu: wolność stowarzyszeń, wznowienie grup zawodowych: korporacyj, syndykatów i t. p.

Przeciw liberalizmowi politycznemu: wolność, t. j. niepodległość narodu, polegająca na jego sile — wznowienie niezależności rządu.

Zamiast władzy parlamentu, nieodpowiedzialnej, nieosobistej i ulegającej nieustannym zmianom — władza królewska, niezależna

<sup>1)</sup> Louis Dimier: „Les Maitres de la Contre-Revolution au XIX s.“ (Nouvelle Librairie Nationale, Paris).

<sup>2)</sup> Marquis de La Tour du Pin La Charce: „Vers un Ordre social chrétien,“ (jalon de route 1882—1907). (Nouv. Libr. Nat., Paris).

<sup>3)</sup> Charles Maurras: „Enquête sur la Monarchie“ (1900—1909). (N. Libr. Nat., Paris).



od partyj, zgromadzeń i kaprysów wyborczych. Państwo przestanie być niewolnikiem. Król, naczelnik państwa, będzie panował i rządził na swą własną odpowiedzialność, w nierozdzielnym interesie swego rodu i narodu. Wola jego i jego następców, świadoma, legalna i odpowiedzialna zapewni jedność, stałość i ciągłość kierunku, przy pomocy ludzi kompetentnych, zasiadających w radach technicznych i w zgromadzeniach lokalnych.

Ministrowie będą odpowiedzialni przed monarchą; corocznie zbierze się delegacya sejmów prowincjonalnych dla uchwalenia i kontroli wspólnych finansów. Członkowie rad technicznych będą wybierani przez monarchę z pośród przedstawicieli wielkich grup społecznych i zawodowych. Zadaniem państwa, t. j. władzy królewskiej, będą rządy, dotyczące się spraw wspólnych całego kraju, jego siły zbrojnej i t. p., oraz kierunek polityki zagranicznej. Administracya wewnętrzna należeć będzie do władz autonomicznych prowincyj i sejmów prowincjonalnych, w których rozstrzygać się będą wszelkie sprawy lokalne.

Jak widzimy z tego programu, odnowiona monarchia francuska będzie przedstawiała ustrój federalistyczny, w którym wolność obywateli, nie oparta, jak w republice, na teoretycznych prawach człowieka i w praktyce fikcyjna, lecz gwarantowana prawami grup i samorządem prowincyj, do których należą, pogodzi się z niezależnością, mocą i godnością władzy państwowej.

Państwo będzie miało wielu doradców, ale jednego tylko władcę.

Widzimy tu również rozstrzygnięcie kwestyi zniesienia parlamentaryzmu bez zaprowadzenia despotyzmu autokratycznego. Władza królewska jest tu absolutną, bo nie ulega kontroli, ale nie jest nieograniczoną, bo znajduje swe naturalne granice w nie-naruszalnej autonomii prowincyj, oraz grup społecznych (do których zalicza się również Kościół i Uniwersytet) i związków ekonomicznych.

Ale, zapyta kto: czy to samo nie dałoby się uskutecznić bez króla, przy republice? Nie, odpowiadają neo-monarchiści, bo o cóż idzie, jeżeli nie o uniezależnienie władzy państwowej, aby mogła mieć moc, powagę i stałość, niezbędne warunki prawdziwego rządu? W rzeczypospolitej ta władza, choćby miała najszersze atrybucye, musi być wybieralna, a tem samem zależna od wyborów i tysiącznych warunków systemu wyborczego. To jest właśnie szkopuł, który obraca w niwecz system zwolenników dyktatury, czyli plebiscytaryuszów (Déroulède), którzy władzę parlamentu chcieliby zastąpić władzą wybieranego przez naród na pewien czas

lub dożywotnio dyktatora. Plebiscytaryuszom wydaje się, iż w ten sposób naród uniknie ryzyka posiadania władcy niezdolnego lub niegodnego, jakim go może obdarzyć przypadkowość dziedziczności. Ale temu argumentowi, podług neo-monarchistów, przeczy doświadczenie i psychologia społeczna, a także zwykła logika. Czy można spodziewać się, że masa wyborców z konieczności niekompetentna potrafi wybrać jednostkę najzdolniejszą i najgodniejszą, kiedy o jej zdolnościach sądzić nie jest w stanie?

Natomiast wiadomo, że masa, t. j. lud, w przypuszczeniu nawet, że mogłaby głosować niezależnie, co jest mało prawdopodobnem, da zawsze pierwszeństwo nie temu, który przedstawia największą wartość, czego ona ocenić nie umie i zresztą nie może, bo kandydatów osobiście nie zna, lecz temu, który albo potrafi ją oczarować i wzbudzić dla siebie entuzjazm, albo ją złudzić obietnicami, a więc przekupić. W pierwszym wypadku może to być szarlatan, w drugim niepoń. W obu — niema żadnej gwarancyi co do zdolności wybranego kandydata do funkcji, dla których go wybrano, za to jest pewność jego niemoralności. Doświadczenie zaś pokazuje, zdaniem monarchistów, że wśród czterdziestu królów dynastyi Kapetyngów, którzy stworzyli to wspaniałe dzieło — Francję, nie było ani jednego, któryby się równał nieudolnością takim osobistościom, jak prezydenci: Grévy, Carnot, Périer, Faure, Loubet i Fallières, i zresztą, dodaje Maurras, w żadnym kraju, ani nawet wśród dzikich hord nie trafiło się, aby przypadek dziedziczności wydał taki szereg następujących po sobie miernot. A przecież te miernoty wyszły z wyboru dwóch związanych w uroczystym kongresie Izb!

Drugim warunkiem niemożliwym do skutecznienia przez Rzeczpospolitą jest decentralizacya.

Republika trzyma się jedynie scentralizowaniem życia politycznego i wszystkich władz administracyjnych. Inaczej, nie mając silnej i stałej władzy państwowej, prędzej czy później i prawdopodobnie bardzo szybko rozpadłaby się. Poza tem bez systemu centralizacyi, który za pośrednictwem swych urzędników, prefektów i t. p. pozwala jej trzymać w ręku wyborców i wywierać na nich odpowiedni nacisk, partya rządząca, która stanowi sama Rzeczpospolitą, nie miałaby większości dla siebie. Również przy Rzeczypospolitej nie może istnieć niezależność grup społecznych i związków zawodowych, bo te, jako siły zorganizowane, groziłyby jej, że nią zawładną. Stąd taka nieufność rządu republikańskiego do ruchu i rozwoju syndykatów robotniczych. Tymczasem decentralizacya, t. j. powrót samodzielnosci prowincyj, jest



koniecznością ekonomiczną, opartą na warunkach geograficznych, historycznych i społecznych, uznaną za taką nawet przez licznych republikanów różnych odcieni.

O ile podział kraju na drobne departamenty jest sprzeczny z interesami lokalnymi ludności, monarchiści widzą dowód w roku-szu prowincyj południowych, który zdarzył się lat temu parę z powodu strat, jakie ten fałszywy system przynosi producentom wina, i w tym, który wzburzył w tej chwili Szampanię z powodu niewłaściwego ograniczenia okręgu, mającego prawo do wyrabiania win pod nazwą szampańskich, dokonanego arbitralnie przez polityków w osobistych widokach wyborczych, co część mieszkańców tej prowincyi, niesłusznie z niej wyłączonych, przypawilo o nędzę i rozpacz i zmusiło, wobec nieposiadania innych środków uzyskania sprawiedliwości, do formalnego powstania.

Co do związków zawodowych, a mianowicie syndykatów robotniczych, to wynika z ich gwałtownego rozwoju, wbrew przeszkodom stawianym przez rząd, jaką stanowią potrzebę dla proletaryatu, który, poznawszy opór Rzeczypospolitej, zaczyna zwracać się przeciw niej. W centralnej organizacji socjalistycznej i rewolucyjnej, zwanej „Związkiem powszechnym pracy“ („Confédération générale du travail“) dokonano nawet in effigie egzekucyi republiki przez powieszenie jej biustu (w r. 1908). Te związki, które w bezrządzie republikańskim przybierają charakter rewolucyjny i zagrażają porządkowi społecznemu i bezpieczeństwu publicznemu, byłyby nadzwyczaj pożytecznym czynnikiem ekonomicznym przy silnym rządzie centralnym i prowincjonalnej administracji autonomicznej, w których znalazłyby naturalną przeciwwagę, niedozwalającą im wyjścia poza granice ich funkcji właściwych, równie, jak same te związki zawodowe, z natury swych funkcji, przeszkadzałyby jednostkom autonomicznym, t. j. gminom i prowincjom do nadużycia swej przewagi. Widzimy stąd, że taki system monarchiczny, w przekonaniu jego wyznawców, opiera się na naturalnej równowadze we wzajemnym stosunku władz i grup społecznych. Władza centralna znajduje swe ograniczenie naturalne w samorządzie prowincjonalnym i prawach grup społecznych i ekonomicznych, zaś samorząd prowincjonalny i te grupy, ograniczając się wzajemnie, są powstrzymane w zakresie właściwym swych praw i funkcji przez niezależny od nich rząd centralny. Jednostka nie jest tu pozostawiona samej sobie i bezbronna wobec władz, jak w systemie republikańskim, lecz znajduje gwarancję i poparcie w całym szeregu silnych instytucyj, w których skład wchodzi, poczynawszy od swej rodziny, która jest

pierwszą gwarantowaną grupą społeczną — w grupie społecznej w szerszym znaczeniu, lub związku zawodowym, w swej gminie i prowincyi, które ją zabezpieczają przeciw wszelkiej nieuzasadnionej arbitralności. I ustrój ten jest nie czem innym, jak tylko ustrojem dawnej Francyi, przystosowanym do warunków dzisiejszych, zalecanym przez hrabiego Chamborda, który, gotując się do wstąpienia na tron francuski, powiedział: „Razem i kiedy zechcecie podejmiemy na nowo wielki ruch z r. 1789...“, co znaczy, rzecz prosta, nie ruch rewolucyjny, lecz rozpoczęty wówczas, przed wybuchem Rewolucyi, ruch, mający na celu reformę istniejących instytucyj, nie zaś ich wywrócenie, którego dokonała Rewolucya.

Te same zasady znajdujemy w pismach i mowach hrabiego Paryża i wreszcie w ustach ich spadkobiercy, dzisiejszego pretendenta, księcia orleańskiego, o którym powiedziano, iż jest, jak niemożna mniej, orleanistą. Istotnie, taka koncepcya monarchii oznacza cofnięcie się dalej, niż do monarchii demokratycznej Ludwika-Filipa i parlamentarnej Karola X i Ludwika XVIII, czyli Restauracyi, której dokonano wówczas z uwzględnieniem zbyt świeżych jeszcze zasad, wprowadzonych przez Rewolucyę i utwierdzonych przez Cesarstwo. Dzisiaj takie cofnięcie się, dokonane w sposób racjonalny, nie sprzeciwia się postępowi, owszem, jest koniecznym powrotem od aberracyj rewolucyjnych do punktu, na którym został przerwany normalny rozwój państwa i społeczeństwa, aby zgodnie z tradycyą i charakterem narodu, wprowadzić go nanowo na tory właściwe, po których posuwając się, znajdzie dopiero istotną możność dalszego pomyślnego rozwijania we wszystkich kierunkach swej prawdziwej kultury. Zresztą—tłómaczą neomonarchiści—takie cofnięcie zgadza się najzupełniej z najwyraźniej objawiającymi się dzisiaj świadomymi lub instynktownymi dążeniami narodu i ogólnym ruchem opinii przeciw centralizacyi oraz nieosobistej, nieodpowiedzialnej i niekompetentnej władzy republikańskiego parlamentaryzmu i jej niczem niepowstrzymanej tyranii, przy bezsilności państwa wewnątrz i upadku jego potęgi wobec grożącej zagranicy. Aby tego dokonać niezbędna jest silna, niezależna i stała, a zatem dziedziczna władza monarchy. Rzeczpospolita mogłaby może ją w tem zastąpić, ale pod jednym, nieuniknionym warunkiem, mianowicie, by była rządzoną przez silną, zwartą, solidarną i niezależną od wyborów oligarchię dziedziczną, t. j. przez pewną liczbę rodów możnowładczych, własnym, rodowym, dziedzicznym interesem ściśle i uierozerwalnie związanych z interesem, a więc losem i pomyślnością całego narodu i ojczyzny, tak, jak w monarchii in-



teres dynastyczny panującego rodu wiąże się ściśle i nierozdzielnie z interesem narodu, z wielkością ojczyzny i potęgą państwa, co też stanowi główną i najpewniejszą, bo naturalną, bo opartą na własnym, egoistycznym interesie monarchy, zlewającym się w jedno z interesem narodu, gwarancją jego dobrych rządów, a przynajmniej jego szczerych w tym kierunku usiłowań. Aby ta wspólność widoków monarchy, czy kasty panującej z dążeniami narodu mogła istnieć, nieodzowną jest dziedziczność, ta bezwzględnie nienuikniona podstawa władzy stałej i niezależnej. W rzeczypospolitej demokratycznej, gdzie władza zależy od wyborów, a zatem jest niepewna, zmienna i krótkotrwała, interes tych, którzy ją chwilowo posiadają, nietylko się nie zgadza, ale wprost sprzeciwia się potrzebom narodu i ojczyzny. Interes efemerycznych władców republikańskich polega na jaknajdłuższym utrzymaniu się przy tej władzy, aby wyciągnąć z niej jaknajwięcej korzyści osobistych dla siebie, a więc ze szkodą ogółu i sprawy narodowej, tembardziej, że dla osiągnięcia tego celu muszą się nieckać do wszelkiego rodzaju korupcyj i wybiegów, demoralizujących zarówno ich samych, jak i cały naród i wprowadzających rozprzężenie do wszystkich instytucyj publicznych.

W tych warunkach i w atmosferze w ten sposób wytworzonej, o ileby nawet wśród tych anonimowych i nieodpowiedzialnych władców rzeczypospolitej znaleźli się przypadkiem ludzie uczciwi, co jest prawie niepodobieństwem, bo zdobyć władzę bez użycia środków nieuczciwych jest niemożliwością, to i ci bardzo rychło uledzby musieli korupcyi ogólnej, albo ustąpić. Historia wskazuje, zwraca dalszą uwagę Karol Maurras, że tylko rzeczypospolite arystokratyczne dosięgły wyższego rozwoju pomyślności (np. rzeczypospolita wenecka), chociaż i to nie stanowi reguły, jak tego dowodzą nieszczęsne dzieje rzeczypospolitej polskiej, gdzie, pomimo oligarchii możnowładczej, pierwiastek elekcyjny przybrał zbyt szerokie rozmiary i wielkie znaczenie, aż doprowadził do rozprzężenia. Czy można przypuścić w warunkach dzisiejszych możliwość rzeczypospolitej arystokratycznej we Francyi? Wydaje się to zupełnie nieprawdopodobnem, sądzi Maurras, i to tembardziej, że rodowa arystokracja francuska i wogóle szlachta oddawna straciła swe właściwe, przewodniczące stanowisko, z którego zresztą abdykowała 4 sierpnia 1789 r., popełniając tem samym istne samobójstwo moralne.

Ciekawe wyjaśnienie znaczenia moralnego wogóle szlachty dziedzicznej, jako instytucyi w społeczeństwie nowożytnem, daje hrabia de Lur-Saluces (Enquête sur la Monarchie).

Oto mówi on: „Francuzi dzisiejsi skarżą się, że pieniądze są wszystkim. Ale jestto przecież skutkiem ustroju, opartego na równości demokratycznej. Pieniądz w takich warunkach staje się z konieczności panem absolutnym i, do chwili urzeczywistnienia chimery równego podziału bogactw, będzie sam jeden wytwarzał różnice między ludźmi. Wszystko można kupić, nawet talent, nawet sławę. Jedna tylko potęga może zrównoważyć potęgę pieniędzy—potęga, która nie mogłaby wynikać z pieniędzy, któraby miała znaczenie moralne, a nie materyalne. Obok dziedzictwa materyalnego, które jest w naturalnym porządku rzeczy, prawo powinno uznać dziedzictwo moralne, które również wytwarza natura.“

Hrabia de Lur-Saluces przytacza, jako przykład, pułkownika Marchand. „Oficer ten znalazł się w całym tego słowa znaczeniu, jak rycerz, jak szlachcic. Synom jego zatem, prócz ojcowskich dóbr materyalnych, przypadłoby nieporównanej wartości dobro moralne. Tymczasem prawo francuskie zaznaczy spadek materyalny, ale nie weźmie wcale pod uwagę dziedzictwa wyższego rzędu, które zniknie bez śladu i legalnie nic nie wyróżni synów bohatera od innych dość licznych we Francyi osób, noszących to samo nazwisko. I w ten sposób stworzone przez tegoż prawo do zaszczytnego odznaczenia będzie straconem. Ustawy francuskie tego prawa nie uznają. Wedle nich (bezzasadnie) honor jest rzeczą wyłącznie osobistą. Zapominają o tej psychologicznej prawdzie, że dzieła ojca są podniętą dla dzieci, by go się stać godnymi. Monarchia byłaby odznaczyła Marchanda tytułem szlacheckim, który, nadając formę konkretną temu dziedzictwu honoru, byłby zapewniony potomstwu „Afrykanina“ poprzez szeregi pokoleń.

Ze wszystkich przywilejów szlactwa jeden tylko jest zasadniczy—mieć o wiele więcej obowiązków, niż inni ludzie. Wszelkie przywileje pozatem są tylko dodatkowe i rzec można—zbyteczne. Bez tego niema szlactwa.“

Jednakże, co się tyczy wyżej powiedzianego o względnej możliwości, przynajmniej w teoryi, zastąpienia monarchii przez rzeczpospolitą arystokratyczną czyli oligarchię, to przecież i dzisiejsza rzeczpospolita, pomimo swego demokratyzmu, jest rodzajem oligarchii, którą przedstawiają owe, tak nazwane przez Karola Maurras, cztery stany skoalizowane: Żydzi, protestanci, meteki i wolnomularze. I tak jest istotnie, ale, ponieważ dążenia takiej oligarchii, obcej duchowi narodu, sprzeciwiają się interesom tegoż, zatem stanowi ona nie rząd, lecz wyzysk.



Prócz monarchii tradycyjnej czyli królestwa i rzeczypospolitej, Francya przeszła jeszcze, jak wiadomo, przez trzecią formę rządu — cesarstwo, które pozostawiło upajające dla serca francuskiego wspomnienie krótkotrwałej wprawdzie, ale bezprzykładnie świetnej chwały wojennej i potęgi. Ród Bonapartych istnieje dotąd, istnieją pretendenci do tronu cesarskiego i mają zapewne swoich zwolenników.

Czy zatem, zamiast powrotu do dawnej monarchii królewskiej, nie byłoby lepszem dla Francyi wznowienie cesarstwa, którego, jako ostatniej formy monarchicznej w tym kraju, tradycya jest świeższą i które może łatwiej przyjęłaby ludność?

I na to pytanie znajdujemy w „Enquête sur la Monarchie“ wyczerpującą odpowiedź. Otóż cesarstwo, przy pozorach i formach monarchii nie jest czem innem, jak tylko rewolucyą, przybraną w maskę cezara. Wiemy, że cesarstwo wyszło z rewolucyi i że Napoleon przy całym swym geniuszu, przy całej swej wielkości i chwale, był w istocie kondotierem na wielką skalę i uzurpatorem, który zużytkował rewolucyę dla swego osobistego wywyższenia. I chociaż sam w doktryny rewolucyjne bynajmniej nie wierzył, co dziś nie jest wątpliwem i czego zresztą dał dowody w użytku, jaki z nich zrobił, to jednak na tych to doktrynach właśnie musiał się oprzeć, aby dać swemu panowaniu, nieusprawiedliwionemu żadną tradycyą, żadnem prawem historycznem, jakieś uzasadnienie, jakąś podstawę moralną w przeciwstawieniu do monarchii i dynastyi prawowitej, którą rewolucya obaliła przecież nie po to, aby ją zastąpić przez inną dynastyę. To raziłoby swą bezcelową nielogicznością. Przeto więc nowa monarchia musiała, solidaryzując się z rewolucyą, stać się przeciwieństwem dawnej i dlatego Napoleon uczynił swe cesarstwo protektorem i propagatorem idei rewolucyjnych, co też służyło za pretekst do wszystkich jego wojen. W ten sposób cesarstwo, pomimo osobistego absolutyzmu Napoleona, posłużyło tylko do ugruntowania zasad demokratycznych i liberalizmu ze wszystkimi ich zgubnymi skutkami i to tembardziej, że zburzenie przez rewolucyę stanów, czyli ciał i grup niezależnych w narodzie, oraz scentralizowanie administracyi, było niezmiernie pożytecznem dla wzmocnienia jego władzy osobistej i usunięcia wszystkiego, coby ją mogło tamować.

Istotnie Napoleon był z temperamentu swego rzeczywistym dyktatorem, którego władza nieograniczona i rządy osobiste nie znoszą żadnego oporu i dlatego było to dlań logiczną koniecznością posunąć centralizacyę do ostatnich granic i we wszystkich

kierunkach, aby nie mogło stawać w poprzek jego widokom i postanowieniom. Za Napoleona III, który nie miał temperamentu, ani charakteru swego wielkiego protoplasty, wziął też górę liberalizm i parlamentaryzm, których stan obecny Francyi jest rezultatem. Jeżeli cesarstwo ma za sobą tradycyę sławy wojennej i krótkotrwałej potęgi Napoleona I, która może łudzić i olśniewać, to za to jest też ściśle związane ze wspomnieniami strasznych i upakarzających dla narodu katastrof, jak Waterloo i Sedan, abdykacya i niewola.

W rezultacie, obie próby cesarstwa były dla Francyi zgubne, obaj cesarze zostawili (a raczej opuścili) Francyę mniejszą, niż ją zastali.

Karol Maurras, określając znaczenie cesarstwa dla Francyi, mówi, że ilekroć doktryna rewolucyjna czuje się poważniej zagrożoną tak, iż republika nie jet w stanie skutecznie jej obronić, wtedy odwołuje się do opieki cesarstwa.

„Przeciwnieństwem prawdziwej siły są często pozory siły—powiada Andrzej Buffet—niech Bóg uchowa, by Francya dała się złudzić takim pozorom. Doświadczenie byłoby śmiertelnem.“

Takie właśnie pozory siły, pokrywające słabość zasadniczą, przedstawia cesarstwo, którego byt i trwanie zależy wyłącznie od wartości i zdolności osobistych, dodajmy—i szczęścia panującego, bo pierwsze niepowodzenie, pociągające za sobą niepopularność, przyprawić go może każdej chwili, a z nim cały ustrój państwa, o upadek i przewrót. Tak było „de facto“ za Napoleona I, który władał Francyą tylko dzięki osobistym przymiotom i tylko dopóty, dopóki mu się noga nie powinęła. Ale jeżeli upadek Napoleona I trzeba bądź co bądź przypisywać przedewszystkiem koalicji wrogów zewnętrznych, to niema tego tłumaczenia dla Napoleona III, którego po zachwianej już mocno popularności przed wojną, naród wyrzekł się z chwilą, gdy uległ niepowodzeniu, tak samo, jak byłby go przyjął z zapalem w razie zwycięstwa. Napoleon III, poddając los cesarza i cesarstwa w zależność od wyniku głosowania, utrwał w zasadzie to, co stanowi właśnie słabą stronę każdego rządu uzurpatorskiego, którego jedyne oparcie polega na zmiennej opinii lub uczuciach mas i wymaga od władcy nietylko odpowiednich przymiotów osobistych w stopniu najwyższym, ale i niezmiennego powodzenia. Panowanie w takich warunkach staje się przeto rodzajem nieustannego konkursu i loteryi. Plebiscyt zburzył ostatecznie podwaliny cesarstwa, może więcej jeszcze, niżeli Sedan.



Ze wszystkich właściwości rewolucyi, które, ratyfikując jej instytucye, a właściwie ruinę instytucyj tradycyjnych, zachowało cesarstwo, najbardziej dlań charakterystyczną, obok centralizacji, jest indywidualizm. Ten duch indywidualizmu, przenikający nowe prawodawstwo, jako logiczne następstwo przyjętych zasad, choć wbrew zapewne życzeniu prawodawcy, stanął na przeszkodzie utrwaleniu się cesarstwa i wytworzeniu dynastyi. Osoba znaczy tu więcej, niż system, lub co najmniej identyfikuje się z systemem, a zatem niepopularność lub niepowodzenie panującego zwraca się przeciw systemowi i zagraża mu; jego upadek sprowadza też niechybnie upadek całego systemu, jak to stwierdziło dwukrotne doświadczenie. Zupełnie odwrotnie ma się rzecz w ustroju monarchii tradycyjnej, takiej, jaka przez dziesięć wieków funkcjonowała we Francyi i takiej, jak ją rozumieją, wraz z hrabią Chambordem, hrabią Paryża i obecnym pretendentem, monarchiści dzisiejsi.

Tu, osoba monarchy, przy całej pełni władzy, jaką posiada, jest podporządkowaną systemowi, który w danym okresie reprezentuje, którego w danej chwili jest widowym obrazem i uosobieniem, tak samo, jak jest również podporządkowaną dynastyi, której panowania pojedyncze rządy każdego z królów są tylko momentem. Zmienną, bo śmiertelną, jest tu osoba monarchy — niezmienną, stałą, nienaruszalną jest przedewszystkiem sama monarchia, t. j. system, następnie dynastya, która wszakże jest jeszcze podporządkowana systemowi, bo z końcem dynastyi, czyli wygaśnięciem panującego rodu, system się nie kończy, lecz trwa dalej pod nową dynastją. Przy takim ustroju większe lub mniejsze zdolności, a nawet większa lub mniejsza wartość moralna panującego, nie odgrywają roli pierwszorzędnej. Monarcha nieudolny lub zły, chociaż niewątpliwie może przynieść szkodę państwu, nie pogrąża go bezpowrotnie, bo działalność jego jest najpierw ograniczona instytucyami, które funkcjonują niezależnie, a następnie jest zawsze regulowana interesem dynastycznym, a więc rodowym, a więc rodzinnym, a więc osobistym króla, bezwzględnie zależnym od potęgi państwa i pomyślności narodu. Taki też tylko ustrój monarchiczny, niezależny ani od osobistych przymiotów władcy lub jego kaprysu, ani od opinii, uczuć lub kaprysu ludu, może mieć istotnie silne i trwałe podstawy, zapewnić potęgę państwu i zagwarantować narodowi, wśród ładu i porządku, najpomyślniejszy rozwój i największą sumę wolności jego obywatelom.

Jak z jednej strony widzimy różnicę, jaka zachodzi pomiędzy takim systemem monarchicznym a cesarstwem liberalnem Napoleonidów, dyktatoryatem lub ustrojem parlamentarnym, z mo-

narchią albo republiką, tak znowu z drugiej strony spostrzegamy też jego nieskończoną wyższość nad autokratyzmem i odgradzającą go od takowego zasadniczą różnicą.

Autokratyzm nieograniczony jest w istocie swej anarchią przybraną w formę monarchii. Gdzie prawem jest samowola i kaprys jednostki, tam naprawdę prawa niema, a gdzie niema prawa, tam z konieczności panuje anarchia. Samowładztwo autokratyzmu i ludowładztwo rewolucyjne są to dwie formy w zasadzie identyczne, tylko odwrócone. Jak w pierwszym władza spoczywa wyłącznie w rękach monarchy, tak w drugim to samo jest udziałem ludu, który posiada atrybucye monarsze, z tą jedynie różnicą, że autokratyzm jest konkretniejszym, bo ma w osobie monarchy władcę istotnego, gdy lud, jako istota zbiorowa, a więc abstrakcyjna, jest władcą teoretycznym, uosabiającym się również w istocie zbiorowej — partyi politycznej lub większości parlamentarnej.

Z drugiej strony autokratyzm zbliża się najbardziej do tego, czem mógłby być ustrój kolektywistyczny, t. j. system oparty całkowicie na jednej z zasad rewolucyjnych — równości, kosztem drugiej — wolności. I rzeczywiście, o ile w systemie autokratycznym wolność jest zupełnie wyłączoną, o tyle równość leży w jego zasadzie — równość wszystkich wprawdzie nie wobec prawa, ale wobec bezprawia, równość wszystkich w braku prawa.

Na wstępie do swej „Enquête sur la Monarchie“ umieścił Karol Maurras oświadczenia dwóch urzędowych (w r. 1900) przedstawicieli świata i dążeń monarchicznych — naczelnika biura politycznego księcia Filipa Orleańskiego, Andrzeja Buffet i prezesa południowo-zachodnich komitetów monarchicznych, hrabiego de Lur-Saluces — obu skazanych wówczas na wygnanie przez „Wysoką Izbę,“ wraz z Déroulèdem. Te ich oświadczenia, w których skryształizowali główne zasady doktryny monarchicznej i naszkicowali w szerokim zarysie program przyszłej monarchii, zyskały aprobatę pretendenta w liście tegoż do Karola Maurras.

Wiemy już z wyżej powiedzianego na czem polega ta doktryna. Tu dodajmy, wedle tych dwu powag monarchizmu, co zresztą z jej zasad wypływa, że monarchia ta ma być przede wszystkim reformatorską. Dla ustalenia nowego porządku muszą być przeprowadzone szerokie i głęboko sięgające reformy nie tylko administracyjne, nietylko polityczne, ale nawet obyczajowe. Reformy te wszakże nie będą arbitralne, bo, idąc w kierunku tradycji narodowej, będą najzupełniej zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy, niezbędnymi potrzebami narodu i z jego głębokimi życzeniami.



Żadne reformy nie będą skuteczne, jeżeli się nie zagwarantuje bytu i nie wzmocni stanowiska rodziny, jako prawdziwej jednostki lub wedle wyrażenia znakomitego ekonomisty, *Le Play*, komórki społecznej. Skutkiem równego podziału własność rodzinna, ze śmiercią ojca rozprasza się lub rozdrabnia tak, iż wszelkie przedsiębiorstwo, obliczone na czas dłuższy lub nieograniczony, zostaje przerwaniem. Każdy z synów, zamiast prowadzić dalej, rozwijać i doskonalić dzieło ojca, już oparte, jako rezultat pracy jego życia, na pewnych podstawach, musi, po zburzeniu tych podstaw dla dokonania działań, rozpoczynać na nowo od początku, by znowu z jego śmiercią powtórzyło się to samo. Wynikają stąd wielkie straty tak dla rodziny lub rodu, który z każdym nowym pokoleniem traci podstawy, zasoby i stanowisko pozyskane przez pokolenie poprzednie, jak i dla ogółu społeczeństwa, które traci wskutek tych przerw nieustannych na ilości i wartości produkcji, jak i dla celów ogólnonarodowych, bo naród traci przytem liczebnie, wskutek ścieśnienia i ograniczenia liczebnego rodziny i na sile zasadniczej, wskutek rozdrobnienia i zaniku własności ziemskiej, tej najrealniejszej podstawy bytu i trwania narodu. To też pierwszą troską nowej monarchii będzie reforma kodeksu, w tem zwłaszcza, co się tyczy prawa spadkowego. Mówi o tem Andrzej Buffet w „Ankiecie,” zgodnie z zapewnieniami, zawartemi w mowie księcia Orleańskiego, wypowiedzianej w San-Remo.

Monarchia weźmie w szczególną opiekę własność ziemską, zarówno drobną, chłopską, jak i wielką. Prócz reform prawnych, działać tu będą wpływy osobiste króla, który pragnie wznowienia życia wiejskiego i rozkwitu rolnictwa, upośledzonego dzisiaj wskutek zbytnej przewagi przemysłu i musowej dezercyi wsi przez ludność wiejską na korzyść miast, skąd wynika wzrost pauperyzmu i fizyczne osłabienie ludu. „W samej rzeczy — powiada Andrzej Buffet — dobra ziemskie nie stanowią tylko bogactwa indywidualnego, dobra osobistego.“ Jak powiedział poeta (Karol de Pomairols):

„Jestto wielki zaszczyt, posiadać pole.“

„Własność ziemska jest instytucją polityczną, śmiem powiedzieć — dobrem i kapitałem narodowym. Z tego tytułu, ma ona prawo do obrony, protekcji i podpory prawodawstwa.“

W tym celu reforma monarchiczna udzieli szczególnego poparcia robotnikom wiejskim, tak, aby nie mieli interesu, jak dzisiaj, w emigrowaniu do miast. Politycy republikańscy zaniedbali

zupełnie lud wiejski. Dla nich ludem jest tylko robotnik miejski, którym też wyłącznie zajmują się reformy republikańsko-socyalne. Monarchia będzie miała życzliwość i udzieli jednakowego poparcia jednym i drugim, ale mieć będzie szczególnie na sercu odrodzenie życia wiejskiego, którego zanik jest prawdziwą klęską.

Przy ogólnej i powszechnej decentralizacji, monarchia będzie centralistyczną na jednym punkcie—na punkcie siły zbrojnej. Ta znajdzie się całkowicie i wyłącznie w rękach króla. Król musi być wodzem wojennym (wojewodą), w całym tego słowa znaczeniu. Armia powinna być w jego ręku potężnym mieczem dla obrony kraju od wrogów zewnętrznych i dla zapewnienia wewnątrz porządku, jedności, oraz praw i wolności osobistych każdego.

Pod tym względem monarchia odnowiona nie wróci do tradycyj feodalnych.

Większość tych, którzy odpowiedzieli w „Enquête sur la Monarchie“ na sformułowane przez Karola Maurras pytanie: „Czy ustanowienie monarchii tradycyjalnej, dziedzicznej, antyparlamentarnej i zdecentralizowanej jest niezbędnem dla ocalenia Francyi?“—nie była wówczas (w r. 1900) jeszcze monarchiczną. Dziś (i w chwili ukazania się drugiego wydania Ankiety, t. j. w r. 1909) wszyscy, prócz nielicznych wyjątków, są już zagorzałymi monarchistami. Do tych wyjątków, co, jak mówi Andrzej Buffet, jest prawdziwym zgorzeniem, należy Maurycy Barrès. I rzeczywiście, to trzymanie się republikanizmu, z którym go nie wiąże, przy głoszeniu zasad tradycyjalistycznych i antydemokratycznych, najzupełniej zgodnych z doktryną monarchistów i ich programem, wydaje się niezrozumiałą sprzecznością. Wszyscy zresztą, i nie wyłączając Maurycego Barrèsa (z wyjątkiem jednego tylko zwolennika republiki demokratycznej, Eugeniusza Ledrain), oświadczyli się przeciw systemowi republikańsko-parlamentarnemu i przeciw doktrynom demokratycznym. Nikt w zasadzie nie sprzeciwił się monarchii, znajdowano tylko trudności do jej wskrzeszenia w dzisiejszych warunkach i nastroju ducha Francuzów. Zaś z pośród tych trudności, jako na najważniejszą, wskazano na niemożność uzyskania zgody większości narodu.

Ten argument wszakże upada sam z siebie, jak to widzimy w licznych odpowiedziach i komentarzach Karola Maurras, które towarzyszą każdemu z listów Ankiety. Monarchia antyparlamentarna nie będzie rządem, opartym na wyborach, ani na opinii, inaczej nie byłaby antyparlamentarną, zatem na żadną większość oglądać się nie będzie, ani czekać, aż naród wypowie swe zda-



nie. Byłoby aż nadto naiwnem oczekiwać z tej strony powrotu monarchii. Przecież naród w warunkach dzisiejszych nie ma żadnej możliwości wypowiedzenia się w takiej kwestyi, a choćby i miał, to jeszcze nie miałyby to znaczenia zasadniczego. Jeżeli naród jest zagrożony w podstawach swego bytu, to rzecz nie na tem polega, co myśli jego większość o sposobie ocalenia, lecz na tem, jaki jest ten sposób ocalenia. Choćby sposób ten był znany tylko jednemu człowiekowi przeciw całemu narodowi, to to już wystarczy, aby go przedstawił, utrzymywał, popierał i pracował dla jego zwycięstwa nad zdaniem innych wszelkimi środkami, jakie się nadarzą. Ten jeden człowiek nie miałby słuszności tylko w razie; gdyby wola ludu była jedynym probierzem idei słusznej. Ale tak bynajmniej nie jest<sup>1)</sup> (słowa K. Maurrasa). Wiadomo z doświadczenia historycznego, że wszelkie nagłe zmiany polityczne, przewroty i rewolucye zostały dokonane przez mniejszość energiczną, przy pomocy czy to zamachu stanu, czy spisku, czy też buntu otwartego, bez pytania o zdanie mas, które go mieć nie mogą, i które zawsze poddadzą się faktowi spełnionemu i sile panującej.

Neo-monarchiści pracują nad opinią, starając się pozyskać dla monarchii nie masy, lecz jak największą liczbę przedstawicieli wyboru każdej z warstw lub grup, z których składa się naród, aby przygotować jej jak najlepsze przyjęcie i zmniejszyć możliwy opór, ale ani powodzenia sprawy od tego nie uzależniają, ani też nie spodziewają się bynajmniej przywrócenia monarchii przez opinię. Monarchia zostanie przywróconą—przy pomocy śmiałego zamachu, z użyciem siły, w chwili i warunkach sprzyjających.

Masy poddadzą się mechanicznie faktowi dokonaniem, opinia niezależna i patryotyczna, jak są dane, by się tego spodziewać, i nad czem, prócz monarchistów, pracują już dziś, świadomie lub mimowolnie, wszyscy niezadowoleni z rządów obecnych, przyjmie tę zmianę z zapalem lub zadowoleniem, a już niewątpliwie nie będzie jej stawiała oporu. Reszta ulegnie sile. Tak przynajmniej przedstawiają sobie powrót monarchii jej zwolennicy<sup>1)</sup> i w tym kierunku realnym zwracają swe usiłowania, na jakie monarchiści starej daty, wyczekujący z założonemi rękami cudu, zdobyć się nie mogli. To na pozór może się wydawać nieprawdopodobną mrzonką. Ale pomyślny tylko, mówią monarchiści, ile takich zmian nagłych, przewrotów gwałtownych, rewolu-

<sup>1)</sup> Karol Maurras: „Si le coup de force est possible ?“

cyj i zamachów stanu przeszła Francya w ciągu tych ostatnich lat stu dwudziestu, i że przed dokonaniem każdego z nich bliżej niewtajemniczeni taką samą mieli zasadę nie wierzyć w ich możliwość. Dodajmy do tego, że dzisiejsza rzeczpospolita francuska ma prócz tylu innych jedną zasadniczą słabość, która ją zgubi. Tą słabością jest jej nieprzyjazne usposobienie, jej pogarda dla wojskowości i wojskowych, jej jednym słowem antimilitaryzm.

Juliusz Simon powiedział: „Jeżeli niema armii bez ducha wojskowego, żądam, abyśmy mieli armię, któraby nie była armią.“ Rzeczpospolita dołożyła wszelkich usiłowań, aby życzeniu J. Simona zadość uczynić. Dziś cała siła zbrojna Francyi jest w pełnym rozstroju. Marynarka, do niedawna druga na świecie co do potęgi, dziś tak, jakby nie istniała. W armii postarano się usunąć wodzów zdolniejszych i energiczniejszych i zastąpiono ich kreaturami koteryj politycznych, poddano ją pod ubliżający jej godności zarząd ministrów cywilnych, niekompetentnych, usposobionych nieprzyjaźnie dla wojskowości i będących narzędziem wolnomularstwa, w którego lożach decyduje się o awansach oficerów.

Postarano się wszelkimi sposobami obniżyć urok wojska, odebrano prerogatywy rangom wojskowym i dano we wszystkim, nawet w honorach, oddawanych przez wojsko, pierwszeństwo cywilnym stopniom administracyjnym. Użyto wojska do takich funkcyj, jak zdobywanie kościołów, bronionych przez kobiety i ludzi bezbronych, wyrzucanie z klasztoru zakonnice i zakonników; wystawiano je na obelgi i nienawiść tłumów przy zaburzeniach strejkowych i t. p., czem obrzydzono służbę i zmuszono do jej opuszczenia wielką liczbę najlepszych oficerów. Jednym słowem, nie zaniedbano niczego, aby armię uczynić niezdolną do jej czynności właściwych, aby ją osłabić.

Ale jeżeli udało się to republikanom w dużej części, to jednocześnie w kołpusie oficerów, w którym, bądź co bądź, ducha wojskowego zabić w zupełności nie byli w stanie, wzbudzili do siebie i do swych rządów tyle urazy, tyle nienawiści, iż prawdopodobnie wojsko upadek ich przyjąłoby z radością, a monarchię, w której z natury rzeczy odzyskałoby swe stanowisko, z entuzjazmem.

Armia milczy, ale głucho oburzenie wzbiera w niej i rośnie, i przy pierwszej sposobności, na pierwsze hasło, rzucone w porę, wybuchnie niewątpliwie i pójdzie za głosem tego z wodzów, który w danej chwili okaże dość decyzji, by zrzucić wstrętne jarzmo. Wtedy dla rzeczpospolitej wybije ostatnia godzina. Rze-



czą monarchistów jest przeto przygotować grunt dla monarchii tradycyjnej, aby zamach stanu, w ten sposób dokonany, odbył się na jej rachunek, a nie na korzyść dyktatoratu wojskowego lub cezaryzmu. Bo Francya, wedle wyrażenia ludowego, przytoczonego przez Karola Maurras, jest „poignarde“ i pójdzie za tym, który zaimponuje jej siłą i zdecydowaniem.

Oto, jakie są widoki monarchistów. Oto, czego dowiadujemy się w „Enquête sur la Monarchie.“ Pytanie, jaki ustrój polityczny — rzeczpospolita, czy monarchia — jest właściwym i pożądanym dla Francyi, która stanowi przedmiot główny i cel tej „Ankiety,“ odnosi się wyłącznie do tego kraju i jego warunków, jest sprawą wewnętrzną Francuzów. Niemniej, poruszone przytem idee wybiegają daleko poza ten ściśle określony przedmiot.

KONRAD OSTROWSKI.

# GRZEGORZ XVI A POLSKA

po powstaniu listopadowem.

Stanowisko Grzegorza XVI w pierwszych latach jego pontyfikatu do sprawy polskiej w ogólności a do Kościoła katolickiego w Królestwie Polskiem i w prowincjach zabranych w szczególności, do dziś dnia nie jest należycie wyświetlone. Brewe papieskie z lutego 1831, a zwłaszcza z czerwca 1832 r., głęboko wryły się w pamięć społeczeństwa. To też łatwiejszy znalazła posłuch słynna scena rozmowy Kordyana z papieżem i papugą w poemacie Słowackiego, aniżeli obrończe wywody Theinera, Lescoeuera i Helferta, niż nawet allokucya samego papieża z 1842 r., tłumaczona na język polski i opatrzona dokumentami, mającymi wykazać wszystkie usiłowania stolicy świętej podejmowane w sprawie polskiej.<sup>1)</sup>

Zresztą dominującym tych dzieł brakiem była niemożność źródłowego zbadania i zgłębienia podawanych faktów. A właśnie takie dopiero przedstawienie całej kwestyi wykazałoby w całej pełni przymusowe położenie ówczesnego papiestwa i odkryłoby wszystkie próby podejmowane przez Rzym dla obrony zagrożonych interesów Kościoła katolickiego pod panowaniem rosyjskiem.

<sup>1)</sup> Theiner: Die neuesten Zustände der Katholischen Kirche beider Ritus in Polen u. Russland, Augsburg 1841. Lescoeur: L'église catholique en Pologne sous le gouvernement Russe, Paris 1860. Helfert: Russland u. die Katholische Kirche in Polen, Wien 1867. Allokucya J. Ś. papieża Grzegorza XVI do Św. Kollegium w konsystorzu tajnym 22 lipca 1842, Paryż 1842. Wiadomości do dziejów kościoła i religii katolickiej, panowaniu rosyjskiemu podległych. Część II. Poznań 1843.



Owóz bliższego wyjaśnienia w tej bardzo skomplikowanej i drażliwej sprawie dostarczają, bodaj do pewnego stopnia, papiery, znajdujące się w wiedeńskim archiwum Domu, Dworu i Państwa. Mieszczą się one w osobnym fascykule, zatytułowanym: „Affaires de la religion catholique en Pologne“ (1832—38), a zawierają szereg pism, wymienionych w tej sprawie między Wiedniem, Petersburgiem a Rzymem. One też posłużyły za podstawę do napisania niniejszego szkicu.

\*

\*

\*

Powstanie listopadowe upadło, Warszawa zajęta, resztki wojska polskiego wyparte do Prus i do Austrii. Nowy rząd, pod kierownictwem ks. warszawskiego Paskiewicza, przystąpił do uspokojenia kraju. Nastąpiło więc ogólne rozbrojenie mieszkańców, dla których strzeżenia miały posłużyć dawne i świeżo wznoszone fortece; ustanowiono sąd nadzwyczajny, wskrzeszono cenzurę. Lecz wszystko to jeszcze nie było wystarczającym. Zachodziła jeszcze nieodzowna potrzeba jakiegoś efektu moralnego. Paskiewicz więc, wiedząc jaki udział w ostatniem powstaniu wziął kler polski, postanowił skorzystać z tej okoliczności i tym końcem miał podsunąć dworowi petersburskiemu myśl zaproszenia papieża do zabrania w tej sprawie ze swej strony głosu.

W rzeczy samej rosyjski minister spraw zagranicznych, Nesselrode, wysłał dnia 4 marca 1832 r. depezę do posła rosyjskiego w Rzymie ks. Gagaryna. W piśmie tem polecił on zwrócić Gagarynowi uwagę papieża na wrogie zachowanie się niemal całego kleru polskiego w czasie ostatniej rewolucyi. Cesarz obecnie pragnie przeprowadzić uspokojenie całego kraju. „Uznaje on równocześnie—pisał dalej Nesselrode—że wpływ duchowieństwa katolickiego, tak potężny w Polsce, mógłby, gdyby był pokierowany w myśl zapatrywań roztropnych i dobroczynnych, użyzyć rządowi bardzo silnej i bardzo wydatnej pomocy.“ Papieżowi pozostawiał cesarz wymyślenie odpowiednich w tym celu środków. Lecz z góry już dawał mu w tym względzie dyrektywę, pisząc: „Wielkość celu wskazuje dostatecznie, jakie to mają być sposoby; półśrodki będą szkodliwe, miękkie napomnienia, słabe albo dwuznaczne breve, jak to, przysłane 18 lutego 1831 r., z którego my-

śmy nie mogli zrobić żadnego użytku, chybią celu i pozostaną bez skutku.“

Takie żądanie postawione stolicy świętej przez dwór petersburski było bardzo śmiałe i do pewnego stopnia nawet ryzykowne, jeżeli się zważy, że po pierwsze, stosunki Rosyi z Rzymem nigdy nie były dobre, a za panowania Mikołaja I już szczególnie uległy one naprężeniu z powodu szeregu ukazów, szkodliwych interesom Kościoła katolickiego,<sup>1)</sup> a powtóre, że wszak dopiero niedawno, bo w lutym zeszłego roku, wydał tenże sam papież, tuż po swoim wyborze, odpowiednie napomnienie do episkopatu polskiego z powodu wybuchłej rewolucyi, której jednak rząd rosyjski zupełnie nie opublikował, ponieważ, jak to powyżej zaznaczono, uważał je za słabe w wyrażeniach.

Z sytuacji tej zdawał sobie jasno sprawę Nesselrode, a czując, że sam dwór rosyjski żądania tego u Stolicy świętej nie przeprze, udał się o pomoc w tej akcji do Austrii. Ten zwrot wynikał z naturalnej pozycyi, jaką wówczas zajmował Wiedeń w stosunkach między Petersburgiem a Rzymem. Jak wiadomo, Stolica święta nie posiadała w Petersburgu, z powodu oporu Rosyi, swoich stałych zastępców. Był tylko ambasador rosyjski w Rzymie, a że on w wielu ważniejszych sprawach nie wystarczał i w dodatku połączenie tą drogą było jednostronne, zerwaną zaś była wszelka komunikacya między tamtejszem duchowieństwem a głową Kościoła, więc by tym brakiem bodaj w części zaradzić, w pewnych ważniejszych wypadkach używano interwencji Wiednia. Działo się to zwykle w ten sposób, że papież przedstawiał za pośrednictwem swej nuncjatury wiedeńskiej daną kwestyę cesarzowi austriackiemu, ten zaś przez swego ambasadora instancyonował w Petersburgu na rzecz żądań papieskich. W ten sposób stawała się stolica Austrii od czasu do czasu pośredniem ogniwem komunikacyi między Petersburgiem a Rzymem.

Owóż teraz, wyjątkowym sposobem, szły naodwrot tąż samą okólną drogą żądania rosyjskie. Kuryer rosyjski, wiozący instrukcye dla ambasadora w Rzymie ks. Gagaryna, wiozł też odpowiednie polecenia i dla ambasadora rosyjskiego w Wiedniu Tatiszczewa. Ten natychmiast się do nich zastosował i pokazał Metternichowi instrukcye dla Gagaryna z prośbą o ich poparcie u papieżu i ze strony austriackiej.

---

<sup>1)</sup> Por. M. Loret: Kościół katolicki a Katarzyna II. Warszawa 1910. (Monografie w zakresie dziejów nowożytnych, t. XVII).



Metternich zgodził się na podjęcie roli protektora dezyderatów rosyjskich. Wypływało to znowu z ówczesnego stanowiska Austrii do Rosyi i do ruchów rewolucyjnych. Po kontrowersjach i silnem naprężeniu stosunków między Rosyą a Austryą, grożącym lada chwila wybuchem wojny z ostatnich lat, teraz wskutek ruchów rewolucyjnych lat 1830 i 1831, z którymi oba te państwa miały do czynienia, pierwsze w Królestwie Polskiem, drugie na terenie włoskim—i na podłożu ich stłumienia wyrosło, siłą choćby podobieństwa sytuacji, w jakim się one znalazły, obojętne, choć tylko powierzchowne porozumienie austriacko-rosyjskie, zwłaszcza o ile chodziło o wspólny program walki z rewolucyą. Z tych więc powodów Metternich skorzystał z następczącej się sposobności, by z jednej strony przysłużyć się Rosyi, z drugiej natomiast, by położyć tamę szerzącemu się duchowi rewolucyjnemu.

W te pędy więc, skoro tylko otrzymał postulaty rosyjskie, wystosował 31 marca odpowiednie pisma do ambasadora austriackiego w Rzymie, Lützowa, z poleceniem poparcia u papieża zamiarów rosyjskich. Interwencyę tę narazie motywował w ten sposób, że cesarz był przymuszony do tego kroku i jako monarcha katolicki i jako władca polskich prowincyj, ponieważ widział, że polskie duchowieństwo jest owiane duchem szkodliwym i zasadami, głoszonymi przez paryski „L'Avenir,“ jakoteż popiera rewolucyę, która dąży do obalenia tronów i szerzy ateizm.

A że instrukcyja ta, jako naprędce napisana, nie wyczerpywała jeszcze wszystkich argumentów takiego postępowania Austrii, więc Metternich w trzy dni później wysłał jeszcze dodatkowe wskazówki do Rzymu. W nich wskazywał on na doniosłe znaczenie, jakie stanowi dla papieżstwa żądanie Mikołaja I, który przecież w ten sposób składa hołd głowie Kościoła. Gabinet austriacki popiera ten krok Rosyi nietylko z tego powodu, że jest tą sprawą bezpośrednio, jako sąsiad prowincyj polskich, zainteresowany, ale także z racyj ogólnej natury, wynikłych ze stanowiska rządu rosyjskiego do Kościoła katolickiego, pod jego panowaniem pozostającego. Owóż za Aleksandra w dziedzinie kościelnej panowała mieszanina mistycyzmu z prozelityzmem greckim. Wtedy to odegrali, według kanclerza austriackiego, swoją skandaliczną rolę Böttiger, Fessler i Lindel, wtedy też ukazała się książka Stourdy. „Obecnie — pisał w dalszym ciągu pełen optymizmu Metternich — zmieniły się zapatrywania gabinetu petersburskiego, a charakter samego Monarchy będzie mógł nam dać gwarancyę, że dawne błędy nie będą już więcej spełniane.“ Zresztą

i dla dworu austriackiego, według mniemań kanclerza, był też krok Rosyi nie bez znaczenia, ponieważ dowodził on uznania zalet duchowych cesarza Franciszka i nastęrczał Austrii wyborną sposobność stania się naprawdę użyteczną w interesach religii.

W dodatkowem piśmie już zupełnie poufnie wskazywał Metternich na zgubne zamiary rewolucyi polskiej, która chciała wyprzeć Rosyę w stepy Azji, podnosił, że konieczną rzeczą jest, by papież wpływem swoim przyszedł z pomocą zagrożonej idei monarchicznej—wreszcie czynił bardzo charakterystyczne uwagi o duchowieństwie polskiem. „Kler katolicki—pisał on—w Królestwie jest bardzo źle dobrany, jest ignorantem i politycznie rozfanatyzowanym. W naszych własnych prowincjach polskich musimy podnieść też same skargi na rachunek kleru rzymsko-katolickiego, ponieważ przez szczególny zbieg okoliczności kler obrządku grecko-unickiego prowadzi się o wiele lepiej, przynajmniej w Galicyi.“

Lüttzow otrzymał pierwszą instrukcyę z 31 marca wieczorem 8 kwietnia. Przy najbliższem widzeniu się z papieżem uczynił z niej użytek, w czem nawet wyprzedził swego kolegę rosyjskiego, który, choć równocześnie otrzymał rozkazy, nie mógł z nich natychmiast użytku uczynić, ponieważ leżał chory. Lüttzow więc zawiadomił papieża o misyi, jaką otrzymał ks. Gagaryn od swego dworu, z tym dodatkiem, że krok ten rosyjskiego rządu Austriya popiera ze swej strony. Papież, który zasłaniał się nieznaną polityki, obiecywał chętnie służyć rad obcych, zwłaszcza pochodzących od Austrii. Dziwił się jednak, nie wiedząc jeszcze nic o nieogłoszeniu przez rząd rosyjski breve jego z poprzedniego roku, że ono pozostało bez skutku i z tego właśnie powodu wyrażał chęć nawiązania z klerem polskim bliższych stosunków, pewnym będąc, że przez bezpośrednie oddziaływanie na episkopat polski, mógłby go o wiele łatwiej przekonać. W końcu skarżył się na szkodliwą dla kościoła katolickiego działalność ministra wyznań i Golicyna, wyliczył cały szereg grawaminów, jak zabieranie dóbr kościelnych, zniesienie wielu klasztorów i szkół bazylianckich, co wszystko poznał papież bardzo dobrze już dawniej, jako prefekt propagandy.

Kwestya w ten sposób postawiona przez papieża, przeciągała się, mimo starań Gagaryna i kilkakrotnej interwencji Lüttzowa u Grzegorza XVI. Pertraktacye prowadził w tej sprawie sekretarz stanu kardynał Bernetti. Głos Austrii jednak w końcu wyrównał nieporozumienia. Kurya rzymska pozostawała podówczas w pewnej i to dość znacznej zawisłości od dworu wiedeńskiego. Grzegorz XVI wybrany został wprawdzie papieżem wbrew



woli Austrii, która proponowała innego kandydata, lecz zaledwie 2 lutego 1831 r. włożył tyarę, już 19 tegoż miesiąca musiał prosić o pomoc przeciw swoim własnym zbuntowanym poddanym. Bagnetem austriackim więc zawdzięczał papież zaprowadzenie porządku w swem państwie, za co podziękował Franciszkowi osobnem pismem.<sup>1)</sup>

Ale że państwo kościelne, jak i całe ówczesne Włochy, były ustawicznie widownią tajnych knozań rewolucyjnych, siły papieskie zaś do ich stłumienia nie wystarczały, więc papież był zniewolony do ciągłego oglądania się na pomoc swego możnego sąsiada—Austrii. A co zatem idzie, musiał ze swej strony wzamian poczynić jej pewne ustępstwa. Stąd wpływała skuteczność interwencyi ambasadora austriackiego w sprawie obecnych żądań rosyjskich.

Nietylko jednak ta okoliczność zaważyła decydująco na postanowienie papieskie. Odegrał tu pierwszorzędną rolę jeszcze jeden szczegół—a mianowicie obawa Grzegorza XVI o przyszły los Kościoła katolickiego pod panowaniem rosyjskiem.

Nesselrode, wysyłając ostatnie instrukcye Gagarynowi, załączył do nich także świeżo wydany Statut organiczny dla Królestwa Polskiego, w którym coprawda zawarowano religii katolickiej należne jej przywileje, w depeszy jednakże, temu aktowi towarzyszącej, zamieścił kanclerz rosyjski następujący groźny passus: „... Jasną jest rzeczą, że dobrobyt wyznania katolickiego głównie będzie zależał od sytuacji, w jakiej się znajdzie kraj, i od dalszego zachowania się kleru. W razie, gdyby zaburzenia się ponowiły, a wpływ duchowieństwa przyczynił się do ich podżegania — w takim razie będzie rząd zmuszony użyć ostatecznej nawet surowości, byleby niechętnych uczynić nieszkodliwymi.“

Otóż ta niedwuznaczna zapowiedź represyi ze strony rządu rosyjskiego na duchowieństwie i wogóle na kościele musiała wpłynąć również wiele na decyzję Grzegorza XVI. Papież, nie chcąc do takich możliwości dopuścić, owszem, chcąc na przyszłość pewne ulgi dla Kościoła katolickiego uzyskać—ustąpił i żadaną odezwę napisał.

W tym liście okólnym do biskupów polskich ubolewał Grzegorz XVI nad wypadkami ubiegłego roku, zaznaczał, że zanosił prośby do Pana, aby ten kraj zechciał uspokoić i przywrócić prawowitemu władcy należną nad nim władzę. Obecnie wzywał bi-

<sup>1)</sup> Acta Gregorii Papae XVI, Romae 1901. Vol. I, str. 11.

skupów, aby wszystkimi siłami starali się wyplenić u swej trzody przyczyny przeszłych nieszczęść, zwłaszcza, by stanowczo wystąpili przeciw wszelkim doktrynom rewolucyjnym i ludziom je szerzącym. W dalszym ciągu tego pisma wzywał ich papież, by przedewszystkiem głosili zasadę posłuszeństwa względem raz od Boga postanowionej władzy, na poparcie czego przytaczał wyjątki z pism św. Pawła, Piotra, Augustyna i Tertuliana.

Pismo to zredagował papież sam, przy pomocy tylko swego zaufanego doradcy i późniejszego sekretarza stanu kardynała Lambruschiniego—w drugiej połowie maja. Miało zaś ono rozmyślnie charakter więcej nauk teologicznych, a to w tym celu, by, jak się papież miał Lützowowi zwierzyć, przez odebranie mu cech politycznych, tem samem usunąć podejrzenie rosyjskich w tym względzie wpływów.

Papież odczytał ten list naprzód ambasadorowi austriackiemu, potem, po przejrzeniu przez Gagaryna, zamierzał go wysłać za pośrednictwem nuncyatury wiedeńskiej do Petersburga. Tymczasem stało się nieco inaczej. Bo oto tekst kilku miejsc nie podobał się rosyjskiemu ambasadorowi, który się obawiał, że może dwór jego odrzuci to pismo lub nie uczyni z niego żadnego użytku, jak z poprzednim brewem. Lecz i tym razem ambasador austriacki uratował sytuację, ponieważ poparł starania Gagaryna u Grzegorza i wpłynął na Kuryę rzymską, że ta zmieniła tekst w myśl żądań, proponowanych przez przedstawiciela Rosyi. Zmiany te zresztą nie były zbyt doniosłej stosunkowo natury. Skreślono dwa ustępy, zawierające do pewnego stopnia wotum ufności papieża do biskupów polskich, a jeden frazes zmieniono.<sup>1)</sup>

Encyklika nosi datę oficjalną 9 czerwca 1832 r., lecz z powodu ostatnich przeróbek jej tekstu, ekspedycja jej nieco się opóźniła, tak że np. Lützow otrzymał ją dopiero 16 czerwca.

W społeczeństwie polskim wywołał ten list wrażenie fatalne, które, prócz szeregu innych okoliczności, uwieczniło się w „Kordyanie.“ Niestety, Grzegorz XVI przy jego redakcyi zupełnie

<sup>1)</sup> Skreślono mianowicie w ustępie, zaczynającym się od słów: „Haec dum vobis... po *incumbatis* zdanie: „Quinimo recte de vobis utique sentimus et probe zelum virtutemque vestram novimus,“ jakoteż w końcowym ustępie listu: „Interim levantes... po *custodite*: „bonum certamen fidei certute“—wreszcie zmieniono frazes: „de ipsis Ethnicis principibus“ na „Romanis Imperatoribus.“ Porówn. *Acta Gregorii Papae XVI. Romae 1901. Vol. I, str. 143.* „Epistola encyclica ad omnes archiepiscopos et episcopos in Poloniae regno commorantes.“



z możliwością takiego wrażenia się nie liczył, co nawiasem trzeba dodać nie jest dziwnem, wobec nieznanomości terenu i społeczeństwa i wobec jednostronnych, fałszywych i tendencyjnych relacyj rządowych, pochodzących od strony najbardziej w tem interesowanej.

Natomiast w Petersburgu wywołało to pismo zadowolenie cesarskie. Mikołaj też wyraził osobną podziękę Franciszkowi i gabinetowi wiedeńskiemu za tak skuteczną w tym wypadku pomoc.

Grzegorz XVI uległ wspólnym naleganiom Rosyi i Austrii i wydał ten list okólny, lecz nie myślał robić tego ustępstwa bezinteresownie. Owszem, natychmiast skorzystał z tej sposobności, by w zamian upomnieć się w Petersburgu o swoje i Kościoła katolickiego prawa. W tym też celu polecił swemu sekretarzowi stanu, kardynałowi Bernettiemu, wygotować odpowiedni memoriał i wręczyć go ambasadorowi rosyjskiemu i przedstawicielowi Austrii. Pismo to, zredagowane pod okiem samego papieża, podnosiło cały szereg krzywd, jakie się dzieją pod panowaniem rosyjskiem Kościołowi katolickiemu. I tak, wytykało ono zakaz wolnego porozumiewania się duchowieństwa i katolików z Rzymem; zbyt wielką rozciągłość dyccezyj, utrudniającą w wysokim stopniu dozór pasterski; ograniczenie swobody biskupów w wykonywaniu ich jurysdykcyi; zubożenie duchowieństwa przez odebranie mu wielu beneficjów, klasztorów i dóbr kościelnych, a oddanie ich klerowi prawosławnemu; zmianę kierunku wychowania duchownego, które odebrano biskupom i właściwym przełożonym, a oddano duchowieństwu w przeważnej części prawosławnemu; nadużycie władzy przez zmarłego Siestrzencewicza a obecnie przez następcę jego Siemaszkę; rozluźnienie dyscypliny zakonnej wskutek nowych przepisów, poddających zakonników pod władzę zwierzchności dyccezyjalnej; liczne zgorzenia, wywołane łatwością rozwodów,—wreszcie udzielanie protekcyi ludziom, którzy się starają podać poddanych katolickich w nieufność u rządu. Narazie więc dla bliższego zbadania tych spraw, jakoteż celem możliwego ich bodaj w części usunięcia, zaproponowany został w końcowym ustępie tegoż pisma uwierzytelniony przedstawiciel papieski na dworze petersburskim.

Gagaryn, po otrzymaniu tego memoriału, sam przyznawał słuszność wielu punktom, lecz nie zgadzał się z jego formą i niektórymi wyrażeniami. Robił więc w tej mierze przedstawienia u kardynała Bernettiego, a potem wysłał, zdaje się, bez żadnej przynajmniej głębszej zmiany, pismo to do Petersburga. Natomiast ambasador austriacki przyjął memoriał ten bez żadnych

objekeyj, wysłał go zaraz do Wiednia, a zarazem oznajmił Metternichowi, że Grzegorz XVI pragnie, by w zamian za niedawno poczynione ustępstwa na rzecz żądań Rosyi, popartych przez Austryę, cesarz Franciszek wniósł swą instancję na rzecz postulatów papieskich, zawartych w załączonym memoriale.

Tym razem Metternich rzeczywiście, choć bardzo oględnie, nie chcąc czemkolwiek narazić się Rosyi, uczynił zadość wezwaniu Stolicy świętej. Dnia 18 lipca 1832 r. polecił on ambasadorowi austriackiemu w Petersburgu hr. Ficquelmontowi, by zwrócił uwagę gabinetu petersburskiego na ważność memoriału papieskiego, a zwłaszcza na wyrażone w nim pragnienie nawiązania bezpośrednich komunikacyj dyplomatycznych między Rzymem a Petersburgiem przez ustanowienie w stolicy rosyjskiej stałego ambasadora papieskiego.

Ficquelmont, otrzymawszy tę instrukcyę, żywo zajął się poruczoną mu sprawą. Odpowiadała ona w zupełności jego widokom, ponieważ uznawał on, jak o tem pisał w swej depešy Réserve z 16 sierpnia 1832 r. do Metternicha, w całej rozciągłości słuszność skarg papieskich, zawartych w piśmie wręczonem Gagarynowi. Jako kompetentny, a bądź co bądź bezstronny świadek, zaznaczał on, że „panowanie Aleksandra I, który w głębi swego serca pragnął zbliżenia do Kościoła rzymskiego, osłabiło nacisk Kościoła prawosławnego. Rewolucya w Polsce ożywiła tę siłę impulsywną, którą cesarzowa Katarzyna nadała temu kierunkowi.

„Lud katolicki Żmudzi i Litwy—pisał on dalej—z zapalem poszedł za rewolucyą, podczas gdy lud katolicki Wołynia i Podola, który cesarzowa Katarzyna niejako wcieliła do cerkwi prawosławnej, pozostał głuchy na zwodzące wołanie szlachty. Ten kontrast wystarczył do określenia postępowania, jakiego chce się trzymać rząd rosyjski. On już dziś stawia bardzo silne przeszkody, by życzenia Stolicy świętej zostały wysłuchane w tej mierze, w jakiej to jest pożądane. Dwór rosyjski sprostuje ważniejsze zażalenia, ponieważ będzie on unikać wszystkiego, coby zanadto przypominało ucisk katolików, lecz nie pozwoli się sprowadzić z drogi, jaką stale postępuje już od dłuższego czasu.“

Ficquelmont znał zbyt dobrze ówczesne stosunki, by się w tym względzie omylić. Choć więc, stosownie do przysłanej mu instrukcyi, natychmiast poczynił odpowiednie przedstawienie u Nesselrodego, to jednak, narazie przynajmniej, bezskutecznie, ponieważ rosyjski minister spraw zagranicznych nie otrzymał wtedy jeszcze memoriału papieskiego, przyczem zauważył, że papież



przy każdej sposobności domaga się, by cesarz przyjął stałego jego reprezentanta w Petersburgu. Ale też nie lepiej wypadła odpowiedź jego w dwa dni później, gdy już przybył do Petersburga memoriał i został przez Nesselrodego wręczony cesarzowi, który go z kolei oddał dla zbadania zawartych w nim zarzutów ministrowi wyznań Błudowowi. Bo i wtedy również twierdził Nesselrode, że w niczem się nie zmieniły stosunki między Petersburgiem a Rzymem, że wciąż jeszcze trwają racye, które spowodowały odmowną już dawniej w tym względzie odpowiedź gabinetu rosyjskiego, że istnieje stała ambasada rosyjska w Rzymie, a w razie potrzeby dwór rosyjski nie odmawia przyjęcia nadzwyczajnych wysłanników papieskich.

Na pierwszy więc plan wysunięto sprawę ambasady papieskiej w Petersburgu, nie tykano zaś, przynajmniej narazie, samych zarzutów, których tyle wyliczał memoriał Stolicy świętej. Odpowiedź na nie pozostawiono do czasu, gdy Błudow zda cesarzowi odpowiednią relację w tej materii.

Sprawa przewlekła się, a tymczasem wyrastały niemal z każdym dniem świeże powody do dalszych skarg Kuryi rzymskiej na postępowanie dworu petersburskiego ze swymi poddanymi katolickimi. Grzegorz XVI więc, mimo, że odpowiedź jeszcze nie nadeszła, polecił kardynałowi sekretarzowi stanu Bernettiemu wygotować nowe pismo do Mikołaja i to nie jak poprzednie w charakterze prywatnym, lecz w formie noty urzędowej.

Powołując się więc na świeżo ogłoszony Statut organiczny, poręczający prawa Kościoła katolickiego, prosił kardynał Bernetti cesarza, by zechciał usunąć w Królestwie Polskiem i prowincjach zabranych nadużycia, które zapewne dzieją się bez jego wiedzy. I tak, w Królestwie dobra zakonów zniesionych, zamiast być użyte na zaopatrzenie kościołów katedralnych i seminarjów, zostały oddane skarbowi publicznemu; dalej rząd zażądał, by każda kurya biskupia oddała jeden kościół dla celów obrządku prawosławnego; wywieziono tysiące dzieci w głąb państwa rosyjskiego, gdzie grozi im niebezpieczeństwo wychowania w innej religii—nie w rzymsko-katolickiej; biskupom wreszcie zmniejszono pensje do połowy. Te grawamina odnosiły się do Królestwa Polskiego. W prowincjach zabranych znowu skarżyło się pismo papieskie na liczne konfiskaty kościołów i klasztorów katolickich, zwłaszcza bazylikańskich, na rzecz cerkwi prawosławnej, jak np. sławna cerkiew Najświętszej Panny w Poczajowie, klasztor Kartuzów w Berezie i w. in.

Notę ową, noszącą datę 6 września 1832 r. wręczył kardynał Bernetti właśnie odjeżdżającemu do Petersburga Gagarynowi. Papież sam dodał jeszcze osobne pismo do Mikołaja z datą 29 października 1832 r., w którym mu dziękuje za ten artykuł Statutu organicznego, który waruje opiekę rządową dla wyznania katolickiego, zarazem jednak prosi go o zwrócenie bacniejszej uwagi na notę, wręczoną we wrześniu Gagarynowi.

W końcu, by osiągnąć niezawodny skutek i by przecież uzyskać polepszenie stosunków kościelnych, papież udał się w tej sprawie o pomoc do Austrii. To też równocześnie z listem do Mikołaja pisał Grzegorz XVI do Franciszka, prosząc go o wstawienie ze swej strony. Interwencya austriacka miała polegać na tem, że Franciszek miał list papieski do Mikołaja, otrzymany z Rzymu za pośrednictwem nuncjatury wiedeńskiej, wysłać do Petersburga i poprzeć od siebie odpowiedniem pismem, którego nawet koncept przysłała kancelarya papieska do Wiednia.

Zaznaczyć tu trzeba, że gabinet wiedeński był wcale dobrze zawsze poinformowany o losach kościoła katolickiego pod berłem Mikołaja I, tak przez różnych przygodnych korespondentów, jak zwłaszcza przez swego ambasadora petersburskiego wspomnianego już Ficquelmonta. Ten świeżo właśnie, dnia 17 listopada 1832, donosił o konfiskacie dóbr i zniesieniu tych zakonów, które się skompromitowały w czasie ostatniego powstania. Podawał ich liczbę na 150. „Skorzystano—pisał on do Metternicha—z rewolucyi i z wrogiego zachowania się kleru, by mu zadać stanowczy cios.“ Przysyłając zaś 25 grudnia ostatnie ukazy o zniesieniu klasztorów w prowincjach zabranych i o małżeństwach mieszanych, zauważał Ficquelmont, zwłaszcza o tem ostatniem, co następuje: „... Trudno jest zrozumieć powody, któreby mogły zdecydować rząd rosyjski do przedsięwzięcia aż podobnego środka. Wznosi on przepaść największą, jaka tylko może być utworzoną między Rosyanami a Polakami. Katolicy zaprzestaną w zupełności łączyć się z prawosławnymi. Środek ten niszczy wpływ, jakiby mogły wywierać interesa prywatne i skłonności osobiste na stopniowe zbliżenie dwu tych narodów...“

Mimo więc tak dokładnych informacyj, Metternich, nie chcąc czemkolwiek narażać stosunków z Rosją, nie poszedł drogą, jaką proponował Grzegorz XVI. Ograniczył się tylko na poczynieniu odpowiednich przedstawień wobec rosyjskiego ambasadora w Wiedniu Tatiszczewa, na którego ręce przysłał był Guriew, następcą Gagaryna, list papieski, a który, według twierdzenia Metternicha, miał być osobiście dobrze dla tych reklamacyj usposobiony. On



też obiecał Metternichowi wejść w bezpośrednie stosunki z wie-deńskim nuncyuszem, kardynałem Ostinim, i użyzyć swego po-parcia,<sup>1)</sup> jakie zaś ono było, to już wkrótce okazała dowodnie odpowiedź rosyjska na oba poprzednie z czerwca i września pi-sma papieskie, którą wręczył w maju 1833 r. ówczesny poseł ro-syjski w Rzymie hr. Guriew.

Obszerny ten memoriał zbijał w sposób dyalektyczny punkt po punkcie wszystkie zarzuty, podniesione przez Kuryę rzymską. Rząd starał się w nim wykazać jaknajlepsze chęci, żywione dla katolików. Połączenia ich z Rzymem nie zrywał, owszem, sam się zobowiązuje do przesyłania ich żądań i pieniędzy do Rzymu, przyczem rozmyślnie pominięto moralną stronę tych komunikacyj. Choć dalej trudno przyszło zgadnąć, o jakim zniesieniu klaszto-rów była mowa, rząd domyśla się, że chyba tylko w rachubę wchodzić tu mogą cztery klasztory w Brześciu Litewskim, supry-mowane z tego powodu, że ich zabudowania wchodziły w obręb fortyfikacyj miejskich, i sześć klasztorów, zniesionych za udział w powstaniu. Wynagrodzenie duchownych katolickich o wiele miało przewyższać dochody duchowieństwa prawosławnego.

W tym sensie szły i dalsze wywody memoriału. Domino-wał zresztą z poza nich jeden argument najwালniejszą: „Duchowieństwo... przez swoje postępowanie występne rozdarło samo układ, który mu zapewniał używanie spokojne dobrodziejstw z nie-go spływających. Rząd, pokonawszy duchowieństwo to mocą orę-ża, do którego się uciec musiał, wchodzi w pełne używanie praw zwycięzcy i do rządu jedynie dziś należy stanowienie o sposobach, które uzna za najskuteczniejsze ku zapobieżeniu, aby nie wracały zawichrzenia, które pograżąłyby owe prowincye we wszelkich okropnościach cywilnego i kościelnego bezrządu...“<sup>2)</sup>

Na takie *dictum* dalsze kroki Stolicy świętej już z góry mo-żna było uważać za bezskuteczne i stracone. Tak też odpowiedź tę uważano w Rzymie. Zresztą podobne przekonanie panowało tam nieco wcześniej, jeszcze przed przybyciem rosyjskiej odpo-wiedzi. To też papież jeszcze w lutym postanowił, choć bolał bardzo nad tem, o czem się ustawicznie dowiadywał, na jakiś

1) Metternich do Lützowa, Vienne le 8 Fevrier 1833, № 1.

2) Memoriał ten w tłumaczeniu polskim znajduje się w „Wiadomo-sciach do dziejów kościoła i religii katolickiej panowaniu rosyjskiemu podleg-łych.“ Poznań 1843. Część II, 98 sq. Porówn. Uwagi o nim u Lescoeur'a, t. I, str. 217 sq.

bodaj czas wstrzymać się z dalszymi w tej sprawie krokami; zwłaszcza, że brakowało mu na te rozliczne skargi konkretnych dowodów. Jak kardynał Bernetti zaznaczył w rozmowie z ambasadorem austriackim, Stolica święta potrzebowała właśnie takich namacalnych przykładów, wykazujących krzywdę wyrządzoną Kościołowi, a nie tylko opowieści, noszących charakter nienawiści Polaków do Rosyan. Gdyby Kurya rzymska w rzeczy samej podobne dokumenta w swe ręce dostała, natychmiastby z nich zrobiła w Petersburgu odpowiedni użytek z całą energią. Sprawdzono nawet z Paryża wszystko to, co komitet polski ogłosił w tej sprawie, lecz zawarte w nich dane nie posiadały niezbędnych cech autentyczności.

Gabinet austriacki, otrzymując dokładne relacje o postępowaniu władz rosyjskich względem Kościoła katolickiego, zdecydował się wreszcie na pewnego rodzaju interwencję. Stało się to przy sposobności zjazdu Mikołaja z Franciszką we wrześniu 1833 r. w Müchengrätz. Tak cesarz austriacki, jak i jego kanclerz, instancjonowali wtedy na rzecz Kościoła katolickiego z najlepszym, jak im się przynajmniej zdawało, skutkiem. Obaj bowiem, a zwłaszcza Metternich, przekonani obecnie o ważności spraw kościelnych i to nie tylko w ziemiach pod panowaniem rosyjskim, ale też i w prowincjach, pozostających pod berłem protestanckich Prus, usiłowali namówić cesarza rosyjskiego do nawiązania w obopólnym interesie porozumienia między Rzymem a Petersburgiem. O dodatnim wyniku tych usiowań nieomieszkał też zaraz kanclerz austriacki powiadomić Grzegorza XVI, który też w odpowiedzi na to wysłał za pośrednictwem swego nuncjusza w Wiedniu pismo z podziękowaniem za tak skuteczną interwencję i z prośbą o dalsze poparcie usiowań i zamiarów Stolicy świętej. Osobno też napisał papież 4 stycznia 1834 r. list do Mikołaja z wyrazami wdzięczności, tudzież z zapewnieniem, że „kościół katolicki daleki od pobłażania duchowi powstania przeciw prawej władzy, odrzuca go owszem i srodze potępia.“<sup>1)</sup>

Papież, ażeby nie zepsuć tych świeżo nawiązanych stosunków z Petersburgiem, musiał nową okupić to ofiarą. Oto równocześnie niemal toczyła się sprawa biskupa krakowskiego ks. Skórkowskiego. Już w roku 1831 biskup Skórkowski z powodu swego postępowania naraził się władzom rosyjskim. W październiku

<sup>1)</sup> Metternich do Ficquelmonta le 2 Février 1834. List papieski w „Wiadomościach do dziejów Kościoła“, II, 115.



więc tegoż roku Rüdiger, wkroczywszy do Krakowa, zażądał piśmie z 4 października od senatu krakowskiego nałożenia aresztu na biskupa. Następnie sprawa oparła się o Petersburg, Skórkowski ukazem z 3/15 lipca 1833 r. został od pełnienia swych obowiązków usunięty. Ponieważ stało się to bez porozumienia ze Stolicą świętą, więc biskup nie chciał się temu rozkazowi poddać. Również i w Rzymie odczuto dotkliwie takie postępowanie władz rosyjskich. Ale ponieważ wiadomości o suspensyi ks. biskupa Skórkowskiego, jakoteż o interwencyi austriackiej w Münchengrätzu zeszyły się niemal równocześnie, więc papież tym razem nie podniósł protestu z tego prawdopodobnie jedyne go powodu, że nie chciał zrywać wszczętych przez Austryę zabiegów pojednawczych. <sup>1)</sup>

Przez parę następnych lat w rzeczy samej zapanowały bodaj pozornie lepsze stosunki między Rzymem a Petersburgiem, przyczem z góry zaznaczyć tu trzeba, że w tym wypadku nie chodzi o zmianę stosunku rządu do poddanych katolickich, tylko o zewnętrzne relacje dyplomatycznej natury. Ujawnił się ten nowy kierunek w r. 1836 przez pozwolenie ze strony rządu rosyjskiego na prekonizacyę trzech biskupów, przez co Stolica święta kładła bodaj w części koniec temu długiemu już, a dla Kościoła szkodliwemu stanowi ustawicznych prowizoryów.

Mimo jednak tych oznak pewnego zbliżenia i ustępstw ze strony rządu rosyjskiego, faktycznie panował dawny stan represyi. Przestrzegał o tem swój dwór, a pośrednio i Kuryę rzymską, ambasador austriacki Ficquelmont. Jako przyczynę zaś takiego postępowania rządu, podawał on w depeszy sekretnej z 6 lutego 1837 r. (№ 5 B.) religię osób, stojących na czele machiny państwowej i z otoczenia cesarskiego. I tak, Paskiewicz, wyszkolony tylko pod względem wojskowym, przyuczył się w czasie swych kampanij azyatyckich i w Turcyi przeciwstawiać obrządkowi prawosławnemu inne wyznania i odnosić się do nich wrogo. Hr. Grabowski, choć jako minister, sekretarz stanu, pracując z cesarzem raz na tydzień, mógłby coś zrobić dla Kościoła, jest jednak kalwinem i wszystkie tego rodzaju sprawy pozostawia do załatwienia admi-

<sup>1)</sup> Tak pismo Rüdigera do senatu krakowskiego z 4 października 1831. jak i list ks. Skórkowskiego do rezydenta austriackiego Lorenza w Krakowie z 12 octobre 1831 r. z prośbą o protekcyę i interwencyę dworu austriackiego, mieszczą się w sprawozdaniach konsularnych z Krakowa. Litzow do Metternicha le 30 Novembre 1833, № 442 C. i Metternich do Ficquelmonta le 2 Fevrier 1834.

nistracyi rosyjskiej w Warszawie,—minister spraw zagranicznych hr. Nesselrode i minister policyi hr. Benckendorff, którzyby również mogli zwrócić uwagę cesarską na prześladowania katolików, są wyznawcami Lutra. Wobec tego więc cesarz pozostawiony jest swemu własnemu zdaniu i wystawiony jest na wpływ wyłącznie rosyjski, ponieważ z wyjątkiem jedyne go ks. Litty nie zasiada żaden katolik ani w radzie ministrów, ani w Radzie Państwa.

W dalszym ciągu swych nader interesujących uwag zaznaczał Ficquelinont, że za panowania Mikołaja były dwie wojny i obie uwydatniły w znacznym stopniu charakter religijny. Pierwsza wojna to z Turcyą. W czasie tej kampanii element religijny okazał się najczynniejszym wśród kombinacyj politycznych Rosyi przeciw Wschodowi. W tym też duchu rozciągnięty został patronat rosyjski nad Serbią i Czarnogórą. Drugą wojną była walka z powstaniem polskim, która utrwałała w Mikołaju przekonanie, że ważną rolę odegrało tu duchowieństwo, podnosząc lud przeciw Rosyi. Mikołaj więc potem, karząc naród polski, wydał szereg bardzo ostrych zarządzeń przeciw szlachcie, które wywołały złe wrażenie nawet na publiczności rosyjskiej w Petersburgu, ale także i z drugiej strony postanowił, o ile możności, zmniejszyć wpływ Kościoła katolickiego i podporządkować go Kościołowi wschodniemu. Stąd wypłynął cały szereg zarządzeń, jak po 1-e w sprawie małżeństw mieszanych, 2-e donacje dóbr skonfiskowanych, rozdane generałom rosyjskim, mogą dziedziczyć tylko dzieci obrządku prawosławnego, 3-e zniesienie znacznej liczby klasztorów, 4-e wznoszenie cerkwi prawosławnych w miejscowościach, zamieszkałych wyłącznie przez ludność katolicką, 5-e restaurowanie starych kościołów napotyka wprost nieprzewyciężone przeszkody. W miejscach tych bowiem stare zamykają, a budują cerkwie prawosławne. Ludność zaś unicka woli już w końcu uczęszczać do prawosławnej cerkwi, jak zupełnie obywać się bez praktyk religijnych.

Wszystkie te rozporządzenia, według Ficquelinonta, wprowadzał w czyn minister Błudow, popierany przez inne osoby, mające stanowiska naczelne, które kierują się w tym względzie już nie tylko fanatyzmem czysto religijnym, lecz też współzręcznie idącymi w tym samym kierunku zasadami politycznymi.

I w rzeczy samej uwagi te, nacechowane dużą znajomością stosunków i ludzi, znalazły poparcie w faktycznym stanie rzeczy. Bo oto właśnie w czasie tego pozornego zbliżenia się ostatniego Rosyi do Kuryi rzymskiej, w czasie tego pseudo-pomyślnego



zwrotu na korzyść Kościoła katolickiego, rząd z całą systematycznością przeprowadzał u siebie w domu t. zw. „nawracanie“ unitów. To też wkrótce potem oficjalny a bezstronny świadek tych zdarzeń, wspomniany już Ficquelmont, przesyłając dworowi swemu 18 marca 1838 r. urzędowe sprawozdanie rosyjskiego ministerium spraw wewnętrznych za rok 1836, wyraźnie powiada, że „rząd rosyjski dąży jawnie do złączenia obrządku grecko-unickego z cerkwią prawosławną. Szybkość zaś postępów w tym względzie jest tak wielka, że nie pozostawia najmniejszej wątpliwości co do natury środków w tym wypadku zastosowanych.“

Zresztą wkrótce już i sam papież Grzegorz XVI odczuł kierunek panujący w Rosyi, a to przy sposobności sprawy biskupa podlaskiego ks. Gutkowskiego, również urzędownie, jak poprzednio ks. Skórkowski, usuniętego ze swej siedziby biskupiej,—jako też z okazji rozlicznych skarg „nawracanych“ unitów. System zainicyowany przez Katarzynę, przechodził wówczas w nową fazę.

BRONISŁAW PAWŁOWSKI.

# Muzeum w Rapperswilu.

Niedawno minęło lat czterdzieści dwa od czasu, jak hr. Władysław Plater, ówczesny na Szwajcaryę przedstawiciel Polski, dał początek istnieniu Muzeum polskiego w Rapperswilu fundacją kolumny barskiej; w rok zaś potem oddany został nowopowstającej instytucji przez gminę rapperswilską średniowieczny zamek lenników Einsiedlu, potem Habsburgów młodszej linii, dziś—ostatnia, nad jezioro Zuryskie wysunięta placówka San-Galleńskiej Rzeczypospolitej. Odtąd, w czasie długoletniego swego istnienia, Muzeum to, choć wzrastało i pomnażało się nieustannie pod względem rzeczowej zawartości, przeżywało jednakże w stosunku swoim do dalekiego kraju, przyływy i odpływy opinii. Sądzę, iż taka zmienność zainteresowania i tak częsty jego brak są niesłuszne i krzywdzące dla stron obu. Muzeum dla społeczeństwa dzisiejszego nie jest wartością martwą. Centrum przeszłości się stające, Muzeum żywi przyszłość. Instytucja o charakterze tej, jaką posiadamy w Rapperswilu, choćby tak oddalona od kraju, łączy się z jego życiem węzłami najbardziej intymnymi. Nie marzeniem tylko, tęsknotą, nie uczuciolemi struny współzjemy z instytucją taką, ale przez najbardziej ważkie i decydujące, kulturalne i powszechne interesy.

Zapytać przeto wypada: skąd obojętność tak częsta, skąd względem tej naszej i żywotnej instytucji naprzemian kwiatyżm optymistycznych złudzeń, to znowu gorycz i troska zawzięta, to ospałość i zniechęcenie zapanowują? W ostatnim znów czasie pytać się godzi, czy tylko wtenczas i jedynie dlatego zajmujemy się Muzeum rapperswilskiego spraw... korytkować i potępiać i aby napoić pragnienia skandalów? Czyż nie możemy się zdobyć na równowagę ludzi, którzy nietylko wtenczas wzajem kontrolują, gdy dużo mają sobie do zarzucenia...



nietylko wtedy czynią, kiedy ich napaść przyciśnie, którzy umieją w swoich dobrach społecznych zarówno krytykować i tworzyć, a czyniąc, dopuszczając zawsze i na każdym miejscu sprawdzenia czynności własnych?

Bądź co bądź, należy uznać za istniejący fakt tę niestałość i nierównowagę naszą w interesach publicznych. Obudzenie zajęcia dla Rapperswilu w szerokich kołach opinii odbyło się w ostatnich czasach na gruncie wyłącznie krytycznym. Ta instytucja, każdemu Polakowi droga, ten zbiór—panaceum myśli naszej najistotniejsze, ta sława doli i niedoli długiej, miałyżby być tylko przerzucane od głowy na głowę w walce gladyatoryjnej, ku tłumów niewymownej ucieście? Właśnie dla interesu rapperswilskiej rzeczy, właśnie dla aktywnej pracy nad rapperswilskimi zbiorami należy krytykę w całej jej rozciągłości wziąć pod uwagę najpilniejszą, bilans jej ścisły i bezwzględny uczynić i dopiero na tej podstawie rozstrzygać, co dalej robić? Tylko po takim zbadaniu rzeczy, jedynie wyciągnąwszy taką syntezę możnaby zawołać gladyatorom: dość — i przejść wtedy z epoki krytycznej w okres organicznej twórczości. Próbę zaczęcia dyskusji na tym nowym gruncie dajemy drobnym niniejszym przyczynkiem.

\*

\*

\*

Z krytyki przeprowadzanej pod adresem Muzeum rapperswilskiego i Rady niem zarządzającej przez niemal całą prasę polską w ostatnich kilku miesiącach <sup>1)</sup> dadzą się ustalić z całą na-

<sup>1)</sup> Z krytyk dawniejszych w czasach poplaterowskich wymienimy broszurkę (wprzódz art. w *Kur. Lwów.*, Fr. R. G. por. rec. w *Woln. Pol. Słowie*, Paryż) „Muz. polskie w Rapp. w Szwajcaryi,“ Lwów, Altenberg, 1901. Golberg Miecz.: „Historja miliona narod. w Rapp.,” Kraków, 1905, oraz artykuły *Now. Gazety* p. t. „Martwa instytucja,“ 24 i 28 sierpn., 1908. Odpowiedzi dyrektora Józ. Gałęzowskiego na krytyki dawniejsze: „W sprawie Muz. etc... krytyka i rzeczywistość,“ Paryż, u Reiffa, 1901, „W sprawie Muz. etc... wykaz błędów i niedorzeczności w brosz. „Historja miliona...,” Kraków, druk. *Czasu*, 1906. Memoriał d-ra Henryka Dobrzyckiego o stanie Muz. Rapp. w r. 1895, przeznaczony wyłącznie do „*Wiadomości*“ p. t. „W sprawie Muz. etc...“ opublikowany został w lwowskim tygodniku *Żyć*, 1908, 14 b. r. Artykuły w *Gońcu* warszawskim, począwszy 18 sierpn. r. b. („Ważna placówka,“ 3 i 23 sierpn.), w szczególności szereg felietonów druk. w *Gońcu* i styczniu pod ogólnym tyt. „Z tajemnic muzealnych,“ wysłanych z pod pióra ówczesnego bibliotekarza instytucji, p. Wacława Karczew-

leżną obiektywnością następujące dane, do oceny sytuacji muzealnej posłużyć mogące:

1. Muzeum pozbawione jest całkowicie fachowego kierownictwa, a nawet zdane na najzupełniej prowadzeniu wybitnie niefachowemu. Memoriał d-ra H. Dobrzyckiego jest dla nas w tym względzie specjalnie miarodajny i nauczający. Na jego skutek stanowisko kustosa naczelnego objęte zostało przez poważnego specjalistę, Henryka Bukowskiego (1906). Ta sytuacja polepszona trwała lat cztery, do śmierci Bukowskiego. Jedenasty rok się zaczął od czasu, jak wróciło w muzealnym kierownictwie wszystko do tego—jeśli się tak wyrazić można—porządku, jaki d-r Dobrzycki opisał i określił, a jaki obecnie poważną kompetencją swoją p. Feliks Kopera stwierdził.

2. Muzeum rapperswilskie, w tem wyjątkowo niepomysłnem położeniu wewnętrznem będące, pozbawione jest nadto wszelkiej skutecznej kontroli. Dokumenty ogłoszone w tej mierze przez b. urzędników, pp. Karczewskiego i Kłyszewskiego są nader wymowne. Potwierdza je nadto sąd o rozstrzygającym w danej kwestyi znaczeniu — zdanie kompetentne, bo kontrolera Muzeum, Zygmunta Miłkowskiego, w *Gońcu* warszawskim (8 listop. 1910) i *Słowie Polskiem* lwowskim (3 styczn. b. r.) opublikowane. Przyczem zauważyć wypada, iż żaden z członków Rady muzealnej ani z muzeologią, ani z bibliotekoznawstwem nie chociażby pośrednio wspólnego nie posiada—na prowadzeniu zatem instytucji powierzonej mu nie zna się; wszelka więc nawet możliwość kontroli z góry absolutnie jest wyłączoną.

Wszystkie zarzuty szczegółowe dadzą się sprowadzić do tych dwu ogólnych i naczelných. Te jednakowoż nietylko polegają na subiektywnej wiadomości niżej podpisanego, ale, ze względu na powagę, kompetencję i odpowiedzialność przytoczonych świadectw mogą być uważane, nawet przed zapowiedzianą odpowiedzią Rady, za obiektywnie stwierdzone. Owóż nie taimy, iż uważamy je za nader ciężkie, bodaj że poważniejsze, aniżeli wszelkie

skiego. Artykuły lwowskiego *Słowa Polskiego* z 20—27 grudn. 1910 i 5—12 stycznia r. b., pisane przez b. bibliotekarza, p. Zygm. Wasilewskiego. Artykuły *Życia* w nr. VI, IX, XI r. b. Broszura p. t. „Sprawa rapperswilska,” zawierająca głosy b. bibliotekarzy: Stefana Żeromskiego, Wład. Kłyszewskiego, oraz dyr. Muzeum Narod. w Krakowie, d-ra Feliksa Koperę, wydana przez Stan. Szpotaińskiego, Kraków, *Życie*, 1911. Z powodu tej broszury głosy we wszystkich mniej więcej periodykach polskich: *Słowie*, *N. Gazecie*, *Kuryerze Warsz.*, *Gaz. Warsz.*, *Ziarnie*, *Gońcu*, *Czasie*, *Rzeczypospolitej*, *Prawdzie*, *Dz. Kijowskim*, *Gońcu Wileńskim*, *Słowie Polskiem*, *Świecie* etc.



z taką lub ową ostrością podniesione szczegóły. *Errare humanum est* i w niejednym na świecie muzeum mniejsze lub większe omyłki zdarzały się. Gorzej już i rzadszy to fakt, jeśli błędnym jest system. Ale najgorzej i bodaj wyjątkowo źle, jeżeli systemu zgoła niema. Brak kierownictwa i brak kontroli są niewypełnieniem przedwstępnego warunku, na którego podstawie istnieje instytucja i jej reprezentacja.

Stąd prosty wniosek, iż konieczną jest zmiana, a nawet reforma gruntowna położenia szkodliwego. W jakim kierunku i przez kogo reforma ta winna być dokonana? Zanim odpowiemy na pierwsze, zatrzymamy się nad pytaniem drugim: czy reforma Rapperswilu winna być dziełem wyłącznie z wewnątrz jej dzisiejszego kierownictwa wyszłym i czy tylko od jego rozstrzygnięcia zależnym? Przypnijemy otwarcie i zgóry, że gdyby tak być miało, nie zabieralibyśmy wcale głosu, gdyż być w chórze doradców Rapperswilu nie mamy najmniejszej pretensji. Uważamy natomiast, iż głosy opinii kraju mają dla Rapperswilu, w pewnej przynajmniej mierze, znaczenie głosów na równi z głosami w Radzie decydujących. I uważamy, że reforma i zmiana wyjść powinny ze współdziałania najzupełniej aktywnego Rady muzealnej i elementów kompetentnych z poza Rady, a mówiąc jeszcze wyraźniej: emigracyi i kraju.

W Radzie zarządzającej Muzeum Narodowem w Rapperswilu zasiada obecnie obok sześciu członków krajowych dziewięciu emigrantów od lat przecięciowo czterdziestu zamieszkujących na obczyźnie. Utało się tym sposobem ogólne w Radzie i poza nią przekonanie: Rapperswil jest instytucją emigracyjną, przez emigrację i dla niej założoną, przez nią dzierżoną i od niej zależną. Pięknie, tylko wszystko, od początku — prawie do końca, niezgodne z prawdą. Sytuacja, na której podstawie takie zrodziło się przekonanie, nie odpowiada ani charakterowi fundacyi muzealnej, ani obecnemu znaczeniu emigracyi w narodzie.

Hrabia Władysław Plater, w którego woli wykonaniu instytucja rapperswilaska istnieje, dla której wypełnienia i jedynie dlatego dobierani są radcowie, <sup>1)</sup> i która, aż do pewnej, przez niego

---

<sup>1)</sup> Akt donacyjny z 8 kw. 1873 ustanawia wyraźnie, dokąd trwać będą „rozporządzenia istniejące i dalsze... zgodne ze statutami“; „Zabezpieczenie na przyszłość Zarządu M. w R.“ akt najpierwszy, podpisany 25 marca 1875 przez Bukowskiego, Buszezyńskiego, Gillera i Kraszewskiego, mówi: „(zarząd) zachowa jak najwierniej nadany kierunek tej instytucji...“ To zobowiązanie jest

samego określonej wyraźnie chwili, obowiązywać nie przestanie, ustalił tę wolę swoją prawnie zagwarantowanymi aktami. Już odrazu pierwszy z donacyjnych aktów (18 lipca 1869) ustanawia „Polskę... prawnym sukcesorem.“ Po akcie drugim (23 paźdz. 1870), który wedle kompetentnego zdania był „najzupełniej dostatecznym dla zamierzonego celu, t. j. do przekazania prawa własności narodowi polskiemu,“ nastąpił 8 grudnia 1873 r. trzeci, w którym prawo to znowu stwierdzone zostało, jako donacya obowiązująca ofiarodawcę i jego spadkobierców. Wreszcie, wobec zjawionych tu i owdzie zastrzeżeń, dotyczących charakteru prawnego instytucji, nastąpiły w lipcu 1880 i kwietniu 1881 ostateczne pomiędzy hr. Platerem a gminą Rapperswilu zawarte prawne transakcye, do dziś dnia podstawę bytu i charakteru instytucji stanowiące. Wyznacza tu Wł. Plater swym „prawnym spadkobiercą Polskę,“ dobitnie i wyraźnie określając, „w jakim znaczeniu“ Polskę spadkobiercą swym czyni; niezależna zbiorowa wola jest wszędzie dla niego decydującym określnikiem, a musi ona w dodatku w pewne, zupełnie określone formy być odlaną, aby los instytucji zmienić, decydujące jej przepisy usunąć czy przetworzyć, właścicielem *de facto* się stać.<sup>1)</sup>

warunkiem prymordyalnym, przez powstającą Radę wobec Platera zaciągnięty i na podstawie przyjęcia tego warunku Rada jest kooptowaną.

<sup>1)</sup> Rozporządzenia i akta hr. Wł. Platera: Akt z 18 lipca 1869 podany wedle tekstu Estreichera („O R. głos drugi i ostatni“, Kraków, 1883, str. 16. Acte de fondation du Musée Hist. Pol., 23 oct. 1870: „cette institution, propriété nationale de la Pologne...“ Akt cesyi muz. nar. narodowi polskiemu, Zurych, 8 grudn. 1873; opinia d-ra Ullmera, wedl. tekstu *Kraju*, 17 grud. 1873, stwierdzającego od siebie, iż akt donacyi „bez przyzwolenia i przyjęcia donacyi ze strony obdarowanego... jest nieważnym.“ Akt odstąpienia Polsce na własność Muz. Nar. w R., R. 22 lipca 1880; Stiftungsurkunde, Rapp. 8—14 april 1881: „(Das Museum) wird in seinem ganzen Umfange u. Bestande von seinem Stifter... in dem Sinne zu Eigenthum der polnischen Nation bestimmt, dass dasselbe... als selbständiges Institut bestehen und verwalten werden soll mit dem Rechtscharakter einer Stiftung als juristische Person, begleitet von allen Rechten u. Verbindlichkeiten, welche einem solchen Rechtssubjekte nach den staatlichen Einrichtungen des Landes, in welchem dasselbe domizilirt, zukommen und obliegen... Das hist. poln. Nat.-Mus. wird als Rechtsinstitut im Sinne dieser Stiftungsurkunde in den Schutz der Gesetze und Behörden des Schweizerischen Kantons St.-Gallen gestellt...“ Tym aktem hr. Plater rozstrzygał ostatecznie podniesioną przez *Kraj* prawną wątpliwość, oraz kwestyę przeniesienia Muzeum w jego całości lub części poza granice republiki San-Galleńskiej.



W tem wszystkim niema ani jednego słowa o emigracyi, o żadnem specyficznem jej prawie względem Muzeum. Żadna część Polski nie jest tenataryuszem tej instytucyi o znaczeniu i charakterze powszechnym. Opiekunem całości, bezpieczeństwa, umieszczenia jej jest rząd szwajcarski. Administratora tylko, kierownika wewnętrznego poszukuje Plater wśród swych niewolnych współpraci. I — rzecz charakterystyczna — szuka go najprzód w kraju i gdy go tam, po niedość jeszcze wyjaśnionych i nawet całkiem niezrozumiałych, a niestety bezowocnych rokowaniach z Akademią Umiejętności nie znajduje, — wtedy dopiero zwraca się do chwilowych zresztą emigrantów, i to do takich przede wszystkim, jak Giller, Kraszewski — powszechnie krajowi znanych, dla kraju wyłącznie użytkujących swe siły, przed jego opinią bezpośrednio odpowiedzialnych. Tegoż samego ducha platerowskiego odnajdziemy od początku do końca we wszystkich prywatnych i publicznych enuncyacyach założyciela muzeum. Napróżnoby tam szukać, choćby w jednym akcie, w jednej choć mowie, określenia jakiegokolwiek specyalnej roli, wyznaczenia jakiegobądź specyalnego prawa emigracyi w stosunku do tej instytucyi ogólnonarodowej. Wprost przeciwnie, wszędzie określane, podkreślane jest ogólnokrajowe i nawet specyalnie krajowe — w przeciwieństwie do emigracyjnego — stanowisko Platera. 16 sierpnia 1868 r. odsłonięty zostaje w Rapperswilu pomnik setnej rocznicy — kolumna Baru: jest to niejako kamień fundacyjny Muzeum samego; Muzeum to, zapowiedziane w „sprawozdaniu z wzniesienia pomnika,“ jako „własność narodowa Polski,“ ma razem z nim „reprezentować ideę“ — narodową. Z pod pióra Kraszewskiego wyszła następnie odezwa („Do współobywateli Polaków w sprawie Muz. Narodowego,“ 1870), wzywająca do założenia na tym dalekim, alpejskim gruncie „moralnego obozu dla narodowości naszej.“ „Zakład pamiątek narodowych w Rapperswilu — kończy ten dokument — sumieniu i godności narodowej polecamy.“ W „Odezwie do artystów polskich“ (10 gr. 1870) stwierdza Plater, iż to „ognisko narodowe... założone głównie pracą i ofiarami jednostki, musi z natury swojej znaleźć ogólne poparcie w kraju, jako własność narodowa“ jego całości. Drugie zdanie sprawy (26 mar. 1871) uwyrażnia to określenie: „Muzeum jest to wierny obraz przeszłości i terażniejszości narodu; historia, archeologia, etnografia, wszelka umiejętność, literatura, sztuki piękne mają w niem swych reprezentantów. Jest ono ogniskiem patriotyzmu i narodowości Polski, propagandą nieustanną jej idei..., przechowaniem starannem jej penatów, gromadzeniem na polu naukowem,

ponad stronnictwami politycznymi żywiołów odrodzenia państwowego.“ Podniesiona przez Platera wielokrotnie idea państwa z ducha spokrewnia go z rówieśną mu wielką emigracją polską we Francji; powolne składanie się całych pokoleń na gmach pracy narodowej przypomina nam równocześnie prawie w kraju zapanowujący program pracy organicznej; od wolnościowych popędów trzeciego lat dziesiątka do pozytywizmu żaden prąd umysłowości i polityki obcym nie jest tej otwartej i kulturalnej indywidualności polskiej; ale od żadnego z tych prądów, ani od żadnej części kraju nie uzależnia on instytucji przez siebie utworzonej, rozumiejąc ją właśnie na sposób nawskroś nowożytny, przedewszystkiem jako przybytek nauki, „firmę naukową polską przed światem.“ Rzecz charakterystyczna: Plater był sam głęboko religijny i gdzie tylko mógł, nadawał idei polskiej, sprawie narodowej bardzo określony, mocnie konsekwentny charakter wyznaniowy; jednakowoż umiał ustrzedz się od narzucenia instytucji muzealnej tego zabarwienia, i w żadnym miarodajnym akcie, dotyczącym Muzeum nie znajdujemy pod względem przeznaczenia, misyi, „posłannictwa“ ani jednego słowa w tym kierunku. Wszędzie mówi o całym narodzie, jakimkolwiekby on miał być, w co bądź by wierzył. Cała inicjatywa Platera nosi charakter wysokiej i rzetelnej kultury. On sam jeszcze z tamtej, z wielkiej emigracji wychodzący, miał pewnie wszelkie prawo za jej spadkobiercę, za emigranta *par excellence* siebie uważać. Ale on właśnie raz jeszcze kulturę tamtej emigracji stwierdza, jedyną jej rolę dostrzegając w służeniu krajowi. Raz tylko miał sposobność wypowiedzieć się bezpośrednio o stosunku instytucji muzealnej do emigracji: uczynił to dobitnie, bez ogródek, niedwuznacznie. „Nie przyznaję prawa—pisze on wyniośle do przyzywających go przed swój sąd Zuryszan <sup>1)</sup> — żadnemu kółku, lub towarzystwu

<sup>1)</sup> W liście do komitetu zuryskiego, 12 marca 1884 r., „Głos polski zbiorowy w sprawie narodowego muzeum w Rapperswilu,“ brosz. wyd. przez komitet zuryski, podpisana przez L. Michalskiego i T. Witkowskiego, Zurych, 1884, str. 36. Por. tak samo stanowcze zdanie, tym razem nie do muzeum się odnoszące, w liście do redaktora pisma emigr. w r. 1869 pisanym, a cytowanym przez Wasilewskiego w broszurze: „Rzut oka na dzieje Muz. Nar. w R.,“ Kraków 1894, str. 31: „zdaniem mojem kadr emigracyjny jest zaciasny; organ ten nie powinien być emigracyjnym, lecz narodowym polskim, echem opinii publicznej kraju naszego, nie zaś garstki, rzuconej na obcą ziemię.“ Słusznie konstatuje autor broszury, iż Plater stosował pogląd ten i do Muzeum, chcąc w niem widzieć „organ krajowy na obczyźnie.“



polskiemu na obczyźnie mięszać się do administracji zakładów narodowych... Emigracja jest częstką narodu polskiego, ale żadnego przywileju działania w imieniu kraju i charakteru urzędowego nie ma i własność całego narodu bynajmniej nie jest jej wyłączną własnością; należy mieć pojęcie jasne o rzeczy i nie przekraczać naturalnych granic.“

Nieco długie niniejsze historyczne dociekania mogą posłużyć do wyciągnięcia niejednego wniosku i na nich dopiero się wsparłszy, można mówić o racyi bytu i o przyszłości muzealnej instytucyi. Wnioski te przeto, zdaniem mojem zasadniczo ważne, postaram się ściśle sformułować:

1. Muzeum rapperswilskie nie jest emigracyjną instytucją; należy do narodu; Rada ma li-tylko mandat administrowania; opinia kraju winna być dla niej rozstrzygającym o działalności czynnikiem.

Emigracja polska, o ile jest wyrazem całego narodu, mogłaby spełniać przy Muzeum rapperswilskiem pewną część funkcyi. Oddanie jej, jak dzisiaj, większości w Radzie, jest w każdym razie nadużyciem. Lecz pytać się godzi: co tutaj wogóle znaczy, co wogóle czyni ta — rzekomo z przed pięćdziesięciolecia — emigracja, właściwie złożona z rozmaitych napływowych polskich elementów różnej epoki i miary? Zdarzyło mi się niedawno słyszeć zdanie: emigracja siódmego dziesiątka lat była od początku karykaturą emigracyi po r. 1831, obecna — jest już tylko karykatury tej nową... karykaturą. Należy więc istotnie nie przekraczać naturalnych granic: w szczególności zaś w drażliwej materyi opinii. Ciekawym przykładem sam Plater, ów bezwzględnie i idealnie oddany i ofiarujący się swej idei człowiek, który, widząc na siebie wylwane całe kubły oszczerczych wymyślań — zdroźnie i niesłusznie — oraz wysypywane całe wory zarzutów krytycznych — zawsze, jak każda krytyka, potrzebnie i w zasadzie słusznie — nie milczał, ani też gromami ciskał, ale z zimną krwią, punkt po punkcie, odpowiadał, roztrząsał — zawsze natychmiast reagował, w papierach swoich niezliczone zostawiając ślady nieustannej swojej o opinię troski.<sup>1)</sup> Plater, założyciel i ofia-

<sup>1)</sup> Z platerowskich dyskusyj o Rapperswil wymienimy: Głos w *Czasie* krak. z 2 października 1872 r.; „Odpowiedź Dziennikowi *Czas* Prof. Duchńskiego, konserwatora Muzeum Nar.,” Zurych, 1872; „Dziennik *Czas* i Muzeum Nar. w Rappers., przez założyciela tego zakładu,” Zurych, 1872 r.; dyskusya z K. Estreicherem: (Estreicher) „Pan Konstanty Schmidt Ciężyński i jego

rodawca, istny zresztą „dyktator“ w Muzeum, ten, co pozyskał Bukowskiego i jego nieskończone dary, co wykupił zagrożone nieoszacowane, cudowne zbiory Leonarda Chodźki, zbiory Barwińskich, co uzyskał wielki testament Krystyna Ostrowskiego! Przykłady niektóre idą w las, inne się rozpleniają. Od naoecznych świadków słyszałem o uroczystościach rocznicowych, przez Platera ku podziwowi nadbrzeżnego ludkowie wyprawianych: statki z chorągwiami, salwy rusznicowe, bodaj jezioro zuryskie na uroczystość amerykańską rzeźsicie iluminowane... Na środku jedynej wówczas muzealnej sali fotel—rodzaj tronu niby—na którym, gdy się skupiło już wokrag sąsiednich władaczów grono, wasalów liczna czereda i sług ciżba, pan domu zasiadał uroczystość i rzecz z namaszczeniem poczynął.

Zgasły już oddawna te nad zuryskiem jeziorem oświeceni, ścihły salwy i już nie wieją sztandary — i lepiej tak najpewniej. Pozory i fikcy, władzy rzeczywistej ani zastapia, ani stwora.

2. Rada muzealna nie posiada prawa przenosić instytucyi gdziekolwiek bądź, czy to do kraju, czy w inne miejsce za granicą.

Plater pisał (w odpowiedzi Estreicherowi, 5 lutego 1884 r.): „Twierdzenie, jakoby... zbiory miały być ofiarowane Akademii krakowskiej, oparte jest na dowolnem a fałszywem zrozumieniu pisma urzędowego... które świadczy, iż w razie śmierci założyciela Muzeum, opieka tylko nad instytucją mogła być Akademii powierzona, ale nie własność jej przekazana...“ Ta sama miara stosuje się w intencji założycielskiej do ustanowionej w końcu Rady: nie jest rozrządzielką, lecz administratorką zbiorów; nie jest w żadnej mierze właścicielką, lecz jedynie tylko czasową opiekunką instytucyi. Warunki woli fundatora są nietylko racją jej istnienia, ale i wskaźnikiem granic jej postępowania. Owóż fundator wskazał wyraźnie i ściśle jedyny czynnik, mogący o losie i o pomieszczeniu i przeniesieniu zbiorów stanowić—a czynnikiem tym nie jest przecież Rada — i nie rości sobie pretensyj

---

zbiory,“ Kraków, 1883; „W obronie prawdy i własności narodow., odpowiedź p. E. przez jednego z urzędników Muz. Nar. w Rap.“ (Gillera?), Paryż, 1883; Estreicher, „O Rapperswilu głos drugi i ostatni,“ *Czas*, z 30 paźdz.—4 list. 1883, oraz odb. Kraków, 1883; „Muz. Nar. w Rap., Oświadczenie“ (Platera) hektogr., 5 lut. 1884, Odpowiedź (Platera) na list Lenartowicza (autogr.) 7 marca 1884; art. K. Estreichera w *Czasie*, 1889 № 225 „W sprawie Muz. Rapp.“ przez dyr. Józefa Gałęzowskiego, Paryż (dr. Reiffa), 3 września 1889; „W sprawie Muz. Rapp.“ (list H. Bukowskiego), odb. z *X. Reformy*, 1889.



takich. Druga z umawiających się stron—gmina rapperswilska—ma również prawo, w granicach umową przepisanych, więc za 57 lat, o tem słowo swoje wyrzec. Do tego czasu gminie tej i rządowi republiki przysługuje piecza nad całością i nienaruszalnością zbiorów narodowych polskich w Rapperswilu. Czyżbyśmy sobie naprawdę życzyli, aby rząd szwajcarski zyskał powód interweniowania w tej mierze — przeciw nam? Takby się zdawać nam mogło, kiedy czytamy § 16 obowiązującej, przez Radę uchwalonej ustawy: „Rada muzealna ma prawo przenieść Muzeum w inne miejsce, w kraju lub za granicą, na mocy uchwały trzech czwartych wszystkich głosów.“ Paragraf ten jest wyraźnym zaprzeczeniem woli Platera, jest nawskroś bezprawnym i najzupełniej nieformalnym. Rada nie ma prawa przeniesienia Muzeum; Rada winna się stosować w tej mierze do określonych warunków woli Platera — albo rację bytu swego traci i Radą być przestaje. Snadź już przyzwyczajeniem się stało przestępowanie „naturalnych granic.“

3. Biblioteka jest integralną częścią muzeum. Podział na część muzealną i biblioteczną jest wewnętrzną sprawą instytucji, rzeczą jej wewnętrznego regulaminu. Przeniesienie biblioteki czy innej części Muzeum nie należy do atrybucji Rady i przez nią nie może być dokonaniem.

Zdziwienie ogarnia, skąd mogła powstać, zaś tembardziej, jakim sposobem zdołała się ustalić w łonie samej Rady muzealnej kwestya podzielenia instytucji i przeniesienia biblioteki do kraju. Istotnie, jeżeli myśl przeniesienia całości zbiorów, podnoszona raz po raz w Galicyi, świadczy tylko o nieznanym podstawowych przepisów, rządzących fundacją Platera, to pomysł przeniesienia ich częściowego grzeszy nietylko już tą nieświadomością, lecz nadto nieobeznaniem zupełnem z wewnętrznym charakterem i zawartością instytucji. Nietylko we względzie formalnym prawa, ale i dla samej natury rzeczy muzealnej, niewolno jest jej dzielić i przeniesienie części, w szczególności bibliotecznej, jest prawnem i faktycznym niepodobieństwem. Prawnem przedewszystkiem, bo w tej instytucji, chociażbyśmy się z jej obowiązkami prawa moralnego przestali liczyć, pozostaje jeszcze druga, do przelamania równie trudna obręcz praw kraju, którego prawnej opiece zakład jest powierzony. A nie sądzimy, aby można i aby łatwo było chociażby najsympatyczniejszemu obcemu rządowi powierzyć rozstrzygnięcie naszej wewnętrznej kontrowersji, dotyczącej naszej własności. Sama więc możność takiej właśnie

apelacji winna uniemożliwić najdrobniejsze choćby przestąpienie prawa. Naiwnością byłoby chcieć albo dać wnówić w siebie, że istnienie integralnej części Muzeum podlega innym przepisom, aniżeli jego całość. Owóż biblioteka rapperswilska stanowi integralną część zbiorów muzealnych: tak rozumiał tę rzecz Plater, wyraźnie, niedwuznacznie zastrzegając w cytowanym wyżej Akcie założenia nienaruszalność Muzeum w całkowitym jego zakresie oraz składzie, traktując stale w sprawozdaniach rocznych, od decydującego w tym względzie sprawozdania z 1871 r. począwszy, zbiory biblioteczne, jako składową część całości; ta tradycja utrzymywała się w sprawozdaniach z czasów poplaterowskich; podział Muzeum na bibliotekę i muzeum właściwe nie polega wcale na ustawie, zawierającej tylko (§ 2) dział biblioteczny, jako piąty z rzędu, obok archeologii i numizmatyki, pamiątek, etnografii, zbiorów artystycznych: — jest to więc ogólne tylko wymienienie kwalifikatywne rodzaju przedmiotów, nie zaś formalne—podziału instytucji, i potwierdza jeno raz jeszcze integralną łączność biblioteki z całością; podział instytucji formalny opiera się wyłącznie na Regulaminie wewnętrznym (§§ 52—67, przechowywanie i wystawianie zbiorów; więcej powiem: podział istniejący w rapperswilskiej instytucji nie był uwarunkowany charakterem samych zbiorów, ale okazyją wewnętrznej administracyjnej konieczności; dowodem tego włączenie części zbiorów artystycznych (fotografie, sztychy etc.) do biblioteki; dowodem również charakter bibliotekarza, wprzód jako pomocnika kustosa, później dopiero, i dla czysto wewnętrznych, administracyjnych racyj, na samodzielne stanowisko awansowanego. Możnaż więc w przypadkowy sposób oddzieloną, integralną część zbiorów muzealnych erygować obecnie w instytucję, stanowiącą osobną całość? Możnaż z regulaminu wewnętrznego użytkownika tworzyć nowe prawa, bytu instytucji dotyczące? Muzeum rapperswilskie stanowi wogóle całość nadwyzczaj trudno podzieloną: jest to kompleks, gdzie przyjęcie przedmiotów określa się zwłaszcza nie ich wartością bezwzględną, lecz ich pochodzeniem: pewną epoką i stosunkami: porozbiorowym czasem dziejów naszych i pewnymi, szczególnymi jej stosunkami. Gdzie granice ustanowić między przedmiotem bibliotecznym a muzealnym? Przedsięwzięcie to nader delikatne, dokonane być musi nadewszystko przez ludzi kompetentnych— a więc nie przez obecną Radę muzealną. Przedsięwzięcie jednakże bodaj czy wogóle możliwe, ustanowienie granicy chyba całkiem niepodobne. Oto zbiory sztychów, należące do zakresu zarządu biblioteki—a zauważmy mimochodem, iż są tam



wielkie i donośne zbiory Norblina, Falka, Hondiusa, Płońskiego, Norwida, Oleszczyńskiego i innych — i jeżeli do biblioteki należą, jak oddzielić zbiór sztychów właściwy od szeregu wystawionych? Jeżeli zaliczyć wszystkie — olbrzymia i jedna z najcenniejszych części muzealnych przyłączona będzie do biblioteki i skazana na równie bezprawne z Rapperswilu wygnanie. Oto stanowiące osobną całość archiwum biblioteczne: jeśli je do biblioteki zaliczymy, tedy by dodać do nich należało wystawowo tylko oddzielone archiwa Mickiewicza i Kościuszki; tak samo, jak do biblioteki respective do sztychów zaliczyłyby należało główną część zbiorów, Mickiewiczowi, Kościuszcze, Kopernikowi poświęconą, wielką i może najwspanialszą część Muzeum. Jeżeli archiwum od biblioteki oddzielić — to gdzież ustanowić granicę między niemi? Czy unikat druczek emigracyjny, odezwa z 1846 lub 1863 roku nie jest przedmiotem archiwalnym? Czy istniejący w paru lub kilku egzemplarzach na świecie komplet pisma emigracyjnego lub powstańczego należy do archiwum, czy do biblioteki? Więc jaki znowu w bibliotece samej podział przeprowadzić i wedle jakiej zasady? Winszuję temu, kto te trudności rozcinać będzie, instytucyi też, podległej cesarskiemu cięciu. Istnieją inne racye, przeniesienia biblioteki wzbraniające; nie zatrzymujemy się na już przedyskutowanych; stwierdźmy, że w kwestyi pożytku biblioteki w kraju lub zagranicą zdania są podzielone i wyrównywują się mniej więcej; stwierdźmy, nie zagłębiając się bliżej w tę materję drażliwą, iż w sporze o bibliotekę pomijane zostaje zupełnie prawo Warszawy. Ale ośmielę się wypowiedzieć publicznie względ rzeczowy, kwestyonujący absolutnie wszelką myśl i próbę tych zbyt łatwo przedsiębranych przenosin. Ze stanowiska obeznanego do gruntu z archiwum rapperswilskiem zmuszony jestem zaświadczyć — i świadectwo gotówem każdej chwili przed kimś miarodajnym faktami stwierdzić — iż w archiwum tem, nawet poza jednym specjalnym działem, którego przenoszenie byłoby przestępstwem publicznem, znajdują się pisma wartości historycznej dużej, zaś takiej treści i z takiego czasu, iż żaden rząd — nawet dzisiejszy czy jutrzejszy austriacki — nie dopuściłby conajmniej udostępnienia tych aktów, kompromitujących sprawy jeszcze żywe. W interesie ogólnym naszym będące udostępnienie należących do nas historycznych danych zmusza mnie do tego stanowczego i publicznego protestu przeciw ruszaniu archiwum tego z zabezpieczonego raz na zawsze miejsca. Sądzę zaś, że nikt się nie poważy oddzielać rapperswilską bibliotekę od archiwum. Sądzę w końcu, że ruszanie czegokolwiekbądź z Rapperswilu może na-

stąpić jedynie na podstawie regulaminu wyłączenia ze zbiorów (§§ 38—40 Regul.): nie przewiduje on możliwości wyłączenia przedmiotów z „zakresu Muzeum.“<sup>1)</sup>

4. Atrybucye Rady Muzealnej winny być ograniczone przez lub też na rzecz kompetentnych.

Kierownicza i rozstrzygająca rola dawnej emigracji w Radzie muzealnej winna ustać, jako nieodpowiadająca ani dzisiejszemu jej znaczeniu w narodzie, ani kompetencyi naukowej ludzi ją składających. Opinia kraju winna odzyskać w stosunku do Rapperswilu to znaczenie, jakie jej z prawa i z ducha tej instytucji przynależą. Surowa krytyka rzeczowa, jaka się w ostatnich czasach zjawiała w prasie, musi być w osobach jej rzeczników dopuszczona do pracy ku sprawdzeniu podniesionych zarzutów podjętej. Praca taka musi z jednej strony położyć kres obecnej sytuacji, t. zn. skontrolować niekontrolowane i niefachowo prowadzone Muzeum, z drugiej zaś—ustanowić kontrolę, a co za tem idzie, fachowe kierownictwo na przyszłość. Konieczność powołania ludzi, powszechnie zaufanie w kraju mających, oraz także kompetentnych fachowców do udziału w kierownictwie muzealnym, jasno z tego, co powyżej, wypływa.

Nie pójdziemy jednak dalej w rzeczy, która do naszej kompetencyi nie należy, rzekliśmy się bowiem z góry roli doradczej wobec wewnętrznych postanowień Rady, jak również jakiegokolwiek za nie współodpowiedzialności. Ograniczymy się na trzech zamykających rzecz uwagach. Co do odpowiedzialności: przyznajemy, iż formalnie Rada rapperswilska przed nikim odpowiedzialną nie jest; lecz jeśli w dalszym ciągu wbrew dobru instytucji na swem emigracyjnem stanowisku się uprze, jeżeli głosów z kraju nie rozważy i nie posłucha, jeśli wreszcie na seryo o zajęciu się Muzeum rapperswilskiem nie pomyśli, to nietylko zaprze się racyi swego istnienia — fundacyi i idei platerowskiej, ale zniweczy możność własnego istnienia: zniszczy instytucyę,

---

<sup>1)</sup> Przeniesienie zbiorów bibliotecznych do kraju, proponowane od lat kilku, było już raz przedmiotem pertraktacyi Rady miasta Lwowa z Radą Muz. Rapp., która podówczas w sposób stanowczy odmówiła wszelkim propozycjom krajowym. Na ostatniem zebraniu Rady postanowione zostało w zasadzie przeniesienie biblioteki do Lwowa, wskutek tej decyzyi rozpoczęto rokowania z przedstawicielami Rady miejskiej, które naturalnie do żadnej umowy, ani nawet do żadnej decyzyi konkretnej doprowadzone być nie mogą przed ściśle określoną decyzją Rady o tem, co się właściwie przenosi.



gubiąc jej zawartość, kwestyonując jej powagę, podkopując jej byt. Co do funduszków, sądzimy, iż najprzód kraj musi widzieć na czele instytucji więcej ludzi, których działalność, których kompetencję nadewszystko, zaufaniem będzie mógł obdarzyć, zanim do tej ostatniej i gotowej rezerwy—funduszków krajowych—sięgnąć będzie wypadało; zrozumiała to widocznie Rada muzealna, kiedy z powodu rzekomego braku funduszków pozbyć się biblioteki zamierzająca, do kraju się przecież i o pomoc do składek nie zwróciła; rozumiała brak zaufania ją otaczający, jeno nie umiała stosownego zeń wyciągnąć wniosku. Co do polityki, radziibyśmy się zastrzedz, iż według nas wszelka polityka wewnątrz Muzeum i jego Rady—konserwatywna, narodowo-demokratyczna, radykalno-ludowa czy socjalistyczna—powinna być stanowczo i bezwzględnie usunięta; Muzeum, wedle wskazania platerowskiego, winno pozostać zawsze ponad i poza stronnictwami. Zwracać się należy o poprawę i ratowanie Muzeum nie, jak to dotychczas w Radzie czyniono, do polityków, lecz przedewszystkiem do ludzi nauki i kultury.

\*

\*

\*

Drugie pytanie, jakie postawiliśmy sobie na wstępie do uwag niniejszych, brzmiało: w jakim kierunku pójść ma reforma Muzeum rapperswilskiego? Owóż i w tym przedmiocie, nie chcąc wykraczać poza ściśle i bezwzględnie sobie postawione granice obiektywnych stwierdzeń, nie będziemy wchodzić w szczegóły krytyczne obecnej sytuacji muzealnej: częściowo zostały one już tu i owdzie wytknięte; kompletnie mogą być zbadane, zestawione i sformułowane dopiero na podstawie przeprowadzonego badania i kompetentnej kontroli. W szkicowej naszej pracy niniejszej, zaledwie zachętę — i może wstęp do takiego fachowego memoriału stanowiącej, poprzestaną na ogólnych liniach wytycznych, na zobrazowaniu tych chęci, z jakimi w mury zamku rapperswilskiego wkracza człowiek, obeznany zarówno z ideą fundacji, jak z zadaniem i celem Muzeum narodowego zagranicą.

I. Sień muzealna winna być od prywatnych ubikacyj—jeśli już to *malum necessarium* tolerować wypada, ściśle oddzielona;

powinna być, razem z wszystkimi lokalami Muzeum utrzymywana w schludności odpowiedniej (§ 15 regulaminu); w żadnym wypadku służyć nie może za skład dla niepotrzebnych w Muzeum i przeto w niem nieumieszczonych przedmiotów, jak np. gipsów (memo-ryał d-ra Dobrzyckiego). Sień ta, zazwyczaj mroczna i pomura nadaje się do skromnej, do nielicznych przedmiotów ograniczonej wystawy pamiątek (Odezwa Zarz. Muz. Nar. w Rap., dotycząca pamiątek, podp. 15 paźdz. 1878 r. Wład. Plater — odezwa, która nie przeszła w zbiorach rapp. bez echa). Niechaj przechodzień—rodak pozna, do jakiego domu wchodzi. Niech cudzoziemcowi, tych rzeczy nieświadomemu, uśmiech lekceważenia zawczesnych tutaj, na samym progu, zaraz na ustach się zimrozi. Skromni bowiem jesteśmy i ubodzy, ale niewolno inaczej, jak z powagą, zbliżyć się ku dostojności naszego losu...

II. Sale muzealne powinny (§ 1 ustawy Muz., por. także artykuły Wacł. Karczewskiego) być relikwiarzem pamiątek pewnego okresu dziejów naszych oraz przedstawieniem kultury naszej wobec obcych. Dwa tu wyjścia: albo w Rapperswilu bogactwo i wielkość kultury polskiej reprezentowaną być wogóle nie może — i w takim razie szczerze i otwarcie zaniechajmy drugiego celu; albo też — i takim jest przekonanie piszącego — prezentować się tutaj możemy — i w takim razie czynmy to w sposób naukowy, odpowiadający kulturze naszej, zarówno jak poziomowi instytucji kraju, w którym jesteśmy. Minęły zaiste i dalekie są od nas te czasy, gdy Plater ze słuszną dumą wskazywał na przykład przez Szwajcarów brany z urzędzenia historycznego Muzeum polskiego! Stały po kolei okazałe gmachy muzeum w Bernie i Solurze, ofiarowano narodowym pamiątkom piękny franciszkański gotyk Bazylei, urządzono wreszcie z całym nowożytnym przepychem wiedzy, techniki i sztuki wielkie narodowe muzeum zuryskie. Dzisiaj tylko uczyć się tutaj możemy i musimy. I imponować trudno, lecz to, co mamy, wystawmy godnie. Sądzę, że dałaby się złożyć sala XVII stulecia, z portretem ciekawym Batorego, z portretem Władysława IV, nie Rubensa najpewniej, lecz w każdym razie nie najgorszego pędzla; z poważnym zbiorem monet polskich, z wystawą opraw, gdzie jaśniałyby wspaniałe tłoczone skóry bibliotek królewskich, z wystawą sztychów i druków, które bodaj na małą wystawę dziejów polskiej sztuki drukarskiej złożyćby się mogły, wreszcie z niezliczonymi okazami poloniki szwedzkiej, wprost wspaniałe tu reprezentowanej. Sala XVIII w. musiałaby, ze względu na sam cel Muzeum, być poświęconą epoce odrodzenia, latom 1768 i 1794: w tym dziale



jednak obok autografów, portretów, cennych książek jaśniałaby piękna kolekcya kościuszkowska. Układ XIX wieku odpowiadałby pierwszemu głównemu celowi Muzeum—byłby relikwiarzem pokoleń, wyszłych po walce na zagraniczną tułaczkę. Lata 1831 i 1863, jak to już gdzieindziej (W. Karczewski) podnoszono, reprezentowałyby tu, dzień za dniem, sztych, broń, mundur, order, portret, medalion, gazeta, ulotne pismko, autograf rzadki, unikat-pamiątka. Rok 1831 i jego emigracya zajmować powinny główną muzealną salę, bodaj zaszczytnem nazwiskiem Leonarda Chodźki określoną.

III. Galerya obrazów, jeśli nie odpowiada żadnemu z dwu naczelných zadań Muzeum — tak zaś jest obecnie — istnieć, jako taka, nie powinna. To, co jest wartościowego, można umieścić w skromny i bezpretensjonalny sposób—a wtedy najpewniej kilka wybitnych i pięknych dzieł zasłuży na uwagę należną. Obrazy winny być zawieszane na sznurach, broń zaś etc. na pokrowcach lub listwach (§ 55 Regul.).

IV. Kilka uwag ogólnych: meble, albo do epoki zastosowane, oryginalne i cenne, lub też najprostsze, żadnych pretensyj do oka nie mające; fotografie, dopuszczalne jedynie jako wyjątkowa pamiątka, a czasem jako komentarz; zresztą, wraz z poślednimi drzeworytami winny być absolutnie usunięte z wystawy, którą swobodnie tworzyć mogą najpierwszego znaczenia rysunki i sztychy. Fotografia zabija obok wiszący, choćby najlepszy, sztych. Galerye schodowe i przechodnie należy ozdobić wyłącznie interesującymi nader pięknymi okazami sztychów, ukrytych w skatułach Muzeum. Ściany Muzeum nie powinny stanowić sobą muzealnego przedmiotu i nie powinny stanowić fałszywej dla wystawionych przedmiotów dekoracyi: winny być zaciągnięte jednym, jasnym, nierażącym kolorem, bez deseni i t. p. ozdób. Tu z konieczności nader przykra nasuwa się kwestya: zamalowane winny być stanowczo jaknajprędzej freski, które wewnątrz gmachu tak niezmiernie szpecą, a do tego nie są polskie, ani pamiątkowe; nawet gdyby dopłacano Radzie, nie należałoby na nie zezwalać, ani dozwolonych — tolerować. Muzeum powinno być skatalogowane i zinwentaryzowane (§§ 41 — 48 Regul.). Regulamin wewnętrzny istniejący powinien obowiązywać *de facto*; owóz wszystkie w niniejszych czterech punktach wymienione jego paragrafy są uważane obecnie za nieistniejące, co każdy z łatwością może sprawdzić. Przedmiotów wystawionych jaknajmniej, lecz za to wystawić co najlepsze; wszystkie śmiecie już wedle brzmienia samego Regulaminu (§ 53, *curiosa*) winny być zgrupowane najzu-

pełniej oddzielnie; mojem zdaniem, usunięte przede wszystkim z przed ludzkich oczu. Wymieniamy tylko najprostsze i niekosztowne środki — warunki jednakże konieczne, bez których Muzeum żyć nie może. Dopiero na tym odnowionym gruncie coś twórczego w przyszłości budować będzie sposób. Nie wdajemy się w marzenia — i nie wracamy do pięknych przecie i potrzebnych idei platerowskich: stacyi naukowej przed Europą, przedstawicielstwa z ducha. Od porzrzucanych okruchów dzisiejszej rapperswilskiej rzeczywistości, jakżeż daleko do tego idealnego gmachu, dla nas gotowanego w przeszłości. Jeśli jednak wykonać zadania nie jesteśmy w stanie, ani prowadzić dalej platerowskiego dzieła, umiemy je przynajmniej, zachowując, uszanować. Godność i powaga, porządek i skromność powinny panować bezwzględnie od końca do końca wystawy muzealnej. Tutaj, w całym tym kraju, jak dojrzeć, naokoło domki chłopskie o niewymownej czystości, prostocie i wdzięku. A już nade wszystko każdy gmach publiczny jasnością, prostotą i spokojem urządzenia, wzorowym porządkiem zdaleka świeci. Ze wstydem wyznać muszę, iż Polak, przyjeżdżający do Rapperswilu w położeniu jego obecnem, dużo więcej potrzebnych dlań rzeczy nauczyć się może w postawionej tuż obok zanku nowej wspaniałej szkole gminnej, aniżeli we własnem narodowym Muzeum. A cudzoziemiec? Cóż zaś mówić o Szwajcarach — o synach tego kraju o wysokiej kulturze publicznej, ale nade wszystko o wybitnie mocnym i samorodnym stylu życia i samodzielny myślenia sposobie? Jesteśmy tu egzotycznym okazem.

Przed czterdziestu ośmiu laty mówił o nas wróg, i to jeden z najjadowitszych, Fjodor Michajłowicz Dostojewskij (Arch. rapp.): „Polacy mają prawo poczytywać siebie za lud europejski, mają prawo obywatelstwa w tym świecie cudów świętych, w Zachodzie wielkim, tworzącym szczyt ożywczy historii ludzkości...“ Po tylu latach nie zadawajmy Rapperswilem przeciw tej opinii obcej o nas, przeciw sobie samym, przeciw wiekowo-głębokiej kulturze i myśli polskiej — publicznego kłamu przed Europą.

MICHAŁ SOKOLNICKI.



# PRZED PÓŁ WIEKIEM

Wspomnienia z czasów uniwersyteckich.

## III.

Wróciwszy z wakacyj, rozpocząłem pracę na zadany temat z zoologii. Nieszkowski już był rozpoczął pracę z zakresu paleontologii, nie mieliśmy czasu na branie udziału w życiu społecznym, przytem zajęcia w klinice, w laboratoryach, w bibliotece pochłaniały wszystkie chwile, wolne od słuchania wykładów. W każde święto musiałem robić wycieczki bliższe lub dalsze, w celu zbierania materiału ichtyologicznego, potrzebnego do pracy rozpoczętej. Wypadki różne biegły koleją, wpływając w większej lub mniejszej mierze na stosunki nasze uniwersyteckie i towarzyskie, wypadki najważniejsze przytoczę tutaj.

Umarł kurator generał Kraftström. Polacy brali udział w uroczystości pogrzebowej; wystrojeni w mundury pełniliśmy straż honorową u katafalku generała, nieśliśmy go na barkach czas jakiś, wypowiedziano mowy pogrzebowe, wychwalając jego zasługi, gdy go pochowano z paradą w grobowcu, widzieliśmy w parę tygodni potem napis kredą kreślony „Ilm gut und uns besser.“ Dostaliśmy nowego kuratora v. Bradke'go, cywilnego, małego, niepozornego — ustały szykany pedelowskie, mniej zaczęto zważać na guziki.

Drugi wypadek stanowiła śmierć kolegi Grygowicza. Młody chłopak, żywy, zdolny, obiecujący, zachorował raptownie, dostał silnego krwotoku z nosa, założono tampony, zasnął, nazajutrz z rana już nie żył. Można sobie przedstawić poziom wykształcenia przyrodniczego ówczesnej naszej polonii z tego faktu, że nie pozwolono na sekcję, jakkolwiek prof. Erdmann gorąco o to pro-

sił. Pogrzeb urządzono wspaniały, niesiono trumnę na barkach drogą przez most kamienny, którą mieli prawo wędrować na cmentarz umarli ze stanu szlacheckiego i urzędniczego, gdy przez most drewniany prowadzono konduktę mieszczańskie obrządku prawosławnego i luterńskiego, zaś przewozem na łodzi transportowano umarłych mieszczan starowierców. Takie zwyczaje średniowieczne przechowywały się podówczas w mieście uniwersyteckiem, niestety! Medycyna, a zarazem i nauki przyrodnicze uważane były za gałęzie wiedzy pośledniejszego gatunku, arystokracja rodowa polska i niemiecka nie pozwalały synom swoim studiować medycyny. Pamiętny nam był list matki Witolda Z., w którym pisała, że nigdy żaden Z. nie skalał swego imienia rznięciem trupów, stawianiem baniek i krwi puszczaniem, więc sądzi, że i syn jej znajdzie szlachetniejsze i godniejsze swego nazwiska przedmioty z zakresu wiedzy. Wszak masz tam dyplomację, pisała, kameralię, filozofię, historję. Syn poddać się musiał woli matki, porzucił medycynę i przyrodę, z wielką szkodą dla siebie i dla nauki. Taki przesąd przetrwał u nas aż do chwili obecnej. Widzieliśmy wprawdzie Tyzenhauza piszącego dzieła ornitologiczne, Lubomirskiego posiadającego zbiory mięczaków, ale to byli ludzie niefachowi, niewyszkoleni w kierunku przyrodniczym. Wstręt do nauk ścisłych, doświadczalnych wytwarza u nas nastrój ogólny wielce niskiego poziomu przyrodniczego.

Trzeci wypadek był wyjątkowy w świecie uczonym dorpacim. Mieliśmy profesora terapii i kliniki, d-ra Alberta Krauzego. Wykłady jego nie odznaczały się niczem szczególniejszem, klinikę prowadził dosyć niedbale, na poliklinice pozwalał praktykantom zapisywać na receptach drogie preparaty, nie mające często przymiotów ani cech leczniczych, nie kontrolował recept, lecz wprost kontrasygnował swoim nazwiskiem; powiadano też, że i on przepisywał swoim znajomym damom i damulkom pomady, perfumy etc., a wszystko to wydawano darmo z apteki klinicznej. Gdy takie sprawy wyszły na jaw, a do tego miały być i inne jeszcze, których ujawnić nie chciano, senat uniwersytecki pragnął pozbyć się jakimkolwiekbądź sposobem Krauzego, więc profesorowie postanowili to uczynić, namawiając słuchaczy, ażeby prosili go o dobrowolne ustąpienie z miejsca zajmowanego. Niemcy przystali na to i wezwali Polaków do wspólnej akcji, ci jednak nie dali się do niej wciągnąć, oświadczając, że w razie, jeżeli prof. Krauze zawinił rzeczywiście, to profesorowie nie powinni się zasłaniać decyzją studentów, lecz suni otwarcie mają wypowiedzieć swoje zdanie. Gdyby studenci mieli prawo wybierania pro-



fesorów, toby mieli też prawo ich usuwania, lecz gdy im pierwszego nie nadano, to i drugie im się nie należy. Uskuteczcono usunięcie profesora Krauzego. Studenci postąpili nieprawnie, nie przedstawiono im żadnych protokółów z posiedzeń senatu, nie sformułowano obwinienia, nie uzasadniono przekroczeń, robiono wszystko w tajemnicy z obawy o honor uniwersytetu.

Pewne znaczenie dla uniwersytetu miały odwiedziny Dorpatu przez ministra Norowa. Całe miasto cieszyło się z tego wysokiego zaszczytu. Bursze zgłosili się, by w mieszkaniu, które zajął minister, trzymać straż honorową, a straż taka w istocie rzeczy okazała się potrzebną, bo rozmaici figlarze stroili sobie żarty niewczesne; tak np. na dole w tym domu, gdzie zamieszkał minister, była cukiernia; dowcipnisie jacyś przyszli do cukierni i kazali sobie dawać jadła i picia, oświadczając, że za nich zapłaci minister. Inni zjawiali się w mieszkaniu ministra z rozmaitemi głupimi prośbami, etc.

Rektor wezwał pewnego dnia wszystkich studentów do auli, albowiem pragnie ich poznać osobiście pan minister; stawiliśmy się wszyscy. Wszedł minister, o jednej nodze na kuli, i wstąpił na mównicę. Tu nasamprzód przeprosił zebranych, że, nie umiając dobrze po niemiecku, krótko przemawiać będzie; oświadczył się następnie z wielką miłością do młodzieży, radził jej pracować, ażeby stanowiła podporę i ozdobę „*unseres gemeinen Vaterlandes*.“ Gdy wymówił to ostatnie zdanie, frenetyczny śmiech i olbrzymie brawo nieustające były odpowiedzią. Minister, czy się domyślił, o co tu rzecz chodzi, czy też przyjął ten śmiech za dobrą monetę, niewiadomo; zeszedł z mównicy i tuż przy niej stojącego Leona Mierzejewskiego objął i wycałował, powiadając, że ściskając jego, ściska wszystkich. „*Hoch, unser Minister, hoch!*“—zawołano z entuzjazmem ogromnym, a gdy minister był już za drzwiami, krzyczano: „*Hoch unser gemeines Vaterland*.“ W tem „*lapsus linguae*“ ministra leżała głęboka, acz smutna prawda, wypowiedziana niechęć.

W łonie młodzieży polskiej zaszło kilka smutnych wypadków, a mianowicie:

Brat młodszy Sankiewicza, Michał, słuchacz ekonomii politycznej, czyli „*kameralista*“, jak studyjących ekonomię polityczną nazywano, człowiek bardzo zdolny, rokujący wielkie nadzieje, żył bardzo skromnie, jadał obiady za 5 zł. polskich na miesiąc (we czterech płacono 3 rb. miesięcznie), wieczorami i rankami pijał mleko z chlebem razowym, t. zw. „*brykałem*“, przytem wszakże, idąc za ówczesnym poglądem higienicznym, ogólnie uznanym za

racyonalny, wzmacniał odżywianie skąpe kieliszkiem wódki przy obiedzie i wieczerzy mlecznej. Dla braku funduszków nie brał nigdy udziału w pijatykach zbiorowych, t. zw. „knejpach“ albo „komersach,“ należał do kategorii osób pijących regularnie, umiarkowanie. Pracował nad przedmiotami swoich studyów z wielkim zamiłowaniem i gorliwością niezwykłą wśród młodzieży ówczesnej, szczególnie zaś polubił statystykę i historię nowożytną, zaś najgoręcej poświęcał się historii polskiej; tę ostatnią studyował w sposób oryginalny: wcielał się myślą w mężów danej epoki, przyczem bywał tak głęboko przejęty rolą bohatera, że przybierał jego postawę i przemawiał językiem ówczesnym. Pamięć miał Sankiewicz olbrzymią: cyfry statystyczne, najbardziej szczegółowe, recytował z pamięci, daty historyczne, lata, miesiące, dnie wypadków miał zawsze na zawołanie.

Gdy nadszedł czas zdawania egzaminu ostatecznego, zabrał się do pracy ze zdwojoną gorliwością, przesiadywał całe noce nad książkami, krzepiąc wątłe siły organizmu, w braku dostatecznego pożywienia, kieliszkiem gorzałki, a to w tem, wówczas powszechnem, przekonaniu, że kieliszek wódki zastąpić może porcyę befsztyku. Po jednej takiej nocy, spędzonej bezsennie, wyszedł Sankiewicz na ulicę, wszedł do dorożki i kazał wieźć siebie do gmachu obrad sejmowych. Dorożkarz, Czuchna, zrozumiał, że ma go zawieźć do ratusza miejskiego, więc stanął tam u podjazdu; rozgniewany Sankiewicz zaczął go łajać, grożąc pobiciem. Kłótnię, z tej racji powstałą, usłyszeli pedele, mający stacyę obserwacyjną w pobliżu ratusza, pośpieszyli na miejsce zatargu, a sądząc, że mają do czynienia z pijanym, kazali mu stawić się przed oblicze jego magnificencyi. Sankiewicz rzucił się na pedelów z wściekłością furyata, krzycząc: „Co! wy śniecie mnie, prezydenta Rzeczypospolitej polskiej, stawić przed rektora? ja was wszystkich wraz z rektorem powiesić każę.“ Był to pierwszy objaw manii, prześladowającej odtąd stale chorego na umyśle Sankiewicza—rzucał się on na każdego, nie umiającego w nim uszanować prezydenta. W chwili, o której mowa, znaleźli się w pobliżu koledzy Sankiewicza; przy ich pomocy zdołano obezwładnić i przewieźć chorego do kliniki uniwersyteckiej, ogolono mu głowę, okładano ją lodem, przywdziawszy wpierv koszulę waryatów, z racji, że bił i łamał meble.

Będąc nieobecny w Dorpacie w czasie pierwszego peryodu choroby Sankiewicza, odwiedziłem go dopiero w kilka dni potem. Gdym zbliżył się do pacyenta, uwiązanego na łóżku, z pęcherzem lodu na ogolonej głowie, poznał mnie i przywitał wyrazami: „Ecce



homo," wskazując przytem na swoje spętane ręce; po chwili dał znak, ażeby podszedł do niego, i szeptem wyrzekł: „Mianuję ciebie moim ministrem dworu, każ mi przynieść kieliszek wódki.“

Stan chorego po paru tygodniach poprawił się o tyle, że zdjęto z niego więzy i postanowiono odwiedzić do domu rodziców. Podjęli się tej ciężkiej misji dwaj koledzy nasi, Szpakowski i Iwaszkiewicz. Poświęcenie ich miało dobre skutki, traktowali oni chorego po koleżeńsku, nie odmawiali mu prawa używania napojów wyskokowych w dozach umiarkowanych. Powoli ustępowały ataki podniecenia, sen wrócił. Pobyt na wsi pod opieką ojca zaczął działać pomyślnie, tak, że była nadzieja, iż wróci do zdrowia. Jedynie mania wielkości nie opuszczała go wcale; przybierał zwykle pozy i wygłaszał zdania, zgodne z powagą prezydenta, za którego siebie stale uznawał. Poznajomiwszy się następnie z zawiadowcą stacyi na pobliskim trakcie pocztowym, bywał u niego gościem częstym. Razu pewnego przybył na stacyę jakiś pasażer, w chwili, gdy Sankiewicz był tam obecny, rozpoczął z nim rozmowę o różnych kwestyach naukowych, o studyach na uniwersytetach etc. W toku prowadzonej rozmowy zapytał przejezdny, dla czego się młody człowiek nie stara o jakąś posiadłość, przy jego wykształceniu bowiem łatwo byłoby znaleźć odpowiednie miejsce. Ta uwaga nieznanego rozgniewała mocno Sankiewicza. „Co!—zawołał w uniesieniu—ja, prezydent Rzeczypospolitej polskiej, miałbym się starać o posiadłość marną“—i wślad zatem zaczął wymyślać i łajać, poczem się oddalił. Pasażer, a był nim półkownik żandarmski, podróżujący incognito, rozpytywał się u zawiadowcy stacyi o szczegółach, dotyczących chorego, i w parę tygodni po tem zdarzeniu przyjechało dwóch żandarmów, by, według rozkazu wyższej władzy, zawieźć Sankiewicza do domu waryatów w Warszawie. Ulokowano go tam, jako niebezpiecznego człowieka, pretendenta na krzesło prezydyałne Rzeczypospolitej polskiej. Po kilku latach więzienia życie tam zakończył.

Brat starszy Michała Sankiewicza, Antoni, już nie był w Dorpacie wtedy, gdy nastąpiła choroba Mikołaja; po zdaniu egzaminu objął posiadłość w dobrach Kieniewicza na Polesiu. Smutne były warunki jego życia. Stary Kieniewicz, arystokrata, z wadami wszystkimi, właściwymi tej klasie społecznej, kazał urządzić szpital, ale jego poddani nie mieli co jeść. Sankiewicz radził zająć się podniesieniem dobrobytu włościan, usunięciem karczem, a wtedy szpital dopiero miałby swoje znaczenie należne, obecnie, powiadał, trzeba leczyć wszystkich głodujących stale, a leczyć ich

należy, dając pożywienie dostateczne. Takie rady nie podobały się człowiekowi, który uznawał swoich poddanych za bydło robocze, stąd ciągle naprężenie stosunków, które bardziej jeszcze się powikłały, gdy Sankiewicz uratował młodą panienkę, guwernantkę w domu Kieniewiczów, która się była rzuciła do Prypeci, rzeki, płynącej tuż pod dworem i parkiem rezydencyi. Panienka ta, rozkochana w synu możnowładcy, gdy ten na związek małżeński syna przystać nie chciał, postanowiła zakończyć życie w nurtach rzeki. Po odbytej pańszczyźnie na Polesiu, Sankiewicz przeniósł się na praktykę do Nieświeża, a następnie do Klecka, leczyl biednych darmo, dając im swoje własne lekarstwa, był biegłym operatorem i doskonałym terapeutą. Obok tego był gorącym patriotą, ciętym rzecznikiem i propagatorem idei demokratycznych; jego wszystkie przemówienia w piorunujący sposób druzgotały dowody przeciwników; gdzie tylko występował w obronie swoich przekonań, wychodził zawsze zwycięzcą. Postaci bardziej energicznej, szlachetnej, altruistycznej trudno było sobie przedstawić. W Dorpacie pozostawił kilka utworów scenicznych. Dwa dramaty, pod tytułem „Wielki człowiek do małych interesów“ i „Mały człowiek do wielkich interesów,“ były grane na scenie w Bogusłarni, miałem je przepisane; tu walczył przeciw separatyzmowi narodowościowemu i karciał t. zw. chłopomanię, która zasadzała się głównie na noszeniu siermięgi przy butach lakierowanych, bogatych brelokach, czerwonych krawatach i pstrych kamizelkach; wszystkich takich chłopomanów nazywano „Bernatowiczami.“

W czasie powstania brał A. Sankiewicz czynny udział w ogłoszeniu manifestu powstańczego i w formowaniu partyj, a gdy nie było dowódcy w jakim oddziale, sam dowodził, walczył z kozakami. Po jednej takiej potyczce zginął bez wieści. Jedni powiadali, że gdy przebywał wplaw rzekę, został zabity, inni głosili, że zdołał przedrzeć się za granicę. Jak on sam, tak i imię jego zaginęło, nigdzie w relacjach późniejszych nie spotykałem wzmianki o nim, a była to osobistość, stojąca wysoko ponad wszystkimi innymi działaczami na Białolechii w owych czasach.

Kolega Wyszomirski, spokojny, nieśmiały, młody człowiek, stroniący od wszelkiego towarzystwa, nie wychylający się poza swoje mieszkanie w czasie wolnym od słuchania wykładów, zaniemógł umysłowo. Towarzysz jego, który wraz z nim przygotowywał się do t. zw. egzaminów semestralnych, to jest egzaminów, wymaganych od tych, którzy czesnego nie płacili, przyszedł do nas z wiadomością, że Wyszomirski stracił zdolność logicznego



myślenia i kojarzenia myśli, nawet w życiu codziennem, wśród swego drobnego gospodarstwa domowego nie potrafi się oryentować. Przy egzaminie u prof. Waltera plótł takie dziwolągi, że go można było uznać za waryata i tu opowiedział nam jego towarzysz, Owsiany, parę szczegółów, dotyczących owego egzaminu. Prof. Walter, wykładający akuszeryę, choroby kobiece i dziecięce, miał starannie opracowane skrypty wykładowe; każdy ze słuchaczy przygotowywał się do egzaminu podług tych skryptów, przyczem profesor dawał pytania, dzieląc je według rozdziałów i paragrafów skryptowych. Wyszomirski dostał pytanie: „jakie powinny być zalety dobrego akuszera?” Na to pytanie odpowiedział Wyszomirski, że ma posiadać „eine gute Dose der Scharlatanrie.“ „Und was noch mehr“—zapytał profesor. „Nichts mehr“—odrzekł Wyszomirski, gdy w „Hefcie“ u prof. Waltera wypisane było zdanie takie: „Ernstes Wissen, savoir faire und eine gute Dose der Scharlatanrie.“ Na odpowiedź Wyszomirskiego rzekł profesor: „zuwenig“ i zadał mu nowe pytanie: „Jakie położenie uznajesz pan za najlepsze dla położnicy rodzącej?” „Ułożyć ją na schodach przed domem“—odrzekł Wyszomirski. „Was?“—zawołał zdziwiony odpowiedzią prof. Walter i przestał mu zadawać pytania dalsze. Dla zrozumienia tej odpowiedzi trzeba wiedzieć, że w skryptach prof. Waltera opowiedziane były rozmaite sposoby układania położnic przy porodach, a nakoniec robi profesor uwagę, że dobry akuszer, przy najmniej dogodnych warunkach, potrafi sobie dać zawsze radę, i tu przytacza wypadek, jak jeden ze znakomitych akuszerów, jadąc po ulicach Londynu, spostrzegł kobietę, leżącą na schodach przed kamienicą, męczącą się boleściami porodowemi. Akuszer zatrzymał stangreta, wysiadł, zbadał położnicę, a przekonawszy się, że konieczną jest pomoc operacyjna natychmiastowa, wykonał ją na schodach, w miejscu, gdzie leżała owa pacjentka. Otóż fakt ten jeden pozostał w umyśle Wyszomirskiego, reszta faktów rozwiła się najkompletniej. Gdy Owsiany zakomunikował nam te szczegóły i pytał o radę, postanowiliśmy zbadać przyczyny tej choroby umysłowej; okazało się, że brak środków zmuszał Wyszomirskiego do najbardziej niehygienicznego sposobu życia, do odmawiania sobie koniecznego pożywienia. Powoli pod opieką Owsianego i przy pomocy pieniężnej ze strony towarzystwa, chory zaczął powracać do zdrowia. Choroby umysłowe pomiędzy Polonią były bardzo rzadkie, oba tu wymienione wypadki stanowią, o ile wiem, jedyne przykłady zбочenia umysłowego wśród młodzieży polskiej w Dorpacie.

W ciągu kilku lat ostatnich zaszły silne zmiany w życiu i fizyognomii Polonii dorpackiej; dawni bursze ustąpili, nastąpiło nowe pokolenie, ustały pijatyki, hulanki, gry w karty, czyszciej i porządniej było w mieszkaniach, zaczęto na serio pracować, a zarazem i sam wygląd Polonii przybrał nowy charakter. Z innych uniwersytetów rosyjskich przeniosła się do Dorpatu pewna ilość osób; przybył Czekanowski Aleksander, Kaczkowski Zygmunt, Kaczkowski Grzegorz, Zaleski z Kijowa, a inni z Moskwy i Petersburga. Na zebraniach występowały dysputy naukowe z dziedziny medycyny i nauk przyrodniczych, powstało kółko przyrodników, do którego należeli: Stanisław Wirion z grodzieńskiego, entomolog, Michalski, botanik, Czekanowski Aleksander, geolog, Nieszkowski Jan, paleontolog, Tołtyrzewski, astronom. Co do mnie, to obrałem sobie dział kręgowców. Polacy przyrodnicy zbliżyli się do koła niemieckich przyrodników i wraz z nimi miewaliśmy zebrania towarzyskie, na które zapraszano profesorów, mianowicie Asmussa, Grube'go. Do koła Niemców należeli w następstwie sławni uczeni, jak: Fryderyk Schmidt, Aleksander Strauch, Von Wahl, Eugeniusz Keyserling, Murawitz, Fichsen etc.

Do Dorpatu przybyli też po raz pierwszy Rosyanie w liczbie większej, tak, że zawiązali się w kółko, które nazwali Rhutenia; przybyli też i Ormianie i ci utworzyli kółko Armenia. Przedstawiciele obu tych kół nie robili szacunku uniwersytetowi, większa część należała do kategorii usuniętych z uniwersytetów, do których byli wstąpili i zostali wysłani za karę do Dorpatu. Władze uniwersytetów rosyjskich robiły to w tem przekonaniu, że wśród Niemców tacy działacze nie znajdą areny odpowiedniej dla swoich czynności; należeli też oni prawie wszyscy do t. zw. nihilistów. Raz jeden tylko zetknąłem się był z nimi w sprawie pojedynku Komorowskiego Antoniego z ich prezesem, którego nazwiska nie pamiętam. Rzecz miała się tak: Komorowski, przechodząc ulicą około domu, w którym mieszkała młoda panienka, przedmiot jego adoracji platonicznej, spostrzegł, że okienica była uchylona, więc podszedł, ażeby ją zamknąć; tę czynność Komorowskiego uznał Rosyjanin za chęć zagładnięcia do środka mieszkania, a widząc to ze swego okna, bo mieszkał prawie że naprzeciw domu owej panienki, wybiegł na ulicę i nazwał Komorowskiego ulicznikiem; że jednak nie umiał po niemiecku, użył wyrazu „Spitzbube,“ zamiast „Strassenjunge.“ Wymienili swoje nazwiska, stąd konieczność pojedynku nieunikniona. Zaraz po tem zajęciu przyszedł Komorowski do mnie z prośbą, ażebym mu sekundował. Nazajutrz rano, przed roz-



poczęciem wykładów na uniwersytecie poszedłem według adresu podanego, znalazłem wyzwanego w łóżku. Rozmowę prowadziłem po rosyjsku. Objąłem, że Komorowski bywa w domu u p.p. Oe, więc nie mógł mieć na myśli nawet, ażeby uczynić jakakolwiek bądź przykrość osobom znajomym i szanowanym, przeciwnie, gdy, przechodząc ulicą, spostrzegł nawpół otwartą okienicę, zamknął ją; to też szkoda wielka, iż się nie zapytałem kolegi Komorowskiego, w jakim on celu był u okna; gdybyś był to zrobił, nie byłbyś go nazwał „Spitzbube.“ „Objąwszy sprawę, spodziewam się—rzekłem że zechcesz kolego przeprosić Komorowskiego, a w razie, gdybyś tego uczynić nie chciał, musisz dać mu satysfakcyę za obrazę słowną, nazwawszy go „Spitzbube.“ „Ja chciałem go nazwać ulicznikiem — rzekł Rosyanin — a tylko z powodu nieznamości języka niemieckiego, użyłem wyrazu rzeczowego.“ „To postaci rzeczy nie zmienia—powiedziałem—nazwa ulicznik jest równie obrazą, jak „Spitzbube.“ „Przepraszać nie myślę“—rzekł po namyśle Rosyanin. „To proszę przysłać sekundanta dzisiaj po obiedzie do mnie“—tu wskazałem adres. Zaszedłem po drodze do Komorowskiego, opowiedziałem mu rozmowę moją, następnie spotkawszy kolegę medyka, Henryka Wołodźkę, prosiłem, ażeby zaszedł do mnie o godzinie, gdy sekundant będzie tam także. Sekundantowi, który się zjawił, opowiedziałem o warunkach pojedynkowych, przyjętych przez Polaków, mianowicie meta 10 kroków, strzelanie na komendę, strzał przy wymówieniu liczby 3, powtórzenie strzałów do trzech razy. Sekundant przystał na warunki. Zaproponowałem mu pójść natychmiast wybrać miejsce na pojedynek, w zagajeniu, niedaleko od miasta, a opodal od dróg. Wołodźko nam towarzyszył. Po wybraniu miejsca i po wyznaczeniu krokami przestrzeni i oznaczeniu kołkami stanowiska paukantów, zwróciłem się do sekundanta z prośbą, ażeby wpłynął na wyzwanego w celu załagodzenia sprawy pokojowo, a gdyby to było niemożliwe, to stawić się mamy jutro punkt o 6-iej, tu, na tem miejscu. Wróciwszy do domu, poszliśmy do Komorowskiego i wraz z nim do strzelnicy, gdzieśmy wprawiali się, strzelając z pistoletów do celu. Strzelnicę urządziliśmy w ogrodzie domu, gdzie mieszkał Januszewski.

Nazajutrz o wyznaczonej godzinie we trzech: ja, Komorowski i Wołodźko stanęliśmy na placu, tu czekaliśmy przeszło pół godziny na naszych przeciwników. Gdy ci przybyli nakoniec, wezwałem jeszcze raz do pokojowego zakończenia tej sprawy; odpowiedziano milczeniem, wtedy przystąpiliśmy z sekundantem do nabijania broni, co uczyniwszy, ustawiliśmy „paukantów“ na

stanowisku, poczem dałem do wyboru Rosyaninowi pistolety, doręczyłem pozostały Komorowskiemu i odszedłszy na stronę, a ustawivszy się z sekundantem w połowie odległości mety jeden naprzeciw drugiego, rozpoczęliśmy komendę: „baczość! jeden, dwa, trzy!“ Strzały padły jednocześnie, po wystrzale Rosyanin wypuścił z rąk pistolet, rozstawiwszy ręce, cofnął się gwałtownie w tył i, postąpiwszy parę kroków, osunął się na ziemię. Przystąpiliśmy do niego, milcząco wskazał na bok prawy; na szerokiej klamrze żelaznej od pasa był ślad uderzenia kuli, ta jednak klamry nie przebiła. Sekundant prosił, ażebyśmy odeszli, bo sami sobie wystarczą, więc pożegnaliśmy pacyenta i jego towarzyszy i wróciliśmy do domu. Tu debatowaliśmy nad tem, czy mamy uważać sprawę za skończoną, czy też następnie żądać nowego pojedynku. Postanowiono czekać. Postrzelonego przywieziono na wozie najętym, bo iść nie mógł; chorował kilka tygodni. Po wyzdrowieniu przyszedł do mnie z oświadczeniem, że gotów jest przeprosić Komorowskiego: byłby to nawet przedtem uczynił, lecz z obawy, ażeby go nie posądzono o tchórzostwo, przyjął wyzwanie. Komorowskiego nie było w Dorpacie, wyjechał na wakacje, więc mnie tylko i Wołodzkę zaprosił do siebie na wieczorek, gdzie będzie, jak powiadał, kilku kolegów Rosyan. Otóż byliśmy obecni na wieczorku studentów Rosyan i tu przypatrzyłem się bliżej ich niekulturalności, przeżywali oni w owej chwili peryod burszeryi, który już u Polonii należał do przeszłości. Śpiewki karczemne, napoje „ungesäuert,“ „ungezuckert,“ pod nazwą „Piotr pierwszy“—zadawały ich najkompletniej. Na ustach „miłość Słowiańszczyzny,“ a w sercu nienawiść niczem nie uzasadniona do Polaków—takimi ich poznałem. Z piosnek, śpiewanych przez Rosyan, zachowałem w pamięci następującą:

Arystotiel onyj, drewnij filasof, drewnij filasof,  
 Prodał pantafony za siwuchi sztof, za siwuchi sztof.  
 Jewtakim manjerom, na szampanskij tfu,  
 Pluniem na madiern, wypjem pa Pietru!

Inne piosnki były daleko cyniczniejsze od tej. Niekulturalność ówczesnego pokolenia kształcącej się młodzieży rosyjskiej wykazuje też i fakt następujący. Uniwersytet dorpacki miał przywilej kształcenia docentów, przyjeżdżali więc Rosyanie do Dorpatu dla habilitacyi. Jeden taki habilitant, prawnik, przybył, ażeby tu opracować temat i obronić rozprawę na stopień docentu. Obrona odbywała się w auli publicznie; zrazu oponowali wybrani przez wydział profesorowie, a następnie oponowali ci z publicz-



ności obecnej, którzy mieli cośkolwiek do zarzucenia. Otóż prof. Tobin przy opozycyi zrobił uwagę taką: „Pan przytaczasz w swej pracy rozmaite powagi naukowe, mamy tu uczonych rosyjskich, francuskich, angielskich, włoskich, czeskich, lecz nie widzę ani jednej cytaty z dzieł uczonych niemieckich, a jednak mamy w zakresie pracy pańskiej cały szereg dzieł znakomitych, wydanych przez Niemców“ — i tu zaczął mu je wyliczać. Rosyanin słuchał milcząc, gdy profesor zakończył, wtedy z całą pasją zawołał habilitant: „Ich spucke auf die Deutsche.“ Powszechny śmiech rozległ się w sali. Habilitacya szła dalej, przy odpowiedziach, wprost brutalnych ze strony habilitanta, wypowiedzianych łamaną niemieczyzną, pobudzającą obecnych do śmiechu. Nakoniec przyszła kolej na zarzuty ze strony publiczności. Wystąpił młody prawnik, student uniwersytetu, z zimną krwią, lecz ciętą ironią oświadczył, że habilitant tylko na słowach „speukt auf die Deutsche,“ lecz czynem wykazuje, że się na ich poglądach opiera: oto np. na stronie X. czytamy szereg zdań, które są wprost wypisane z dzieła niemieckiego, prosimy o łaskawe wyjaśnienie tych sprzeczności. Habilitant nic nie odpowiedział, zachowując pogardliwe milczenie. Wtedy student zabrał znowu głos, mówiąc, że obwiniony, który nie może znaleźć nic na swoje usprawiedliwienie i milczeniem na zarzuty odpowiada, sam siebie potępia. Zakończyła się ta smutna habilitacya. Promowany na docenta odjechał kształcić swoich współpracowników na podstawach własnej kulturalności.

Ze zwolnieniem rygoru i cenzury rozpoczęły się zabawy teatralne. Z pomiędzy młodzieży uniwersyteckiej wystąpili autorowie rozmaitych scenicznych utworów, jedna z krotocwilowych produkcji, jako cięta satyra na stosunki miejscowe, miała wielkie powodzenie, powtarzana była kilkakrotnie w teatrze amatorskim, gdzie pierwsze miejsce zajmowała p. Józefina Grube, żona profesora. Posiadała ona prawdziwy talent odtwarzania postaci, w których roli występowała, ożywiła całą scenę i była uwielbiana przez doborową publiczność teatralną. Wszystkie kuplety, śpiewane na scenie, umieliśmy w swym czasie na pamięć.

Pracę moją na złoty medal pisaną starałem się wykonać jak można najlepiej, uczyłem się u prof. Dede'go języka duńskiego i szwedzkiego, ażeby móc zrozumieć opisy gatunków ryb; jeździłem do Petersburga, gdzie mi akademik Karol Ernest v. Baer i akademik Brandt pozwolili przejrzeć zbiory muzealne i swoje prywatne, słowem dołożyłem wszelkich starań, ażeby móc uzyskać złoty medal; jednocześnie pracowali i inni Polacy nad tema-

tani, zadawanymi przez uniwersytet, pracowali pomysłnie, bo przy rozdawnictwie nagród część znaczna przypała w udziale Polaków. Ta zmiana w usposobieniach i dążnościach Polonii cieszyła nas niezmiernie. Po uzyskaniu medalu jednego, postanowiłem natychmiast podjąć się pracy, zadanej przez wydział miedyczny; temat porównawczo-anatomiczny był trudny, lecz pomny tej zasady, że „Nihil tam difficile est, quin quaerendo investigari possit,“ zabrałem się do pracy, mając pełną nadzieję pokonania przeszkód wszelakich. Zadanie było takie, ażeby wykazać na podstawie nerwów mózgowych, z ilu kręgów pierwotnych składa się czaszka zwierząt kręgowych. Wracając z Petersburga, przywiozłem był pewną ilość żywych minogów rzecznych dla profesora Reissnera; część tych okazów zakonserwował profesor w alkoholu. Od nich zacząłem zadanie, myśląc opracowywać monografiami, do których rysunki obiecał mi wykonać artystycznie kolega Szpakowski; sądziłem, że gdyby nawet nie udało się rozwiązać zadania, to monografie same dobrze i dokładnie opracowane, będą miały wartość wielką.

Brat mój Władysław, z którym mieliśmy wspólne upodobania i wspólne przyrodnicze zamiłowania, przyjechał do Dorpatu, ażeby tu zdawać egzamin wstępny, mieliśmy dalej wspólnie pracować, cieszyliśmy się nadzieją takich prac. Ze smutkiem pożegnaliśmy odjeżdżającego prof. Grube'go, który powołany został do Wrocławia; przy pożegnaniu wręczyliśmy od Polonii puchar srebrny, na którym wyróżnione były, oprócz nazw ofiarujących osób, jeszcze cały szereg nowych gatunków zwierząt, które opisał i nazwał Grube, pomiędzy nimi na pierwszym miejscu wryty był „*Branchipus Josephinae*,“ poświęcony małżonce i doręczony jej we flaszcyczce w dzień imienin 19 III. Na miejsce odjeżdżającego został powołany prof. Asmuss. Gdy prof. Grube należał do typu Linneuszowskich uczonych, a w swoich wykładach nigdy się nie wznosił wyżej nad poziom podręcznika zoologii „*Troschel und Ruthe*,“ Asmussa wykłady miały cechy jak na owe czasy wielce postępowe. Krótką charakterystykę prof. Asmussa podaję tutaj:

Prof. Asmuss był to człowiek przekonani niezłomnych, idealnej prawości charakteru, zahartowanego wśród niepowodzeń, gorący patriota estoński i szermierz o wolność ludu i ludów. Kroczył on dumnie przez całe życie, nigdy nie ugiął hardej głowy przed bóstwem zysków i karyery. Dowcipny, ironiczny, mówny, występował zawsze śmiało przeciw obskurantom, fanatykom, szowiniście bałtyckim, których moc wielką rola się wśród ma-



tego świata Dorpatu, noszącego na sobie cechy klerykalizmu protestanckiego, występującego w najbardziej obmierzłej formie bigoteryi obłudnej, albo bezmyślnej. Asmuss był biczem Bożym, smagającym długopółnych obłudników jak ich nazywał i filozofów ówczesnych „à la Strimpel,“ ale też nie szczędził przytem głów, zdobnych w mitry i piersi, obwieszonych gwiazdami. Siebie samego określił za pomocą szarady następującej:

Mein Erstes macht den König todt,  
 Mein Zweites ist des Bauers Noth.  
 Mein Ganzes lebt in Kummer fort.

Pomimo prawie nędzy materyalnej, jaką znosić musiał Asmuss w Dorpacie, nie przyjął wszakże wezwania na profesora do Moskwy. Na zaproszenie odpowiedział lakonicznie, że woli ginąć fizycznie w Dorpacie, niż moralnie w stolicy państwa. Miał własny słownik wyrazów dla oddawania swoich myśli, gdy mu szło o to, ażeby niewtajemniczeni go nie rozumieli — wyrazy te były zrozumiałe tylko dla stałych słuchaczy. Stąd też kurator v. Bradke, który szpiegując profesorów, przychodził na ich wykłady zniecka, wkradając się cichutko do audytorjów, nie rozumiał zgoła Asmussa i odchodził niezadowolony, że go ująć na nieprawomyślności nie potrafił, a on tymczasem wobec audytorjum chłostał szpiegującego w najbardziej ironiczny i dosadny sposób. Gdy kazano wydalić z Dorpatu kilku wielce lubianych profesorów (Osenbrügena, Senfa etc.) za ich wolnomyślne tendencye, wtedy Asmuss ogłosił wykłady pod nagłówkiem „Ueber die jagdbare Thiere in Russland“ i rozpoczął je temi słowy „In Russland werden Haasen, Füchse, Bären, Wölfe und Professoren gejagt“; za te słowa wstępne zabroniono mu dalszych wykładów o zwierzynie, na którą poluje się w Rosyi. Gdy znowu innym razem ogłosił wykłady „Ueber Thierseele,“ zjawilo się na wykłady moc duszpasterzy, ale już po pierwszej lekyi przerwano dalsze wykłady. Nie pomogły protesty Asmussa, w których dowodził, że Pismo Święte zaznacza najwyraźniej wysoką inteligencyę i wielce wrażliwą duszę u bydła, przecież osły i woły, a barany w Betleemie pierwsze uznały dzieciątko tam urodzone za Syna Bożego, gdy ludzie uczynić tego nie chcieli. Odwoływał się następnie do oślicy Balaama, która rozsądniej przemawiała językiem ludzkim, niż to czynić może wiele istot człowieczych. Pomimo to wszystko nie zdołał jednak Asmuss przekonać wyrokujących o szkodliwości wykładów na temat duszy zwierzęcej. Wykreślono je nazawsze

z programu, a dozwolono tylko „privatissime“ traktować o tak bezbożnym przedmiocie.

Przyjaciołom swoim i uczniom, gdy ci go żegnali odjeżdżając z Dorpatu, dawał Asmuss zwykle upominki ze skamielin sylurycznych, lub dewonicznych, dodając do tego czasami wierszyk przez niego samego skreślony. Jeden z takich wierszyków przypominam sobie; zdaje mi się, że on był taki:

Und werd ich einst auch todt und ganz begraben sein,  
 So denke nur mein Herz in diesen Stein hinein,  
 Regt sich in dir, nach Jahren noch, der Freundschaft süßes Wort,  
 Dann sage dreist: „sein liebend Herz lebt im Steine fort.“

Pamięć o tym szlachetnym człowieku zapadała głęboko w serca jego uczniów i przyjaciół.

Wszystko zdawało się układać najpomysłniej w świecie dla nas, gdy raptownie nadzieje i plany zniweczone zostały — przysły marzenia jak bańka mydlana, naraz, nagle, nieoczekiwanie.

Sprawę, która stała się powodem katastrofy, musimy poznać dokładniej; jest ona wielce charakterystyczną dla dania możliwości ocenienia stosunków ówczesnych. Po zwolnieniu rygoru uniwersyteckiego pozostała t. zw. „Mussa akademicka“, łącząca w sobie wszystkie możebne środki, potrzebne do rozbudzenia życia towarzyskiego wśród młodzieży i dla utrzymania go w granicach kulturalnych. Była tam czytelnia, więc gazety i większe czasopisma, a zarazem przy niej mieściła się i wypożyczalnia książek, znajdowały się też fortepiany dla osób muzykalnych, bilardy, szachy, domina, istniała sala dla grających w karty. W mussie akademickiej odbywały się przedstawienia teatru amatorskiego, koncerty członków mussy i wieczorki tańcujące. Był bufet, sala jadalna etc. Do mussy mogli należeć profesorowie i studenci uniwersytetu, inni cywilni bywali jako goście wprowadzeni. Każdy dział zabaw miał swego prezesa, niektórych nazywano królami, innych menerami. Polacy brali czynny udział i kilku z nich obrano królami, tak np. Pańkowski został wybrany na króla bilardu, bo celował w tej grze i uznany został pierwszym graczem w Dorpacie. Król bilardowy miał kij królewski ze srebrnymi ozdobami, nikt nie miał prawa, z wyjątkiem króla samego, używać kija królewskiego; oprócz tej godności piastował Pańkowski jeszcze i urząd prezesa klubu karcianego, bo też nad niego nie było lepszego i umiejętniejszego gracza w preferansa z mizerami. Te posady honorowe przynosiły mu znaczne dochody, gra w bilard, szczególnie w tak nazwane piramidy, następnie gra w karty da-



wały mu około 1,000 rb. rocznie. Pańkowski był wyznania prawosławnego, jego ojciec, kolega Siemaszki, Zubki i Hołubowicza, gdy ci podpisali akt przejścia na prawosławie — założył protest. Za to został mocno prześladowany, lecz bez wytrwałego charakteru poddał się nareszcie, ażeby, jak mówił, nie umrzeć z głodu wraz z rodziną. Po przyjęciu prawosławia dostał probostwo w gub. grodzieńskiej, dzieci musiały być prawosławnymi. W Dorpacie, jak i na innych uniwersytetach, wszyscy studenci musieli obowiązkowo raz do roku być u spowiedzi. Popi prawosławni zmuszali do tego koniecznie, chyba że kto potrafił się wykupić dość znaczną sumą od tego obowiązku. Polacy długo walczyli z proboszczem Kamienieckim, chcącym naśladować popów, aż ostatecznie zmuszony został listę mu podawaną podpisywać i wysyłać do Petersburga, świadcząc, że wszyscy zapisani byli u spowiedzi. Pańkowski musiał uczęszczać na wykłady popa, również obowiązujące prawosławnych. Niemcy wiedzieli, że jest on prawosławny i uznawali go za Rosyanina. Pewnego wieczoru, w dzień kiedy się odbywały po korporacjach komersy fuksowskie, Pańkowski poszedł do łaźni Töpfera, mieszczącej się w kamienicy dużej, piętrowej, stojącej na wybrzeżu Embacha; w tej kamienicy obok łaźni parowej i wanien istniała restauracya obszerna, zwykle przez całą noc otwarta, zaś na piętrze urządzone był dom modlitwy dla czuchnów, których popi obietnicami, że się im dostaną nadziały ziemi, nawrócili na prawosławie. Po łaźni zaszedł na wieczerzę do restauracyi, w czasie gdy spożywał wieczerzę, zajechała dorożkami cała banda pijanych studentów z korporacyi „Livonia,“ pijani fuksy wpadli do restauracyi, obstalowali piwo i jedzenie, a spostrzegłszy siedzącego Pańkowskiego przy stole, podeszli do niego, zapraszając do wspólnej biesiady. Pańkowski odmówił grzecznie, dziękując przytem za zaproszenie, wtedy jeden z fuksów, Schmidt, zawołał: „nie chcesz być z nami, to wynoś się natychmiast.“ Na to rzekł z zimną krwią Pańkowski: „jak skończę wieczerzę i zapłacę za nią, wtedy wyjdę.“ „Musisz wyjść niezwłocznie, albo cię gwałtem wyrzucimy, my sami zapłacimy za ciebie „du russisches Aas.“ Pańkowski podniósł się, podszedł do Schmidta i zapytał go o nazwisko, ten wyjął bilet, rzucał go na ziemię, krzycząc: „du hast du.“ Pańkowski podjął bilet i podszedł do służącego, zapytując go, czy widział i słyszał, co tu zaszło. Służący odrzekł, że nic nie widział i nie słyszał — wtedy Pańkowski zwrócił się do bufetu, ażeby zapłacić za wieczerzę, Schmidt podbiegł do bufetu, wołając: „my płacimy za niego, „weg mit dir Hundsfott.“

Pańkowski po tem zajściu, przyszedł do Witolda Jodki, prosząc go, ażeby mu sekundował. Witold Jodko chorował wtedy na trachom, miałem go sobie wskazanego, jako chorego poliklinicznego, praktykując pod kierunkiem prof. Oettingera, sekundować więc nie mógł, zwrócił się do mnie z prośbą, ażebym go zastąpił. Jakkolwiek nie miałem żadnych bliższych stosunków z Pańkowskim, ale nie mogłem się wymówić od obowiązku sekundanta, podjąłem się tej akcji i zaraz potem z biletem Schmidta poszedłem go odszukać; spotkawszy kolegę medyka, Weidenbauma, należącego do korporacji Livonia, zapytałem o adres Schmidta. „Znajdziesz go—powiedział mi Weidenbaum—na „Fechtbodenie“ korporacyjnym”—i zaprowadził mnie tam, a wywoławszy Schmidta, przedstawił mi go; po wymienieniu mego nazwiska prosiłem Schmidta o chwilę rozmowy na osobności. „Niema potrzeby—odrzekł—wszyscy tu już o zajściu wiedzą, to są „fest treue Corburschen,“ przed nimi nie mam żadnych tajemnic.“ „Dobrze—rzekłem—ale czy wiesz, że tym wszystkim, co wiedzą o pojedynku, a nie dadzą znać o tem do władzy uniwersyteckiej, grozi służba w żołdatkach rosyjskich, po co więc narażać kolegów na możliwe następstwa.“ „Schadet nichts“—zawołał uśmiechnięty; czułem, że jak on sam, tak i cała kompania, w tym lokalu obecna, zapijali „Katzenjammer“ po wczorajszem pijaństwie. Podszedłszy ze Schmidtem pod okno, zapytałem go: „Czy pamiętasz, żeś wczoraj obraził kolegę Pańkowskiego, używając wyrazów nieprzyzwoitych i żądając od niego, ażeby opuścił lokal publiczny.“ „Pamiętam—powiedział z lekceważeniem—i prosiłem już—dodał—ażeby tę sprawę załatwił mój sekundant, asystent przy klinice położniczej (nazwiska dzisiaj nie pamiętam), zwróć się do niego.“

Po tych słowach pożegnałem Schmidta i z Weidenbaumem poszliśmy do mieszkania owego asystenta. Był to człowiek starszy od nas, miał reputację dobrą, więc sądziłem, że zrozumie całą potworność postępowania Schmidta i starać się będzie o zmuszenie go do odwołania wypowiedzianych grubijaństw i do przeproszenia publicznie obrażonego. Otóż opowiedziałem mu zajście według relacji Pańkowskiego i zapytałem, czy postępowanie Schmidta nie jest naganne i nie godne potępienia. Nie odpowiadając wprost na zapytanie, zadał sam pytanie ze swej strony wielce dziwaczne, mianowicie zapytał: „Dlaczego wy, Polacy, ujmujecie się za Rosyaninem?“ a tuż zaraz w tymże ciągu oświadczył, że Schmidt jest blizkim krownym profesora Waltera, dyrektora kliniki położniczej, a wykładającego akuszerkę, choroby kobiece i dziecięce. Na to pytanie, które mnie zdziwiło, odrzekłem:



„1) że Pańkowski, jakkolwiek prawosławny i syn popa, jest Polakiem i należy do korporacji polskiej; 2) że gdyby nawet był Rosyaninem, to jest on przede wszystkim studentem uniwersytetu i jako taki powinien być broniony wobec niczem nie umotywowanej napaści ze strony ludzi pijanych i niekulturalnych; 3) parantele Schmidta z prof. Walterem nie chronią go przed odpowiedzialnością za czyny haniebne i nie sądzę, ażeby prof. Walter chciał je tolerować. Schmidt powinien wiedzieć, że w razie, jeżeli się nie namysli i nie przeprosi publicznie Pańkowskiego, będzie musiał swój upór zapłacić życiem, albo kalectwem. Pańkowski bowiem jest najlepszym strzelcem wpośród Polonii, na 10 kroków strzałem z pistoletu wybija każdorazowo dno w butelce; Schmidt, jak widzę, lekceważy całą sprawę, sądząc, że parantele ochronią go przed karą zasłużoną; obowiązkiem sekundanta jest przekonać go, że tak nie jest, jeżeli tego nie zrozumie, cała wina i odpowiedzialność za następstwa spada na niego. Przyszedłem tutaj, ażeby oświadczyć z całą stanowczością, że w imieniu Polonii żądamy od Schmidta, ażeby: albo publicznie przeprosił Pańkowskiego, albo stanął na metę; sprawa ta nie jest już dzisiaj sprawą prywatną Pańkowskiego, lecz sprawą całej Polonii, po ostateczną odpowiedź przyjdę tu wieczorem; w razie, jeżeli Schmidt wybierze pojedynek, to jeszcze dzisiaj pojedziemy obejrzeć miejsce, a jutro odbędzie się rozprawa“ — temi słowy pożegnałem asystenta.

Tegoż samego dnia zwołano członków towarzystwa „Szczegół.“ Przedstawiłem na zebraniu wszystkie fakty, dotyczące przebiegu samego zajścia, a następnie szczegóły rozmowy ze Schmidtem i jego sekundantem, a w końcu zapytałem, czy mamy prawo uważać dzisiaj sprawę tę za prywatną Pańkowskiego. Wszyscy oświadczyli jednogłośnie, że ona obchodzi obecnie całe towarzystwo; były głosy zatem, ażeby zawiadomić tow. „Ogół,“ lecz ostatecznie stało na tem, ażebym działał w imieniu towarzystwa „Szczegół.“

Pożyczyłem od kolegi Eugeniusza Keyserlinga pistolety kuchenrejterowskie ze sznelerami, wziąłem od niego zapas kul i prochu, nająłem od mieszczanina konika z saneczkami i zawiadomiłem Wołodzkę, ażeby się stawił do mnie po obiedzie; przygotowaliśmy dwa arkusze papieru z nakreślonymi kręgami celowymi i po nabiciu pistoletów pojechaliśmy do kliniki położniczej po asystenta, przewidując z góry, że Schmidt nie zgodzi się na przeproszenie Pańkowskiego. U asystenta zastaliśmy kilku burszów z korporacji Livonii. Zwróciłem uwagę asystenta, że to, co

wymaga tajemnicy, nie powinno się dziać publicznie, na to mi odpowiedział, że to są ludzie wtajemniczeni w całą sprawę, pomiędzy nimi był Weidenbaum. Wobec nich oświadczył asystent, że Schmidt nawet mówić nie pozwala o przeproszeniu. „Więc jedźmy“—odrzekłem. Usiadłem za stangreta i ruszyliśmy za miasto, do zagajenia brzoźowego, gdzie się odbywał pojedynek Komorowskiego.

Do samego gaju podjechać nie było można, z powodu głębokiego śniegu i braku dalszej drogi, więc pozostawiwszy Wołodźkę przy koniu, brnęliśmy powyżej kolan w śniegu, a doszedłszy do miejsca, wyznaczaliśmy stanowiska dla paukantów, sekundantów i flikierów, poczem zawiesiłem na jednym z drzew arkusz przygotowany, odmierzyłem 10 kroków wstecz i stąd strzeliłem do celu, trafiłem w arkusz, lecz nie w centrum same, zmieniłem arkusz i dałem pistolet nabity sekundantowi Schmidta, wystrzelił, lecz kula uderzyła w drzewo, o kilka kroków od arkusza. Dałem do opatrzenia pistolety i zapytałem, czy przystaje na nie, czy też swoje własne użyje do pojedynku. Zgodził się na pistolety Keyserlinga. Skończywszy przygotowania, oświadczyłem, że jutro punkt o godzinie trzeciej po obiedzie będziemy tu oczekiwali na wyzwanego, wraz ze sekundantem jego i flikierem, a przed odjazdem zapytałem, czy się zgadza na to, ażeby polecić Schmidtowi napisanie deklaracji, że popełnia samobójstwo. „To samo uczynię i odnośnie do Pańkowskiego — powiedziałem — co służyć ma do zatarcia śladów pojedynku.“ Na to odrzekł, że uznaje takie polecenie za niepotrzebne. „Macie do czynienia z ludźmi honorowymi, oni nie zdradzą tajemnicy pojedynkowej.“ Odjechaliśmy z powrotem do miasta.

Nazajutrz tym samym wynajętym koniem przybyliśmy we trzech na miejsce wyznaczone. Wkrótce potem ujrzelśmy pędzące ku nam sanki. Licznie obsadzone sanie i głośnie śpiewy świadczyły, że towarzystwo jedzie z jakiejś hulanki; zatrzymano się na drodze, a stamtąd już trzy tylko osoby pieszo ruszyły ku nam. Po przywitaniu się wzajemnem, zabrałem głos, mówiąc, że według zwyczaju obowiązkiem moim jest nakłonić do pojednania, więc pytam kolegę Schmidta, czy nie chciałby przeprosić Pańkowskiego i w ten sposób załatwić tę sprawę. Schmidt odpowiedział lakonicznie: „Nie.“ Wtedy przystąpiliśmy do nabijania pistoletów, poczem ustawiliśmy każdego na swoim miejscu, ja wziąłem pistolety, podniosłem je, trzymając po jednym w każdym ręku, do Schmidta i zapytałem, który wybiera, czy prawy, czy lewy, wybrał prawy № 1. Gdy podniosłem pozostały pistolet Pańkowskie-



mu, ten się zapytał, który №, odrzekłem, że № 2. „A to gorszy—powiedział Pańkowski i dodał—ja w pierwszym strzale mierzę do góry.“ Stanąwszy z boku na wyznaczonym miejscu, zawołałem: „Baczność!“ a później liczyłem: raz, dwa, trzy. Wystrzelono niejednocześnie, opóźnił się nieco Schmidt i kula jego świsnęła koło mnie, jakkolwiek stałem w znacznym oddaleniu od linii celu. Po tej pierwszej wymianie strzałów, znowu zabrałem głos, nawołując do załatwienia sprawy pokojowo, lecz Schmidt i teraz na to się nie zgodził. Więc nabiliśmy powtórnie pistolety i sekundant Schmidta dał je do wyboru Pańkowskiemu; dostał on teraz № 1. Gdym podszedł do niego, powiedział półgłosem: „Mierzyć będę w tył, tylko, że mi przeszkadza sam, bo całym brzuchem zwraca się do mnie.“ Teraz komendę objął sekundant Schmidta: „Achtung! ein, zwei, drei.“ W chwili, gdy wymówił trzy, ujrzałem Schmidta, padającego na wznak. Flikierzy przystąpili do rannego, dostał postrzał w krawędź miednicy, śladu dalszego kuli nie było, czy odskoczyła, niewiadomo. Schmidt oświadczył, że iść nie może. Oddałem długie moje futro, na którym ułożono rannego i próbowano go unieść aż do drogi, lecz z powodu głębokiego śniegu, zaniechać musiano zamiaru, sprowadzono sanie z drogi, po torze, kędy prowadziliśmy naszego konia. Wołodźko towarzyszył choremu. My zaś z Pańkowskiem wróciliśmy do domu. Gdy Wołodźko przyszedł do mnie wieczorem, zakomunikował, że rannego zawieziono na klinikę chirurgiczną, że prof. Adelman oświadczył, że próby sondowania nie wykazały, ażeby kula miała się znajdować w jamie ciała.

Tak przeszło kilka tygodni; pomiędzy studentami wiadomo było wszystkim, że Schmidt został raniony w pojedynku; niestety, zanadto wielu było świadków, zbyt nieoględnie postępowali Liwończycy, ażeby pojedynek mógł się ukryć w tajemnicy. Według prawa, wydanego jeszcze za czasów panowania cesarza Mikołaja, każdy dorpateczanin, biorący udział w pojedynku i każdy, co wiedział o pojedynku, a nie doniósł o nim władzy, ma być sądzony w soldaty. Z drugiej strony postanowienie korporacji studenckich uznawało każdego zdraycę tajemnicy pojedynkowej za infamisa. Od czasu pojedynku hr. Medema, którego skazano za pojedynek do wojska, nie znano faktu, ażeby nawet śmierć pojedynkującego się spowodowała odkrycie przez władze winnych pojedynku.

Po kilku tygodniach względnego spokoju rozeszła się zrazu głucha wieść, że Schmidt, symulując ciężko chorego i umierającego, postanowił rzekomo przed śmiercią nie obciążać swego

sumienia kłamstwem dalszem, miał więc zaprosić rektora do siebie i przed nim się wyspowiadał, wymieniając nazwiska wszystkich osób, biorących czynny udział w pojedynku. Zrazu nie dawano wiary takim wieściom, uznając je za niemożliwe, lecz wkrótce potem, gdy się zaczęto dopytywać u Liwończyków, czy taki czyn ze strony Schmidta jest możebny, ci odpowiedzieli, że Schmidt, jako teolog, inaczej postąpić nie mógł i poczęli go bronić. Wówczas to wszystkie korporacje niemieckie zwołały konwenty i postanowiono, w razie jeżeli wieść okaże się prawdziwą, uznać całą „Livonię“ za niegodną do dawania jej satysfakcyi. Następnie, gdy się dowiedziano, że nakazano nas aresztować, delegaci wszystkich korporacyj na t. zw. „Schorgirten-Konwent,“ gdzie był delegat ze strony Polaków, oświadczyli, że gdybyśmy zostali aresztowani, nie powinniśmy się pod żadnym warunkiem przyznawać do pojedynku, następnie kazano nam zakomunikować, że wszystkie korporacje biorą nas pod swoją opiekę i będą nas broniły wobec władz uniwersyteckich.

Pewnego dnia, już późno wieczorem, przyszedł do naszego mieszkania Michał Plater, delegat Polaków na konwencie, z wiadomością, że dzisiejszej nocy mają innie aresztować, więc komunikuje postanowienie konwentu, zarazem także i obietnicę korporacyi rozciągnięcia opieki nad nami. Od tego postanowienia konwentu nie mamy prawa odstępować, aż nowa decyzja zostanie nam zakomunikowaną.

Tejże nocy o godzinie drugiej, gdyśmy już spali, zapukano do drzwi mieszkania. Dzwonków nie znano wówczas w całym Dorpacie. Na zapytanie „kto tam?“ ozwał się głos oberpedela: „Im Name des Rektors und des Gesetzes.“ Gdy drzwi otworzył, wszedł oberpedel Schmidt, a za nim pedel Wisor z latarnią. Oberpedel oświadczył, że przychodzi w imieniu rektora z rozkazem, ażebym się natychmiast ubierał, by stanąć przed jego magnificencyą, który czeka na mnie w swoim mieszkaniu. Poprosiłem pedelów, aby usiedli, a ubrawszy się pytam, co tak nagłego, czy nie lepiej byłoby iść we dnie do rektora. „My nie nie wiemy o powodach tak nagłego rozkazu — odpowiedział oberpedel z wielce tajemniczą miną—nas zbudzono także w nocy.“ Szedłem po pustych ulicach i ciemnych. Przedemną szedł Wisor z latarnią, z tyłu za mną oberpedel, tak dotarliśmy do mieszkania rektora Haffnera, tu paliły się światła, drzwi znaleźliśmy otwarte, czekano na nas, wprowadzono do rodzaju salonu. Po chwili wyszedł jego magnificencya, w pantoflach, w surducie mundurowym, z orderem św. Anny na szyi; stanął w pozie prawdziwie teatralnej



i zapytał: „Sie heissen?“ Powiedziałem mu swoje nazwisko. „Sie haben bei der letzten Preisvertheilung die goldene Medail bekommen?“ — zadał nowe pytanie. Gdym odpowiedział, że tak, wtedy zwrócił się do oberpedela, mówiąc: „Herr Oberpedel führen sie Ihn ins Karzer.“

Powędrowaliśmy tedy do uniwersytetu, a tu po schodach ciemnych pod strych, gdzie były urządzone karcery z desek, każdy karcer oświetlony małym okienkiem w górze, powyżej wzrostu człowieka. Karcer był zimny, brudny, łóżko z siennikiem brudnym, stół i krzesło stanowiły całe umeblowanie. Stróż przyniósł karafkę wody i szklankę, zapalił kaganek, drzwi zamknięto na klucz, pozostałem odziany futrem, oczekując, aż się ogrzeje piec, w którym stróż rozpałił ogień.

Więc wszystko skończone—myślałem, sołdacka dola w wojsku, oto najbliższa przyszłość. Zrana przyniesiono herbatę, przysłaną z mieszkania od brata, a w bułeczce znalazłem kartkę malutką, zawierającą te wyrazy: „w blaszance od zupy dno podwójne.“ O jedenastej godzinie wezwano mnie do rektora, wprowadzony zostałem do sali, gdzie u stołu zasiadali rektor, syndyk, sekretarz i dwóch profesorów prawa, stół był nakryty czerwonym suknein, po środku stało „zierało“, wszystkie miny uroczyste, oficjalne. Rektor przewodniczy z komiczną powagą. Daje mi zapytania, zaś odpowiedzi zapisuje sekretarz Wulfius, przyjaciel Polaków i mnie osobiście znajomy. Po zakończeniu generalistów, rektor zwraca się do mnie z zapytaniem, czy się nie domyślam z jakiego powodu aresztowany zostałem. Odpowiedziałem, że nie wiem, przypuszczać chyba mogę, że za złoty medal, który dostałem przy ostatniem rozdawnictwie nagród. „Sie scherzen!“ — zawołał zaperzony rektor. „Keineswegs — odrzekłem — gdy mnie w nocy zaprowadzono do mieszkania jego magnificencyi, zapytano mnie, czym dostał złoty medal? na moją odpowiedź potakującą, wasza magnificencya zawołała: Herr Oberpedel führen sie Ihn ins Karzer.“ Nastąpiło milczenie. Wulfius zrobił znak przeczący głową i zwrócił wzrok na mnie — zrozumiałem, że nie mam obstawać, ażeby tę odpowiedź wciągnięto do protokołu. Rektor powiedział coś szeptem do syndyka, a ten wyjął akt oskarżenia i czytać zaczął oskarżenie, przytaczając fakty zmyślone, fałszywe. Gdy skończył czytanie, rektor zwrócił się do mnie z zapytaniem, co mam do powiedzenia. „Nasamprzód — rzekłem — czy wolno mi zapytać, kto tę bajkę wymyślił, bo ona jest od początku do końca fałszem, niegodnym uczciwego człowieka.“ „To są zeznania człowieka, wobec śmierci uczynione“ — rzekł z patetyczną miną rektor.

Te słowa oburzyły mnie, to też może i niepotrzebnie zawołałem: „A ten człowiek myśli, że po takich kłamstwach dostanie się do nieba?“ Wulfius trząsł głową silnie, to mnie zreflektowało, uciąłem raptownie. Wszyscy milczeli. Następnie rektor zapytał: „Więc pan uznajesz to, co tu przeczytane było, za kłamstwo?“ „Tak“ — odrzekłem.

Po krótkiej naradzie z syndykami, cichym głosem prowadzonej, powiedziano mi, ażebym się oddalił na chwilę. Wulfius wyprowadził mnie przez drzwi boczne na galerię w auli, tam pozostawałem dosyć długi czas, spacerując do koła. Gdy przyszedł po mnie Wulfius, powiedział cicho: „Jeżeli postanowiliście przeczytać, to nie trzeba się gmatwać.“ Na to odrzekłem: „Ja się gmatwać nie będę, nein und nein.“ Wprowadzony znowu przed sędziów, podpisałem protokół, przeczytawszy go uważnie, Wulfius wszystko, co było niepotrzebne, opuścił. Odtąd wierzyłem mu najzupełniej.

Odprowadzono mnie znowu do karceru, gdy przyniesiono obiad w menażkach blaszanych, nie naszych, bo te były fajansowe, szukałem napróżno dna podwójnego. Jednocześnie przyniesiono parę książek, pościel i świecę stearynową z lichtarzem, odtąd zacząłem pędzić życie więzienne. Nazajutrz, gdy przyniesiono obiad, spostrzegłem, że blaszanka na zupełną była nowa, rozpatrzyłem dno i znalazłem kunsztownie urządzonej skrytkę, czyniącą prawdziwy zaszczyt pomysłowości klempnermajstra Mabilota. W skrytce był ołówek, arkusik papieru, na którym napisano: „cicha woda brzegi rwać ma.“ Domyśliłem się, że to ma być alfabetem tajemniczym. Wieczór cały poświęciłem pisaniu relacji za pomocą tego alfabetu, przyczem litery jednostajne, jak: c, a, r, znaczyłem cyframi 1, 2, 3, 4. Była więc dana możność porozumiewania się ze światem zewnętrznym, możność wielce kłopotliwa jednak.

Mijały dni za dniami, mnie przed sąd nie wzywano, dowiedziałem się, że w mieście panuje chaos, aresztują jednego po drugim członków „Livonii“, aresztowano też i Wołodzkę, karcerów zabrakło, urządzone nowe karcery w rajtshuli u t. zw. lektora konnej jazdy, sławnego v. Dunc, który rozwiązał kwadraturę koła, gdy, ucząc jazdy, wołał: „Reiten sie einen viereckigenkreis.“ Konwenty następowały po konwentach, postanowiono „Livonię“ całą „posadzić na Verschiss.“ Borba trwała na całej linii. W małej mieścinie, gdzie studenci odgrywają pierwszą rolę, sprawa ich obchodząca, staje się sprawą całego miasta.



Po kilku tygodniach więzienia zostałem wezwany do sądu. Konfrontowano mnie z dziesiątkiem Liwończyków; oprócz asystenta, bo go widywałem w klinice położniczej, powiedziałem, że nikogo z nich więcej nie znam. Gdy konfrontowani twierdzili, że mnie znają, że byłem na Fechtbodenie etc., powiadałem, że zaszła tu jakaś omyłka, że ktoś inny musi być podobny do mnie. Zaprzeczyłem wszystkiemu. Ci ludzie, których Schmidt nazywał jako „festtreue,“ okazali się, jak i on sam, denuncyantami, a cały zespół Liwończyków jako niskiej moralności ludzie.

Gdy już przez czas tak długi korespondencya nasza tajemna nie została odkrytą, stałem się śmielszy i zacząłem korespondować zwykłym alfabetem, od tego czasu dostawałem obszerniejsze wiadomości, donoszono, że na konwentach postanowiono prosić nas, ażebyśmy się przyznali, że kurator wzywał delegatów korporacyj do siebie i upraszał, ażeby swoją powagą przyczynili się do zakończenia sprawy, która wstyd przynosi młodzieży dorpackiej, że więcej, niż czterdziestu ludzi powołanych zostało na świadków, że protokoły tworzą już całe tomy, otóż jeżeli sprawa przyznania się do winy nie zakończy, wszyscy świadkowie, wraz z aktami i z obwinionymi, odesłani być muszą do Petersburga i tam według prawa, specjalnie dla dorpaczanów wydanego, sądzeni będą przez sąd wojenny, więc wszystkim grozi służba w wojsku, jako szeregowców, przez ciąg lat kilku lub kilkunastu. Kurator przytem obiecuje, że jeżeli się przyznamy, nikt karze cięższej, jak wykreślenie z listy studentów, nie będzie podlegał, nadto każe zniszczyć protokoły, które są prawdziwą hańbą dla uniwersytetu. Komunikując mnie te szczegóły, zawiadamiają przytem, że Ryżanie, za pozwoleniem kuratora, wysyłają do nas swego prezesa, ażeby nakłonił nas do przyznania się. Jakoż nazajutrz, po odebraniu owych wiadomości, wpuszczono do mego więzienia studenta z szarfą przez piersi odsłoniętą. Po przywitaniu oświadczył, że jest prezesem korporacji ryzykiej, że przychodzi za wiedzą kuratora upraszać nas, ażebyśmy się przyznali, następnie przytacza wszystkie wyżej wymienione przyrzeczenia kuratora i kończy swoją długą przemowę zapewnieniem, że kuratorowi zaufać można, bo dał wobec delegatów „sein Ehrenwort.“ Wysłuchawszy cierpliwie przemowy, zapytałem czy był już u Pańkowskiego, gdy odpowiedział, iż nie był jeszcze, zrobiłem uwagę, że szkoda wielka, bo ja muszę się stosować do Pańkowskiego, on, jako wyzywający a następnie jako raniący przeciwnika, podlega cięższej karze, niż ja, jako sekundant, więc jeżeli się on zdecyduje zaufać obietnicom kuratora, to i ja to samo uczynię.

Następnie zapytałem prezesa Ryżan: „Co się dzieje ze Schmidtem?“ „Już drugi miesiąc symuluje umierającego“—odpowiedział. Na tem zakończyła się nasza konferencya.

O odpowiedzi Pańkowskiego, danej delegatowi korporacyi Ryżan, nic nie wiadano, doniesiono mi tylko, że jakoby Pańkowski przyrzekł przyznać się do winy. Co się zaś tyczy przebiegu właściwego sprawy całej przyznania się Pańkowskiego, dowiedziałem się dopiero później od niego samego, a mianowicie, że konferencye z prezesem Ryżan trwały około godziny całej. Pańkowski zapytał go, dlaczego delegat polski nie został wybrany, ażeby donieść o przyrzeczeniach kuratora. Bo ten nie był na audyencyi u kuratora—odrzekł delegat. Dalej opowiadał Pańkowski prezesowi, że my zostaliśmy poświęceni specjalnie w waszym interesie, wyście żądali od nas, ażebyśmy się nie przyznawali, oto już dwa miesiące siedzimy w więzieniu, a teraz raptownie żądacie przyznania się i umywacie ręce, a obiecaliście przecie rozciągnąć opiekę całych korporacyj nad nami — czy sądzicie, że kurator, rozgniewany za nasz upór, który jest prostym rezultatem waszych postanowień, zechce dotrzymać słowa? Jakie macie gwarancye, że nas nie ukarzą i nie zesłają gdzieś na Sybir lub na Kaukaz? Prezes zasłaniał się słowem honoru, danem przez kuratora, i tak męczył Pańkowskiego, że ten ostatecznie powiedział prezesowi, że się przyzna, a ten pośpieszył z wiadomością tą radosną do rektora i do kuratora. Ufając przyrzeczeniu Pańkowskiego, urządzono nazajutrz taką śmieszłą komedye. Sprowadzono Schmidta do karceru, wniesiono tam stół sędziowski z amarantem i zierkałem, koło niego zasiedli sędziowie z rektorem, zaś Schmidt, leżący, udawał umierającego; do tak urządzonej sceneryi wprowadzono Pańkowskiego, wszyscy, będąc przekonani, że on zdecydował się przyznać, odgrywali stosowną komedye. Rozpoczął ją Schmidt czując przemowę, że blizki będąc śmierci, zwraca się do szlachetnej osoby Pańkowskiego z prośbą, ażeby zechciał wypowiedzieć prawdę, a nie zmuszał go do zeznań, które byłyby mu bardzo przykre a nawet niemożliwe, sądzi więc, że tej prośby nie odrzuci Pańkowski wobec człowieka, który już z tem życiem się rozstaje. Wysłuchawszy tej przemowy i widząc, że Schmidt najwyraźniej udaje tylko umierającego, Pańkowski się uniósł, a zwracając się do symulanta, zawołał: „Du bist ein Denunziant, du hast uns schon vor zwei Monaten denunziert.“ Na niespodziewane wystąpienie Pańkowskiego zerwał się rektor z siedzenia, podbiegł do niego, mówiąc prawie z krzykiem: „Was verstehen sie unter dem Worte Denunziant.“ Dopiero w tej chwili spostrzegł Pańkowski,



że się niepotrzebnie zdradził, lecz nie tracąc przytomności umysłu, odrzekł: „Ich verstehe unter diesem Worte „Denunziant,“ einen Menschen, welcher falsche Zeugnisse giebt.“ „A, das ist was anders“—rzekł rektor i usiadł na miejscu. Wtedy Schmidt, podnosząc się na łożku, zawołał z nieudawaną już teraz wściekłością: „Jeżeli tak, to ja jestem zmuszony powiedzieć wszystko.“ Na to Pańkowski odpowiedział: „Du hast es schon längst gethan. Du bist ein Schuft.“ „Was verstehen Sie unter dem Worte „Schuft?“—zapytał rektor. „Schuft, ein böser Mensch“—odrzekł Pańkowski, i nie czekając na dalsze pytania, wyszedł z karceru. Na strychu czekali pedele, ci odprowadzili Pańkowskiego do karceru przez niego zajmowanego.

Tak się skończyła komedia, inscenizowana przez rektora Haffnera. Nieoczekiwane zaprzeczenie Pańkowskiego popsuło wszystkie z góry ukartowane projekty. Kurator, oczekujący na zakończenie sprawy, a nie widząc jej końca obecnie, kazał sprowadzić do siebie Wołodzkę i oświadczył mu, że w razie, gdyby nas nie zniewolił do przyznania się, będzie, jako stypendyant rządowy, sądzony na felczera do wojska bez prawa wysługi. Takie oświadczenie kuratora wywarło piorunujące wrażenie na Wołodzkę. Nie wymagając porozumienia się z nami, przyznał się do roli flikiera przy pojedynku i w ten sposób nas zdradził.

O tem wszystkiem nie wiedziano na mieście, to też mi o tem nie donoszono. Na kilka dni przed świętami Wielkanocnymi wezwano mnie znowu do sądu i oświadczone, że mam się rozinówić z Pańkowskim i Wołodzką, nadto pozwolono mi widzieć się z delegatem Polaków Michałem Platerem, poczem zaprowadzono mnie na galerję auli, tam zastałem Pańkowskiego, czyniącego ostre wyrzuty Wołodźce za to, że skrycie przed nami uczynił zeznanie. Po przywitaniu, zwracając się do mnie, zawołał Pańkowski: „Wszystko stracone z powodu przestracchu Wołodźki przed groźbą kuratora,“ i następnie opowiadał, jak rzeczy stoją w danej chwili. Wołodźko ze swej strony opowiedział, jak był zmuszony do zeznań, a zarazem zdał relacyę o ohydnych kłamstwach Schmidta, Wejdenbauma, v. Veltingena i innych członków korporacyi Livonia; w swoich zeznaniach oczernili nas oni w najpodlejszy sposób. Po długiej konferencyi z Pańkowskim i Wołodzką wpuszczono delegata Polaków, których korporacya już teraz uznaną została, jakkolwiek nie oficjalnie, za mającą równe znaczenie z innymi. Delegat w imieniu Polonii powiedział nam, że dalsze zapieranie się jest już bezcelowe, więc innej rady niema, jak wy-

znać prawdę i w ten sposób wykazać całą nikczemność Liwończyków.

Po tej rozmowie postanowił Pańkowski zgłosić się do sądu z oświadczeniem, że zezna prawdę i sprostuje fałsze; jakoż zaraz poszedł, a ja z Wołodzką pozostałem na galerii. Wołodzko zaczął mię pocieszać przyrzeczeniami kuratora, że nie będziemy karani; po chwili przyszedł rektor i z czułością przemówił do nas. „Pocoście panowie tak długo zwlekali z przyznaniem się do prawdy, czy pp. nie wiecie, że władze uniwersyteckie są względem was życzliwie usposobione, ja ośobiście kocham was wszystkich, jak własne dzieci, i wszelkich byłbym dołożył starań, ażeby osądzić was jak można najpobłaźliwiej, młodzieży bowiem dużo wybaczają wypada, ale teraz, po tak upornem zapieraniu się, nie my, lecz władze wyższe co powiedzieć mogą? Prawdziwie żal mi was szczerze, lecz bądźcie dobrej myśli, ojcowskie serce jego ekscelencyi p. kuratora po ojcowsku was osądzi.“ Po odejściu rektora kazano nam wrócić do więzienia. Nazajutrz powołano mnie przed sąd.

Rozpocząłem od tego oświadczenia, że wiem, iż nas przeciwnicy oszkalowali i przedstawili, jak można w najczarniejszych barwach, otóż daję słowo honoru uroczyste, że tylko prawdę szczerą, nie ukrywając najdrobniejszego faktu, podaję do protokołu. Poczem opowiedziałem wszystko po kolei, nie tając nawet, że proponowałem, ażeby Schmidt napisał przed pojedynkiem list, iż popełnił sanobójstwo, proponowałem nie dlatego, żeśmy postanowili zabić Schmidta, bo takiej deklaracji żądałem i od Pańkowskiego. Sekundantowi Schmidta wyraźnie powiedziałem, że Pańkowski jest pierwszym strzelcem wśród całej Polonii, chciałem koniecznie nakłonić Schmidta do przeproszenia, lecz on uparcie odrzucał wszelką myśl o zgodzie. Skończywszy opowiadanie, powiedziałem następnie: „Proszę teraz porównać nasze zeznania z kłamstwami naszych przeciwników, a przekonacie się panowie o ich nikczemności. Schmidt zataił obraźliwe słowa, któremi obrzucił Pańkowskiego, siebie przedstawił jako niewiniątko, przesładowane przez nas, skłamał, że chciał zgody, ale myśmy do tego nie dopuścili, całe dwa miesiące udaje umierającego, ażeby wywołać współczucie dla siebie, a niechęć ku nam. Świadkowie wszyscy kłamali, te kłamstwa zmuszony jestem nazwać nikczemnemi.“ Po tej spowiedzi odprowadzono mnie do numeru karcerowego, lecz tegoż jeszcze wieczora oznajmiono, że nas trzech, mnie, Pańkowskiego i Wołodzkę pomieszczą w jednym karcerze, co też nastąpiło wkrótce. Pańkowski był tak rozdrażniony, że



nie mógł się uspokoić i ciągle napadał na Wołodzkę za to, że się przyznał. Dobry z ciebie byłby spiskowiec — powiadał — gdy ci zagrożono felcerstwem wszystko wyśpiewał, a coby to było, gdyby ci szubienica stała przed oczami; u nas, w gimnazjum w Swistoczy, było dewizą: że gdyby cię smażono w smole, to milcz o tem, co się dzieje w szkole. Wołodzko tłómaczył się dosyć niefortunnie. Przerzywałem sprzeczki, wyjaśniając, żeśmy spełnili rozporządzenia konwentu delegatów, a gdy nastąpiła chwila zmiany przekonań co do pożyteczności dalszego zapierania się, konwent sam upoważnił nas do zeznań i to przedtem jeszcze zanim Wołodzko to uczynił. Jaka spadnie na nas kara, już dzisiaj dla nas jest rzeczą mniejszej wagi, albowiem największą karą jest wykreślenie nas z listy studentów i wydalenie z Dorpatu, a tego uniknąć już nie możemy.

Nadchodziły święta Wielkanocne: pewnego dnia z rana oznajmiono nam, że ma nas odwiedzić kurator. Zdziwieni tą niespodziewaną wizytą, uprzątnęliśmy w naszym ciasnem więzieniu, gdzie nie mając możności ustawienia łóżek, spaliliśmy pokotem na ziemi, a zrobiwszy ład, oczekiwaliśmy na jego ekscelencyę. Przybył w asystencyi tylko oberpedela, lecz wszedłszy do karceru, kazał ustąpić i pedelowi; podaliśmy mu jedyne krzesło obecne w mieszkaniu, usiadł na niem, odetchnął głęboko, bo się zmęczył pnąc po schodach, i rozpoczął przemówienie, które doskonale zachowałem w pamięci. „Panowie! ja już jedną nogą stoję w grobie, czy rzeczą jest tedy możebną, ażeby człowiek, który ma ciągle na myśli rozstanie się z tym światem, żywił do ludzi niechęć lub złość, a tem bardziej do młodzieży, która jest przecie przyszłością naszego społeczeństwa, a nad rozwojem jej mam poruczoną opiekę. Nic mnie tak gorąco nie obchodzi, jak pomyślność młodzieży. Uznaję, przyznam się panom, pojedynk za „malum necessarium,“ ale to zło konieczne trzeba wedle możności ograniczać. Nie dotykam tego, czy panowie nie mieliście żadnego innego wyjścia tylko pojedynk, nie będę tu także mówił o upor-nem zapieraniu się, tem więcej, iż wiem, żeście to czynili nie z własnego natchnienia, lecz na mocy wymagań konwentu korporacyjnego. Czy to postanowienie było rozumne i celowe, o tem tu mówić nie chcę. Chodzi mi głównie o to, ażeby panów przekonać, że z mojej strony będzie uczynione wszystko, co jest możebne, ażebyście nie podlegli karze cięższej, proszę wierzyć mojej szczeroci i ufać mojemu słowu.“ Po tej przemowie rozpytywał mnie, dokąd pojedę na uniwersytet w razie, jeżeli zostaną wykreślony. Odpowiedziałem, że jeszcze nie wiem, lecz sądzę,

że będę mógł wyjechać za granicę. W świadectwach, wydawanych wam, nie będzie wspomniano o sprawie pojedynkowej—powiedział kurator. W dalszym ciągu rozmowy komunikował, że koledzy nasi byli u niego z prośbą, ażeby za ich poręką pozwolono nam było przepędzić kilka dni świątecznych na wolności. Otóż pozwoliłem — rzekł kurator — i panowie dzisiaj po obiedzie będziecie uwolnieni, ale po świątach wrócić znowu do więzienia, a to dla uniknięcia „kompliakacy“, która mogłaby wywrzeć zły wpływ na przebieg całej sprawy. A teraz życzę panom świąt, o ile możebnie wesołych, spędzanych wśród grona kolegów. Podziękowaliśmy kuratorowi za jego tak wyjątkową życzliwość względem nas, odprowadziliśmy do drzwi, wezwaliśmy oberpedela, który dyskretnie trzymał się w oddali, a wróciwszy do numeru, żywo zastanawialiśmy się nad tem, co jest powodem takiej życzliwości z jego strony, następnie co ma za znaczenie wyraz, użyty przez niego, „kompliakacy“, lecz przedewszystkiem cieszyła nas obietnica, że kilka dni spędzimy wśród kolegów.

Odwiedziny kuratora wywarły silny wpływ na podniesienie naszego znaczenia w oczach służby uniwersyteckiej i pedeli. To też niespełna w godzinę po odwiedzinach kuratora przyszedł do nas oberpedel na pogadankę najzupełniej przyjacielską, powiadał, że Schmidta przeprowadzono na mieszkanie prywatne, bo go tylko raz dla konfrontacji na dzień jeden sprowadzono tu, że wszystkich uwolniono, nawet sekundanta Schmidta, że i nas byliby uwolnili, gdyby nie pogłoski, że członkowie korporacji Livonia mają nas wyzwać na pojedynek. Dopiero teraz zrozumieliśmy znaczenie wyrazu „kompliakacy“. Tego samego dnia wieczorem zostaliśmy uwolnieni na dni cztery.

Po świątach wróciliśmy we dwóch z Pańkowskim, Wołodzkę uwolniono z więzienia, bo miał zaraz zdawać egzamin rządowy. Obchodzono się odtąd z nami życzliwie, mogliśmy spacerować po całym strychu, drzwi od celi naszej nie zamykano, mogli nas odwiedzać koledzy. Papier, pióra, atrament, palenie świecy po nocach, palenie tytoniu było dozwolone. Parę razy odwiedzał nas rektor, za każdą bytnością swoją oświadczał się z wielką dla nas życzliwością. Oberpedel przychodził prawie codziennie i bawił nas opowiadaniem o rozmaitych figlach burszowskich, o zajęciach ważniejszych na uniwersytecie, o kuratorach, rektorach etc. Oberpedel Schmidt był żywą kroniką uniwersytetu, kochał tę „Alma-mater“, jak nazywał uniwersytet, ale kochał po swojemu, lubił brawurę burszowską, a jednak ją prześladował, mając pamięć bardzo dobrą, przypominał sobie wszystkie szczegóły naj-



rozmaitsze. Żartując, powiadaliśmy mu, że kiedyś, gdy będzie opowiadał innym o wypadkach niniejszych, niech pamięci o nas nie kała zeznaniami Schmidta i jego kolegów Liwończyków.

Dni po dniach biegly, a wyroku z Petersburga nie nadsyła-no. Dopiero w pierwszych dniach maja otrzymał go uniwersytet. Wyrok był łagodny dla mnie i Pańkowskiego „consilium abeundi,“ pozwolono nam parę dni użyć na spakowanie rzeczy i pożegnanie Dorpatu. Poszliśmy na pożegnanie do kuratora i rektora, po-żegnałem profesorów, a nareszcie kolegów; rozstawałem się z bra-tem i przyjaciółmi z wielkim i gnębiącym smutkiem, koledzy dali nam pamiątkowe pierścionki z datą, t. zw. pożegnalnej knajpy, 9 maja 1857 r. Ryżanie zapraszali na owacyjną ucztę, odmówi-łem przybycia na nią, motywując prośbą kuratora, ażeby nie wy-woływać żadnych nowych komplikacyj, postanowiliśmy wyjechać w nocy, cicho i niepostrzeżenie. Tylko najbliżsi koledzy i brat mój towarzyszyli nam do Aderu, czyli do pierwszej stacyi za miastem. „Schönes Dorpat lebe wohl,“ powtarzaliśmy w myślach i ze łąką w oku żegnaliśmy wracających do Dorpatu. Miałem wy-zwanie ze strony 5-ciu Liwończyków, oczywista rzecz, że satys-fakcyi im odmówiłem. Pomiedzy nimi był Artur v. Oettingen, który mi później nie mógł tego darować, niechęć nawet swoją do mnie przeniósł i na mego brata.

Takim był koniec mojego pierwszego pobytu w Dorpacie.

D-R BENEDYKT DYBOWSKI.

# PROKONSULAT STACKELBERGA

(Przyczynek z archiwum spraw zagranicznych w Moskwie).

Polityka Panina, mająca za cel stworzenie z okrojonej Polski państwa drugorzędnego, któreby było niejako zachodnią marchią Rosyi (*puissance intermédiaire, Pufferstaat*), znalazła powolnego i gorliwego wykonawcę w osobie barona Ottona Magnusa Stackelberga, mianowanego posłem w Warszawie w jesieni 1772 r. Miał on ją przeprowadzać w nieustannym „Koncercie“ z przedstawicielami dwóch innych mocarstw rozbiorczych, a to z baronem Reviczky'ın, posłem austriackim, i Gedeonem Benoit, ministrem pełnomocnym króla pruskiego. „*Monsieur de Revitsky paraît un homme minutieux et difficile d'un côté, et faible de l'autre*“ — charakteryzował Stackelberg zaraz na wstępie wspólnej działalności tego swego komparsa, a co się tyczy Benoit'a, to ta podrzędna figura była wiernem odbiciem zachłanności swego pana, kiedy mawiał do rosyjskiego kolegi, oburzającego się na postępowanie Stanisława Augusta: „*Laissez le faire, tant mieux pour nous, nous prendrons davantage.*“

Pierwszem zadaniem Stackelberga na gruncie warszawskim było stworzenie odpowiedniego stronnictwa, któreby mu dopomogło do sankcjonowania podziału przez Rzeczpospolitą i zaprowadzenia w niej nowej formy rządu. Polityka partyjna Rosyi w Polsce kilka już bowiem za Stanisława Augusta przeszła była fluktuacyj. Repnin opierał się bądź co bądź na Familii, Wołkoński użył adherentów saskich do utworzenia Rady Patryotycznej, Saldern zaciekle zwalczał Familię, Stackelberg zaś postanowił obecnie uciec się, śladem Wołkońskiego, do resztek partyi saskiej. Na jej czele pragnął znowu postawić bawiącego wciąż w Gdań-



sku prymasa Gabryela Podoskiego, a obok niego marszałka N. K. Jerzego Wandalina Mniszcza, zatem ludzi małej wartości i miary, ale zdeklarowanych nieprzyjaciół królewskich. Dalej postanowił objąć amnestyą bawiącego chwilowo w Londynie zdolnego biskupa wileńskiego, Ignacego Massalskiego, i do tych kilku wybranych przyłączać stopniowo wszystkich tych, których chęć zysku lub względy nowego poddaństwa zagnają w objęcia Rosyi.

W stosunku do Familii Czartoryskich trzymał się baron Otto tradycyi i wskazań swego poprzednika, niemiłego sobie zresztą Salderna, t. j. tendycyi jaknajbardziej wrogiej. Nie dziw więc, że bacznie śledził stosunek do nich Reviczky'ego, którego mógł posądzać o pewną w tym kierunku skłonność. Wiedeń, jak później za Sejmu Czteroletniego Berlin, był tą przystanią, do której chcieli raz po razu dobrzy patryoci kierować nawę Rzpltej, nazbyt skołataną uciskiem rosyjskim: myślał w początku swego panowania o związkach krwi z domem Habsburgów Stanisław August, nadzieje swe pokładała w opiece Maryi Teresy Konfederacya barska, grawitowali do Wiednia i Czartoryscy. „Najwięcej się obawiam -- wyznawał tedy Stackelberg — aby (Reviczky) nie dał się olśnić pochlebstwom i innym wabikom ze strony Familii, która posiada tę sztukę w najwyższym stopniu. Jak mówią, są już ze sobą w układach o jakiś zaprząg koni.“ „Czartoryscy — konkludował wobec Panina zupełnie w stylu brutalnego Salderna — zaburzyli Polskę tak, jak niegdyś nepoci papiezcy zaburzyli byli Rzym i Włochy.“

Chodziło więc o to, aby na przełomowy moment sankcyi podziału i zmiany ustroju państwa usunąć słabego a wrażliwego króla z pod wpływu starych wujów, chodziło o stworzenie przeciwwagi, o wysunięcie nowych ludzi. Król czuł dobrze grozę zbliżających się wypadków. „Jego Królewska Mość—pisał poseł rosyjski — prowadzi tryb życia Kapucyna. Dwór swój ograniczył do osiemnastu lokai, a jada zawsze sam.“ W tem odosobnieniu działała nań z jednej strony klika Branickiego: faworyt, kochanka Sapieżyna, Szwajcar Glayre; z drugiej—stykał się z Familją, ale zdaje się dorywczo i bez harmonii. Nie wystarczało Stackelbergowi naprzemian ironizować i teroryzować swego pupila; dla przeprowadzenia swoich planów potrzebował nietylko uległości króla, ale i współdziałania stronnictwa.

Pierwsze miesiące pobytu jego w Warszawie wypełnione są tedy połowem stronników. Czy to popularny biskup kamieniecki Adam Krasiński dostanie się na granicy śląskiej w ręce rosyjskie i przywieziony zostanie jako więzień do Warszawy, czy to Wes-

sel i Wielopolski objawiają chęć powrotu do kraju i obiecują poprawę, czy nawinie się skory do usług pisarz Kazimierz Raczyński,—każdą sposobność w lot chwyta żądny popleczników dyplomata: Krasińskiego kaptuje łagodnem obejściem i apelem do jego politycznego doświadczenia, konfederatów amnestyą, a Raczyńskiego nadzieją kariery. I podczas gdy tak, jak nowy Dyogenes, chodzi Stackelberg po Warszawie i szuka człowieka, zjawia się w stolicy nie jak człowiek żywy, ale raczej duch, widmo republikańskiej epoki, powracający z wygnania w Kałudze biskup krakowski Kajetan Sołtyk. Co żyło, wyległo na jego spotkanie. „Cycero nie narobił więcej hałasu w Rzymie, kiedy wracał ze swego wygnania (jak Sołtyk)—ironizuje zawsze pełen klasycznych reminiscencyj hyperboryjczyk—... a całym swoim postępowaniem dał dowody tej nabożnej chytrości, któraby się pysznie nadawała do stulecia Aleksandra VI-go. Zniszczony ubiór, łysa głowa, skruszona mina, spuszczone oczy, nieustanne znaki krzyża i wszelkie wogóle duchowne małpiarstwa zostały przezeń użyte dla wywołania wrażenia.“

Mimo tej niepoehlebnej opinii o Sołtyku, zawałał się chwilę Stackelberg, czyby nie wygrać tego atuta przeciw królowi, czyby nie wesprzeć się na pastorałe męczennika, który w entuzjazmie wyzwolenia zwał go „aniołem pokoju, zesłanym z nieba,“ czyby nareszcie nie zagrać na jego bezbrzeżnej próżności. Ale wstrzymał się na czas, przewidział i wyczuł z drobnych objawów przyszły obłęd biskupa, wolał go się pozbyć z Warszawy i zastąpić kim innym. Miał już bowiem teraz do dyspozycyi Massalskiego, miał zrujnowanego brata królewskiego, księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego, miał gadułę i wietrznika Gurowskiego, przysłanego z Petersburga z poleceniem Panina kuchmistrza Adama Ponińskiego, przekupnego kanclerza Młodziejowskiego i słabego podkanclerzego Borchy, biskupa Ostrowskiego i wojewodę Twardowskiego, Michała Radziwiłła i Marcina Lubomirskiego. Zawiódł wprawdzie Podoski, zbywszy zaproszenie królewskie na Radę Senatu kilkoma ironicznymi frazesami, ale zato w łonie Familii chwiał się bodaj Adam Czartoryski, ale w gabinecie królewskim spiskowali Boscamp i Glayre.

Teren sejmowy przygotowany był zatem świetnie, a oto i sejm przyszedł do skutku. „Otworzył się pod węzłem konfederacyi — tryumfował poseł — ten sejm, który wydaje się problemem dla pyrronizmu i dla fanatyków, którzy mu chcieli przeszkodzić... Całe trzy dni walczone z płucami jednego Sarmaty... (który) nappełnił zamek swoim *nie pozwalam*, trwającym trzy doby.“ Stłu-



miwszy opór Rejtana, zabrał się Stackelberg do jednania sobie uleglejszych posłów, traktując ich u siebie, co dało mu powód do skargi u Panina, że „każdy z nich połyka butelkę węgryzna, jak my szklanę wody.“

Opozycja została stłumiona. Czartoryscy przycichli zupełnie, miotał się tylko Branicki na czele kilkudziesięciu posłów w obronie przywilejów władzy hetmańskiej i rozdawnictwa urzędów przez króla, groził przeciwnikom defenestracją i jeździł na próżno do Petersburga. Nie oparł się wszelako Radzie Nieustającej, której ojca duchowego upatrywał Stackelberg w samym księdzu Konarskim i mimo pewnych ustępstw ze strony posła rosyjskiego i obfitego łupu białocerkiewskiego, wyszedł pobity z kampanii delegacyjnej.

We wrześniu 1774 r. stanął za sprawą Stackelberga formalny pakt między królem a partją rosyjską, którym poręczano sobie obustronne świadczenia i korzyści materyalne. Stackelberg miał poczucie, że teraz jest jeden pasterz i jedna owczarnia, a na pasterza swojej trzody, t. j. na pierwszego marszałka Rady Nieustającej, upatrył najoddańszego ze swych stronników, niewątpliwie zdolnego, ale próżnego i przedajnego, jak mało kto, Augusta Sułkowskiego.

W dziedzinie polityki zagranicznej zwracał ambasador baczna uwagę na dawną opiekunkę swobód polskich, na Francję. Wprawdzie po upadku Choiseul'a, za rządów wyniesionego przez panią du Barry księcia d'Aiguillon, opuściła ona Konfederację barską i obojętnie przyjęła rozbiór, wprawdzie odprawiła z kwitkiem poselstwo Branickiego, wołającego o pomoc dla ginącej Polski, ale przecież w składzie ministeryum paryskiego znalazł się człowiek, który nie wyrzekł się tradycyi Richelieu'ego, który bolał nad zanikiem francuskiego wpływu na Wschodzie i przeczuł we wzmagających się Prusach groźnego dla monarchii Ludwików współzawodnika. Był to Vergennes. Z jednej więc strony przez dawnego przyjaciela Polski, Franciszka Duranda de Distroff, starał się przy pomocy Potiemkina podważyć lub zrównoważyć w Petersburgu politykę Panina, idącego na rękę Prusom, z drugiej—usiłował bezpośrednio na gruncie warszawskim zetknąć się z czynnikami przychylnymi Francji, a niechętnymi Prusom. I tak na wiosnę r. 1774 zjawił się nad Wisłą hrabia d'Adhémar, jeden z faworytów Maryi Antoniny, w jesieni tegoż roku bawił tu *incognito* po raz pierwszy książę de Lauzun, przybyły coprawda raczej dla spraw sercowych, niż dla politycznych. Ale rozejrzawszy się przy sposobności w stosunkach warszawskich, zachęcony może przez Adama Czar-

toryskiego, jał marzyć o dyplomatycznych laurach, o koronie polskiej dla Izabeli Czartoryskiej, ba! może o rycerskiej służbie u Semiramidy Północy. Należąc do koteryi Choiseul'a, oddał się na usługi Vergennes'owi i z zapalem prozelity ruszył najpierw do Berlina, aby zrekognoskować tameczną sytuację polityczną, przez co ściągnął na siebie podejrzenia starego Fryca, poczem w lutym 1775 r. stawił się ponownie w Warszawie, tym razem, aby przekonywać Stackelberga o potrzebie koalicji austro-frankorosyjskiej przeciw Prusom. Ambasador nie odepchnął burzliwego emisaryusza, jak się tego można było spodziewać po wykonawcy taktyki Panina, ale owszem, za poręką Czartoryskiego, wszedł z nim w konszachty, a gdy Lauzun opuścił Polskę, utrzymywał korespondencyę. Tu już w grę wchodziły osobiste sprawy Stackelberga. Wisiała nad nim, jak miecz Damoklesa, groźba powrotu Repnina do Warszawy: siostrzan Panina rwał się napowrót do miasta, w którym prokonsularną niegdyś sprawował był władzę, rwał się do władczyni swego serca i nie tracił nadziei, że osiadzie znowu na stałe w stolicy Polski. Wobec tak niebezpiecznej konkurencyi przyszło Stackelbergowi rozglądać się za inną ambasadą: jak był przyszedł z zachodniego posterunku, z Madrytu, na wschodni, do Warszawy, tak teraz na Zachód znów pragnął się przenieść, do Paryża. Z tego względu nie chciał sobie zrażać Francuzów, Vergennes'a czy Lauzun'a, dlatego odbierał poufne listy od świetnego *duc'a*, będące komunią dwóch serc rozkochanych w Polkach, dlatego patrzył przez palce na misyę paryską pułkownika Rillecourt'a, który nad Sekwaną przedstawiał opozycyę polską.

Ta „ekstratura“ (mówiąc dzisiejszym dyplomatycznym żargonem) francusko-rosyjska trwała wszakże niedługo, a skończyła się zapewne na burze, danej przez carową Adamowi Czartoryskiemu za jego pobytu w Moskwie za to, że sprowadzał Francuza do Polski. Epilogiem zaś jej, zgoła już nie po myśli Rosyi, była o rok późniejsza kandydatura hrabiego d'Artois do tronu polskiego, którą przedłożył Stanisławowi Augustowi trzeci już z rządu francuski wysłannik, ofiarując mu w razie zrzeczenia się przezeń korony obietnicę, że zostanie Stanisławem II na księżęcym stoleu lotaryńskim. Z tego samego jeszcze wątku wysnuć się musiała w r. 1777 niefortunna swadźba marszałkowej Lubomirskiej, która wpadła na pomysł ożenienia niemłodego już kuzyna z księżniczką de Bourbon.

Pomijam tu stosunek Stackelberga do opozycyi sejmowej, który miałem już sposobność omówić szerzej na innem miejscu



i przechodzę do sytuacji wewnętrznej kraju po zamknięciu sejmu rozbiorowego i utrwaleniu Rady Nieustającej. O ile chodziło o układ stronnictw, to mamy teraz naprzeciw siebie, podobnie jak za czasów Augusta III, dwie tylko partye, ale rosyjska jest teraz antagonistką Familii, a Familia wyemancypowała się z kurateli rosyjskiej i stała się t. zw. partyą galicyjską. I tak będzie przez lat całych dziesięć; partya francuska przestała już istnieć, skoro nawet taki zelant burboński, jak Mokronowski, pogodził się z nowym porządkiem rzeczy i marszałkował na sejmie 1776 r. w zgodzie ze Stackelbergiem. Teraz więc oczy barona Ottona Magnusa zwrócone są stale na zakusy Wiednia, tembardziej, że lada chwila wybuchnąć może wojna między Rosyą a Austryą o sprawę wschodnią. Trzeba bacznie śledzić ruchy Galicyan, ich knowania z magnatami litewskimi, ich werbunki na rzecz Austrii, trzeba werbować ze swojej strony nowych partyzantów i próbować, czy bodaj z eks-barzan nie dałby się utworzyć oddział lekkiej jazdy, jako posiłkowy dla wojsk Katarzyny.

I znowu, za rozwianiem się chmury wojennej, wpadły te zabiegi w wodę, pozostały połowicznymi, jak tyle innych działań tej przejściowej epoki. Wprawdzie partya galicyjska nie dała za wygraną, i owszem, hardziej podniosła głowę za przybyciem nowego posła austriackiego, barona Thugut'a, który zastąpił kunktatora Reviczky'ego. Wprawdzie skarżył się Stackelberg na konwentykle Thugut'a z adherentami Austrii: marszałkiem Lubomirskim, Ponińskim, Sewerynem Rzewuskim, Ignacym Potockim, wprawdzie czyniono z tej strony królowi wstręty za to, że sprzyja Rosyi <sup>1)</sup>, ale na tem się też skończyło: Austriya nie chciała czy nie mogła pełnąć spraw polskich na inne tory.

Blady jest więc ten okres Stackelberga, jak to już zauważył ksiądz Kalinka, a nad latami, bezpośrednio poprzedzającymi Sejm Czteroletni, dominują niepodzielnie dwie awantury: przypadek szaleńca i przypadek szalbierki.

Wobec żywszego obecnie zajęcia się osobą biskupa Sołtyka, wobec nawet pewnej polemiki, która się o niego toczy, nie będzie pozbawionem interesu przytoczyć sąd wpływowego ambasa-

<sup>1)</sup> Kiedy król wracał w r. 1781 z Wiśniowca (gdzie się był spotkał z W. Księstwem Pawłami), Warszawa urządziła na jego cześć iluminację. Tylko pałace Lubomirskich i Czartoryskich nie zostały oświecone, a ich właściciele zapytywali się z ironią: *A-t-il gagné une bataille à Wiśniowiec? a-t-il né-gocié la restitution de la Russie blanche?*

dora, sformułowany pod wrażeniem pierwszej wiadomości o fakcie jego uwięzienia.

„Muszę dziś donieść Waszej Ekscelencyi—pisze Stackelberg do wicekanclerza Ostermana 27 lutego 1782 r.—o wypadku, który, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się małoważnym, niemniej jednak porusza i zaburza stronniczego i niespokojnego ducha, jaki długo jeszcze cechować będzie naród polski. Oto znów ten słynny fanatyk, biskup krakowski, wystąpił z głębi zapomnienia na widownię, aby stać się bohaterem katastrofy, która ma jak największe prawo do karty w rocznikach szaleństw polskich.

„Sądzę, że chcąc przedstawić w świetle właściwem nową przygodę tego dostojnika, któryby się nadawał, jak nikt drugi, na pierwszego ministra Aleksandra VI, gdyby był przyszedł na świat w jego stuleciu, trzeba się cofnąć myślą do chwili jego powrotu z Kaługi, do roli męczennika i świętego, którą tu odgrywał przed otwarciem Sejmu podziałowego i do wybryków, które w dobie tak trudnego przesilenia uwolniły mnie tak pomysłnie od obecności tego warchoła. Wstyd, że go ogłoszono we wszystkich gazetach za niepoczytalnego, skłonił go wówczas do odosobnionego trybu życia i to bezpośrednio po owej kanonizacyi w sercach świętoszków i dewotek warszawskich. Żył tedy przez lat dziewięć w Krakowie samotnie i nie opuszczając pokoju, zajęty zbieraniem olbrzymich dochodów swego biskupstwa i okazując chęć zakończenia żywota wśród praktyk pobożnych i ciszy. Aż tu nagle ten zaciszny tryb życia ustąpił miejsca bezgranicznemu zbytkowi, procesyom, publicznym aktom pobożności, przepłatanym ucztami wśród huk armat i rozdawnictwem pieniędzy między lud, gotów zbuntować się na jego korzyść. Kapituła krakowska, widząc, że po tych wybrykach następują wyraźne szaleństwa, wysłała do biskupa w największej tajemnicy dwóch kanoników, z prośbą aby raczył spać, aby zaprzestał odprawiać mszy o czwartej po obiedzie i aby dbał o swoje zdrowie. Ten krok kapituły do reszty przewrócił w głowie biskupowi. Popisał więc do króla i do papieża jak najdziwaczniejsze listy, prosząc drugiego z nich o przysłanie mu kardynała Albaniego, jako legata dla sądenia kapituły, ofiarując 20,000 dukatów na pokrycie kosztów jego podróży i dodał do swego listu drukowane *factum*, gdzie między innemi opowiada, że kazał utopić ze wskazaniem formalnościami psa, który, ku wielkiemu zgorszeniu wiernych, używany był jako ministrant przez jednego z kanoników, jego wrogów. Nie poprzestając na tych szaleństwach, zabrał się do święcenia księży w czasie zapustnym, chociaż okoliczności tego



nie wymagały, przy czem cały obrzęd zasadał się na odczytywaniu jego korespondencyi, następnie sprowadził rzeczy i powóz do klasztoru, w którym się odbywała wspomniana ceremonia, i oświadczył, że, oburzony na postępowanie swoich kanoników, postanowił wyjechać. Wtedy nakoniec kapituła, chcąc uniknąć nowego zgorzienia z osoby swego biskupa, uznała za nieodzowne uwięzić go i donieść o tem Radzie za pośrednictwem koadjutora biskupstwa, a brata królewskiego.“

Zniechęcona brakiem poparcia ze strony Austrii w swych wicherzeniach opozycyjnych na rzecz Sołtyka, zniechęcona odwołaniem Thugut'a i zbliżeniem się austro-rosyjskiem, zwróciła się partya galicyjska, a przynajmniej znaczna część jej przywódców, w stronę Berlina, skąd Fryderyk, zaniepokojony sojuszem swoich sąsiadów, chętną wyciągał do niej rękę. Przez lat cztery przed Sejmem Czteroletnim trwa już akcyja pruska w Warszawie, rozpoczęta małżeństwem księżniczki Czartoryskiej z księciem Ludwikiem Wirtemberskim, spokrewnionym z Hohenzollernami, które zaniepokoiło Petersburg. Znać odtąd kontakt między opozycją a Prusami choćby wjazdach jej do Berlina, na wzór wypraw petersbursko-moskiewskich z lat 1774—1776 i późniejszych wiekańskich. Rezydent pruski, Buchholtz, ma postępować śladami Stackelberga i dla wygodniejszego stosowania jego metody ugaszczania szlachty, odbudować pałac ambasady pruskiej w Warszawie. Podobnie, jak Stackelberg, na początku swojej działalności ma mnożyć zastęp prusofilów zręcznym połowem stronników. Podobnie, jak swego czasu Austria, ma się starać o konneksye i na Litwie wśród Radziwiłłów i Ogińskich, którzy w razie konflagracji europejskiej niepoślednie mogą Prusom oddać usługi i w Wielkopolsce, gdzie mu tem łatwiej będzie materyalnemi koncesyami, jak odszkodowania za potraczone w kordonie pruskim starostwa, jednać sobie powolne narzędzia. Przychodzą mu w pomoc emisaryusze i odezwy z Berlina, łudzące Polaków mirażem ligi antyrosyjskiej w Europie i obietnicą odzyskania Galicyi, aż wreszcie przyjdzie zręczniejszy odeń markiz, Luchesini, stroić na swą nutę rozstrojone organy Rzeczypospolitej.

Były to wszystko objawy niespodziewane dla Stackelberga a zastraszające. Po tyloletnich, nieustannych niemal sukcesach, po szczęśliwem bankructwie konkurencyi austriackiej i odparowaniu rywalizacyj petersburskich, stawał teraz wobec groźniejszego przesilenia, którego mu nie było danem przetrzymać. Atmosfera była naładowana elektrycznością, nerwy patryotów tak napięte, że wrażliwsi z pomiędzy nich i młodszy, jak np. Jan Po-

tockci, dochodzili bez mała do obłądu. Przeczuwano utajone niebezpieczeństwa i szukano dogodniejszych orientacyj. Stackelberg rachował „*die Häupter seiner Lieben*“ i do smutnych dochodził rezultatów. Sądził, że może polegać na królu, na bracie jego, prymasie, Szczęsnym Potockim, biskupie krakowskim Turskim, marszałkach Mniszchu i Raczyńskim, kanclerzu Małachowskim, wreszcie na stadzie parszywych owiec, płatnych zwolenników Rosyi, zużytych i zdyskredytowanych, jak Gurowski i Poniński. Czuł nazbyt dobrze, jak jednak wiele się zmieniło za jego prokonsulatu w usposobieniu i wartości moralnej narodu, a najlepszym wykładnikiem takiego poczucia było stanowcze oświadczenie pod adresem Ostermana w sprawie desygnacyi przyszłego marszałka sejmowego, że Poniński na nic by się teraz nie przydał, że potrzeba na to stanowisko męża, jak Stanisław Małachowski. Od Ponińskiego do Małachowskiego, od Katyliny do Arystydesa polskiego, tak da się wymierzyć przestrzeń, którą społeczeństwo polskie przebyło w przeciągu lat piętnastu.

Na tem zakończyć można te zbyt może pobieżne uwagi o roli Stackelberga w Polsce. Jeśli jeden z naszych historyków porównał świeżo późniejszą dyktaturę Igelströma z rządami Paskiewicza lub Berga, to okres rządów barona Ottona Magnusa dałby się odpowiednio przyrównać do owych okresów nie tyle pojednania, co ulgi, które bywały i w dziewiętnastym wieku w dziedzinie stosunków polsko-rosyjskich. Nie moją rzeczą tu rozstrzygać, o ile one wogóle wyszły na dobre krajowi; to pewna, że za Stackelberga mogła kwitnąć praca organiczna, będąca zasiewem pod czteroletnie żniwo i na ciężki późniejszy przednówek.

K. M. MORAWSKI.



## *Galicya wiosną roku 1812.*

W roku przyszłym przypada setna rocznica pamiętnej „wiosny“ 1812 r., wyprawy napoleońskiej do Moskwy, związanych z nią wielkich nadziei i okrutnych zawodów. Upamiętnieniem tej rocznicy zajmują się już dzisiaj liczni badacze specyjalni rosyjscy, francuscy, a poczęści i polscy. Badania te jednakowoż, zajmując się niemal wyłącznie głównym terenem tej fatalnej wyprawy, głównym jej szlakiem, biegnącym przez Księstwo Warszawskie i Litwę ku Moskwie, pomijają w zupełności połać ziemi polskiej, leżącą na uboczu od tamtego traktu wojennego, Galicyę pozostałą przy Austrii. A przecież rozejrzenie się w owoczesnych stosunkach galicyjskich, i to na podstawie odpowiednich tajnych akt wiedeńskich i lwowskich, nietylko przedstawia obraz wysoce interesujący sam przez się, ale ponadto rzuca światło na zakulisowe rachuby i widoki Austrii owoczesnej, które miały niebawem tak silnie zaważyć na losie samej wyprawy moskiewskiej i na wynikłych z niej następnie konsekwencyach dla spraw europejskich wogóle, a polskich w szczególności. Ważną tę lukę w wyjaśnieniach poniższych postaramy się jaknajwięźlejsz uzupełnić.

W pierwszych dniach marca 1812 r. gubernium lwowskie otrzymało rozkaz zaprowadzenia w Galicyi stanu wojennego. Równocześnie rozpoczęła się koncentracya wojsk austriackich między Lwowem a Jarosławiem. Wystawiony korpus armii nazwano obserwacyjnym. Z granicy rosyjskiej ściągnięto posterunki wojskowe; całą wschodnią część kraju ogołocono z żołnierza, oddając ją w ten sposób na łup grasujących na Podkarpaciu band rozbójniczych.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Haager do Goessa, Wien 8 März; Goess do Haagera, 17 März; do Berezany i cyrkulów, 17 März 1812 (Arch. Nam.).

Natomiast wzdłuż pogranicza warszawskiego wyciągnięto silny kordon wojskowy; tworzyła go awangarda korpusu obserwacyjnego; dowodził nią marszałek polny Albert Gunlay, a składały ją brygada generała Wrede, stojąca w cyrkułach przemyskim i rzeszowskim i brygada generała Mohra w cyrkułe żółkiewskim. Już ta koncentracja armii koło Jarosławia, frontem zwrócona ku Księstwu Warszawskiemu, już to оголошение z wojsk granicy rosyjskiej w chwili, gdy wśród granicznej straży moskiewskiej głośno mówiono o wojnie z Austryą, i to wszystko nazajutrz po zobowiązaniu się do czynnego udziału w wojnie przeciw Rosyi <sup>1)</sup>, było objawem bardzo znamienym.

Ludność widziała w tych ruchach wojsk austriackich przygotowania do wojny z Rosyą, wszelkie półurzędowe wyjaśnienia, udzielane z polecenia gubernium przez naczelników cyrkułów, że wystawiony korpus jest tylko obserwacyjnym i tylko ochronę kraju ma na celu, nie znajdowały nigdzie wiary. W cyrkułach zaś, z Rosyą graniczących, wśród biurokracji wymarsz stojących tam dotychczas pułków pod Jarosław wywołał obawę inwazyi armii moskiewskiej. Podzielał ją i Goess.

Po naradzie z generałem komenderującym we Lwowie, ks. Reuss Plauen, wysłała Goess 17 marca do Haagera pismo, pełne niepokoju; wskazuje w niem na niebezpieczeństwo, jakie grozi Galicyi ze strony Rosyi, która podejrzewa, że Austrya działa wspólnie z Napoleonem i przygotowuje się do czynnego udziału w wojnie; prosi wreszcie o obsadzenie wojskiem pogranicza rosyjskiego, celem zasłonięcia kraju przed mogącymi go spustoszyć zagonami moskiewskiej kawaleryi.<sup>2)</sup>

Równocześnie z wystawieniem korpusu obserwacyjnego ustanowił Goess, na polecenie ministerjum policyi, komisarzy granicznych w Ulanowie, Sieniawie, Rawie, Sokalu, Brodach, Załocziach, Radziechowie, Białokrynicy, Horodyszczach, Buczaczu i Horodence.<sup>3)</sup> I znowu główny nacisk położono tu, w myśl zresztą zeszłorocznych sierpniowych wskazań Haagera, na pogranicze warszawskie. Komisaryaty graniczne między Wisłą a Bugiem obsadził po starannym wyborze sam gubernator i to ludźmi wy-

<sup>1)</sup> Traktat przymierza między Austryą i Francją stanął w Paryżu 14-go marca 1812 roku.

<sup>2)</sup> Goess do Haagera, 17 März 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Goess do cyrkułów Rzeszów, Przemyśl, Żółkiew, Złoczów, Brzeżany, Kołomyja, Stanisławów i Czerniowce, 24 März 1812 (Arch. Nam.).



trawnymi w rzemiośle szpiegowskim; te inne natomiast powierzali naczelniczy odpowiednich cyrkułów to tym, to owym podwładnym urzędnikom naprzemian. Na Bukowinie zaś komisarzy granicznych zupełnie nie mianowano.

Tak więc i front armii szpiegów zwrócony był ku Księstwu Warszawskiemu; kierowali nią między Wisłą a Bugiem naczelnik cyrkułu żółkiewskiego Metzburg, w powiatach złoczowskim i brzeżańskim ich starostowie, renegat Sierakowski i Krieg, a w stanisławowskim i kołomyjskim stary wyjadacz policyjny, br. Dycke.

Sfera działania komisarzy granicznych była rozległa, zadania różne, nawet środki pieniężne znaczne. Oficjalnie pełnili oni w pasie granicznym drobiazgową służbę policyjną, poufnie organizowali i kierowali robotą wywiadowczą w kraju i zagranicą. Zadaniem ich było udaremnić wszelką próbę wywołania w Galicyi jakiegokolwiek ruchu, któryby mógł zakłócić jej stan normalny, względnie odkryć w czas i zdławić w zarodzie każdy zaczyn kielkującego powstania. Dlatego punkt ciężkości ich działania leżał w robocie wywiadowczej w kraju i zagranicą; w kraju śledzili przedewszystkiem stosunki jego mieszkańców z Księstwem, ich zebrania, korespondencję i wyjazdy; starali się zaznajomić z każdą krążącą wśród nich pogłoską i każdą polityczną opinią; wykryć najdrobniejsze choćby przygotowania do wzięcia udziału w wojnie, aby mu przeszkodzić; zapobiedz wysyłce do Księstwa broni, koni i pieniędzy, dostarczaniu rekruta, zbieganiu do wojsk polskich. Rozciągnęli oni dozór policyjny nad wszystkimi „znanymi, źle myślącymi narodowcami,“ nad podróżnymi, gdyż w każdym z nich podejrzywano emisariusza, nad posłańcami i Żydami, gdyż każdy z nich przypuszczalnie przewoził niebezpieczne druki i listy. W Księstwie zaś i Rosyi zbierali wiadomości o sile, ruchach i rozkładzie wojsk, o wojennych wypadkach, o zakładaniu lub zwijaniu magazynów, o nastroju politycznym tamecznej ludności i kursujących wśród niej pogłoskach.

Instrukcyja polecała czynić im to wszystko jak najostrożniej i najdyskretniej. Z władzami Księstwa i Rosyi utrzymywali komisarze graniczni stosunki jak najlepsze, starannie unikali wszelkiej z nimi kolizyi, troskliwie zapobiegali każdemu zatargowi; równocześnie zaś niewolno im było nigdy zdradzić się z najinniejszą obawą, okazać, że ich cośkolwiek dziwi, oburza, niepokoi.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Por. Instruction für die politischen Gränzkommissionen (Arch. Nam.).

W cyrkułach w głębi kraju położonych, a więc stryjskim, lwowskim i samborskim, w sanockim, sądeckim i jasielskim, wiele z istotnych zadań granicznych komisarzy pełniły urzędy cyrkułowe.<sup>1)</sup> Prócz tego urzędnicy wszystkich gałęzi służby państwowej powołani zostali do roboty wywiadowczej i policyjnej pod kierownictwem bądź to komisarzy granicznych, bądź to naczelników cyrkułów.<sup>2)</sup>

W kraju zaprowadzono stan wojenny. Paszportów udzielano z największemi możliwie trudnościami. Oficerom warszawskim nie dawano ich wcale. A bez paszportu nikt nie mógł nietylko dostać się do Galicyi i z niej wyjechać, ale także i jeździć wewnątrz kraju z cyrkułu do cyrkułu, co więcej nie wolno było udać się do obok położonej gminy lub poblizkiego miasteczka bez legitymacyi dominium albo magistratu. Czuwały nad tem na pograniczu straż cłowa i trzeci kordon wojskowy, w kraju zaś jeżdzące patrole wojskowe i urzędnicy państwowi, z których każdy miał prawo i obowiązek od podejrzanego mu przechodnia zażądać okazania paszportu. Naczelnicy cyrkułów prowadzili wykazy wszystkich „niebezpiecznych narodowców,“ notowali każdy ich wyjazd i każde poruszenie.<sup>3)</sup>

Ażebym udaremnić wszelki udział poddanych galicyjskich w wojnie, poleciło gubernium dobra każdego „Galicyanina,“ który uda się do Księstwa i weźmie udział w rozgrywających się tam wypadkach politycznych, natychmiast zasekwestrować, a jego samego uważać za uciekiniera; gdy wróci uwięzić i odstawić do Lwowa dla ukarania. Do Lwowa również odstawiać nakazano tych wszystkich, którzy zachowaniem swoim najmniejsze budzić będą podejrzenia, aby stąd następnie odesłać ich na czasowe, przymusowe osiedlenie do Berna, Ołomuńca lub Wiednia. Ci zaś, którzyby spokój w kraju starali się zakłócić, mieli być natychmiast aresztowani i zamknięci w podziemiach twierdzy w Munkaczu lub Ołomuńcu. Zarządzenia te, z wyjątkiem dwóch ostatnich, nie odnosiły się jednak do *sujets mixtes*; tym wolno było bezkarnie

<sup>1)</sup> Goess do cyr. Sącz, Sanok, Sambor, Stryj, Jasło i Lwów. 24 März 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Goess do Bankal Administration. Lemberg, 24 März 1812. Goess do Haagera, 28 März 1812. Raport o zaprowadzeniu stanu wojennego i poczynionych zarządzeniach policyjnych (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa, 9 April; Goess do ks. Reuss-Plauen, 27 April 1812 (Arch. Nam.).



udać się do Księstwa i brać udział w jego życiu politycznym i w wojnie.<sup>1)</sup>

Nie brakło też zarządzeń, które miały zapobiedz wysyłce „austriackiego złota i srebra“ do Księstwa. W tym celu strażę cłową podczas rewizji przejezdnych obliczały sumiennie ilość wwożonej przez nich do kraju monety, działało się bowiem, że jeden i drugi podawał ilość dwukrotnie i czterokrotnie większą, aby móżd następnie utworzoną w ten sposób nadwyżkę z Galicji wywieźć. Nadzieja zaś, że uciekinierzy z Księstwa i Rosyi przywiozą z sobą „obce złoto i srebro“ była zapewne jedną z ważniejszych przyczyn, dla których granic państwa przed nimi nie zamknięto.

Kłopotów zaś z tymi uciekinierami miał rząd co niemiara. Wynikały one z obawy, żeby pod kapturem zbiega nie krył się czasami niebezpieczny emisaryusz, który umykał z Księstwa nie tyle przed wojną, ile dla wywołania w Galicji powstania. Z myślą o tem, rozciągnięto nad wszystkimi uciekinierami najściślejszy dozór policyjny; dla ułatwienia go sobie a właściwie umożliwienia, odstawiano każdego zbiega, podejrzeń żadnych nie budzącego, do jednego z miast na pomieszczenie im wyznaczonych, do Żywca, Jasła, Starego i Nowego Sącza, do Bochni, Tarnowa lub Rzeszowa, podejrzanych zaś do Lwowa, a stąd do Berna lub Ołomuńca. Nie pozwalano im z reguły, chyba za szczególną łaską gubernatora, ani na pobyt gdziekolwiek indziej w kraju, choćby u krewnych lub najbliższej rodziny, ani też nawet na zatrzymanie się w drodze lub na kilkodniowy do nich wyjazd z wyznaczonego im już miejsca pobytu.<sup>2)</sup>

We Lwowie na sześciu rogatkach umieszczono tajnych agentów, którzy dniem i nocą pilnowali, żeby do miasta nie wkradł się jakiś „obcy,“ nie mający odpowiedniego paszportu, lub żeby ktoś nie przemycił jakichś „źle myślących druków i papierów.“ Prócz tego miasto zamknięto pierścieniem gęsto rozrzuconych wojskowych patroli. wieczorami i późną nocą przeciągały one również ulicami i uliczkami przedmieść, gdzie rozpijane żołdactwo dopuszczało się przeróżnych wybryków.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> Haager do Goessa, 5 i 12 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Haager do Goessa, 12 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa, Wien 31 März; do Gener. Komendy, 31 März; Goess do Brezany, Magistratu i Gener. Komendy, 20 Mai; Brezany do Goessa, (?) Mai 1812 (Arch. Nam.).

W Brodach zebrała się świetna trójka: komisarz policyjny Candiani, graniczny Rosenthal i burmistrz Gruber. W trzech pełnili oni w przykładowej harmonii służbę szpiegową za kordonem i w pasie granicznym. Było to, że tak powiem, jedyne w Galicyi policyjne środowisko i najważniejsza stacja szpiegowska w ciągu wojny. Od czasu do czasu odwiedzał ową doborową kompanię redaktor „Gazety Lwowskiej“ Kratter, miał on ciągle stosunki z granicznym agentem rosyjskim, Giersem, z którym się przyjaźnił, a któremu świadczył wiele koleżeńskich usług. Czy oprócz orderu i złotej tabakierki, jakie po skończonej wojnie od cesarza Aleksandra dostał, i inaczej był już przedtem wynagradzany przez rząd rosyjski, trudno stwierdzić stanowczo.

Nad Wisłą zaś czuwał nieustrudzony Baum; były to już ostatnie tygodnie jego pobytu w Galicyi przed wyjazdem do Warszawy. Roztoczył on swoją opiekę nad cyrkulami tarnowskim i jasielskim, których naczelnicy, ludzie zresztą bardzo zacni — jak twierdził — nie mieli jednak żadnych zdolności do pełnienia służby wywiadowczej.<sup>1)</sup>

Cały jednak ów ogromny aparat środków policyjnych i zarządzeń administracyjnych niczemu w Galicyi nie przeszkodził, wpływu żadnego na zachowanie się kraju wobec wojny nie wywarł. O robieniu powstania nikt w Galicyi, a tembardziej w Księstwie nie myślał, groza jego legła się w głowie co głębszej biurokracyi, której obecnie widmo roku 1809 spokojnie kufla piwa wysuszyć nie pozwalało. Galicya zbyt silnie wierzyła, że Austria, sprzymierzona z Napoleonem, weźmie czynny udział w wojnie, a po jej ukończeniu odda kraj dobrowolnie utworzonemu Królestwu Polskiemu, ażeby choć przez chwilę snuć mogła plany podjęcia jakiegokolwiek ruchu zbrojnego. Nigdy też żaden rząd łatwiej nie zapobiegł wybuchowi rewolucyi, jak gubernium lwowskie powstaniu galicyjskiemu w lecie roku 1812.

I nic zabawniejszego nad pocziwego Goessa, w maju i czerwcu przerażonego, zdenerwowanego, do głębi poruszonego włożoną nań przez rząd odpowiedzialnością za utrzymanie w kraju spokoju i nad jego rozpogodzone, rozjaśnione oblicze, jakie z sierpniowych jego raportów przegląda i do Haagera porozumiewawczo mruga — oto tak groźny, tak blizki wybuch rewolucyi udaremniłem.

Natomiast nie zapobiegł rząd, mimo wszystkich komisarzy granicznych, zarządzeń paszportowych, stanów wojennych, mimo

<sup>1)</sup> Goess do Bauma. 24 März 1812 (Arch. Nam.).



tego, że kraj cały dosłownie zalany był szpiegami i wojskiem, nie już fikcyjnemu niebezpieczeństwu powstania, ale całkiem realnemu, żywego udziału Galicyi w wojnie. Temu, aby poddani galicyjscy nie zbiegali za kordon do wojsk polskich, aby szlachta nie dostarczała armii księcia Józefa rekruta, broni i koni, aby żony mężom a matki synom, bawiącym w Księstwie, nie wysyłały „austryackiego złota i srebra,“ żadna siła ludzka, a cóż dopiero mizernych komisarzy granicznych, udających według rozkazu, że są nieustraszeni, przeszkodzić nie mogła.

Wszelkie zarządzenia rządu, mające na celu udaremnić udział poddanych galicyjskich w wojnie, okazały się bezskuteczne, przede wszystkim dlatego, że ogromnej większości ludności osiągnąć nie były w stanie. Pomijając już licznych bardzo wśród średniego ziemiaństwa *sujets mixtes*, nie mówiąc o magnatach, którzy nimi z reguły byli, groźba sekwestracji dóbr nie mogła przecież powstrzymać od zbiegania do wojsk polskich ogromnej większości szlachty galicyjskiej, ani też młodzieży, ani wreszcie ludzi, których pełno było po dworach wiejskich i po miastach, a którzy nic wogóle do stracenia nie mieli, prócz życia. A przecież nie kto inny, ale ten właśnie bezdomny tłum szlachecki, który żył, jak ptak niebieski, nie siejąc ani orząc, pełen junackiej fantazyi, na wszystko się ważący, stanowił główny kontyngent armii polskiej. A już szlachta galicyjska, zwłaszcza między Wisłą a Sa-nem i dalej w dorzeczu Dniestru, składała się przeważnie albo z zagrodników niemal, albo też z magnatów. Pozostała reszta, było to średnio zamożne ziemiaństwo, siedzące na kilku zwykle wsiach, przeważnie mające jeszcze jakiś mająteczek, nieraz bardzo drobny, za kordonem, albo też ta zupełnie bezdomna, chodząca dzierzawami lub wisząca po dworach magnackich przy kredensie i piwnicy.

Ci więc, którym możnaby było obłożyć dobra sekwestrem, byliby stosunkowo tak nielicznymi wyjątkami, że unieruchomienie ich tego rodzaju groźbą nie miało zbyt wielkiego wpływu na stan ogólny. Pogrożki zaś naczelników cyrkulów, że poddani galicyjscy, którzy wezmą udział w wypadkach zagranicznych, uważani będą za zbiegów, śmieszyły bardziej, niż przerażały, raz, że nikt przeważnie nie był zmuszonym do kraju koniecznie wrócić, następnie, że każdy uważał Galicyę już za prowincyę Królestwa Polskiego.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Por. bardzo liczne raporty Brezany i naczelników cyrkulów, t. zw. *Stimmungs Berichte* (Arch. Nam.).

Ktoby zresztą o takich rzeczach myślał, gdy w Księstwie Warszawskim grały już trąbki wojenne, gdy w Częstochowie stały już pułki włoskie i bawarskie, gdy Davout był już w Płocku, a król westfalski w Kaliszu a wkrótce i w Warszawie. Ktoby tam zresztą zwracał uwagę na gubernium lwowskie, gdy za kordonem stało 100,000 wojska już nie warszawskiego, lecz na rozkaz Napoleona polskiego, gdy z wszech stron wlewała się do Księstwa wielka armia, idąca na zniszczenie Rosyi, pół miliona żołnierzy, gdy w czerwcu miał się zebrać Sejm w Warszawie, o którym opowiadano sobie w Galicyi, że będzie nietylko proklamował utworzenie Królestwa Polskiego, ale wręcz króla polskiego wybierze.

Z Warszawy zaś szła z szybkością błyskawicy wieść za wieścią, każda od poprzedniej świetniejsza. A więc to Hieronim, to książę Würzburg, to Fryderyk August, to wreszcie sam Napoleon koronować się będzie królem polskim; a więc w Warszawie czynią się już przygotowania do koronacyi, już idą, już przysły wysłane przez Napoleona z Paryża insygnia królewskie. Poniatowski to, Poniatowski tanto, Poniatowski wszystko, Napoleon, Davout, Dąbrowski, Potocki, książę Würzburg, Hieronim, Fryderyk August, korpus V-ty, wojsko polskie, włoskie, bawarskie, saskie, francuskie, pruskie, korpus austriacki, Litwa, Ruś, Aleksander, Wilno, Sejm, koronacya, Królestwo Polskie przywrócone.

Stara księżna Izabela rzuca Sieniawę, objeżdża okoliczne dwory magnackie w promieniu 10 mil, wszędzie tam tłumno, gwarno, wesoło; w Dubiecku u Krasickich, w Dąbrowie u Starzyńskich, u hr. Parysa, byłego naczelnika powstania sanockiego, przybyłego właśnie z Księstwa „na polowanie,” u Rudzkiego, ongi prezesa rządu powstańczego w Rzeszowie, u Bobowskiego w Gumniskach.<sup>2)</sup> Tylko młodych niema, tylko kobiet wszędzie trzy czwarte. Dwory szlacheckie w Wolicy, Krzywem, Juszkowicach, Ponikwie, Radziechowie, Łuszczycach, Gwoźdźcu i t. d. przepelnione, szlachta jeździ ustawicznie tu i tam, miejsca nigdzie nie zagrzeje, choć to już kwiecień, już maj, roli nie pilnuje, po „polowaniach,” po „chrzcinach,” po „weselach,” po „imieninach,”

<sup>1)</sup> Baum do Goessa, Wieliczka 20, 24 i 26 März; 2, 9, 18 i 25 April, 7, 14, 21 i 26 Mai; 5 Juni 1812. Genirg, Rawa 12 April i 17 Mai; Metzberg, Żółkiew 27 April i 12 Mai; Rosenthal, Brody 11 April; Dyce, Kołomyja 19 i 30 April 1812 do Goessa (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Petrowicz do Goessa, Sieniawa 11 April 1812. Cyr. Sanok do Goessa, 11 Mai 1812. Goess do Haagera, 29 Mai 1812 (Arch. Nam.).



które tygodniami się ciągną, czas marnotrawi. Wierzajski, który „ma ogromny wpływ na chłopów,” Wierzbiński, Kownacki, Bilski, Siemianowski, Batowski, Dzierzkowski, kto ich tam dziś wyliczy, gdy wówczas naczelnicy cyrkułów i cała sfera szpiegów policzyć ich nie umiała, jeżdżą od dworu do dworu, „jak opętani.“<sup>1)</sup> Oповідаją po raz pierwszy, drugi, trzeci, dziesiąty—ciągle to samo, a wysłuchanoby ich z tą samą radością, z tymi samymi okrzykami po raz jedenasty. We Lwowie zaś adwokat Matkowski, źródło najwcześniejsze wszelkich wieści i pogłosek, dniem i nocą wartą agenta policyjnego honorowany, co raz to nową wiadomość w kurs puszcza, która, kraj cały obiegłszy, wraca doń tak zmieniona, że jej nie poznaje.<sup>2)</sup>

A że Galicya będzie oddana Księstwu Warszawskiemu, to już nie nadzieja, nie wiara, ale pewność. Przekonany jest o tem każdy mieszczanin niemiecki i nieledwie każdy urzędnik. Stąd wśród biurokracyi powszechna depresya, znikła gdzieś wczorajsza buta i arogancya. Wielooki strach rozpostarł swe panowanie nad urzędnikiem i policyjantem austryackim, sparaliżował ich stanowczość, bezwzględność, sprężystość, już wielu rzeczy nie widzą, a często nie słyszą—bo nie chcą. Według instrukcyi pełnili służbę wywiadowczą ostrożnie i dyskretnie.<sup>3)</sup>

Rząd wydał okólnik, którym starał się wylekła biurokracyę uspokoić, zapewniał ją nieledwie słowem honoru, że Galicya nie będzie nikomu oddaną, że noga nieprzyjacielska spokoju jej nie zakłóci, wszystko ze skutkiem bardzo nie wielkim.<sup>4)</sup>

Oficerowie na granicy piją na umór, żołdactwo hula i używa, jak może i umie, doczesności. Bo już i w to nikt nie wierzył, że korpus austryacki, skoncentrowany między Lwowem a Jarosławiem, pozostanie w Galicyi, jako obserwacyjny, głośno mówiono, że wkroczy on na Wołyń, jako pomocniczy armii napoleońskiej.<sup>5)</sup>

I teraz to właśnie gdzieś w połowie maja, rzecz bardzo znamienna, nagle graniczni urzędnicy i oficerowie rosyjscy, którzy od kilku miesięcy biadali nad tem, że „Austrya z Rosyą wojnę

<sup>1)</sup> Sierakowski 6 April, Metzburg 3 Mai, Rosenthal 10 Mai, do Goessa (Arch. Nam.); Goess do Haagera, 14 Mai 1812 (Arch. Minist. des Innern).

<sup>2)</sup> Haager do Goessa, Wien 23 April; Goess do Haagera, 13 Mai 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Goess do Haagera, 5 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>4)</sup> Goess do wszystkich urzędów, 5 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>5)</sup> Brezany do Goessa, 12 Mai 1812 (Arch. Nam.).

mieć będzie,“ zapewniać poczynają wszystkich dokoła, a przede-wszystkiem kolegów swych z za słupa granicznego, że Austria podczas wojny zachowa neutralność. Dostali oni, jak twierdził Dycke<sup>1)</sup>, rozkaz z Petersburga zaprzeczania wszelkim wieściom o nieprzyjacielskim stosunku obu państw, jako zgoła nieprawdziwym.

Równocześnie i gubernium lwowskie rozsyła okólnik, w którym uspokaja obawy biurokracyi przed inwazyą wojsk rosyjskich do kraju. Gdyby nawet korpus obserwacyjny zamieniony został na pomocniczy, to i wówczas jeszcze jest rzeczą nieprawdopodobną, aby armia rosyjska wkroczyła do Galicyi. Taką opinię w pierwszych dniach czerwca ucierał gwałtownie rząd w kołach biurokracyi galicyjskiej.<sup>2)</sup>

Wkrótce potem, bo 17 czerwca, ogłoszony został traktat paryski; z publikacją jego łączył rząd i nadzieje wielkie i obawy; obawiał się mianowicie, że traktat ten, kładący kres wszelkim wątpliwościom, co do rzeczywistego stanowiska Austrii, wywoła wrzenie silnego niezadowolenia w armii i biurokracyi galicyjskiej, spodziewał się zaś, że uśmierzy entuzjazm ludności polskiej dla sprawy napoleońskiej i zdławi jej nadzieję w blizkie przyłączenie Galicyi do Księstwa względnie Królestwa Polskiego.<sup>3)</sup>

Policya i naczelnicy cyrkulów otrzymali dzień przed ogłoszeniem traktatu szczegółową instrukcyę. Według zawartych w niej wskazań, starali się oni w kraju organizować opinię, że traktat nie wojnę, ale pokój i nie pogrom Rosyi, ale ochronę granic i spokoju Austrii ma na celu.<sup>4)</sup> Urzędowe te jednak enuncyacye nie robiły w kraju wrażenia. Oficerowie się burzyli, co zapaleńsi brali dymisyę. Biurokracya nawet w miejscach publicznych głośno pomstowała na rząd; nie kryła swych sympatyj dla Rosyi.<sup>5)</sup>

Pod tym względem aż nadto się sprawdziły obawy rządu, zawiodły zaś doszczętnie i nadzieje, jakie gubernium żywiło odnośnie do ludności polskiej. Drugi artykuł traktatu, którym Napoleon gwarantował całość i nienaruszalność granic Austrii, z naciskiem podnoszony przez władze krajowe, w niczem nie osłabił powszechnego w kraju wierzenia, że Galicya po wojnie będzie

<sup>1)</sup> Dycke do Goessa, 29 Mai 1812 (Arch. Nam.).

<sup>2)</sup> Goess do Haagera, 5 April 1812 (Arch. Nam.).

<sup>3)</sup> Haager do Goessa, 16 Juni 1812 (Arch. Minist. des Intern.).

<sup>4)</sup> Goess do cyrkulów i Brezany, 16 Juni 1812 (Arch. Nam.).

<sup>5)</sup> Brezany do Goessa, 8 Juli 1812 (Arch. Nam.).



Austrii zabraną. Wszelkie wysiłki rządu, żeby przeświadczenie to zachwiać, były daremne. Nikt nie przeczył, że gwarancya Napoleona dotyczy także, a może i głównie Galicyi, ale nikt w to nie wierzył, żeby ona walor swój mogła mieć dłużej, jak do ukończenia wojny.<sup>1)</sup>

Goess takich wyników nietylko się nie spodziewał, ale zgoła nie przypuszczał. Na podstawie traktatu paryskiego i załączonego doń poufnego komentarza gabinetu wiedeńskiego wnioskuje: Napoleon wyłączył Galicyę z planów swych odbudowania państwa polskiego, gwarantował przynależność jej do Austrii, wśród ludności polskiej w kraju, ludzonej nadziejami wręcz przeciwnymi, wywoła to niezadowolenie i zwątpienie, przeto chwila jest najbardziej odpowiednia dla jej państwowej asymilacyi; Królestwo Polskie będzie utworzone, przeto jest ona najpierwszą koniecznością polityczną monarchii.

Wskutek tych rozważań powraca Goess raz jeszcze do dawnych swych projektów i w dniu ogłoszenia traktatu paryskiego wysyła do Franciszka I najpoddańszy raport, w którym, jak Wurmser dwa lata temu, przedstawia swój program polityczny pozyskania Galicyi dla państwowości austriackiej. Ogólne założenia i podstawowa koncepcya tego programu były te same, co w chwili obejmowania przezeń rządów w Galicyi. W szczególności zaś części proponował Goess, aby rząd przez „zawiązanie stowarzyszenia ekonomicznego,“ przez ogłoszenie publikacyi o swych gospodarczych projektach, zwłaszcza budowy kanału San—Dniestr, osuszenia moczarów i bagien naddniestrzańskich, „rozszerzenia i ułatwienia komunikacyi handlowej,“ a wreszcie przez przyjazd cesarza w bieżącym lub przyszłym roku do Galicyi dobitnie zaznaczył, że dobro kraju i jego ekonomiczny rozwój jest jedną z najważniejszych jego trosk. Najbardziej jednak znamienitym był trzeci z czterech wyliczonych przezeń środków jednania galicyjskiej szlachty dla Austrii.— była to propozycya wprowadzenia Sejmu stanowego. Będzie on „bardzo skutecznym środkiem pozyskania szlachty dla interesów rządu; tytułami, godnościami i doradczym wpływem na zarządzenie sprawami krajowemi pochlebi się jej“ i „przez to przywiąże bardziej do państwa, a zapobiegnie dotychczasowej pogoni za zaszczytami i wpływami zagranicą.“ Prócz tego „rząd, w niczem nie skrepowany przez Sejm,

<sup>1)</sup> Goess do Haagera, 7 Juli; cyr. Sanok do Goessa, 17 Juli 1812 (Arch. Namiest.).

będzie mógł odwrócić od siebie niechęć ludności, powierzając mu pełnienie niektórych nienawistnych czynności, jak rozkładanie ciężarów podatkowych i rekwizytowych.“<sup>1)</sup>

Na tem zamykamy narazie wyjaśnienia powyższe, dotyczące polityki austryackiej w Galicyi u wstępu do kampanii moskiewskiej. Wyłania się z nich z dostateczną jasnością cała dwulicowość ówczesnego stosunku dworu wiedeńskiego do „zięcia“ i „alianta“, Napoleona I, do jego obecnej tytanicznej wyprawy na Moskwę, a tem samem do związanych z tą wyprawą ewentalności restytucyjnych na rzecz Polski. Jeśli taki był stosunek Austrii już w momencie początkowym, kiedy powodzenie zdawało się być zapewnionem idącej na północ Wielkiej Armii, to już stąd wnioskować było można z góry, jak wrogą, wręcz morderczą względem Napoleona, a zwłaszcza Polski, postawę zajmie ówczesny rząd Metternichowski, kiedy przyjdzie odwrót z pod Moskwy, katastrofa berezyńska, ruina Księstwa Warszawskiego.

WACŁAW MEJBAUM.

<sup>1)</sup> Goess do Franciszka I, Lemberg 17 Juni 1812 (Arch. Nam.).



# Ostatni powrót komety Halley'a.

## XII.

Nie było zapewne zjawiska w dziejach astronomii, którego by oczekiwano z takim przejęciem, jak przejścia ziemi przez ogon komety Halley'a w nocy z dn. 18 na 19 maja r. 1910. Patrzyły na niebo liczne miliony ze wszystkich miejsc kuli ziemskiej, dokąd tylko wieść o tem zjawisku doszła. Przed okiem tych milionów nie mogłoby się ukryć żadne, choćby najmniej uderzające zjawisko niebieskie. W rezultacie nie zaszło nic niezwykłego. Nie znaczy to przecież, aby niektóre ze zjawisk dosyć zwykłych, które w istocie zaszły, w tym wypadku nie miały niezwykłej przyczyny.

Przypomnijmy sobie stan nieba, jaki tej nocy można było obserwować u nas. Dzień 18 maja był to jeden z najcieplejszych dni majowych, temperatura średnia w tym dniu wynosiła 20°, a maksymalna 27° C. Niebo chwilami było zachmurzone, ale zachmurzenie było zmienne, i wieczorem niebo wypogodziło się prawie zupełnie; temperatura ku wieczorowi szybko spadała, a wiatr zmienił kierunek z południowo-zachodniego na północno-zachodni. Księżyc w dwa dni po pierwszej kwadrze świecił jasno i zaszedł dopiero o godz. 2 m. 10 po północy, t. j. na półtorej godziny przed wschodem słońca, gdy już pierwsze brzaski świtu bielić poczęły wschodnie niebo. Przez cały czas, gdy księżyc znajdował się nad poziomem, niebo było dosyć silnie oświetlone, tak że żadne słabsze efekty świetlne wystąpić by na niem nie mogły. Niebo pokryte było w różnych kierunkach cienkimi smugami białawych pierzasto-strefiastych chmurek, jak to zresztą często w tej porze roku się zdarza. Po północy zjawiały się

chwilami, szczególnie w bliskości księżyca, drobne chmurki o barwie rdzawo-czerwonej, bardzo szybko się poruszające, które po kilku minutach roztapiały się i ginęły. Mogły to być kłęby pary, unoszące się nisko w powietrzu, tylko zabarwienie ich było bardzo niezwykle. Prócz tego wystąpiły jeszcze dwa zjawiska, zwracające uwagę. Około godz. 11 wieczorem ukazał się dokoła księżyca pierścień o promieniu około  $5^{\circ}$ , o barwach tęczyowych bardzo wyrazistych i czystych, a nieco później wielki mleczno-biały pierścień o promieniu, wynoszącym dwadzieścia kilka stopni. Przez pewien czas oba koncentryczne pierścienie świeciły jednocześnie, potem pozostał tylko pierścień wielki, który zniknął około godz. 1 po północy. Kiedy księżyc zaszedł i tło niebieskie zciemniało, nie zjawilo się nic takiego, co mogłoby być uważane za ogon komety, rozpościerający się szeroką i długą smugą na niebie. Wkrótce potem świt począł rozjaśniać niebo, na którym coraz gęściej gromadziły się chmury, a rano spadł mały deszcz. Następnego dnia, t. j. 19 maja, temperatura obniżyła się znacznie, średnia wynosiła  $11^{\circ}$ , a maksymalna  $16.4^{\circ}$ ; średnia temperatura więc była o  $9^{\circ}$  niższa, niż dnia poprzedniego, maksymalna zaś o  $11^{\circ}$ .

To było wszystko. Rozczarowanie było zupełne. A jednak czego właściwie oczekiwano? Wszakże oddawna twierdzili astronomowie, że nie było powodu oczekiwać jakichś nadzwyczajności, nie zaprzeczając możliwości, iż być może wystąpią jakieś zjawiska, które fakt przejścia ziemi przez ogon przynajmniej stwierdzić pozwolą. Szerszy ogół oczywiście wywnioskował natychmiast, że żadnego przejścia nie było, że przewidywania były błędne. Wobec zastrzeżeń licznych co do możliwości przejścia, które wyżej były przytoczone, i z punktu widzenia naukowego nie było pewności, czy przejście rzeczywiście nastąpiło. Przedewszystkiem chodziło o stwierdzenie, czy ziemia w istocie już minęła się z ogonem. Ponieważ przed połączeniem ogon widzialny był na niebie porannem, więc po połączeniu powinienby ukazać się na niebie zachodniem wieczorem. Otóż liczne spostrzeżenia stwierdziły, że rano 19 maja ogon znajdował się jeszcze na wschodzie, a co ciekawsze, że widziano go jeszcze nad ranem dnia 20 i 21-go. Było to dowodem stanowczym, że przejście ziemi przez ten ogon widzialny nie nastąpiło. Że zaś przejście komety przez tarczę słoneczną, aczkolwiek obserwacją nie stwierdzone, zaszło z zupełną pewnością, więc wynikał stąd wniosek oczywisty, że ogon był znacznie odchyłony od przedłużonego promienia wodzącego, za którym pozostał w tyle. A ponieważ obserwacje też



wykazały, że ogon był odchylony ku północy od płaszczyzny drogi, więc, mijając się z ziemią, nie mógł jej dotknąć, lecz musiał przejść ponad nią.

### XIII.

Spostrzeżenia powyższe zdają się stać w sprzeczności z szeregiem innych spostrzeżeń, z których prawie z pewnością wynika, że materya komety dostała się do atmosfery ziemskiej. Wspomnieliśmy o pierścieniach, otaczających księżyc w nocy z dn. 18 na 19 maja. Pierścienie takie są zjawiskiem częstym; powstają one wskutek uginania się i załamywania promieni światła, gdy te na swej drodze spotykają się z drobnymi ciałkami, unoszącymi się w wyższych warstwach atmosfery. Są to w zwykłych warunkach kropelki pary wodnej lub kryształki lodowe; ale taki sam efekt mogłyby wywołać cząsteczki materyi, z której utworzony jest ogon komety, gdyby do atmosfery ziemskiej wtargnęły. Gdy pierścienie takie są zjawiskami czysto meteorologicznymi, to występują one lokalnie, albo też na niewielkiej przestrzeni, gdzie warunki meteorologiczne są zbliżone. Gdyby zaś cząsteczki, powodujące powstawanie pierścieni, były pochodzenia kosmicznego i rozproszone były w całej atmosferze ziemskiej, to zjawiska podobne musiałyby wystąpić wszędzie, gdzie tylko księżyc był widzialny nad poziomem i niebo nie było pokryte chmurami. Otóż relacje o pierścieniach dokoła księżyca, obserwowanych tej nocy, i to nietylko na całym kontynencie europejskim, ale także przez podróżnych, znajdujących się na oceanie Atlantyckim oraz w Ameryce, są tak liczne, iż skłaniają do wniosku, że przyczyna ich była kosmiczna, a trzebaby dziwnego trafu, aby nią mogło być co innego, jak zanurzenie się ziemi w ogonie komety.

Ale w daleko większej ilości i różnaitości wystąpiły zjawiska, zależne od obecności w powietrzu drobnych cząsteczek materyi, 19 maja w dzień i nocy następnej. Naturalnie, wobec tego, że obserwacje są liczne i bardzo różnorodne, trudno ściśle przeprowadzić granicę, które ze spostrzeżeń należy odnieść do zjawisk czysto ziemskich, a którym należy przypisać pochodzenie kometarne. Do tych ostatnich przedewszystkiem zdaje się należeć zjawisko, znane pod nazwą pierścienia Bishopa, które w wielu miejscach bardzo wybitnie wystąpiło.

Dnia 5 września 1883 r. O. Sereno Bishop w Honolulu na wyspach Sandwich zauważył zjawisko następujące: Dokoła słoń-

ca roztaczał się wielki pierścień barwy czerwono-miedzianej; promień zewnętrzny tego pierścienia wynosił około 30°, a wewnętrzny około 10°, sam pierścień miał więc szerokość około 20°. Prześrodek wewnątrz pierścienia, okalającego słońce, miała barwę niebieskawo-srebrną; zewnętrzny brzeg pierścienia był zamazany i zlewał się nieznacznie z otaczającym lazurem nieba.

Zjawisko podobne nigdy przedtem nie było obserwowane i pochodzenie jego było zagadkowe. Ale zagadka wkrótce się wyjaśniła. Na dzień przed tem spostrzeżeniem w nocy z dnia 26 na 27 sierpnia zaszedł jeden z najgwałtowniejszych wybuchów wulkanicznych, o jakich wspomina historia — wybuch wulkanu Krakatau, na wyspie tej samej nazwy w archipelagu Sundajskim położonego. Skutkiem tego wybuchu połowa wyspy zapadła się w morze, a olbrzymie ilości pyłu wulkanicznego, wyrzucone w górę, napełniły wyższe warstwy atmosfery i przez prądy powietrzne rozproszyły się po całej ziemi. Wkrótce po tym wybuchu zjawiać się zaczęły pierścienie dokoła księżyca i słońca, podobne do opisanego przez Bishopa, najpierw w okolicach, bliżej miejsca katastrofy położonych, a potem coraz dalej od niego; mniej więcej w rok po wybuchu pierścień Bishopa i u nas był zjawiskiem codziennem.

Z biegiem czasu pierścień Bishopa stawał się coraz mniej wybitnym, aż wreszcie przestał się zjawiać. Dopiero w kilkanaście lat potem, po pamiętnym wybuchu wulkanu Mont-Pelée na wyspie Martynice w r. 1902 ukazywał się on znowu przez pewien czas, choć mniej wybitny. Od kilku lat nie widziano go wcale. Z tych zestawień wynika całkiem wyraźnie, że pierścień Bishopa jest zjawiskiem, powstającym wtedy, gdy w wyższych warstwach atmosfery unoszą się drobne pyłki.

Otóż w dn. 19 maja r. 1910 ukazał się pierścień Bishopa w całej swej okazałości; a że w tym czasie nie było żadnego wybuchu, który mógłby spowodować zapełnienie wyższych warstw powietrza mikroskopijnymi cząsteczkami popiołu, więc przyczyną jego mogły być tylko cząsteczki pochodzenia kosmicznego, zgodnie z przewidywanem przejściem ziemi przez ogon komety.

Dla przykładu przytoczmy spostrzeżenia, zrobione w dniu 19 maja w Heidelbergu, jak je opisuje prof. M. Wolff. „Po południu wystąpił pierścień Bishopa dokoła słońca. Po zachodzie słońca zjawisko zmierzchu, które w ostatnich czasach było dosyć słabe, wystąpiło całkiem bezprzykładnie pod względem natężenia rozmiarów i trwałości. Można było obserwować następujące kolejno po sobie trzy światła purpurowe i wszystkie te zjawiska,



które po zachodzie słońca były obserwowane po wybuchu wulkanu Krakatao, a później znowu po wybuchu wulkanu Mont-Pelée, ale w stopniu o wiele silniejszym. Wieczorem dokoła księżyca pokazał się pierścień Bishopa tak silny, jak go jeszcze nigdy nie widziałem. W czasie górowania księżyca promień zewnętrzny pierścienia wynosił 28"; wynika stąd, że rozmiary cząsteczek, unoszących się w atmosferze, które powodowały to zjawisko, wynosiły około 1<sub>700</sub> mm. Obraz chmur również był bardzo ciekawy. Chmury pierzaste wszelkiego rodzaju i z najrozmaitszych punktów promieniowania pochodzące były pomieszane ze sobą. Całkiem niezwykle były cirrusy, widoczne przy ukośnem oświetleniu, postacią przypominające cienkie smugi dymu, które się ciągnęły od południowego wschodu do północnego zachodu i bez przeszkody przenikały wszystkie inne systemy chmur. Wyglądem swym naśladowały one uderzająco promieniste zorze biegunowe.

Według spostrzeżeń Wolffa w następnych dniach natężenie pierścienia Bishopa oraz zjawisk zmierzchowych szybko się zmniejszało. Co do zmierzchu, to jeżeli przyjąć za jedność natężenie normalne, to natężenie dn. 19 maja wyraża się przez 30, dnia 20 przez 16, dnia 21 przez 9, dnia 24 przez 3. W następnych dniach pierścienie dokoła słońca i księżyca znikły zupełnie, a natężenie zmierzchu wieczornego powróciło do stanu normalnego.

Cały szereg podobnych spostrzeżeń w dniach 19 i 20 maja zrobiono w różnych miejscach powierzchni ziemi. Chmury pierzaste były zjawiskiem powszechnem w tych miejscach, gdzie niebo nie było całkowicie zachmurzone; były one ułożone w kształcie smug zorzy biegunowej jakgdyby pod działaniem pola magnetycznego. Wystąpiły słupy ogniste, poprzedzające wschód słońca, oraz słońca wtórne silnie iryzujące. W niektórych miejscach obserwowano mgłę brunatną, podobną do tej, jaka się zjawiała w r. 1906 po wybuchu Wezuwiusza we Włoszech i południowej Francyi. Mgła taka powstaje skutkiem przymieszki drobnego pyłu do pary wodnej. W kilku punktach ziemi, bardzo od siebie odległych, np. we Francyi, na oceanie Atlantyckim, w Argentynie i t. p., w godzinach porannych dn. 19 maja odczuwać się dawał w powietrzu silny zapach spalenizny. Naturalnie trudno orzec, czy spostrzeżenia te ostatnie mają jaki związek z kometa.

Prócz zjawisk świetlnych spodziewano się wystąpienia zaburzeń magnetycznych oraz zmian stanu elektrycznego ziemi lub też atmosfery ziemskiej. W istocie w nocy z 18 na 19 maja na wielu stacyach zanotowano zaburzenia magnetyzmu ziemskiego, ale zaburzenia takie wogóle nie są rzadkością i specjalnie w tym

wypadku znajdują objaśnienie w grupie plam słonecznych, która w tym czasie przechodziła przez środek tarczy. Wyniki badań elektryczności ziemskiej również nie dają stanowczych wyników, aczkolwiek tu i owdzie skonstatowano większe niż normalne natężenie pola elektrycznego. W Banières we Francji stwierdzono bardzo silne natężenie pola, 330 wolt na metr kwadratowy, gdy normalnie w tym czasie wynosiło ono tylko 140 wolt.

Obecność drobnych pyłków w atmosferze odbiła się też na przezroczystości powietrza i na silniejszej absorbcyi przechodzących przez nią promieni światła i ciepła. Obserwacje promieniowania słonecznego w wielu miejscach wykazały zmniejszenie natężenia, dochodzące do 0.6 kaloryj na centymetr kwadratowy. Jako wynik tego osłabionego promieniowania niektórzy uważają też oziębienie się ogólne powietrza w następnych dniach. Ale jest rzeczą wiadomą, iż takie powroty zimna w maju zachodzą prawie corocznie i że znajdują one objaśnienie w ogólnych warunkach meteorologicznych.

Wszystkie spostrzeżenia powyższe zdają się przemawiać za tem, że już w nocy z dn. 18 na 19 maja do atmosfery ziemskiej dostał się drobny pył pochodzenia kosmicznego, którego obecność uwydatniła się najsilniej w dniu 19 maja, a słabiej już w dniach następnych. Pył ten zatem tylko przez czas krótki unosił się w górnych warstwach powietrza i prędko opadł i w części zapewne osiadł na ziemi, ale w tak nieznacznej ilości, że dostrzeżenie jego było niemożliwe.

Przed przejściem ziemi przez ogon rozmyślano szeroko nad tem, w jaki sposób możnaby wyłowić materię ogona z powietrza i dostać ją do rąk. Planowano wzloty balonami, wycieczki na szczyty górskie i t. p., ażeby to górne powietrze sprowadzić na ziemię. Czy przedsięwzięcia te doszły do skutku i czy dały jakie wyniki, o tem nie wiadomo. Prawdopodobnie byłyby bezskuteczne, gdyż przymieszka materii kometarnej w powietrzu była minimalna. Fabryka Claude'a w Boulogne sur Seine dziennie wytwarza 130,000 klg. ciekłego powietrza, na co wychodzi około 100,000 metrów sześciennych powietrza atmosferycznego. Jak wiadomo, w powietrzu, oprócz głównych jego części składowych, zawarte są w niewielkiej ilości najrozmaitsze inne gazy, które skraplają się w innej temperaturze niż powietrze. W resztkach, pozostających po skropleniu powietrza, znaleziono między innymi neon, argon, hel, krypton i inne tak zwane gazy szlachetne. Badając te pozostałości po przejściu ziemi przez ogon, znaleziono, że gęstość gatunkowa tych resztek nie różniła się od zwykłej,



tak, że istnienia jakiejś nowej domieszki nie można było wykazać. Być może jakiś bardzo ścisły rozbiór chemiczny pozwoliłby tę domieszkę wykryć, ale badania chemiczne w temperaturze, w której skrapla się powietrze, są niemożliwe.

Jakże pogodzić ze sobą fakt, że ogon jeszcze dn. 20 i 21 maja rano widzialny był na wschodniem niebie, ze zjawiskami, które przemawiają za tem, iż ziemia przeszła przez ogon i to o wiele wcześniej? Przejście ziemi przez ogon komety zależne było od spełnienia się wielu warunków, ale pośród nich nie przewidziano wszystkiego. Tak np. nie zastanawiano się nad tem, czy ziemia, znalazłszy się w bezpośredniem sąsiedztwie ogona, nie wywrze na niego jakiegoś silniejszego wpływu. Przecież ogólnie przyjmuje się, iż materya ogona składa się z cząsteczek naładowanych elektrycznie, ziemia zaś, jak wiadomo, jest silnym magnesem, a prądy elektryczne przebiegają wyższe warstwy atmosfery oraz jej wnętrze. W takich warunkach już samo odpychające działanie ziemi na materyę ogona mogłoby uniemożliwić wtargnięcie cząsteczek ogona do atmosfery, gdyby nawet wszystkie inne warunki do tego potrzebne były spełnione.

Jak było w istocie, tego napewno rozstrzygnąć nie było można. Zauważono tylko, iż na krótko przed spotkaniem z ziemią zaszło rozdwojenie się ogona. Ogon drugorzędny, stosunkowo słaby, obserwowany rano d. 18 i 19 maja, miał położenie takie, iż przejście ziemi przez niego nastąpić mogło i w istocie zapewne nastąpiło, jeżeli widziane w tym czasie zjawiska optyczno-atmosferyczne temu przejściu przypiszemy. Główny ogon przeszedł ponad ziemią dopiero w półtora dnia później i nie dotknął jej zupełnie, gdyż wieczorem po raz pierwszy widziany był dopiero dn. 21 maja. Być może, iż w tem odchyleniu ogona ku północy i rozdwojeniu się jego objawił się wpływ ziemi, chociaż znane są fakty dzielenia się ogonów, a nawet rozpadania się całych komet na części bez widocznego działania na nie mas planetarnych. Gdyby odpychające działanie ziemi na materyę ogona można uważać za pewne, to byłyby to jeszcze jeden argument więcej, uzasadniający brak wszelkiego niebezpieczeństwa ze strony nacierających na ziemię ogonów kometarnych.

## XIV.

Po dniu 20 maja rozpoczęła się epoka najliczniejszych obserwacji komety Halley'a. Chociaż już w końcu kwietnia kometa stała się widzialna gołym okiem, to jednakże dla jej zobaczenia trzeba było czynić ofiarę ze spokoju nocnego i wstawać na parę godzin przed wschodem słońca, lub też, wcale nie kładąc się spać, czekać aż się kometa ukaże nad horyzontem. Mało imponujący wygląd komety u nas nie był dostateczną nagrodą za poniesioną ofiarę. Teraz zaczęła się nareszcie epoka, w której kometa widzialna była we wczesnych godzinach wieczornych, a więc w czasie dla wszystkich najdogodniejszym.

Do d. 24 maja księżyc, zbliżający się do pełni, wschodził przed zachodem słońca i, silnie oświetlał niebo; na tem jasnym tle kometa z trudnością mogła być dostrzeżona. Dopiero po pełni, gdy księżyc zaczął wschodzić coraz później, warunki widzialności stały się lepsze, i kometa zajaśniała wreszcie na zupełnie ciemnym tle nieba. Mniej więcej do końca maja trwało to bezwzględne optimum warunków widzialności komety dla gołego oka u nas.

Ogólne wrażenie, które nawet wtedy odnoszono, było, iż kometa jest zjawiskiem słabem, nawet w przybliżeniu nie dającym się porównać z kometą styczniową r. 1910.

W tym czasie kometa znajdowała się najbliżej ziemi i można było zauważyć w jej budowie rozmaite szczegóły, które z większych odległości nie mogłyby być dostrzeżone. Ale podobnie jak stosowanie zbyt wielkiego powiększenia przy obserwacjach astronomicznych nie zawsze jest korzystne, ponieważ to, co zyskuje się przez powiększenie, traci się na jasności obrazu, tak samo skutkiem przybliżenia się komety do ziemi rozmiary jej pozorne bardzo wzrosły, ale jasność powierzchniowa w tym samym stosunku się zmniejszyła.

Z drugiej strony kometa ulegała szybkim przeobrażeniom. Przeszła ona, jak wiemy, przez punkt przysłoneczny swej drogi w dniu 18 kwietnia, a więc w tym czasie znajdowała się już w odległości 40 dni swego biegu od punktu przysłonecznego. Wspomnieliśmy, że jasność rzeczywista komety wtedy była 5 razy mniejsza od jasności w punkcie przysłonecznym, a to zmniejszenie się jasności należy uważać tylko za jeden z objawów poczynającego się rozkładu komety i powrotu do tego stanu, w jakim kometa znajduje się normalnie w wielkich odległościach od słońca.



Kompletną i najbardziej charakterystyczną jest kometa w swem stadium przysłonecznym, gdy rozróżnić możemy 3 najbardziej zasadnicze jej części: jądro, głowę i ogon. Postać ta wytwarza się stopniowo i stopniowo się zatracca. Cały szereg spostrzeżeń, odnoszących się do procesu tworzenia się typowej postaci komety, przytoczyliśmy poprzednio. Proces ten odbywa się dosyć regularnie i zdaje się o wiele spokojniej, aniżeli proces rozpadu.

W czasie gdy kometa jest już całkowicie ukształtowana w powyższem znaczeniu, najważniejszą rolę odgrywa jądro, w którym skoncentrowana jest przeważna ilość materii komety i które materią swą zasila inne jej części.

Jądro, jak wiemy, nie jest ciałem jednolitem, lecz składa się z drobniejszych odłamków materii, oddzielonych znacznie szerszymi przerwami. Świadczy o tem np. fakt, iż nie można go było dojrzeć na tarczy słonecznej, a musiałyby być zauważone ciemne punkciki, gdyby w skład jądra wchodziły kawały o średnicy przynajmniej 100 km. Nie wiemy więc nic o wielkości oddzielnych części jądra. Wogóle samo pojęcie jądra jest dosyć względne i wielkość, którą mu przypisujemy, w wysokim stopniu zależy od użytych środków optycznych. Jako przykład niech służy obserwacja zrobiona przez Barnarda d. 26 maja. Gołem okiem pośredku żółtawej głowy widać było jądro, mające wygląd białej gwiazdy 2.7 wielkości; widziane przez lornetkę jądro to zatraciło wygląd gwiazdzisty i przedstawiało się jako żółtawa tarcza, w której środku widniało niebieskawe jądro 5 wielkości. Ale gdy użytą została luneta astronomiczna, przez którą to drugie jądro znacznie zostało powiększone, zauważyć można było wewnątrz niego jasny punkt podobny do żółtej gwiazdy 9 wielkości. Uderza w tem spostrzeżeniu przedewszystkiem występowanie barw dopełniających w jądrze widzialnem i otaczającej go materii świecącej, dotąd niewyjaśnione. Pozatem widzimy, iż w budowie jądra stwierdzić można rozmieszczenie warstwami materii różnorodnej, co wskazuje, że w jego wnętrzu działać muszą siły, które taką segregację materii powodują. Może jest to elektryczne odpychanie się wzajemne cząsteczek naładowanych różnoimiennie, przyczem rodzaj ładunku stoi w związku z własnościami chemicznymi cząsteczek.

Jądro komety ulegało bardzo nagłym zmianom jasności o charakterze prawie wybuchowym. Najbardziej uderzająca zmiana zaszła pomiędzy 10 a 15 maja, kiedy jądro od 5 wielkości nagle w dniu 12 wzrosło do 3 wielkości i dnia następnego znowu wróciło do pierwotnego blasku. Zdaje się, że w dniu 25 i 28 maja

zaszły dwa minima jasności jądra, gdyż nawet przez silne lunety z trudnością w tych dniach była widziana. Na te ostatnie spostrzeżenia wpłynęły też może niekorzystne warunki atmosferyczne.

W końcu maja liczne obserwacje stwierdzają rozdziwienie się jądra. Obok głównego jądra ukazuje się po stronie ogona w nieznaczonej odległości drugie jądro, mniejsze, połączone z głównym jasno świecącą nitką świetlaną. Z zauważonych zmian odległości wynika, że mniejsze jądro oddalało się od głównego z prędkością pół kilometra na sekundę. W dniach następnych oba jądra to zbliżały się do siebie, to znów się oddalały, a nawet nakrywały wzajemnie i zmiany te położenia względne starano się objaśnić ruchem mniejszego jądra do koła głównego. W istocie wszystkie obserwacje dostatecznie się zgadzają z okresem obiegu, wynoszącym około 30 godzin.

W pierwszych dniach czerwca nieco dalej od głównego jądra zauważono większą ilość drobnych jasnych punkcików, które również zmieniały położenie, oddalając się od głównego jądra, od którego widocznie zostały oderwane. Ten podział jądra był bardzo wyraźnym objawem procesu rozpadowego komety. Rozkład taki, jak świadczą obserwacje innych komet, jest po przejściu komety przez punkt przysłoneczny zjawiskiem częstym i rzecz można normalnem.

## XV.

Głowa komety w drugiej połowie maja miała rozmiary imponujące, dorównywała bowiem tarczy księżyca. Posiadała barwę wyraźnie żółtą, pochodzącą prawdopodobnie od rozżarzonych par sodu, których obecność w głowie przez analizę widmową została stwierdzona. Ale efekt świetlny głowy był niewielki. Sprawiała ona wrażenie słabej mgielki, a ktoby nie wiedział, że to kometa, mógłby ją wziąć za małą chmurkę, unoszącą się w powietrzu, oświetloną promieniami księżyca.

Pomimo to, niektóre szczegóły budowy głowy zdołano zauważyć. Stwierdzono, że składa się ona z dwóch lub większej liczby warstw spółośrodkowych, oddzielonych ciemniejszymi przerwami. Ponieważ podobną budowę warstwową stwierdzono u jądra, więc można wyprowadzić wniosek, że w zasadzie jądro nie stanowi jakiejś odrębnej części komety, lecz jest tylko najgęściejszą, najbardziej zbitą częścią wewnętrzną głowy.



Często widywano jasną nitkę światła, wychodząca z jądra i skierowaną ku słońcu, która rozszerzała się, w miarę zbliżania się ku brzegowi głowy, i tworzyła jakby wachlarz, który jasnością odznaczał się na tle przylegających doń słabiej świecących części głowy. Rozwartość tego wachlarza była zmienna, a na samym brzegu materya wachlarza odginała się wstecz, tworząc jasny rąbek na zewnętrznym brzegu głowy, który w dalszym ciągu łączył się z materyą ogona. Wachlarz ten sprawiał zatem wrażenie jakby koryta, po którym materya jądra spływała do ogona. Kierunek tego prądu, którego wyrazem było roznaite położenie wachlarza, zmieniał się szybko i być może zachodziła w tych zmianach peryodyczność, podobna do tej, jaką stwierdził Bessel, obserwując komety Halley'a w r. 1835. Podobne wahania nie zostały dotąd stwierdzone u żadnej komety i być może stanowią one wyłączną właściwość tej najjaśniejszej ze wszystkich komety peryodycznej.

W miarę oddalania się komety od ziemi, głowa prędko malała, a całe zjawisko słabło daleko prędzej, aniżeli by to samem oddalaniem się komety od słońca objaśnić było można. D. 11 czerwca kometa ostatni raz widzialną była gołym okiem.

## XVI.

Ogon komety już nie osiągnął nigdy tej długości, jaką posiadał w połowie maja, a u nas widziany gołym okiem zaledwie parę razy miał długość wynoszącą kilkanaście stopni. Na ten szybki zanik ogona złożyły się 3 okoliczności. Przedewszystkiem szybkie oddalanie się komety od słońca, wskutek którego zmniejszało się natężenie siły odpychającej, nadającej prędkość cząsteczkom ogona, powodowało rzeczywiste zmniejszanie się długości; powtórne szybkie oddalanie się komety od ziemi ukrywało przed oczami naszymi te świecące krańcowe części ogona, które z mniejszej odległości widziane być mogły; wreszcie zmniejszający się coraz bardziej kąt między kierunkiem ogona a promieniem widzenia powodował coraz silniejsze skracanie się perspektywiczne ogona. Pozatem w zjawiskach zauważonych w ogonie objawił się również proces rozkładowy.

Kiedy obok głównego jądra wystąpił szereg oderwanych od niego jasnych punktów, ukazał się także cały szereg odgałęzień ogona nachylonych rozmaicie i krzyżujących się z sobą. Spra-

wiały one wrażenie, że każde drobne jąderko wytwarzało swój własny niewielki ogon. Być może, iż te drobne jądra same później zostały wyrzucone do ogona i z nich wytworzyły się w nim koncentracje świetlne oraz jasne plamy. Zmiany zachodzące w ogonie były tak szybkie, iż na fotografiach, otrzymanych w odstępach kilkogodzinnych, zauważyć można było znaczne różnice, a owe kondensacje świetlne znajdowały się w różnych odległościach od głowy komety. Na podstawie takich fotografii można było określić prędkość, z jaką oddala się materya ogona w różnych odległościach od głowy. Znaleziono że prędkość ta wzrasta wraz z odległością. Tak np. w dniach 4 do 7 czerwca w odległości 2,400,000 km. od jądra prędkość wynosiła 37 km. na sekundę, a w odległości 6,500,000 km — 59 km. na sekundę.

Z większej ilości podobnych określeń wynika, że ruch cząsteczek ogona uważać można za jednostajnie przyspieszony i że przyspieszenie wynosi 0.15 do 0.25 metrów na sekundę. Stwierdzenie tego przyspieszenia jest faktem bardzo doniosłym, świadczy bowiem, że siła odpychająca, która tym cząsteczkom ruch nadaje, jest siłą stale działającą, podobnie jak np. siła ciężkości, a nie siłą momentalną, działającą w sposób eksplozywny. Pod działaniem siły momentalnej prędkość cząsteczek nabyta musiałaby pozostać stałą, gdyby nie współdziałały inne siły, któreby prędkość tę zmniejszyć mogły.

Kilkakrotnie obserwowano też oddzielanie się znaczniejszych części ogona w postaci słabo świecących obłoczków, które niekiedy tylko fotograficznie można było stwierdzić, a d. 6 czerwca ogon całkowicie oddzielił się od głowy i pomiędzy głową a ogonem wytworzyła się pusta przerwa. Wkrótce potem wytworzył się nowy ogon, skierowany nieco inaczej niż poprzedni, który częściowo pokrył ten ostatni; wskutek tego oba ogony razem sprawiały wrażenie jednego ogona jakby nadłamanego. Podobny kształt ogona obserwowano i dawniej, a szczególnie wybitnie wystąpił on u komety Morehouse'a z r. 1908. Wyjaśnienie tego kształtu znajdujemy dopiero w obserwacjach komety Halley'a. Ponieważ materya ogona rozpraszala się w przestrzeni, a także z powodów już poprzednio wymienionych, ogon malał bardzo szybko. Długość jego d. 1 czerwca wynosiła 25°, d. 5 — 18°, d. 7 — 12°, d. 9—5° i t. d., a ostatni raz słaby ogon, jako cienki promień, długości 20°, obserwowany był d. 30 czerwca. W tym czasie kometa przedstawiała się już jako słaba mgielka z jądrem 10 do 12 wielkości, a ostatnia obserwacja zrobiona na wieczornem niebie pochodzi z 10 lipca; ogólna jasność komety



w tym czasie była tak mała, iż sprawiała wrażenie gwiazdy 12 wielkości.

Potem kometa widziana była dopiero w d. 11 sierpnia jako przedmiot bardzo trudny, znajdujący się na granicy widzialności 9-cio calowej lunety obserwatorium w Johanisburgu (Transwaal). Znajdowała się ona wówczas w takiej samej odległości od punktu przysłonecznego, jak po drugiej jego stronie w początku stycznia, lecz była o wiele słabsza, niż wtedy. Według rachunku powinny być prawie 8 wielkości, w rzeczywistości była znacznie słabsza, niż gwiazda porównywana 10 wielkości. W listopadzie kometa znowu została odkryta fotograficznie, a następnie jeszcze była fotografowana w grudniu oraz w styczniu i lutym r. b. Znajdowała się ona już na granicy widzialności najsilniejszych narzędzi, podobnie jak w chwili odkrycia.

## XVII.

Niewątpliwie wszystkie spostrzeżenia komety Halley'a nie zostały jeszcze ogłoszone, ale nie sądzimy, aby mogły przynieść jeszcze jakieś szczegóły zasadniczo nowe, coś, czego byśmy w tem obszernem sprawozdaniu nie uwzględnili. Będą to prawdopodobnie tylko nowe pozycje komety, określające dalsze punkty jej drogi naokoło słońca. Możemy więc już obecnie wytworzyć sobie ogólny pogląd na zjawiska, które kometa przedstawiała w czasie ostatniego powrotu, i zapytać się, czy różniły się one znacznie od zjawisk, które nastęrczała kometa w dawniejszych czasach. Że zmianom kometa podlega, widzieliśmy to w krótkich miesiącach jej widzialności, o ileż większym zmianom podlegałaby mogła w długich latach niewidzialności.

Jak niejednokrotnie u rozmaitych komet, tak i obserwacje komety Halley'a stwierdziły z całą stanowczością, iż ogon powstaje z materji, wydobywającej się z jądra, która pod wpływem siły, mającej siedlisko w słońcu, oddala się nieustannie od głowy komety z coraz to większą prędkością. Wypływa stąd wniosek, że materya ogona już do jądra powrócić nie może, tylko rozprasa się w przestrzeni międzyplanetarnej. Co więcej widziano oddalające się od ogona części w postaci jasnych chmur, a dalej zupełne oderwanie się jednego ogona, którego miejsce zajął ogon nowy.

Wszystkie te zjawiska stwierdzają że kometa, gdy znajduje się w bliskości słońca, traci część swej materji. Z drugiej strony

wiadomo, iż wszystkie komety peryodyczne, t. j. w krótkich okresach czasu obiegające słońce, są to ciała niebieskie bardzo słabo świecące, widzialne w przeważnej części tylko przez większe lunety i ogonów całkowicie pozbawione. Wyjątek stanowi kometa Halley'a, która pośród peryodycznych, o okresie mniej niż 100 lat wynoszącym, jest jedyną, widzialną gofem okiem w przysłonecznej części swej drogi i posiadającą ogon. Wszystkie zaś inne jasne komety należą do nieperyodycznych.

Z tych faktów wyprowadzono wniosek, że i te słabe dzisiaj peryodyczne komety, kiedy otrzymały swoje drogi eliptyczne, były jasne i obfitowały w materię ogono-twórczą, ale w czasie tysięcy lub nawet większej liczby swych przejść przez punkt przysłoneczny wyczerpały się prawie zupełnie. Najkrótszy okres obiegu tej kategorii komet, wynoszący 3.3 lat, posiada kometa Encke'go. Inne mają okresy dłuższe, ale przecież o wiele krótsze, niż kometa Halley'a. Drogi tych komet nie posiadają tak wielkich rozmiarów, jak droga komety Halley'a, więc być może wpływ słońca na nie ujawniał się stale w stopniu znacznym, choć naturalnie w dalszych częściach drogi słabiej, niż w punkcie przysłonecznym.

Gdybyśmy przypuścili, że wszystkie komety peryodyczne wtargnęły do układu słonecznego jednocześnie, to każda z nich tem prędzej traciłaby swą materię, im krótszy byłby okres obiegu i mniejsze rozmiary drogi.

Jakkolwiekby i kometa Halley'a wyczerpywać się musi; ale nie wiemy wogóle nic o tem ile czasu potrzeba, ażeby kometa w całości utraciła swoją materię ogonotwórczą. Odpowiedź w tej sprawie może nam udzielić jedynie tylko kometa Halley'a, która ogon jeszcze posiada, lecz kiedyś, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie go pozbawiona. Ale jak się zdaje, jest to proces bardzo powolny, obejmujący długie tysiące lat. Przecież historię komety Halley'a znamy z górami od lat 2,000 i wszystkie prawie jej powroty zostały zanotowane w kronikach europejskich lub chińskich, a jednak, pomimo że autorzy piszący o niej w różnych czasach w sposób bardzo rozmaity charakteryzują jej wielkość i jasność, niema dostatecznej podstawy do wniosku, iż kometa w ciągu tych 2,000 lat straciła na zewnętrznej okazałości. Tak samo i powrót ostatni nie daje pod tym względem żadnej przekonywującej wskazówki, a raczej przemawia za tem, że kometa w porównaniu z dawnymi jej powrotami nie na jasności nie straciła.



## XVIII.

Jeżeli wogóle mówi się o nadzwyczajnej świetności komety Halley'a, to opinia ta i związane z nią oczekiwania opierają się na zjawisku, które kometa ta przedstawiała w r. 1456. Wtedy miała ona rozmiary imponujące, głowa jej pod względem wielkości była porównywana z księżycem, a ogon obejmował połowę nieba. A ponieważ wtedy wojska chrześcijańskie walczyły z muzułmanami, więc kometa wzbudzała przestrasz i, jak niektórzy autorowie współcześni powiadają, papież Kalikst III w celu odwrócenia nieszczęścia, którem groziła kometa, kazał dzwonić w południe po kościołach i odprawiać modlitwy. Chociaż historycy kościoła zaprzeczają tej wiadomości, to przecież niezwykłą wspaniałość komety Halley'a w r. 1456 stwierdzają liczne źródła całym od siebie niezależne.

Jak sądzić z opisów również bardzo świetną była kometa Halley'a w latach 66, 1066 i 1145. Ale, pomijając lata wymienione, nie była ona nigdy bardzo świetna, co wypływa także z opisu innych komet, które widziane były jednocześnie z kometa Halley'a lub przynajmniej przez ludzi, którzy ją widzieli i z innemi porównać mogli. Często obok entuzjastycznych opisów innych komet znajdujemy prostą tylko wzmiankę o komecie Halley'a.

Pomimo to materyał kronikarski, jak wspomnieliśmy, nie upoważnia nas do wysnuwania wniosków o rzeczywistych zmianach komety. Aby różne powroty komety Halley'a ze sobą można było porównać, trzeba by posiadać jakieś dane, wyrażone liczbami i otrzymane w warunkach, dających się dokładnie określić. Otóż wszystkie obserwacje komety Halley'a do r. 1531 nie dają potrzebnego materyału. Dopiero począwszy od r. 1607, istnieją szacowania jasności, wynikające z porównania komety z gwiazdami lub planetami, które więc obejmują tylko 5 ostatnich powrotów i okres 300-letni. Oczywiście i z tego okresu czasu obserwacje nie są jednakowo liczne we wszystkich powrotach i materyał obserwacyjny jest dosyć skąpy.

Porównywać z sobą można tylko jasności, odnoszące się do jednakowych odległości komety od ziemi i słońca, t. j. po wykonaniu odpowiednich redukcji. Nie możemy się spodziewać, ażeby zgodność była zupełna, gdyż szacowania jasności są trudne i, jak to już widzieliśmy, od wielu różnych wpływów zależne. W istocie istnieją różnice nawet dość znaczne, ale tego rodzaju, iż nie

można im przypisać prawdziwości obiektywnej i błędami obserwacyi objaśnić je można. Wynika stąd, że w ciągu ostatnich 300 lat z pewnością nie zaszły w komecie zmiany, któreby w sposób dostrzegalny wpłynęły na efekt świetlny.

W jakim sposobie jednakże objaśnimy fakt pewny, iż kometa Halley'a w jednych powrotach była jaśniejsza niż w innych? Gdyby kometa stale się wyczerpywała, to jasność komety musiałaby być coraz mniejszą i po epokach, w których kometa występowała jako zjawisko słabe, nie mogłyby następować powroty tak okazałe, jak opisy pozostawione o tem świadczą. Szukając wyjaśnienia tego faktu poza wpływami atmosferycznymi oraz warunkami widzialności komety, możnaby znaleźć objaśnienie tylko w jednym przypuszczeniu, dającym się do pewnego stopnia uzasadnić.

Ponieważ wszystkie efekty świetlne komet rozwijają się pod działaniem siły, mającej siedlisko w słońcu, więc w założeniu, że kometa sama nie podlega jakimś zmianom znaczniejszym, musiałaby ona też w jednakowych odległościach od słońca być jednako jasną, gdyby nie zmieniało się natężenie tej siły, od której świetność komet zależy. Otóż zdaje się, że natężenie tej siły się zmienia.

Słońce wogóle jest zjawiskiem zmiennem. Zmiany dostrzegalne na słońcu zachodzą w okresie 11-letnim, a występują najwybitniej w liczbie plam słonecznych, w kształtach barwy słonecznej oraz w szeregu zjawisk ziemskich, niewątpliwie od działania słońca zależnych. Zdaje się też, iż natężenie siły, pod której działaniem zachodzi świecenie komet, również zmienia się w tym okresie 11-letnim. Wypływa to np. z badań Berbericha nad jasnością komety Encke'go. Kometa ta, posiadająca ze wszystkich peryodycznych najkrótszy okres obiegu dokoła słońca, wynoszący zaledwie 3.3 roku, od chwili odkrycia w końcu XVIII w. przechodziła przez punkt przysłoneczny swej drogi trzydzieści kilka razy i prawie za każdym razem była obserwowana. Oczywiście obserwacje komety przypadły na różne lata 11-letniego okresu słonecznego, a więc też zależność jasności jej od stanu słońca, jeżeli taka zależność istnieje, powinna się ujawnić. Otóż Berberich znalazł, że kometa była zawsze najjaśniejszą w czasie minimum plam słonecznych, a najmniej jasną w czasie maksimum, a dalej, że w jasności komety odzwierciadla się nie tylko całkiem wyraźnie 11-letni okres czynności słońca, ale nawet wszystkie wahania, dotyczące długości okresu oraz natężenia towarzyszących mu zjawisk.



W zgodzie z temi badaniami znajduja sie spostrzeżenia, odnoszace sie do komet nieperyodycznych, z których wypływac sie zdaje, że komety, pojawiajace sie w epokach minimum plam slonecznych sa w ogolnoci mniej jasne i posiadaja slabiej rozwiniete ogony, aniżeli komety, pojawiajace sie w epokach wzmożonej czynnoci slonca.

Byc może, iż także jasnoc komety Halley'a zależy od tego, w którym roku okresu 11-letniego przechodzi ona przez punkt przysloneczny. Niestety, sprawdzenie tego przypuszczenia dzisiaj jest niemożliwe. Jak wiemy, okres obiegu komety Halley'a dookoła slonca nie jest stały i zmienia sie od 74 do 78 lat, a silniejszym jeszcze zmianom podlega okres czynnoci slonca, gdyż waha sie w granicach od 7 do 17 lat. Jeżeli wiec cofniemy sie w te czasy, gdy plam slonecznych jeszcze nie znano (odkryto je w poczatku XVII wieku), to nie możemy nic powiedziec pewnego, w których latach przypadały maksima lub minima plam slonecznych. Byc może, że w r. 1456 w istocie przypadlo minimum plam slonecznych, ale o tem nic nie wiadomo.

Ostatnie przejscia komety przez punkt przysloneczny zaszły w latach 1682, 1759, 1835 i 1910; najbliższe tych epok maksima plam slonecznych były w latach 1685, 1761, 1837 i 1906. Gdyby zależnoc pomiedzy jasnocia komety a liczba plam na sloncu przyjac, to kometa w latach 1759 i 1835 powinna byc jasniejsza niź w r. 1910, poniewaź tamte powroty komety przypadały na 2 lata przed epoka maksimum plam, ostatnie zas przejscie w 4 lata po maksimum. Gdyby wiec moźna bylo udowodnic, że kometa Halley'a w istocie była obecnie mniej jasna niź dawniej, to mielibysmys zarazem juź i objanienie tego faktu.

## XIX.

Ale czy w istocie kometa Halley'a w r. 1910 była mniej świetna, niź dawniej? Zdaje sie, że nie, a nawet kto wie, czy była ona teraz mniej wspaniaa, niź w rozglonym roku 1456.

W dawnych czasach, gdy obserwacje ograniczone były do małego kawałka ziemi, o świetnoci zjawiska sadził kaźdy tylko z tego, jak mu sie przedstawialo samemu. Jeżeli w kronikach znajdujemy wiadomoci o nadzwyczajnej wspanialoci komety Halley'a, to dlatego, iż była ona wtedy zjawiskiem bardzo wybitnym w ojczyźnie kronikarza, t. j. w Europie lub Chinach. Ale czy byłaby ona tak wspaniaa, gdyby widzialna była tylko w czasie zmierzchu, albo w czasie pełni ksieżyca, albo czy by wogole

zwróciła czyjaś uwagę, gdyby w czasie największego jej blasku niebo było pokryte chmurami? Te wiadomości, które mamy o komecie Halley'a w r. 1456 świadczą o tem, iż warunki widzialności jej na półkuli północnej musiały być bardzo korzystne, ale nie wiadomo, co by o niej pisali kronikarze australijscy lub południowo-amerykańscy, gdyby w owym czasie istnieli.

Jakże się zmieniły stosunki od tego czasu! Dzisiaj cała kula ziemską jest miejscem obserwacji zjawisk niebieskich i jeżeli w jednym miejscu warunki obserwacji są bardzo niedogodne, to mogą one być bardzo korzystne w innym. I w żadnym zakątku ziemi nie brak dziś ludzi z zapałem i znajomością rzeczy oddających się obserwacjom astronomicznym. Posłuchajmy więc też, co o ostatnim powrocie komety Halley'a mówią mieszkańcy okolic ziemi, bardziej tym razem uprzywilejowanych. Najlepiej usytuowane były okolice blisko równika, a szczególnie miejsca, wzniesione wyżej ponad poziom morza.

Astronom francuski Mascart w celu obserwacji komety udał się na wyspę Teneriffę. W połowie maja głowa komety przeżyła tam jasnością największe gwiazdy, a nawet najjaśniejszą ze wszystkich planetę Wenerę. Ogon, szeroki jak droga mleczna, ciągnął się na  $\frac{2}{3}$  obwodu nieba i miał wygląd światła, rzuconego przez wielki reflektor elektryczny. Była ona o wiele wspanialszą od komety r. 1882, którą Mascart obserwował w Paryżu. Astronom ten twierdzi, że jeżeli tak wspaniała była kometa w r. 1456, to przestraszał jąki budziła, jest zupełnie zrozumiała. I teraz bowiem cała ludność Teneriffy tak była przerażona, iż nie było sposobu wytlómaczyć jej, że żadne niebezpieczeństwo ziemi ze strony komety nie grozi.

Inny obserwator (Sigulas), który obserwował komętę Halley'a w Annamie, powiada, że rano d. 17 maja widział głowę komety jeszcze przez 20 minut po wschodzie słońca (a więc w dzień), była ona wtedy większa od tarczy słońca. W podobny sposób pisano o komecie Halley'a w r. 1456, ale przypisywano zbyt nieprawdopodobne szczegóły przesadzie chińskich kronikarzy.

Przytoczmy jeszcze jeden opis komety, jak była widziana w Campos w Brazylii. „D. 18 maja rano ogon komety przecina drogę mleczną i ma blask nadzwyczajny. Mieszkańcy są pełni przerażenia. Kilka osób towarzyszy mi i podziwiamy wszyscy wspaniałe zjawisko. Zdaje się nam, że jesteśmy na Saturnie i patrzymy na pierścień jego, który nas otacza. Jesteśmy widzami zjawiska potężnego i groźnego zarazem. Widziałem wielką komętę sierpniową w r. 1882, ale co do świetności niema żadne-



go porównania między tamtą kometą, a kometą Halley'a, jak była tu widziana w r. b.“ Podobnych opisów można by przytoczyć bardzo wiele. Jeżeli więc kometa Halley'a w czasie ostatniego powrotu tak wspaniała była, to właściwie niema uzasadnionej podstawy do przypuszczenia, iż była ona w dawnych czasach jeszcze wspanialszą.

Ale jest faktem niezaprzeczonym, iż materya ogona komety pochodzi z jej jądra i że ogon rozprasza się w przestrzeni, że zatem kometa swą materję traci; drugim faktem, niemniej wymownym, jest, że komety peryodyczne, mające krótki okres obiegu, nie mają ogonów, gdyż materya ich ogonotwórcza już się wyczerpała. Więc i kometa Halley'a z pewnością traci swą materję przynajmniej od 2,000 lat, t. j. czasu, odkąd pierwsze jej obserwacje się datują. Pomimo to obserwacya nie stwierdza wyraźnie zmniejszenia się świetności komety.

Jak te sprzeczności ze sobą pogodzić? Wiemy przecież, iż cała masa komety jest tak mała, że w praktyce wcale w rachubę nie jest brana i nie wiemy zupełnie z czem ją porównać, a pomimo co najmniej 2,000 lat trwającego rozpraszania się dość jeszcze zawiera substancyi na tworzenie się ogona. A ogon ten przecież nie jest tylko jakimś zjawiskiem świetlnem, jest on stanowczo zjawiskiem materyalnym, czego dowodem są choćby te drobne cząsteczki materyalne, które zapełniły wyższe warstwy atmosfery wówczas, gdy ziemia przechodziła przez ogon.

Możnaby zaryzykować hipotezę, że kometa, znalazłszy się w większych odległościach od słońca, zbiera znowu po drodze rozproszone części ogona i wchłania je jak gąbka, a gdy wraca do punktu przysłonecznego, niesie ze sobą nowy zapas materyi ogonotwórczej. Możnaby naturalnie z drugiej strony zapytać, czemu wobec tego inne komety peryodyczne nie posiadają ogonów? Otóż różnią się one od komety Halley'a tem, że nie oddalają się tak daleko od słońca, jak ona, a w mniejszych odległościach materyi kometarnej na swej drodze być może nie napotykają. Hipoteza taka oczywiście byłaby tylko przypuszczeniem, nieznajującym poparcia w spostrzeżeniach.

Musimy przyznać, że chociaż ostatni powrót komety Halley'a był dla nas pod wielu względami nadzwyczaj pouczającym i zawdzięczany jej poznanie wielu zjawisk, nigdy przedtem niespostrzeganych, to przecież budowa fizyczna komet i tajemnica ich powstawania nie została całkowiec wyjaśniona.

# PIŚMIENNICTWO.

POLONUS. *Psychologia obecnego Sejmu galicyjskiego*. Na podstawie spostrzeżeń, poczynionych w ciągu pierwszej sesji dziewiątej kadencji tego Sejmu w zimie r. 1910. W Krakowie, czcionkami drukarni „Głosu Narodu,” pod zarządkiem J. R. Dobrzańskiego, 1910.

„Gdyby było potrzeba—zaczyna autor swą pracę—przykładów na to, jak wyglądają instytucje i systemy, które się przeżyły i wpadły w stan bezwładności i rozkładu, to monarchia austro-węgierska mogłaby w ostatnich czasach dostarczyć takich przykładów dwa. Pierwszym był niedawno rozwiązany Sejm Korony św. Szczepana, drugim Sejm Królestw Galicji i Lodomeryi wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim, jak opiewa jego urzędowa nazwa.“

Surowy ten, acz sprawiedliwy sąd uzasadnia dalej autor w całej swej broszurze, rozważając szczegółowo działalność i znaczenie oddzielnych partji w Sejmie galicyjskim. Nie widzi on tam wcale wybitnych ludzi, którzyby doróśli do tego, by się stać przywódcami narodu. Są przywódcy partji i stronnictw, niema zaś przywódców Sejmu, bez takiego zaś przewodnictwa żaden parlament obejść się nie może. Gdzież są — pyta Polonus — tacy ludzie, jak dawniej, Adam Potocki, Smolka, Zyblikiewicz, Grocholski, Leon Sapięha, Gołuchowski, Dietl, i porównywuje z nimi dzisiejszych działaczy.

Drugim powodem rozprężenia sejmowego jest, według autora, nieszczęsna sprawa ruska. W stosunku do Rusinów niema ze strony polskiej żadnego jednolitego planu, żadnej myśli przewodniej. Rusini brutalnością i dziką bezwzględnością swoją zdobywają coraz to nowe ustępstwa. My dla świętego spokoju, tudzież



ze względu na opinię publiczną, aby nas nie posądzano o prześladowania bratniego narodu, ustępujemy krok za krokiem, pozwalamy sobie wydzierać z rąk jeden drobiazg za drugim. Cała sprawa ruska powstała wskutek niedołęstwa polskiego i rozmiary, jakie przybrała, są też tylko rezultatem tego niedołęstwa. Program tutaj Polonusa jest taki: dać Rusinom wszystko, co im do kulturalnego rozwoju i równouprawnienia jest konieczne, ale równocześnie zorganizować kraj tak, by hajdamactwu położyć tamę.

W ocenie stronnictw sejmowych autor jest surowy, ale bezstronny.

Konserwatyści krakowscy, czyli stańczycy, nie posiadają już tych głów, co dawniej, i dziś sami nie wiedzą, czem właściwie są i czego trzymać się mają. Rozstraja ich w dodatku obecna zmora równego i powszechnego prawa głosowania, które działa na nich, jak czerwone sukno. Jeśli konserwatyści krakowscy przynajmniej w dwóch ważnych sprawach: reformy gminnej i agrarnej mają określone dążenia pozytywne, to natomiast konserwatyści lwowscy czyli podolscy wiedzą tylko to, czego nie chcą, i trzymają się najchętniej hasła chłopca rusińskiego: „naj bude, jak buwało.“

Ludowcy, to—zdaniami Polonusa—dziecko, zrodzone z kwasów społecznych, powstałych w bagnie obszarów dworskich i anarchii gminnej. Pomimo takiego jednak ich początku, autor nie zaprzecza, że powstanie tego stronnictwa było w życiu narodowym objawem pomyślnym, będąc dowodem obudzenia się ludu polskiego z wiekowego uśpienia, stronnictwo ludowe nie mogło się jednak w nienormalnych warunkach nie spacyć. Dziś, pod przewództwem Stapińskiego, przeobrażają się ludowcy w najgorszego gatunku stronnictwo chłopów-geszefciarzy, popierających rząd za pieniądze.

Demokracja galicyjska miała niegdyś ludzi znakomitych i piękne tradycje, dziś jednakże nie posiada żadnych wskazań na szerszą metę i nie gra wybitniejszej roli. Pierwsze skrzypce w obozie demokratycznym objęli obecnie t. zw. demokraci narodowi. Autor przyznaje im zasługę wysunięcia hasła „wszechpolskiego,“ zarzuca jednakże chwiejność w polityce i również brak wszelkiego programu w działaniu.

Kończąc niewesołą wędrówkę po stronnictwach polskich, stwierdza autor wszędzie bezradność, rozprzężenie i rozstrój, w niektórych stronnictwach są te smutne objawy niewątpliwym dowodem chylenia się ku upadkowi, w innych są może przemijające, ale całość przedstawia taki widok, że, według Polonusa,

cofnąłby się należało chyba aż gdzieś w czasy przed Sejmem czteroletnim, aby znaleźć odpowiednie porównanie.

Może niejednemu—tłómaczy Polonus—sąd wyda się niesprawiedliwością, może powiedzą, że dobry Polak tak potępiać dzisiejszego Sejmu nie powinien! Wszak ten Sejm uchwalił budżet, przedyskutował mnóstwo spraw, odbywał prawie codziennie po dwa posiedzenia. Marszałek i posłowie składali dowody niezwykłej wytrzymałości; marszałek, jako przewodniczący, trzymał w cuglach i zwycięsko zwalczał obstrukcję Rusinów. Posiedzeń komisyjnych było także bez liku. Napracowano się ciężko przez parę tygodni od rana do późnej nocy. Czegóż więc jeszcze może zadać złowrogi puszczyk krytyki?

Nie można zaprzeczyć—odpowiada na to autor—że posłowie istotnie pracowali gorliwie i krzatali się od rana do nocy, mnóstwo też spraw najrozmaitszego rodzaju załatwili. Cała ta jednak krzątania wygląda tak, jak gdyby Sejm w ten sposób chciał zamaskować swoją całkowitą nieporadność w sprawach najważniejszych i najżywotniejszych, od których dalszy nasz byt i rozwój narodowy zależą.

Obóz polski w Sejmie — konkluduje Polonus — znajduje się jakby w stanie półsenym. Robi wrażenie człowieka mocno rozmarzonego. Groźne niebezpieczeństwa huczą mu nad uszami i wołają: ocuć się, ale on nie chce się przebudzić, im chętniej zaś urokowi snu się poddaje, tem go sen silniej ogarnia. Ciągłe woła: zaraz... zaraz, jeszcze chwilę tylko. Ale to „zaraz i zaraz“ niema końca, a chwila trwa i trwa ciągle...

Tak wygląda jedyny parlament polski. Ratunek widzi Polonus tylko w reformie wyborczej, która wpuści prąd świeżego powietrza do zastoju i zgnilizny, rozbudzi nowe życie, każda, choćby najgorzej połatana, reforma wyborcza będzie lepszą od stanu obecnego. Wobec tego oburza się autor na sztuczki, jakich używają konserwatyści w celu odwleczenia tej najdonioślejszej sprawy i uważa je za niegodne wielkich tradycyj tego stronnictwa.

Od przygnębiającego obrazu polityki polskiej przenosi autor wzrok na objawy weselsze w życiu narodowym polskim. Uroczystości grunwaldzkie w Krakowie odsłaniają przed nim gorące, uczciwe i polskie uczucia mas i napełniają otuchą w lepszą przyszłość.

Rzeczą jest znamienne, że tak ostra ocena wewnętrznej polityki galicyjskiej wyszła bynajmniej nie z pod pióra jakiegoś radykała. Przeciwnie, sympatyje Polonusa skłaniają się raczej ku poglądom katolicko-konserwatywnym, czemu wyraz daje niejedno-



krotnie w swej broszurze z zachowaniem: jednakże całej bezstronności, jaka przystoi sumiennemu krytykowi. Tem silniejsze wobec tego wrażenie robią argumenty autora, dowodzące konieczności reform w życiu Galicyi. Gorąca miłość kraju i serdeczny ból nad jego brakami dyktują autorowi jego surowe i bezwzględne nieraz słowa.

WACŁAW DUNIN.

D-R ERNEST TILL. *Nauki ogólne austriackiego prawa prywatnego*. Wydanie trzecie nowo opracowane Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga, 1911.

Gruby tom o 510 stronach zawiera tylko część teorii austriackiego prawa prywatnego, mianowicie nauki ogólne. Jest to trzecie już wydanie dzieła wybitnego prawnika polskiego, gdyż drugie, które się ukazało w r. 1892, zostało już zupełnie wyczerpane. Z wielką erudycją i znanstwem przedmiotu wprowadza autor czytelnika w dziedzinę zasadniczych pojęć prawnych, uwzględniając najnowsze wyniki ruchu naukowego w zakresie prawa prywatnego. Ruch ten w ostatnich latach był wielce ożywiony. Wprowadzenie nowych kodeksów cywilnych w Niemczech i Szwajcaryi oraz przygotowywane odpowiednie reformy w Austrii wywołały znaczny wzrost dzieł naukowych, które poddały gruntownej rewizji wszystkie instytucje prawa prywatnego. Tem ważniejszym wobec tego było zebranie i usystematyzowanie nowych prądów w nauce. Dzieło niniejsze ma być nie tylko podręcznikiem dla uczącej się młodzieży uniwersyteckiej, ale też i książką pomocniczą dla praktyków przy rozwiązywaniu kwestyj naukowych. Wkrótce ma się ukazać tom drugi, obejmujący wykład prawa rzeczowego.

W. D.

EDW. GRABOWSKI. *Wolności obywatelskie w państwie rosyjskiem*. I. Wolność związków i stowarzyszeń. II. Wolność zgromadzeń. Odbitka z „Gazety Sądowej Warszawskiej.” Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Jakkolwiek obowiązujące prawodawstwo wiele pozostawia do życzenia pod względem zapewnienia wolności obywatelskich, niemniej prawodawstwo to stoi o całe niebo wyżej, aniżeli sposób

jego wykonywania. Administracya często nie chce brać pod uwagę nawet tego skromnego zakresu swobód, które przed paru laty przyznane zostały. Nie przyzwyczajeni do zmian urzędnicy gospodarują po dawnemu, bierność zaś społeczeństwa sprawia, iż nie znany często naszych praw i nie umiemy ich bronić. Popularyzacya ustawodawstwa wobec tego jest nader pożądana. Takie właśnie zadanie stawia sobie w swej broszurce p. Grabowski, zapoznając szeroki ogół z przepisami o związkach i zgromadzeniach.

W. D.



# Kronika miesięczna.

---

Relfeksye na czasie.—Próby bilansu naukowego i moralnego szkół polskich.—Wychowanie fizyczne.—Sporty, jako czynnik wybitnie umoralniający.—Księgi pamiątkowe szkół.—Niebezpieczeństwa ambicij literackich.—Kronika poznańska.—Jubileusz komisji kolonizacyjnej.—Jej działalność.—Rozprawy o wywłaszczeniu w Sejmie.—Wystawa poznańska.—Zawody hakatystów.—Półwiecze Banku Przemysłowców.—W bolesną rocznicę.—Porażka rządu w Dumie.

Oto nadszedł miesiąc, w którym tysiące młodzieży naszej dokonywa rocznych obrachunków nabytej wiedzy przed dobrze zasłużonym i tak upragnionym odpoczynkiem. Dla ludzi należących do starszego pokolenia nie mogą być obojętne losy tych, co po nas przyjdą, co inne może, lecz zawsze żywią nadzieje, które innemi może, lecz także okupią zawodami, co po nas snuć będą życie powszednie narodu. Nie mogą być obojętne tembardziej, gdy ku końcowi miesiąca tego setki rodzin zadawać sobie będzie zawsze niepokojące, zawsze nurtujące serca pytanie: co będzie z naszych dzieci? I nie może być obojętne wreszcie — co najważniejsza — dlatego, że to nietylko dzieci zdają egzaminy przed ciałami nauczycielskimi i do domu promocyje lub nagrody przynoszą, lecz to także szkoła polska zdaje egzamin przed społeczeństwem, na zadawałające uwagi lub figuralne wieńce wawrzynu zasługując.

Kiedy o szkole tej mówić mamy, musimy zastanowić się, czego i jak uczy i jakie charaktery wyrabia. A zadanie jakże to trudne, jak małe dane do twierdzeń! Jednostronne najczęściej i zbyt fachowe artykuły pedagogiczne, gdzie rzadką perłą myśl oryginalna, lub oryginalne spostrzeżenie błysnie, dorywcze rozmowy z dziećmi i młodzieńcami, rzadko szczere, częściej teatralne, płytkie nieraz rozumowania rodziców.

Ocena musi tu być dorywcza, na strzępach faktów i ograniczonych obserwacji osobistych oparta, przecież konieczna. A gdy o ocenę nabywanych wiadomości chodzi, mimowoli wzrok wstecz zawraca i na porównaniach rad się człowiek opiera. Stąd częsty zarzut, że w szkołach polskich mniej uczą, że wychodzący z nich młodzieniec mniej niezbędnych wiadomości wynosi, niż dawniej. Dawniej istotnie więcej zwracano uwagi na naukę pamięciową, na precyzyjne odpowiedzi, dziś zaś większy nacisk kładą na samodzielne do rezultatów dochodzenie. Trudno na tem miejscu spór wieść o to, która metoda jest odpowiedniejsza.

Zarzut mniejszego zasobu wiadomości wynika także i stąd, że współczesna młodzież mniej pracuje, niż pracowali ich ojcowie. Powodem są może właśnie nowe metody nauczania; a skutkiem— że młode życia są, a przynajmniej mogą być bogatsze, bujniejsze, żywiej tętniące, niż dawniej. Zarzutu sprawdzić dokładnie nie można zresztą; sprawdzianem jedynym mogą być i będą studia uniwersyteckie, wyższe, które wykażą lub nie wykażą dostateczność przygotowania, a o to przecież chodzi głównie; trzeba też zaznaczyć, że dochodzące obecnie wieści są pocieszające, ale decydującymi będą wtedy dopiero, gdy dotyczyć będą młodzieńców, którzy od pierwszej do ósmej klasy przez szkołę polską przeszli.

Na pomyślny horoskop wpływa porównanie bliższe—pięcioletnia szkoły. Jest ona dziś stanowczo lepsza, niż była przed kilku laty, więc w przyszły rozwój wierzyć każe. Lepsza—z łatwo zrozumiałych względów. Dokonany przewrót zastał społeczeństwo nieprzygotowanem: nie było ludzi, nie było metody, nie było tradycji. Kto chciał i nie chciał, pedagogiem zostawał, dokonywując nieraz najbardziej ryzykownych i nieprawdopodobnych doświadczeń na duszyczkach dziecięcych; niezdrowy wpływ chwili oddziaływał także na tych niepowołanych i niewybranych nauczycieli. Dziś, o ile wiemy, już dokonana została pewna selekcya, wiele plew od zdrowego ziarna oddzielono. Wyrabiają się metody, szkoły mają krótką, ale zawsze tradycję. Dlatego bez entuzjazmu tak łatwego, co jak ogień słomiany nie grzeje i nie stwarza, lecz z większym spokojem, nie pozbawionym krytycyzmu, możemy patrzeć w przyszłość szkoły polskiej.

Jeżeli chodzi o wiadomości nabywane poza szkołą i do zakresu jej oddziaływania nie należące, o zainteresowanie kwestyami oderwanymi, teoretycznymi oraz zjawiskami życia społecznego, tego zainteresowania znajdziemy wśród młodzieży współczesnej mniej znacznie, niż wśród pokolenia jej ojców. Ale na każdą rzecz przecież musi być czas właściwy; niech młodzież uczy się,



nabywa najniezbędniejszych wiadomości i rozwija się fizycznie; troski o prace społeczne i polityczne niech pozostawi dorosłym; miejmy raz wreszcie odwagę zerwać z ideałami i tradycjami pajdokratycznymi.

Dla tych, co piastują w duszy ideał młodzieńca, któremu obcy był grzebień, nożyce i mydło, który lękliwie, chyłkiem skradał się ulicami, nieradny w życiowych zatargach i snujący w zgorączkowanej myśli światoburcze plany wszechzemsty — nie będą przekonywające gromady dzieciaków i młodzieńców wesółych, zgiekliwych, rumianych (o ile to w wielkim mieście możliwe!), dobrze fizycznie rozwiniętych, śmiałych, patrzących prosto w oczy, czasem nawet zadzierzystych, jakie widzimy przeważnie na dorocznych popisach szkolnych, lub częściej, choć w mniejszej ilości, na placach ćwiczeń sportowych. Szczęśliwe dzieci! Nie wychowują się w atmosferze ciasnego intelektualizmu. Otoczenie ich, najmilsza im szkoła do zdrowego cielesnego rozwoju, do zdrowych ćwiczeń najbardziej zachęca; stąd zamiłowania jawnie, z butą noszone: u szczęśliwszych — wieśniaków — do konia, strzelby, u mniej szczęśliwych — mieszcuchów — do roweru, piłki nożnej, tenisa.

Rozwój sportów wśród młodzieży współczesnej ma nietylko tę korzyść ogromną, że rośnie pokolenie dorodniejsze, fizycznie odporniejsze, do zwyciężania przeszkód i do godziwego współzawodnictwa zwyczajone, ale i tę niemniejszą bynajmniej — że w wieku przejściowym, w niebezpiecznym wieku dojrzewania, daje ujście nagromadzonej energii fizycznej chłopca; jeżeli młodzieniec znajduje je w męczących ćwiczeniach, które budzą już tylko potrzeby snu i spoczynku, nie szuka w przedwczesnych porywach owoców rozpalonej życiem siedzącym wyobraźni. Kiedy przed laty każde wyjście na ulicę groziło uczniakowi tysiącem niebezpieczeństw dyscyplinarnych, siedział w domu; a że każda książka była zabroniona i każda również nieznanymi niebezpieczeństwami groziła, czytał oczywiście tylko najgorsze „tajemnice.“ Dziś, chwała Bogu, chłopcy wolą zawody na świeżem powietrzu, niż czytanie takich książek; chwała Bogu! — bo broni ich to od pornografii, nawet uznanej, opatentowanej, bo za artystyczną uznanej. Majaczenia pedagogiczek, które w tym samym artykule potrafią nieraz równocześnie gromkim głosem wołać o czystość męczyzn i karcieć młodzież, że mało czyta, można śmiało włożyć między bajki.

Większość młodzieży żyje bardziej życiem fizycznym, niż umysłowym. Przecież i objawów tego ostatniego nie brak, a na

szczyćście są także jawne, śmiałe i wyraźne. Widzimy je w książkach pamiątkowych różnych szkół polskich. Objawy te — przeważnie miłe i poprawne — są jednak zbyt usilnie i zbyt bezkrytycznie reklamowane przez prasę codzienną. Nie wdając się oczywiście w ocenę, pragniemy podkreślić pewne niebezpieczeństwa, pewne obawy, jakie jednak budzą.

Niebezpieczeństwa — druku, obawy — zawodów, mirażów sławy i rozgłosu, zachęty do fachu pisarskiego. Kto styka się od lat wielu z pismami, ten wie, jakie szalone namiętności budzi farba drukarska i tkanina, z gałganów zrobiona, do ilu ofiar, do ilu upokrzeń zdolni są ludzie, byle się względnie za tem pośrednictwem uwiecznić, ile pragnień łączy się z drukiem, ilu złamanych nadziei grobem stają się kosze redakcyjne.

Szczere uznanie należy się opracowaniom z nauk ścisłych w księgach pamiątkowych szkół, świadczą bowiem o istotnej znajomości rzeczy autorów. Niestety, jakże ich mało w stosunku do utworów literackich! A te — jakimiż jeżą się niebezpieczeństwami! Oto młodzieniec wychodzi ze szkoły. Zamieścił w książce sporo poezyj — dowód uznania talentu przez kolegów; nie szczędzi mu uznania i rodzina; nawet w stugębnej famie, przez pisma codzienne reprezentowanej, znajdzie ocenę przychylną bardzo, taką właśnie, jaka w duszach amatorów budzi niezszechalne marzenie o prawdziwych kinkietach. Jakże w tem młodem sercu nie mają się rodzić uprawnione pragnienia sławy, tak bardzo zawodnej! Oto nazajutrz zanieśie utwór swój temu samemu pismu, które go tak pochwaliło i utwór pójdzie do kosza. Jakież źródło żalu, goryczy, niezrozumiały dla niego pierwszy dowód dwulicowości, zasiane ziarna goryczy, z których wyrasta plon wiecznie zgryzionych, do całego świata żywiących pretensye *ratés*...

Najczęściej utwory te — to owoc nieszczęsnej łatwości pisania. A życie uczy nas, że za tę łatwość pisania, zastosowaną w praktyce, wieczną płytkością się płaci. Każdy z nas mógłby łatwo przytoczyć przykłady: ucznia, który na ławie szkolnej już snuł sobie karierę dziennikarską, został publicystą bez przygotowania, zbyt prędko, dzięki zbiegowi szczęśliwemu okoliczności, i zawsze już, całe życie, będzie lekceważonym niedouczeniem, nie szanowanym obserwatorem; oto inny, także uczeń, obnoszący po redakcyach powierzchowne opracowania statystyczne, nawet pozbawione sumienności cytowania źródeł; co z niego będzie, jeżeli wczas pióra nie rzuci i uczyć się nie zacznie? Oto — z dawniejszych czasów — kilku studentów, którym zasmakował łatwy chleb dziennikarski, łatwy w młodości małych potrzeb, ciężki



w starości; byliby może wybitnymi, znanymi specjalistami, a że uczyć się nie chcieli, są dziś najpospolitszymi, lekceważonymi reporterami. Przykłady możnaby mnożyć bez końca. Na myśl o nich to właśnie ściska się serce obawą o dalsze losy młodziutkich autorów z ksiąg pamiątkowych.

Są na szczęście i przykłady inne—pocieszające. Piszący te słowa rozmawiał w ubiegłym roku z młodzieńcem, w życiu którego parę miesięcy dzieliło chwilę otrzymania patentu dojrzałości od odznaczenia na konkursie i druku wcale zgrabnej noweli w bardzo wybrednem pod względem literackim piśmie. Nie bez serdecznej obawy zapytano go, czy mu niespodziany sukces nie zawróci w głowie i do rzucenia ciężkich studyów technicznych nie skłoni. Odpowiedzią było wzruszenie ramion. Nie—literatura to miłe tylko zajęcie dorywcze, w niczem rozwojowi specjalności nie przeszkadzające.

Z tego młodzieńca będzie człowiek. I jeżeli dla młodych autorów — w myśl znanej zasady Fourriera, że zmiana zajęcia zawsze jest najdostojniejszym wypoczynkiem—praca literacka będzie tylko o wysokim poziomie wytchnieniem po znojnym zajęciach zawodowych, niechże się święci! Niech dla dobra kraju budują mosty, fabryki, leczą bliźnich, bronią dobrych spraw, a w chwilach wolnych uświetniają literaturę ojczystą. I niech pamiętają zawsze, że w tym kraju było zawsze aż za wielu gadaczy i pisarzy, natomiast również zawsze brakło ścisłych twórców życia praktycznego. Dlatego tworzyli u nas to życie obcy. W zdrowem fizycznie i moralnie, dorodnem młodem pokoleniu tkwi właśnie nadzieja realnej praktyczności; grafomanów nigdy u nas nie zbraknie.

Z natury rzeczy uwagi nasze dotyczyły przeważnie chłopców. Nie dlatego bynajmniej, żebyśmy doniosłą sprawę wychowania przyszłych kobiet lekceważyli. Ale dlatego, że wychowanie dziewcząt nie przeszło przez taki olbrzymi przełom w ostatnich latach kilku, jak nauka chłopców. Owszem bardzo wiele rzeczy pozostało po staremu, zwłaszcza powierzchowna encyklopedyczność, skutek nierozsądnych wymagań rodziców, że dziwić się trzeba, skąd biorą się jednak te zastępy dzielnych kobiet, pomimo pensyi, kobiet w tym naszym o kobiecej duszy narodzie dzielniejszych od mężczyzn i na zakończenie wyrazić nadzieję, że zreformowane wychowanie chłopców tę zachwianą równowagę dzielności przywróci.

\*

\*

\*

Smutne, szare jest życie dzielnic polskiej, o której tak rzadko na tem miejscu piszemy, ziem naszych pod panowaniem pruskim. Smutne i szare, jak życie załogi twierdzy, obleganej przez potężnego nieprzyjaciela. Od czasu do czasu dochodzą wieści o dzielnej pracy czynników obronnych — to działalność instytucyj ekonomicznych; to znowu wróg zatoczył nowe działa oblężnicze; to rozległy się pogłoski — najczęściej fałszywe — o rozluźnieniu pierścienia, nawet nie o ustąpieniu od oblężenia. Takich faktów, takich pogłosek nabiera się z biegiem miesięcy dosyć na obszeroną i zajmującą kronikę zaboru pruskiego.

W roku bieżącym przypada ćwierćwiekowy jubileusz działalności komisji kolonizacyjnej, stworzonej przez Bismarcka w celu wywłaszczenia ludności polskiej z ziemi. W ciągu tego czasu komisya zakupiła 683 folwarki i 537 zagród włościańskich, obejmujących obszar 385,460 ha, z czego 274,546 ha zakupiono od Niemców (492 folw. i 314 zagr.) oraz 110,914 ha od Polaków (191 folw. i 223 zagr.). Zaznaczyć tu należy, że o ile z początku bardzo wielu właścicieli Polaków poszło na lep judaszowych srebrników, o tyle w ciągu kilku lat ostatnich i teraz wypadki sprzedaży majątków polskich na kolonizacyę są zupełnie wyjątkowe; przyczyniło się do tego zarówno ostre, potępiające stanowisko opinii publicznej, jak i rozwój samopomocy i takich instytucyj zapobiegawczych, jak „Związek ziemian.“

Na zakupy te wydatkowano ogółem 366,769,048 marek, z czego Niemcom dostało się 278,127,053 mk, Polakom zaś 88,641,995 mk. Suma ta jest znacznie większą od preliminarza. Za podstawę obliczeń brali twórcy komisji cenę 600—700 mk za ha, normalną a nawet niezłą przed dwudziestu pięciu i trzydziestu laty, kiedy w całym państwie tańszą, niż w Poznańskim i w Prusach, ziemię można było nabyć tylko w Prusach Wschodnich. Tymczasem od tego czasu cena ziemi podwoiła się przeszło, blisko potroiła czasem. Gdy w r. 1886 płaciła komisya przeciętnie 570 mk za ha, w r. 1892 mniej nawet, bo 542 mk, w r. 1907 przeciętna cena wypadła już 1,508 mk; jeżeli zaś brać cenę przeciętną za cały okres dwudziestopięciolecia, to cena hektara wypadnie 952 mk, czyli półtora raza więcej, niż przypuszczał Bismarek. Na podniesienie szalone ceny ziemi wpłynęły nietylko tak naturalne czynniki, jak zwiększenie renty gruntowej i olbrzymie podniesienie kultury rolnej, ale i sztuczne śrubowanie cen przez współzawodnictwo tej samej właśnie komisji kolonizacyjnej oraz instytucyj obronnych — banków i spółek parcelacyjnych polskich.



Ogólne wydatki komisji wyniosły przez ten czas 683,585,300 mk; po odjęciu sumy, wydanej na kupno gruntów, reszta została użyta na instalacje, pomiary, budowę dróg, domów, szkół, kościołów i t. d.; suma ta nie obejmuje kosztów utrzymania samej komisji, która, jako instytucja państwowa, jest na etacie państwowym; etat ten w r. 1886 wynosił kilkadziesiąt tysięcy marek, w r. 1909 zaś 2,699,691 mk. Równocześnie wpływów tytułem zwrotu kosztów; dzierżaw, rat zakupnych osiągnęła komisja 207,452,700 mk. Przez odjęcie sumy wpływów od sumy rozchodów nie otrzymamy jednak faktycznej sumy, jaką kosztuje państwo ta gałąź polityki przeciwpolskiej; wypadłoby dodać oprocentowanie olbrzymich wyłożonych sum; specjaliści obliczają, że utonęło w ten sposób około siedmuset milionów z kieszeni pruskich opodatkowanych!

Przyjrzyjmy się rezultatom. Obszar ziemi sprzedanej drobnym kolonom wynosi 236,196 ha, wydzierżawionej zaś 48,100 ha; zarządowi domen państwowych sprzedano 42,111 ha; komisja posiada nie rozkolonizowanych jeszcze 35,648 ha. W liczbie kolonistów jest 15,347 właścicieli i 2,780 dzierżawców; licząc wraz z komisją po 6 głów przeciętnie na rodzinę otrzymamy około 110 tysięcy Niemców, którymi zaludniła Poznańskie i Prusy, ale jeżeli odtrącimy tych osadników, którzy z tych samych prowincyj pochodzą, to faktyczny przyływ ludności niemieckiej, wywołany przez stworzenie i działalność komisji, wyniesie około 95,000 głów. Zważywszy teraz, że ludność polska mnoży się szybciej od niemieckiej, możemy przypuścić, iż ta różnica przyrostu na naszą korzyść w ciągu ćwierćwiecza zrównoważyłaby wymieniony wyżej przyływ, gdyby nie fatalne zjawisko coraz liczniejszej emigracji polskiej do prowincyj nadreńskich i do Westfalii.

Nie chodzi nam tu bynajmniej o łatwy optymizm, o chęć zbagatelizowania działalności komisji i niewątpliwych szkód, jakie żywiłowi polskiemu przyniosła, lecz o stwierdzenie faktu, przenikającego zdaje się powoli i do świadomości rządowej, że rezultaty zgoła nie odpowiedziały oczekiwaniom. Pamiętajmy, że twórca komisji, Bismarck, rachował na zupełne ogołocenie z ziemi większych posiadaczy polskich i na pozbawienie w ten sposób naturalnych przewodników ludu, który z łatwością uda się potem zgermanizować. Rachuba fałszywa, nawet gdyby wywłaszczenie powyższe przyszło do skutku; że fałszywa—dowodem odrodzenie narodowe Ślązka—fakt, którego zresztą żelazny książę nie oglądał; tembardziej fałszywa—gdy wróżba niespełniona. Przyjrzyjmy się cyfrom z innej dziedziny: w r. 1887 przy wyborach do

parlamentu oddano 220,000 głosów polskich, w r. 1907 zaś 453,900. Czyżby aż tak daleko szła płodność białowoskich „królików“? Oczywiście nie; to świadomość narodowa tak wzrosła, że taki przyrost był możliwy, pomimo wykupów, pomimo emigracji.

Fakty i cyfry nie mogą oczywiście uchodzić uwagi rządu. Na jego żądanie ukuł Sejm nowy oręż walki z żywiołem polskim, wywłaszczenie przymusowe, ale oręż użyć się nie daje. Bo komisya ma dosyć ziemi, że nie wie, co z nią robić, bo zakup ziemi po cenach dzisiejszych jest dla państwa poprostu rujnujący, bo wreszcie wszelki przymus wywłaszczania jest ze stanowiska zachowawczych interesów własności, jako zasady wogóle, bardzo a bardzo niebezpiecznym precedensem. Z tych przesłanek płynie niewątpliwe pewne—chwilowe może—uspokojenie w stosunku rządu do Polaków, nastrój, któremu dał wyraz w Sejmie minister rolnictwa, Schorlemer, w „dniu polskim,“ czyli komisji kolonizacyjnej i wywłaszczeniu poświęconym. Stwierdził on, że rząd nie ma bynajmniej zamiaru zaniechać polityki kolonizacyjnej na kresach wschodnich, ale chce ją prowadzić w granicach właściwych; żądania i dążenia „Towarzystwa kresów wschodnich,“ aby wszystkich Polaków z ziemi wywłaszczyć, uważa za utopię i za dowód politycznego fuszerstwa; w odpowiedzi na mowę posła Glatzta bardzo ostro zaznaczył, że krytykowanie czynności rządu nie może być dopuszczalne ze strony Towarzystwa, którego większość członków składa się z urzędników. Z innych wystąpień sejmowych zasługuje na podkreślenie wielka ostrożność w przemówieniu przedstawiciela konserwatystów, oraz bardzo dobra mowa posła Trąmpczyńskiego, który zaznaczył, że wszystkie błędy polityki rządowej wynikają z fałszywego założenia, że Prusy są państwem narodowo jednolitem, gdy rzeczywistość przeczy temu, że pogwałceniem prawa jest wydatkowanie funduszków, składanych także przez mniejszość polską obywateli na gnębienie tejże mniejszości, że wreszcie rząd nie ma tylko odwagi zerwania z dotychczasową polityką antypolską, chociaż sam widzi jej bezużyteczność.

W mowie ministra powracał zawsze ten sam ograny motyw, że Polacy odgraniczają się od wszystkiego, co niemieckie i usiłują tworzyć państwo w państwie, naród w narodzie. Jeżeli chodzi o instytucje parlamentarne, zarzut to zupełnie pozbawiony podstaw. Oddawna już przedstawicielstwa polskie w sejmie i w parlamencie nie pracowały, nie uczęszczały na posiedzenia tak pilnie, nie brały tak żywego udziału w pracach komisyjnych, jak to dzieje się obecnie. Jeżeli chodzi o inne objawy życia, np. towarzyskie, niepodobna się dziwić, że w czasie ostrej walki nie



łanie się chleba z przeciwnikiem, z którego strony spotykają nas zresztą ciągłe afronty i lekceważenia. Jeżeli chodzi o życie społeczne, to dość wskazać taki objaw, jak ostatnia wystawa poznańska, jako dowód absolutnego unicemożliwienia współdziałania Polaków nawet na gruncie ekonomicznym, jako przedewszystkiem ekspozyturę hakatyizmu.

Inicyatorzy wystawy mieli na celu popisanie się z handlem i przemysłem niemieckim na kresach wschodnich, zainteresowanie nimi bogatego Zachodu, ściągnięcie kapitałów, a przez to i rozwój przemysłowy prowincyi. W tym celu pragnęli kulturalnego współdziałania żywiou polskiego. Kupcom — zwłaszcza żydowskim, a więc niemieckim — nie jest na rękę drażnienie Polaków, gdyż ucisk rządowy bardzo silnie i skutecznie wbija w ich głowy hasło „swój do swego,“ czyniąc to daleko lepiej, niż mogłaby dokazać najsilniejsza agitacya narodowa. Wystawa miała antagonizmy złagodzić, stanowić próbę współżycia dobrowolnego na względnie równej stopie.

Hakatyści wojujący przekreślili ten rachunek; zapowiedzi uroczystości pangermańskich i antypolskich na wystawie i z powodu wystawy, systematyczne usuwanie szyldów polskich i wszelkich śladów polskości wogóle, drukowanie dla Poznańskiego i Prus afiszów w języku wyłącznie niemieckim, gdy dla pociągnięcia gości z Królestwa wypuszczono afisze polsko-rosyjskie — wszystko to sprawiło tyle, że społeczeństwo wielkopolskie wystawę bojkotuje, że pisma polskie ogłoszeń o niej nie przyjmują, że słowem, wbrew woli inicyatorów, stała się tylko jaskrawym posterunkiem agitacyjnym. Z drugiej strony z tego znowu stanowiska nie usprawiedliwiła nadziei hakatystów; ani w przemówieniu następcy tronu, który otworzył wystawę w przejeździe do Petersburga, ani w innych urzędowych z tego powodu wystąpieniach i uroczystościach nie było wycieczek przeciwpolskich, owych gromkich okrzyków walki, wróżących narodowi naszemu zagładę. To nie usprawiedliwiło więc i nadziei z tamtej strony.

W połączeniu z wystąpieniem ministra Schorlemera przyczynia to hakatystom troski; stąd ich rzucania się, groźby przejścia do opozycyi. Ale wyciąganie stąd jakichkolwiek wniosków byłoby przedwczesne i lekkomyślne. Rząd sam rozpałił namiętności i pożądlivości, które dziś chwilowo przeciw niemu się zwracają; zaniechanie polityki przeciwpolskiej byłoby dziś równoznaczne z wyrzeczeniem się poparcia najwierniejszych sprzymierzeńców, konserwatystów i narodowych liberałów. Atoli w czujnych ich skrajnych skrzydłach, łączących się w Towarzystwie kresów

wschodnich, nawet chwilowe uspokojenie silny budzi niepokój. Wyrazem jego są i dążenia do tryumfalnych pochodów na ziemiach polskich i pesymistyczne narzekania obrachunków sumienia. Pierwsze znajdują żer w zapowiedzianym dniu niemieckim na wystawie, kiedy w całej okazałości przedstawia się na starej ziemi piastowskiej liczne i tłumne stowarzyszenia i związki niemieckie. Drugie—znajdujemy w głosie publicysty Boelmege, który stwierdza, że dobrym kolonistą na wschodnich kresach państwa jest tylko chłop polski, bo niemiecki robotnik rolny nie zna ani głodu ziemi, ani chęci stworzenia własnego, samodzielnego gniazda rodzinnego, owszem, przekłada nad nie pracę „pod panem,“ która pozwala mu żyć bez troski o jutro. Państwo stwarza tysiączne udogodnienia i sposobności nabywania zagona własnego, a tymczasem nabywców niema, bo ziemi tej nie pożąda ani niemiecki większy właściciel, ani niemiecki chłop. Autor upatruje przyczynę tego w fakcie, że przemysł i robotnikowi i kapitaliście zapewnia dziś większe zyski niż rolnictwo, zwłaszcza na wschodzie. Ta chęć zysku mniej oddziałuje na chłopą polskiego tysiącletnimi węzłami z tą ziemią, z tem otoczeniem związanego. Dlatego—i tu dopiero można poznać autora... po pazurach—trzeba go czempredziej zniemczyć, nie walając się przed użyciem najbardziej ostrych, najbardziej przymusowych, najbardziej barbarzyńskich środków.

Nie zgadzając się oczywiście z wnioskiem, zgodzić się możemy z przesłankami. I dodać jeszcze, że ten chłop, gdy go los na bruk miejski rzuci, umie być także dobrym kupcem, tworzyć powoli polski stan średni. Siła tego stanu średniego to także wielka dla nas pociecha i wielka na przyszłość nadzieja; siła nie tylko indywidualności, stan ten składających, ale i zrzeseń różnych, które jednostki podtrzymują.

Świeżo obchodzono w Poznaniu półwiekowy jubileusz pierwszej finansowej spółki polskiej, Banku Przemysłowców w Poznaniu. W r. 1861 został on założony jako skromna spółka pożyczkowa dla przemysłowców miasta Poznania. Po trzech latach liczy zaledwie stu członków i obraca kapitałem zaledwie 6000 marek. Rozwija się powoli, przechodzi pewne przesilenie podczas wojny francusko-pruskiej, w r. 1871 wstępuje do świeżo założonego związku spółek, w którym potężne znajduje oparcie, nowe potem przechodzi, bardzo ciężkie tym razem przesilenie, które o mało co nie niweczy jej istnienia, i odtąd już równą, prostą drogą zdąża ku coraz świetniejszemu rozwojowi. Od r. 1889 spółka nazywa się już „Bankiem Przemysłowców.“ W r. 1895 liczy dwa ty-



siące członków, w czem 67% zamiejscowych, co świadczy i o terytoryalnym rozszerzeniu działalności. Niebawem potem głośny zakaz urzędnikom należenia do spółek polskich wywołuje reakcję ze strony społeczeństwa polskiego w postaci masowego wycofywania oszczędności z kas miejskich i powiatowych i przenoszenia ich do banków polskich. W tym okresie czasu (1900—1905) suma depozytów, złożonych w Banku Przemysłowców, wzrasta o dziewięć milionów marek, z czterech na trzynaście! W r. 1909 staje piękny dom własny; w roku ubiegłym liczy instytucya 5,830 członków i posiada depozytów na sumę przeszło dwudziestu pięciu milionów marek. Słusznie na skromnej, a przecież świetnej uroczystości jubileuszowej wskazano doniosłość zbiorowej pracy i rozumną gospodarkę, nie dającą wciągnąć Banku na śluzkie drogi spekulacyi.

Wśród takich i podobnych wydarzeń i nastrojów minęła w milczeniu, ale nie w zapomnieniu, rocznica bolesna, a zarazem otuchy dodająca. 20-go maja upłynęło lat dziesięć od pamiętnego na świat cały głośnego katowania dzieci polskich w szkole wrzesińskiej. Bolesne wspomnienie najstraszniejszej, bo małych katującej niewoli, wspomnienie otuchy pełne zdumiewającego hartu dzieci naszych. Myśl przeskakuje lat kilka od okrucieństw wrzesińskich do strejku szkolnego, co, przez dzieci poczęty, dojrzałych rodziców ogarnął. A kiedy nie został pomyślnym skutkiem uwieńczony, nie zbrakło odwagi wtórnej, odwagi trudniejszej, odwagi cofnięcia się z obranej drogi. Rodacy nasi z za kordonu złożyli dowód wielkiej dojrzałości społecznej i politycznej, w ciężkiej szkole pruskiej wyrobionej. I dlatego rocznica, choć przykra, pozwala omotać nici pamięci około faktu dziejowego, niosącego świadectwo hartu, odwagi i wytrzymałości, cnót-rękojmi lepszych dni, niż te, których twórcami są dzisiejsi wrogowie nasi.

\*

\*

\*

Po porażce rządu w petersburskiej Radzie Państwa, nastąpiła jeszcze większa w Izbie Państwowej, która większością głosów o wiele liczniejszą, niż wymagane przez prawo dwie trzecie (202 przeciw 82) uznała, że w sprawie wprowadzenia ustawy ziem-

skiej w sześciu guberniach zachodnich prezes ministrów pogwałcił art. 87 praw zasadniczych i tym sposobem dopuścił się czynu z prawem niezgodnego, którego objaśnienia są niedostateczne. Stało się to pomimo faktu, że wprowadzona w ten nieprawny sposób ustawa ziemską była przez Izbę przyjęta, a przez Radę odrzucona, co pozwoliło p. Stołypinowi schlebiać bez powodzenia zresztą pierwszej, a wygrywać przeciw niej drugą, jako tylko „przedstawicielkę interesów.“ Stało się—pomimo usiłowań zjednania sobie Niemców przez uwagę naczelnika rządu, że ich interesy w Estlandyi, Liflandyi i Kurlandyi tak samo muszą zabezpieczyć kurje narodowościowe, jak na Litwie i Rusi zabezpieczyć mają interesy rosyjskie, pomimo wreszcie wskazania na stosunek posłów polskich do kurjów narodowościowych w Królestwie, gdzie mamy do czynienia zresztą z tłumaczeniem wykrętne, sprawa żydowska bowiem nie znosi analogii z żadną inną sprawą narodowościową. Pomimo to wszystko—dlatego, że Izba zrozumiała znaczenie przysłowia „co dziś mnie, to jutro tobie,“ że w przyszłości może być i będzie wygrywana przeciw Radzie Państwa, tak samo, jak dziś prezes ministrów czyni odwrotnie, że w postępowaniu i nawet w zupełnie szczerze wyrażonych przekonaniach jego tkwi niezłomie czynnik samowoli biurokratycznej i wszechwładzy rządu, czynnik osłabiający, niweczący wszelkie znaczenie przedstawicielstwa narodowego; zrozumieli to nawet grupy, posłuszne każdemu skinieniu z góry.

Jakież będą konsekwencye tego wystąpienia obu części składowych ciała prawodawczego rosyjskiego? Przypatrzmy się prawom obowiązującym. Art. 58 ustawy Izby (analogiczny znajduje się także w ustawie Rady Państwa) określa jej prawo interpelowania rządu co do czynów jego „z prawem niezgodnych.“ Art. 60 stanowi, że jeżeli Izba większością dwóch trzecich głosów nie uzna za możliwe zadowolić się wyjaśnieniami ministra, to sprawa zostaje przedstawiona do Najwyższego uznania za pośrednictwem prezesa nie Izby, lecz Rady Państwa. Jaka może być decyzja Monarchy i jakie mogą być jej następstwa—tego ustawa nie przewiduje zupełnie. Jak twierdzą czynnicy zwykle dobrze poinformowane, w formule przejścia do porządku dziennego Rady Państwa umyślnie nie było użyte wyrażenie „niezgodne z prawem,“ aby sprawa nie *musiała* być przedstawiona do uznania Najwyższego, uważano bowiem rezultat takiego przedstawienia za wątpliwy. Inaczej stało się w Izbie; tu zdecydowano się na ryzyko wywołania interwencji Najwyższej.



Ponieważ jednak prawo nic nie mówi o konieczności takiej interwencji po przedstawieniu do uznania Monarchy, więc Korona może wstrzymać się od wszelkiej decyzji, może również przyznać słusność obu izbom, lub premierowi. W pierwszym wypadku — najprawdopodobniej — wszystko pójdzie swoim trybem: na jesieni, po wakacjach, w myśl art. 87 ziemstwa na Litwie i Rusi przejdą pod obrady obu izb już jako fakt dokonany, jako prawo w życie wprowadzone. W drugim wypadku należałoby spodziewać się ustąpienia prezesa ministrów; wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne wobec nieustannego powoływania się jego w mowie na Monarchę, co mu zostało zresztą wytknięte przez opozycję, jako niekonstytucyjne wciąganie Korony w wir walk politycznych. W trzecim wreszcie — powinny być rozwiązane izby; na ten środek rząd oczywiście nie zdecyduje się, rozwiązanie bowiem w takiej chwili podniecenia i po takiej porażce mogłoby dać tylko izby jeszcze mniej potulne; lepiej zaczekać do ukończenia obecnej kadencji posłów, może tymczasem w ciszy gabinetowej obmyśleć nowe sposoby ograniczenia przedstawicielstwa, co byłoby tylko konsekwentnem zastosowaniem myśli, rozwiniętych w wielkiej mowie p. Stołypina.

Wobec tych wszystkich względów trudno zrozumieć, dlaczego dzień interpelacji nazywają tak szumnie wszyscy „wielkim dniem“? „Wielkim“ byłyby tylko wtedy, gdyby zakończył się ustąpieniem premiera, zwycięstwem realnem, a nie lokalnem tylko, nie wykraczającym poza mury pałacu Taurydzkiego. Miarą „wielkości“, odpowiedzią są coraz bardziej uporczywie krążące pogłoski o mianowaniu p. Stołypina kanclerzem państwa...

# WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Leopold Stanisław Brzozowski.

We Francyi, młodo, bo w trzydziestym piątym roku życia zmarł najwybitniejszy, najbardziej utalentowany ideolog obozu radykalnego polskiego. Urodzony w Wojsławicach, gub. lubelskiej, po ukończeniu gimnazjum, wstąpił Brzozowski na wydział przyrodniczy uniwersytetu warszawskiego, który jednak niebawem opuścił, aby wyłącznie poświęcić się literaturze. Zjednął sobie rozgłos dramatem „Mocarz“ oraz szeregiem artykułów publicystycznych, w których z bezwzględną krytyką wystąpił nie tylko przeciw czczonym przez cały naród pisarzom, ale i przeciw takim, których czią otaczało współczesne jemu pokolenie. Równocześnie pracował usilnie na polu popularyzacji wiedzy literackiej, a owocami tej pracy był szereg rozpraw o Śniadeckim, Taine'ie, Kremerze, Wyspiańskim. W działalności literackiej zmarłego pisarza uderza każdego wielkie odczytanie i szerokie wykształcenie oraz niezwykła potęga pracy i różnorodność talentu.

Rozbieżne także wywołuje wrażenia. Gdy powieść „Płomienie“ świadczy o strasznej poproście rusyfikacji ducha i ze względu właśnie na talent autora wywiera wrażenie niesłychanie przykre, jedno z ostatnich dzieł „Legenda o młodej Polsce“ jest poniekąd owocem wpływów kultury, literatury i filozofii Zachodu, a zatem świadczy o pomyślnym zwrocie w poglądach autora. Z dzieł jego wymieniamy jeszcze dramat „Milczenie,“ rozprawy „Idee,“ będące rozwinięciem „Legendy,“ wreszcie ostatnią powieść „Sam wśród ludzi,“ zupełnie od „Płomieni“ różną.



Tragedyą wewnętrzną zmarłego pisarza był rozłam między surowością i bezwzględnością jego nauk i krytyk, a życiem własnem. Nie znajdzie już rozwiązania ponura zagadka, którą zabrał ze sobą do grobu.

### ś. p. Adam Darowski.

Zmarły w ubiegłym miesiącu w Rzymie publicysta i historyk polski, był rodem z Krakowa, gdzie ujrzał światło dzienne w roku 1851. Po ukończeniu gimnazjum Św. Maryi Magdaleny w Poznaniu oraz uniwersytetu w Krakowie, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii, gospodarował ś. p. Darowski przez lat kilka w majątku rodzinnym w kieleckim, poczem przeniósł się w roku 1881 do Warszawy, aby poświęcić czas swój wyłącznie umiłowanej pracy piśmienniczej. Drukowane w naszej *Bibliotece* i w *Przeглядzie Polskim* jego „Szkice historyczne,“ dotyczące jednej epoki i jednego przedmiotu, mianowicie stosunku Polski z Rosją w XVII stuleciu, posiadają wybitną wartość naukową i ścisłość obok bardzo starannego opracowania literackiego. Z tej epoki pochodzą również wydane przezeń zajmujące „Pamiętniki Józefa Kossakowskiego.“

W r. 1894 udał się ś. p. Darowski do Rzymu w celu poszukiwań archiwalnych, znakomicie ułatwionych przez powinowactwo z nieboszczykiem kardynałem Ledóchowskim. Pobyt — który miał trwać krótko — zmienił się na stały. Owocem rzymskiej pracy historycznej była bardzo cenna praca o Bonie; poza-tem jednak poświęcał się ś. p. Darowski pracy dziennikarskiej i publicystycznej, jako niestrudzony i ścisły informator wielu pism polskich z Rzymu. Zajmował w tej stolicy, z którą żył się zupełnie, stanowisko wyjątkowe; licznym rodakom cenną pomocą swoją chętnie służył; wśród obcego otoczenia zjednał sobie szacunek i uznanie, zawdzięczając to przedewszystkiem wielkiemu taktowi, który pozwalał mu — wśród ciągłej walki — utrzymać jednak równorzędnie stosunki w obu obozach: kościelnym i włoskim, świeckim. Wieść o zgonie jego przyjęto z serdecznym żalem w kraju, gdzie znali go wszyscy, którzy o próg wiecznego miasta zawadzili, i w samym Rzymie, w którego życiu stale i żywo zawsze uczestniczył.

## ś. p. Jan Popiel.

W podeszłym wieku zmarł starzec, którego całe życie świadczyło o niezłomności przekonań i wielkiej odwadze cywilnej; przyznać to muszą wszyscy, nawet ci, którzy nie dzielili jego skrajnie zachowawczych poglądów.

Ś. p. Jan Popiel był synem zasłużonego działacza i pisarza, Pawła Popiela, a bratankiem J. E. Arcybiskupa warszawskiego. Zą młodu kształcił się wojskowo; ukończył akademię austriacką ze stopniem porucznika, ale już w r. 1856 przeszedł do wojsk papieskich i w kilku bitwach uczestniczył; i potem jeszcze broni nie złożył: walczył mężnie w szeregach powstańczych, chociaż i ojciec jego i on sam byli przeciwnikami powstania, uważali jednak udział w szeregach za obowiązek narodowy.

Po zawodach tych walk romantycznych w imię dwóch ideałów jego życia, Kościoła i Ojczyzny, szpadę porucznikowską zamienił na lemiesz i pióro, usiłując innym orężem tym samym ideałom służyć. Gospodarował dobrze i umiejętnie w Kurozwękach, następnie w Wójczy; występował bezwzględnie w obronie swoich zasad na szpaltach „Słowa,“ „Przeglądu Polskiego,“ „Przeglądu Katolickiego,“ „Dziennika Powszechnego.“ W pracy dla idei pięknie zeszyły dni pocziwe aż do zmierzchu życia, świadcząc o gorącym przywiązaniu do ziemi ojczystej, gorliwej dla niej pracy i stałym, wiecznie młodym zapale zmarłego dobrego obywatela.

L. W.



# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

---

## Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce odbyło się dnia 20 kwietnia 1911 roku pod przewodnictwem obranego w miejsce ś. p. Maryana Sokołowskiego D-ra Stanisława Tomkowicza. D-r Kopera przedłożył pierwszą część pracy o działalności artystycznej Ciniego w Krakowie, z datami biograficznymi, zebranymi przez p. Cerchę. Giovanni Cini, w aktach miejskich krakowskich Joannes Lapidida, urodził się około r. 1495. Do Krakowa ze Sienny sprowadzić go mógł Lori, który go później przyjął za syna. Być może obu tych artystów łączyły węzły pokrewieństwa — ojciec Loriego pochodził z tego samego miasteczka Settignano, co i matka Ciniego. Zapewne śladów pierwszej w Krakowie działalności Ciniego należałoby szukać wśród tych fragmentów dekoracji zamku na Wawelu, które możemy przypisać Loriemu. W r. 1517 Berecci oddaje mu dekorację wnętrza kaplicy Zygmuntońskiej. Nic też dziwnego, że chociaż twórcą kaplicy był florentyńczyk Berecci, to jednak strona dekoracyjno-rzeźbiarska ma charakter stylowy sienneński. Z rachunków Seweryna Bonera znamy imiona zatrudnionych przy tej budowie od roku 1524 artystów, a zawsze nazwisko Ciniego znajdujemy obok nazwiska Berecciego, jako najwybitniejszej siły. Po krótkiej podróży do Włoch, osiada Cini na stałe w Krakowie; r. 1532 przyjmuje prawo miejskie, zdobywa majątek i uznanie. Prowadzi artystyczne roboty, a zarazem przedsiębiorstwa — głównie z Bernardinem de Gianotis, Mikołajem Castiglione i Padowanem i kto wie, czy nie przewyższał nawet Padowanę, tak powszechnie wyróżnianego. Badania nad Cinim wielce przyczynią się do rozświetlenia dziejów rzeźby polskiej i włoskiej. W zapowiada-

nej drugiej części pracy autor wskaże różne dzieła, które na podstawie artystycznej analizy, wraz z p. Cerehą dokonanej, jemu przypisane być mogą. W dyskusyi zabierali głos pp. Tomkowicz i Pagaczewski.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 4 maja r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału III, na którym wygłoszono komunikaty: p. J. Lewiński: *Utwory jurajskie na zboczu południowym gór Św.-Krzyskich*; p. J. Tur: *„Teratomaty ektodermiczne w rozwoju ptaków“*; p. J. Tur (w imieniu własnem i p. W. Zarembianki-Cieleckiej): *„Nowe przypadki potworności wielozaczątkowej w zarodkach ptasich“*; p. Z. Weyberg: *„Przyczynki do ilościowego oddzielania tlenków trójwartościowych“*; p. Z. Weyberg: *„Kilka uwag co do jednej metody oddzielania magnezu od alkaliów“*; p. J. Sosnowski: *„Obserwacje nad okresem podrażnienia utajonego“*; p. H. Raabe (przedstawił p. J. Tur): *„Badania nad Amoebidium parasiticum cienk. Cz. I.“*

Dnia 5 maja odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którym p. J. T. Baranowski wygłosił odczyt p. t. *„Ze studyów nad stosunkami prawno-rolniczymi wsi polskiej w ostatnich latach Rzeczypospolitej.“*

W dniu 10 maja odbyło się posiedzenie Wydziału I, na którym p. Bronisław Chlebowski odczytał referat: *„Jak powstały „Dziady“ Kowieńskie,“* udowodniający bezpodstawność dotychczasowego mniemania o istnieniu czterech części poematu, z których dwie uległy zniszczeniu, a dwie pozostałe, wybrane przez poetę, weszły w skład pierwszego wydania zbioru poezyj. W istocie napisane były tylko dwie części—pierwsza w r. 1820 jako zamknięta całość, balladowego charakteru oraz obrzędu „Dziadów“—druga w r. 1822, utworzona z wypowiedzeń się rozpaczającego, po ślubie Maryli, poety, powiązana z poprzednią, przez dodanie, w rodzaju prologu, „Upióra“ i zmianę zakończenia części obrzędowej. Oznaczenie cyfrowe (część druga i czwarta) miało usprawiedliwiać i osłaniać przed czytelnikami brak powiązania i jednolitości artystycznej ogłaszanego w tej postaci utworu, dając mu charakter ułamków z większej całości.

Na posiedzeniu Komisji antropologicznej przy Wydziale II, odbytem w dniu 13 maja, odczytana została praca p. Stefana Sterlinga p. t. *„Wskazówki do badań nad dziedzicznością cech psychicznych,“* mająca wejść do „Instrukcyi do badań antropologicznych i etnograficznych,“ opracowywanej w łonie Komisji. Następnie przewodniczący p. E. Majewski zakomunikował o rozpoczęciu układania skróconego analitycznego do treści 19 tomów „Wisły.“ Praca ta powierzona została p. Stefanowi Ehrenkreutzowi.

Na Towarzystwo Naukowe Warszawskie wpłynęły następujące ofiary:

I. *Na ogólne cele T-wa, przewidziane Ustawą:* p. August Popławski z Łysołaj rb. pięć tysięcy (5,000); Warszaw. Towarzystwo Ubezpieczeń od ognia, przeznaczone przez Ogólne Zgromadzenie Akcyonaryuszów T-wa, odbyte w dn. 7 kwietnia rb. siedemset pięćdziesiąt (750); za pośrednictwem „Kuryera War-



szawskiego“ p. Amelia Rosenblum dla uczczenia pamięci Matyldy Neuman w rocznicę jej śmierci rb. pięćdziesiąt (50); od p. Floryana Rakowskiego dla uczczenia pamięci wuja swego ś. p. Floryana Giżyckiego rb. pięćset (500).

II. *Na Instytut biologiczny*: pp. W. Męczkowski, E. Flatau i Br. Szerszyński przesłali złożone w r. 1909 przez d-ra Bronisława Sawickiego z okazji swego jubileuszu rb. dwieście (200); zakład chirurgiczno-ginekologiczny „Zdrowie“ rb. sto (100); za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego“: a) od d-ra J. Szwajcera zebrane przez lekarzy szpitala starozakonnych na Czystem rb. tysiąc trzysta (1300), b) od p. Euzebiusza Łopacińskiego rb. sto (100), który nadto zobowiązał się płacić corocznie w d. 8 maja rb. sto (100) dla uczczenia pamięci Tekli z hr. Borchów Łopacińskiej, c) p. Alojzy Zieliński, współpracownik firmy „Żyrardów“, zebr. na obch. jubileuszu swej 25-letniej pracy rb. pięćdziesiąt (50); za pośrednictwem p. Edwarda Natansona od bezimiennego ofiarodawcy rb. pięć tysięcy (5,000); od p. Edwarda Natansona rb. tysiąc (1,000); od p. d-ra Edwarda Zielińskiego rb. tysiąc (1000); od p. d-ra Kazimierza Chelchowskiego rb. pięćset (500); od p. d-ra Zdzisława Dmochowskiego rb. tysiąc (1,000).

III. *Na fundusz im. ks. J. T. Lubomirskiego* od p. Józefa hr. Ostrowskiego rb. dwieście (200); od p. Stefana Dziewulskiego rb. pięćset (500).

P. Zofia z Pohowskich Edwardowa Klugowa, pragnąc uczcić pamięć swej siostry ś. p. Aleksandry z Pohowskich Bernerowej, złożyła za pośrednictwem d-ra med. Władysława Janowskiego Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu rb. pięćdziesiąt tysięcy (50,000) w 4 $\frac{1}{2}$ % listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jako fundusz wieczysty imienia Aleksandry z Pohowskich Bernerowej, przeznaczając jedną połowę odsetek od tego kapitału na potrzeby bieżące Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, drugą zaś—na potrzeby Instytutu biologicznego, powstającego przy tem T-wie.

P. Józef Pawłowski, właściciel magazynu bławatnego w Warszawie, pragnąc uczcić pamięć matki swojej ś. p. Julii z Dąbrowskich Pawłowskiej, złożył na ręce prezesa T-wa, p. Aleksandra Jabłonowskiego na Instytut biologiczny przy Towarzystwie Naukowym rb. pięćset (500). Od Zarządu Warszawskiego Towarzystwa Kopalń węgla i zakładów hutniczych rb. dwa tysiące czterysta (2,400). Od d-ra Ignacego Lansteina rb. dwieście (200).

#### CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, Maj, 1911. Felicyan Faleński (dok.);—Krytyka: Bernard C. O. Pasyonista: Żywot błogosławionego Gabryela;—Bukowiński Władysław: Echa, poemat;—tenże: Na greckiej fali, poemat;—Choromański Leon: Zuzanna;—Czekanowski Jan, D-r: Badania w międzyrzeczu Nilu i Kongo;—Czołowski Aleksander: Wysoki Zamek;—Damiłowski Gustaw: W miłości i boju, nowele;—Darwinizm a wiedza współczesna;—Dąbrowski Tomasz, Ks.: Kazania świętalne;—

Filipowicz Tytus: Zagadnienia postępu; — Held T.: Bajki murzynów afrykańskich;—Hello Ernest: Oblicza świętych;—Hryniewiecki Bolesław: Jak żyją rośliny; — Jackowski Aleksander, Adw. przys.: O spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością;—Janowski Bronisław, D-r: Jak uprawiać łąki?—Korpak Józef: Rzut myśli dla młodszych pokoleń;—Kraushar Aleksander: Życie potoczne Warszawy w czasach Listopadowych 1830—1831;—Manteuffel Gustaw: Z dziejów Dorpatu i byłego Uniwersytetu Dorpackiego;—Matuszewski Ignacy: Weysenhoff i „laury“ Wyspiańskiego; — Morzycka Faustyna: Pod nową gwiazdą; — Moszczeński Stefan: Wyleganie zbóż;—Ostwald Wilhelm: Jak powstała chemia?—Poincaré H.: Nauka i metoda;—Przybyszewski Stanisław: Gody życia;—Rogoszówna Zofia: Opowieści o Gdakaczu, Gdakule i Gdakuleńce;—Sawicki Józef: Treściwa historia Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej;—Sobeski Michał: Cieszkowskiego Prolegomena do Historyzozofii; — Światopełk-Zawadzki Józef: O wpisach subhastacyjnych i o ich wpływie na tranzakcyje hipoteczne;—Szkice filozoficzne;—Wappler Antoni, Ks.: Historia Kościoła Katolickiego; —Weryho Marya: Cztery pory roku w pogadankach z dziećmi w domu i w ochronce, cz. I;—Więckowski St., D-r: Książka do nauki języka francuskiego, cz. II i III;—Witkowska H.: Z dziejów ludzkości;—Pod prasą;—Kronika;—Polemika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BANK PRZEMYSŁOWCÓW W POZNANIU. Pięćdziesięciolecie 1861 — 1911. Poznań, 1911. Nakładem Banku Przemysłowego E. G. m. b. H. Drukiem „Pracy.“ Sp. z ogr. p.

BARTKIEWICZ ZYGMUNT: Złe miasto. Obrazy z 1907 roku. Nakładem Jana Czempinińskiego. Skład główny: Warszawa, Gebethner i Wolff, 1911.

BATTIFOL PIOTR: Badania z zakresu historii i teologii pozytywnej, przełożył ks. Jan Piotrowski. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dziel Chrześcijańskich.“

BINET ALFRED: Pojęcia nowoczesne o dzieciach. Rozwój fizyczny dziecka w wieku szkolnym. Przekład M. Szymanowskiej. Część I i II. Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł wyborowych.“

BOLESŁAWITA B.: Tułacze, opowiadanie historyczne. Tom czwarty. Warszawa, 1911. „Biesiada Literacka.“



BYT I WARUNKI pracy robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego. Dane ankiety związku zawodowego robotników cukrowni Królestwa Polskiego. Opracował B. Waśniewski. Warszawa, 1911. Nakładem Z. z. R. cukr. Król. Pol. Skład główny Gebethner i Wolff w Warszawie. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska): Panienska z okienka. Starodawny romansik. Tom I z 5 ilustracyami. „Ciekawe Powieści“ bezpłatny dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego.“ Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

EIGER MARYAN: Topografia zwojów nerwowych wewnątrz sercowych u świnki morskiej, myszy białej i człowieka. Rycin 36. Warszawa, 1911. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

GLIŃSKI KAZIMIERZ: Ślub krwi. Powieść. Warszawa, 1911. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

H. M.: Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka i jego przyjęcie katolicyzmu w r. 1567. Przyczynek do dziejów reformacji w Polsce. Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“ T. XII. Zeszyt I. Warszawa, 1911.

JANKOWSKI STEFAN, redaktor „Gospodarza“: Uprawa ziemniaków. Warszawa, 1911. Wydawnictwo Wydziału kółek Centr. Tow. Rolniczego w Królestwie Polskiem. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

JAROSZYŃSKI T.: Dobra krew. Powieść. Warszawa, 1911. Nakładem Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

JELEŃSKI SZCZEPAN: Zarys nowego programu. Wydanie drugie. Włocławek, 1911.

KOBIETY, KTÓRE WEZWANIE DOŚLEZYAŁY. Powieść C. de Jong van Becken Douk. Tłóm. z holenderskiego. Warszawa, 1911. Nakład redakcyi „Steru.“

KOŚCIELSKA MARYA: Snoby. Powieść. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

KRZYŻANOWSKI ADAM: Towarzystwa i stowarzyszenia rolnicze. Kraków, 1911. Nakładem Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego. Skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

LAGERLÖF SELMA: Cmentarna Lilia. Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Kuryera Wileńskiego.“ Wilno, 1910. Nakładem „Kuryera Wileńskiego.“

MERCZYNG HENRYK, PROF.: Zarys obecnych granic poznania natury w przestrzeni i czasie. Rzecz odczytana na zgromadzeniu dorocznem Związku polskiego lekarzy i przyrodników w Petersburgu. Odbitka z „Wszechświata.“ Warszawa, 1911.

MINKIEWICZ ROMUALD: Królewna morza czyli Dzień Życia. Baśń dramatyczna w 4 aktach. Warszawa, 1911. E. Wende i S-ka. Lwów — H. Altenberg.

MROZOWICKA IRENA: Dzwony. Lwów, 1911. Księgarnia polska Bernarda Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

MUŚNICKI WŁ. A.: O domach towarowych czyli zmodernizowanym handlu detalicznym. Praca nagrodzona na „Konkursie na odczyt.“ Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

NAGIEL HENRYK: Tajemnice Nalewek. (Z cyklu „Krwawe Dramaty.“) Tom I, z 6-ciu ilustracjami. „Ciekawe powieści.“ Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

O EWOLUCYI MIŁOŚCI. 2 odczyt p. t. I. Instykt czy uczucie. II. Kobieta wobec miłości. Napisała M-ka Rudowska. Polskie stowarzyszenie równouprawnienia kobiet. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

PAMIĘTNIK HENRYKA DEMBIŃSKIEGO generała wojsk polskich. Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł wyborowych.“

PAMIĘTNIK Towarzystwa higieny praktycznej im. Bolesława Prusa za rok 1910. Warszawa. Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

PIĄTKOWSKI HENRYK: Szary śmiech (z teki Zgrzyta). Wydanie drugie. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka.

PIWNICKI TYTUS: Krótki zarys żywienia owiec. Z przedmową prof. Stanisława Chaniewskiego. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

POSNER STANISŁAW: Biblioteki Amerykańskie. Odbicie z „Przeglądu Bibliotecznego“ r. 1909. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

PRZERWA - TETMAJER KAZIMIERZ: Otchłań. Fantazja psychologiczna. „Bibl. dzieł wyborowych,“ t. 687.

ROCZNIK IV Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Warszawa, 1910. Nakładem Polskiego Tow. Krajoznawczego.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Atma. Powieść. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

ROMAIN ROLLAND: Jan-Krzysztof. II. Poranek. Przełożyła z upoważnienia autora Jadwiga Sienkiewiczówna. Biblioteka „Sfinksa.“ Tom III. Warszawa, 1911.

ROZPRAWY Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. Tom 10. Dział A. (Ogólnego zbioru Tom 50. Dział A.) Nauki Matematyczno-Fizyczne. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.



ROZPRAWY Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. Tom 10. Dział B. (Ogólnego zbioru Tom 50. Dział B). Nauki Biologiczne. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

RYBARSKI ROMAN, D-R: Sprawa włościańska na sejmie w roku 1831. Kraków, 1910. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp.

RYDEL LUCYAN: Królowa Jadwiga. Wydał Karol Kozłowski. Poznań, 1910.

SAITSCHICK ROBERT, PROF.: Ludzie i sztuka Odrodzenia włoskiego. Przekład z upoważnienia autora Maryi Kreczowskiej. Tom II. „Książnica naukowa i artystyczna.” Kraków—Warszawa, Gebethner i Wolff.

SCHREIBER WITOLD: Badania nad antropologią dzieci chrześcijańskich, żydowskich i karaïmskich w Galicyi. Warszawa, 1911. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

SPRAWOZDANIE Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego w Sosnowcu za ósmy rok działalności, od 1-go stycznia do 31-go grudnia 1910 r. Sosnowiec, 1911.

SPRAWOZDANIE z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Warszawa, 1911. Styczeń. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

SPRAWOZDANIE z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Luty i marzec 1911. Warszawa, 1911. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

SPRAWOZDANIE z czynności i z publicznych posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie. Rocznik XV za rok 1908. Kraków, 1910. Nakładem Izby handlowej i przemysłowej.

— Rocznik XVI za rok 1909. Kraków, 1911. Nakładem Izby handlowej i przemysłowej.

STODÓLKIEWICZ A. J.: Z teorii równań różniczkowych. Warszawa, 1911.

SZPITALE I ZAKŁADY DOBROCZYNNE wobec projektu Samorządu Miejskiego na tle stosunków gubernii kaliskiej. Opracował Alfons Parczewski, poseł kaliski. Odbitka z „Gazety Kaliskiej.” Kalisz, 1911. Skład główny w księgarni B. Szczepankiewicza.

SZYLDBERG SAMSON: Pieśni samotności. Z okładką rysunku autora. Warszawa, 1911. Skład główny w Księgarni Powszechnej.

TYMCZASOWY REGULAMIN WYSTAW ROLNICZYCH. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

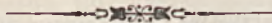
WESTER EDWARD, PROF. D-R: Zagadnienia płciowe w świetle genealogii moralności. Przetłómaczył d-r Bohdan Zahorski. „Książnica naukowa i artystyczna.” Kraków, 1910. G. Gebethner i Sp.

WODOWSTRĘT U LUDZI oraz szczepienia zapobiegawcze według metody Pasteura, opracował D-r Wł. Palmirski i D-r Zen. Karłowski. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

WYPISY HISTORYCZNE ilustrowane dla użytku młodzieży przy nauczaniu dziejów powszechnych, pod redakcją Kazimierza Wachowskiego. Zeszyt III, z 10 tablicami. Historia starożytna: Grecya (ciąg dalszy) opracowała D-r Justyna Jastrzębska. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

Z DNI JUBILEUSZU PAULINY KUCZAŁSKIEJ-REINSCHMIT d. 6 i 7 maja 1911 r. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

ŻUŁAWSKI JERZY: Stara ziemia. Powieść. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.



---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.



# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

### z roku 1911.

#### H I S T O R Y A.

	<i>Str.</i>
NA ROZDROŻU (1812—1813),—przez <i>Szymona Askenazego</i> . . . . .	1
PRZED PÓŁ WIEKIEM,—przez <i>d-ra B. Dybowskiego</i> . . . . .	44, 238 i 531
O IGNACYM PRĄDZYŃSKIM,—przez <i>Z. Miłkowskiego</i> . . . . .	104
WEZWANIE AUSTRYI NA TRON POLSKI,—przez <i>d-ra Maryana Kukiela</i>	225
„FENIKS SAMOJEDNY“ (Z życia księcia Udalryka Radziwiłła),—przez <i>Władysława Konopczyńskiego</i> . . . . .	316
GRZEGORZ XVI A POLSKA PO POWSTANIU LISTOPADOWEM,— przez <i>Bronisława Pawłowskiego</i> . . . . .	498
PROKONSULAT STACKELBERGA,—przez <i>K. M. Morawskiego</i> . . . . .	560
GALICJA WIOSNĄ ROKU 1812,—przez <i>Wacława Mejbauma</i> . . . . .	569

#### HISTORIA LITERATURY.

IDEA I ARTYZM W POEZJI KONOPNICKIEJ,—przez <i>Walerego Gos-</i> <i>tomskiego</i> . . . . .	68
DROGI TWÓRCZOŚCI ELIZY ORZESZKOWEJ,—przez <i>Henryka Gallego</i>	432

#### L I T E R A T U R A.

OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> . . . . .	209 i 417
Z NIEWYDANYCH UTWORÓW M. KONOPNICKIEJ (tekst do Mszy śpiewanej) . . . . .	312

## SZKICE LITERACKIE.

	<i>Str.</i>
TARGOWISKO CYWILIZACYI,—przez <i>Władysława Jabłonowskiego</i> . . .	132
PIERWIASTEK RELIGIJNY W DZISIEJSZEJ POEZYZI FRANCUS- KIEJ,—przez <i>Orwida</i> . . . . .	267

## SZKICE PUBLICYSTYCZNE.

SZKOŁY POD BRONIA,—przez <i>Bronisława Bouffalla</i> . . . . .	151
POSTĘPY IDEI MONARCHICZNEJ WE FRANCYZI,—przez <i>Konrada</i> <i>Ostrowskiego</i> . . . . .	471
MUZEUM W RAPPERSWILU,—przez <i>Michała Sokolnickiego</i> . . . . .	514

## STUDYA JĘZYKOZNAWCZE.

GWARA TATRZAŃSKA,—przez <i>G. Smólskiego</i> . . . . .	354
--	-----

## STUDYA PRZYRODNICZE.

OSTATNI POWRÓT KOMETY HALLEY'A,—przez <i>M. Ernsta</i> . . .	286 i 581
--	-----------

## K R Y T Y K A.

JÓZEF TRETIAK: „Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego 1802—1831,—przez <i>d-ra E. Kucharskiego</i> . . . . .	164
JÓZEF BIELIŃSKI: „Szubrawcy w Wilnie (1817—1822),“ —przez <i>Henryka</i> <i>Mościckiego</i> . . . . .	167
ALEKSANDER WÓYCICKI: „Związek chłopski w Belgii i Holandyi,— przez <i>W. D.</i> . . . . .	178
„O kościół w Opolu,—przez <i>W. D.</i> . . . . .	179
„General Zamoyski 1803—1868,—przez <i>Stanisława Szpotkańskiego</i> . . . . .	179
DR. ROMAN DYBOSKI: „William Ewart Gladstone,—przez <i>Wacława</i> <i>Dunina</i> . . . . .	376
ANDRZEJ BAUMFELD: „Sprawa polska a Żydzi,—przez <i>W. D.</i> . . . . .	379
KAZIMIERZ PIĄTKOWSKI: „Szkoła ludowa a stosunki narodowościowe w Galicyi,—przez <i>W. D.</i> . . . . .	381
„Świątobliwe życie przewielebnej jejmości Panny Zofiej z Granowa Sie- miawskiej,—wydał ks. Jan Gajkowski,—przez <i>I. B.</i> . . .	382
SOKOŁOWSKI EUGEN.: „Krakau im XIV. Jahrhundert,—przez <i>I. B.</i> . . .	384
WŁADYSŁAW STUDNICKI: „Sprawa polska,—przez <i>d-ra Zygmunta Bu-</i> <i>jakowskiego</i> . . . . .	385



	<i>Str.</i>
ANTONI KARBOWIAK: „Młodzież szkolna akademicka zagranicą 1795—1910,“—przez <i>d-ra Z. B.</i> . . . . .	387
POLONUS: „Psychologia obecnego Sejmu galicyjskiego,“—przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	600
D-R ERNEST TILL: „Nauki ogólne austriackiego prawa prywatnego,“—przez <i>W. D.</i> . . . . .	603
EDW. GRABOWSKI: „Wolności obywatelskie w państwie rosyjskiem,“—przez <i>W. D.</i> . . . . .	603

### KRONIKA MIESIĘCZNA.

#### KWIECIEŃ:

19 lutego 1861 r.—Znaczenie reformy włościańskiej.—Stanowisko opinii polskiej ówczesnej.—Z powodu <i>Mercurjusza</i> o prasie polskiej i obcej słów kilka. — Sprawy polskie w Izbie.—Zabójstwa policyantów a podróż Nakonecznego.—Deklaracya Koła. — Memoriał posła Grabskiego.—Związek stowarzyszeń współdzielczych. . . . .	183
---	-----

#### MAJ:

Powszechne nauczanie ludowe.—Głos posła Grabskiego.—Co dla tej sprawy społeczeństwo nasze zrobić może i powinno?—Zatarg konstytucyjny w Radzie Państwa.—Głosy polskie.—O muzeum Rapperswilskie.—Okolo hojnego daru.—Teatry warszawskie.—Odezwa, godna poparcia.—Literatura kryminalna i życie . . . . .	391
---	-----

#### CZERWIEC:

Refleksye na czasie.—Próby bilansu naukowego i moralnego szkół polskich.—Wychowanie fizyczne.—Sporty, jako czynnik wybitnie umoralniający.—Księgi pamiątkowe szkół.—Niebezpieczeństwa ambicij literackich.—Kronika poznańska.—Jubileusz komisji kolonizacyjnej.—Jej działalność.—Rozprawy o wywłaszczeniu w Sejmie.—Wystawa poznańska.—Zawody hakatystów.—Półwiecze Banku Przemysłowców.—W bolesną rocznicę.—Porażka rządu w Dumie . . . . .	605
--	-----

### WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Józef Montwiłł i ś. p. ks. Władysław Michał Dębicki,—przez <i>L. W.</i> . . . . .	197
Ś. p. biskup Karol Niedziałkowski, ś. p. Władysław Gosiewski i ś. p. prof. Maryan Sokołowski,—przez <i>L. W.</i> . . . . .	406
Ś. p. Leopold Stanisław Brzozowski, ś. p. Adam Darowski i ś. p. Jan Popiel,—przez <i>L. W.</i> . . . . .	618

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

	Str.
KWIECIEŃ . . . . .	201
MAJ . . . . .	411
CZERWIEC . . . . .	621

KRONIKA KRAJOWA

KWIETNIEN

10 maja 1915. - Zmarł w Warszawie wybitny polski historyk i publicysta, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, dr. hab. Andrzej Niemiński. Urodził się 1847 r. w Warszawie. Był członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a także prezesem. Jego prace obejmują historię literatury i kultury polskiej. Zmarł na skutek choroby.

MAY

15 maja 1915. - W Warszawie odbył się zjazd Komitetu Narodowego. Wzięli w nim udział przedstawiciele różnych stronnaków i organizacji. Rozważano sprawy polityczne i kulturalne. Zdecydowano o dalszym kierunku działalności Komitetu.

CZERWIEC

10 czerwca 1915. - W Warszawie odbył się koncert na korzyść ofiar wojny. Wykonał go zespół artystyczny z udziałem wielu znanych muzyków. Dochód z koncertu przeznaczono na cele charytatywne.

15 czerwca 1915. - W Warszawie odbył się zjazd Komitetu Narodowego. Wzięli w nim udział przedstawiciele różnych stronnaków i organizacji. Rozważano sprawy polityczne i kulturalne. Zdecydowano o dalszym kierunku działalności Komitetu.

20 czerwca 1915. - W Warszawie odbył się koncert na korzyść ofiar wojny. Wykonał go zespół artystyczny z udziałem wielu znanych muzyków. Dochód z koncertu przeznaczono na cele charytatywne.

25 czerwca 1915. - W Warszawie odbył się zjazd Komitetu Narodowego. Wzięli w nim udział przedstawiciele różnych stronnaków i organizacji. Rozważano sprawy polityczne i kulturalne. Zdecydowano o dalszym kierunku działalności Komitetu.